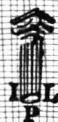


ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY DRUGI

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI

1987

ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY DRUGI

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1987

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 434

ISBN 2-7168-0101-0

IMPRIME EN FRANCE

Editeur : INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

A. P.

25 LAT ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH*

Tak samo jak fundusze publiczne, tak i najnowsza historia nie jest niczyją „prywatną własnością” czy monopolem i wymaga kontroli opinii.

(Jerzy Giedroyc, *Zeszyty Historyczne* nr 13, 1968).

8 stycznia 1962 roku z maszyn drukarni Richard w Paryżu zeszyły egzemplarze pierwszego numeru nowego periodyku emigracyjnego *poświęconego materiałom dotyczącym najnowszej historii Polski — Zeszytów Historycznych* wydawanych przez Instytut Literacki, czyli tzw. *paryską Kulturę*, a ściślej przez Jerzego Giedroycia i jego najbliższych współpracowników: Zofię i Zygmunta Hertzów. Pismo macierzyste wydawnictwa, miesięcznik *Kultura*, miało już wówczas za sobą 15 lat istnienia, wypracowaną linię polityczną, kilka znaczących dla polskiej kultury i polityki batalii polemicznych, grono stale współpracujących z nim wybitnych pisarzy, komentatorów i publicystów, dochodzącą setki tomów Bibliotekę *Kultury*; uznaną — co nie znaczy, że przez wielu nie kwestionowaną — pozycję wśród polskiej diaspory, a także (czy może: przede wszystkim) trwały i liczący się wpływ na krajowe środowiska opiniotwórcze i to ze wszystkich (więcej niż dwóch!) stron barykady.

Od początku swego istnienia *Kultura* przywiązywała dużą wagę do tekstów — wspomnień, dokumentów, szkiców — dotyczących historii Polski: *z biegiem czasu materiały tak się rozrastały, że powstała potrzeba wydzielenia tej problematyki w osobne*

* *Almanach humanistyczny* nr 6/1987.

wydawnictwo (*Zeszyty Historyczne* nr 14, 1968). Z deklaracji redakcyjnej zamieszczonej w pierwszym numerze wynika, iż planowano zyskanie co najmniej 2.000 prenumeratorów, co mogłoby zapewnić *Zeszytom* nie tylko samowystarczalność, ale także ukazywanie się raz na kwartał (na okres „rozruchu” planowano wydawanie 2 numerów rocznie). *Niestety po 7 latach wychodzenia* — pisała redakcja — *po wydaniu 14 numerów ilość prenumeratorów nie o wiele przekracza cyfrę tysiąca osób* (*Zeszyty Historyczne* nr 14, 1968). *Zeszytom* groziła likwidacja i rok 1969 miał być ostatnim rokiem ich istnienia. Choć poczta przynosiła *wprost masowe listy, podkreślające znaczenie pisma* (*Zeszyty Historyczne* nr 16, 1969), apel skierowany przez wydawców o wspomoczenie inicjatywy dał połowiczne zrazu wyniki. Groźba została wprawdzie zażegnana, ale nie powiódł się jeszcze zamiar przekształcenia *Zeszytów* w kwartalnik. Stopniowo jednak przybawało stałych czytelników i w 1973 roku wydawcy mogli już zaryzykować publikowanie pisma cztery razy w roku, a więc z częstotliwością typową dla specjalistycznych periodyków historycznych.

Do chwili, gdy piszę te słowa, miałem możność zapoznać się z 76 numerami *Zeszytów*, ale chyba nie ulega wątpliwości, że na 25-lecie pisma w styczniu 1987 roku ukaże się — z regularnością dobrego zegarka — numer 79. Łącznie będzie to potężna porcja wiadomości i komentarzy zawartych na ok. 20 tys. stron druku. Koncepcja organizowania numeru pisma ukształtowała się dość szybko i tym zapewne łatwiej, iż nie trzeba było wymyślać nic nowego wobec istnienia już od dawna sprawdzonego schematu, stosowanego niemal we wszystkich czasopismach poświęconych historii. Wprawdzie w dwóch pierwszych numerach nie ma jeszcze wyodrębnionych działów, ale już od numerów 3-6 struktura *Zeszytów* została mniej więcej ustalona. Trwały wprawdzie dość długo zmiany w tytułach poszczególnych działów (np. *Omówienia*, potem *Książki*, wreszcie *Recenzje*), niektóre istniejące w pierwszych numerach zniknęły później (np. *Przegląd wydawnictw*, *Nowości historyczne*), inne przez dłuższy czas ukazywały się sporadycznie (np. *Okruchy historii*) — w końcu jednak zapanował porządek, ułatwiający korzystanie z pisma¹. Mają *Zeszyty* swoją specyfikę wynikającą po części z półprofesjonalnego charakteru wydawnictwa (i redakcji) — o czym dalej — a także wypełniania

1. Dużą pomocą w posługiwaniu się *Zeszytami* są bibliografie ich zawartości przygotowane przez Marię Danilewicz Zielińską dla okresów 1962-1973 i (osobno) 1973-1980, wydane w Bibliotece Kultury. Ramowy układ zawartości kształtował się następująco: dział artykułowy (bez nazwy), *Relacje*, *Dokumenty*, *Polemiki*, *Recenzje*, *Okruchy historyczne*, *Listy do redakcji*.

w pewnym zakresie roli nie tylko pisma, ale także książki. I tak przez długi czas osobnymi „nadtytułami”, które były odpowiednikami regularnych działów, opatrywano grupy materiałów odnoszących się do tej samej problematyki (np. *Rumunia 1939* w numerze 6, *Polska a Litwa* w numerze 17, *Ucrainica* w numerach 54 i 55). Ewenementem było poświęcenie dwóch pełnych numerów (40 i 50) na publikację opracowań generała Wacława Stachewicza, które są *de facto* dwoma tomami odrębnej książki, zaopatrzonej w aneksy i indeksy. Podobnie — z tym, iż poświęcając tylko część numeru — postąpiono z opracowaniami Wacława Lednickiego (nr 10)), Władysława Żeleńskiego (nr 25), Janusza Rakowskiego (nr 39) czy Piotra Wandycza (nr 52), które zostały opublikowane jako gotowe całości wydawnicze. Do specyfiki *Zeszytów* należy także publikowanie tekstów obszernych, zdecydowanie dominujących nad danym numerem (np. materiały poświęcone Helenie Radlińskiej w numerze 19, blok materiałów o marszałku Rydzu-Śmigłym w numerze 2, *Wspomnienia* Kazimierza Pużaka w numerze 41 czy *Pamiętnik* Anatola Mühlsteina w numerze 43) lub ogłaszanych w wielu kolejnych numerach (na przykład *Moje wspomnienia* Bogusława Miedzińskiego w numerach 33-36, *Wspomnienia* Wiktora T. Drymmera w numerach 27-31 czy opracowanie Pawła Korca w numerach 20, 22-25). Specymentem był także, ogłoszony w numerze 1, indeks nazwisk do trzutomowej *Najnowszej historii politycznej Polski* Władysława Pó-bóg-Malinowskiego wydanej w londyńskiej oficynie B. Świdorskiego, a więc nawet nie w żadnej z serii wydawniczych Instytutu Literackiego.

Taka organizacja tekstów zamieszczanych w poszczególnych numerach wynikała zapewne z przyczyn zewnętrznych wobec redakcji — w odróżnieniu od większości czasopism historycznych nie posiada ona oparcia w żadnej zawodowej instytucji badawczej czy archiwalnej lub profesjonalnym stowarzyszeniu, także i z redakcyjnych założeń — *w pierwszym rzędzie położyliśmy nacisk na (...) drukowanie materiałów w sposób żywy, mogący zainteresować każdego, kto interesuje się sprawami Polski, unikając żargonu pseudonaukowego i jałowych przyczynków* (*Zeszyty Historyczne* nr 14, 168). Stąd ów półprofesjonalny charakter — co nie jest tu bynajmniej określeniem mającym na celu pomniejszenie wartości inicjatywy — bo głos na łamach *Zeszytów* zabierają częściej świadkowie wydarzeń niż ich badacze. Nie dokonałem stosownych obliczeń, ale nie ulega wątpliwości, że znaczna (jeśli nie przeważająca) część zawartości poświęcona jest nie tylko relacjom i wspomnieniom *sensu stricto*, ale także opracowaniom przygotowywanym przez bezpośrednich uczestników wydarzeń, w znac-

nym stopniu opierających się na własnej pamięci i przeżyciach. Zjawisko to jest szczególnie wyraźne w pierwszym okresie ukazywania się *Zeszytów*. Niemala część wspomnień — zawartych także w bardzo ożywionej rubryce *Listy do redakcji* — ma w istocie charakter przyczynków, porusza sprawy bardzo drobne, odpryski fragmentów. Łącznie jednak z dużymi blokami wspomnieniowymi stanowią one imponujące archiwum pamiętnikarskie dotyczące historii Polski XX wieku. Ono też weszło najszybciej i już na stałe do krajowego obiegu naukowego, choć większość materiałów ogłoszona została bez fachowego opracowania czy komentarza, co zmusza samych korzystających do wykonania niezbędnych zabiegów krytycznych. Nie znając redakcyjnych archiwów, nie mam możliwości stwierdzenia, na ile kształt *Zeszytów* jest wynikiem z góry określonej polityki co do wyboru tematów lub autorów relacji i wspomnień. Z samej lektury pisma można odnieść wrażenie, iż raczej daje się ono nieść fali napływających tekstów niż je wywołuje, a nieraz — być może z uwagi na nieregularność napływu maszynopisów — redakcja nie stara się o grupowanie ich w jednorodne bloki tematyczne. Utrudnia to korzystanie z *Zeszytów*, ale czyni lekturę bardziej atrakcyjną. Dość charakterystyczne jest, częste zresztą w innych czasopismach, „wzbudzenie” przez jeden tekst innych, polemizujących czy uzupełniających pierwszą wypowiedź na dany temat. Taka jest m.in. funkcja rubryki *Listy do redakcji*, w której ukazało się już kilkaset wypowiedzi wnoszących niejednokrotnie rzeczywiście istotne sprostowania i dodatkowe wyjaśnienia. Przykładem polemiczno-upełniającego łańcucha może być cykl wypowiedzi zapoczątkowanych artykułem Tadeusza Katelbacha „Łoże” (nr 3) czy opracowaniem Zbigniewa S. Siemaszki „Łączność radiowa Sztabu Naczelnego Wodza w okresie powstania warszawskiego” (nr 6).

Ważnym elementem *Zeszytów* są publikacje dokumentów. W odróżnieniu od większości relacji i wspomnień w tym dziale wyraźnie przeważają materiały opracowane, tj. zawierające informacje i komentarze autorskie, ale często pozbawione objaśnień dotyczących szczegółowych spraw omawianych w przytaczanym dokumencie lub prostujących jawne, faktograficzne pomyłki. Nie brak i w tym dziale materiałów obszernych, nawet kilkudziesięciostronicowych, jak np. zbiór listów Józefa Piłsudskiego (nr 2), listy Stanisława Grabskiego z lat 1941-1949 (nr 19), tekst przemówienia Władysława Gomułki do aktywu warszawskiego z 1964 roku (nr 22, 23), obszerny wybór depesz wymienianych między Naczelnym Wodzem a dowódcą AK w latach 1943-1944 (nr 23-26, 34), raport Mieczysława Szereta o pracach komisji badającej „łamanie praworządności” w sądownictwie wojskowym lat

1947-1954 (nr 49) czy dokumenty amerykańskie dotyczące ucieczki Stanisława Mikołajczyka w 1947 roku (nr 47). Przy kwalifikowaniu materiałów do poszczególnych działów zdarzają się redakcyjne lapsusy — np. raport NIK o nadużyciach popełnionych przez „prominentów” z epoki „późnego Eda” umieszczono we „Wspomnieniach” (nr 64), zaś tekst referatu chwającego 20-letni dorobek II Rzeczypospolitej, ogłoszonego w 1941 roku przez kpt. dr. Henryka Jabłońskiego jako „Dokument” (nr 55) chyba, że ma to być świadectwo zmiany poglądów późniejszego przewodniczącego Rady Państwa. W sumie ten dział *Zeszytów* wnosi bardzo wiele materiałów o istotnym znaczeniu dla poznania najnowszej historii Polski, wykorzystywanych skwapliwie nawet przez badaczy uznających się za śmiertelnych wrogów Instytutu Literackiego i jego współpracowników. Z dokumentami szczególnie trudno polemizować lub uznawać je za „wrogię Polsce Ludowej”, choć oczywiście wymowa wielu z nich jest mocniejsza niż wymowa najlepiej nawet napisanych filipik czy demaskatorskich opracowań. Na plus pisma należy zapisać, że spora część publikowanych w nim dokumentów jest nie tylko ważna dla nauki i poznania dziejów, ale także fachowo opracowana, szczególnie te, które do druku przysposobili Władysław Pobóg-Malinowski, Jan M. Ciechanowski czy Piotr Wandycz.

Nie powiodły się natomiast zamierzenia dotyczące dokumentacji najnowszej historii Polski, zapowiadane przez redakcję m.in. w formie *bibliografii prac historycznych, ukazujących się na Zachodzie, a dotyczących w jakiegokolwiek mierze Polski czy Europy wschodniej, a także bibliografii krajowej, która jest bardzo interesująca nie tylko dla emigracji, ale również dla coraz liczniejszych powstających na Zachodzie ośrodków poświęconych studiom nad Europą wschodnią* (*Zeszyty Historyczne* nr 1, 1962). Na to, aby prace takie na serio podjąć i kontynuować — tylko w kilku początkowych numerach zamieszczono fragmentaryczne zestawienia — musiałyby *Zeszyty* mieć do dyspozycji albo własny zespół bibliograficzny, albo wsparcie w jakimś poważnym ośrodku dokumentacyjnym, nawet jeżeli ograniczałyby się do spraw ściśle polskich i dotyczących dziejów najnowszych. Zespół redakcyjny, zaledwie parosobowy i to pracujący jednocześnie nad miesięcznikiem i seriami książkowymi oraz obciążony pracą administracyjną, nie był w stanie podjąć działalności bibliograficznej. *De facto* zrezygnowano także z systematycznego prowadzenia *Kroniki* (ukazała się w niewielu numerach), w której zamierzano odnotować znaczniejsze imprezy międzynarodowe, emigracyjne lub krajowe w zakresie historii najnowszej. W tej sytuacji podstawowym działem informującym o wydarzeniach na „rynku historycznym”

stała się rubryka recenzji i omówień prowadzona systematycznie od numeru 3. Przeważają w niej recenzje krótkie, dotyczące książek zarówno polskich, jak i obcojęzycznych, a od numeru 7 omawiane są także publikacje ukazujące się w kraju. Znaczna część tych omówień ma charakter krytyczny — nieraz ostro polemiczny — choć z reguły zachowywane są tzw. dobre maniere polegające na pochwaleniu ocenianego autora chociażby za trud, jaki włożył w gromadzenie materiału. Nie ma chyba potrzeby dodawać, że publikacje krajowe z kręgu tzw. oficjalnej historiografii niemal z reguły oceniane są surowo (na co w większości w zupełności zasługują). Ukazały się też w *Zeszytach* trzy opracowania dotyczące środowiska historycznego z tej strony żelaznej kurtyny, w tym obszerny, pięcioczęściowy (nr 20, 22-25) szkic Pawła Korca *Materiały do studiów nad historiografią Polski Ludowej w zakresie historii najnowszej*. Ważnym elementem kształtującym poziom działu recenzyjnego jest fakt, iż spory w nim udział biorą zawodowi historycy, tacy jak P. Wandycz, Zbigniew S. Siemaszko, Anna M. Cienciąła czy J. M. Ciechanowski.

Z uwagi na znaczną ilość materiałów o charakterze relacyjnym, a także opracowań opartych w przeważającej mierze na własnych wspomnieniach autorów, udział profesjonalnych historyków w konstytuowaniu zawartości *Zeszytów* jest znacznie mniejszy niż w „normalnych” periodykach poświęconych historii. Jest sytuacją dość często spotykaną w zakresie badań nad dziejami najnowszymi, iż pracom w tym zakresie poświęcają się ich kombataneci, zwłaszcza gdy głęboka motywacja wewnętrzna daje im po temu impus, a sytuacja materialna pozwala. Brak zaplecza w postaci mniej czy bardziej zinstytucjonalizowanego środowiska zawodowego zachęca także do podejmowania poszukiwań historycznych osoby uprawiające inne fuchy, nie uznające, a często i nie znające wymogów warsztatowych, krytycznej analizy dokumentów, przyjętej terminologii etc. Nie znaczy to, iż materiały przez nie zebrane lub ich opracowania pozbawione są wartości, której przecież nie gwarantuje posiadanie etatu w odpowiedniej instytucji naukowej czy trzymanie w szafie dyplomów nawet z najbardziej renomowanych uniwersytetów. A pióra tacy wolontariusze miewają często lepsze niż ci, którzy z racji zajmowanych stołków mieniają się sługami muzy Klio — pisarstwo historyczne Adama Ciołkosza, Bogusława Miedzińskiego, Tadeusza Katelbacha, Wacława Jędrzejewicza czy Leona Mitkiewicza może być na to dowodem najlepszym. Wszelako zacieranie granicy między wspomnieniem a opracowaniem, sprzyjające lekturze, bowiem zezwalające autorowi na dość daleko idącą swobodę narracyjną, może podważać wiarygodność relacjonowanych faktów, a zwłaszcza przy-

taczanych *ex post* opinii; oddziałuje silniej na czytelnika, ale nastrosza krytycznie zawodowca. Przy czym redakcja, mając do czynienia z autorami rozrzuconymi po całym świecie, a niektóre teksty otrzymując „pocztą konspiracyjną”, ma z całą pewnością poważne kłopoty z zapanowaniem nad składanymi do publikacji maszynopisami, weryfikacją zawartych w nich informacji czy nawet ingerowaniem w styl. Dla czytelników przyzwyczajonych do tego, że nad ogłoszonym tekstem x godzin przesiedział fachowy redaktor, a przed publikacją oceniało go kilku specjalistów, poziom informacyjny czy stylistyczny niektórych materiałów może być denerwujący, choć rzecz jasna należy zgodzić się z wstępnym zastrzeżeniem wydawców, którzy stwierdzili, że *zamieszczać będziemy materiały na odpowiedzialność autorów, nie bawiąc się w żadną cenzurę, a dbając jedynie, aby teksty były ciekawe i nowe* (*Zeszyty Historyczne* nr 1, 1962). Co do redakcyjnej cenzury nie potrafię się wypowiedzieć, natomiast „ciekawość” i „nowość” jest gwarantowana. A fakt, że wynika to częściej z treści niż z formy — może razić tylko purystów (lub cieszyć wrogów wydawcy).

No właśnie — treść. *Najnowsza historia Polski* — stwierdzał „Redaktor” (pod tym obiegowym pseudonimem pisuje zazwyczaj Jerzy Giedroyc) — *zawiera niezmiernie dużo ciemnych zakamarków, by przykładowo wymienić sprawy — od kulis Powstania Warszawskiego, tajemniczych śmierci płk. Hańczy czy Lidii Żółkiewskiej do sprawy Bergu czy organizacji rtm. Klimkowskiego. To wszystko są tematy „tabu” i interesowanie się nimi jest „poszukiwaniem niezdrowych sensacji”. Na skutek tego mamy nie historię, z której można by wyciągnąć wnioski na przyszłość, ale bajeczki pod lipą dla grzecznych dzieci. To samo się robi, z innych pozycji, w PRL. Zadaniem Zeszytów Historycznych jest usiłowanie rzucenia trochę światła na te sprawy i uniemożliwienie wariantów „orwellowskich”.* Interesujące w tych konstatacjach są nie tyle „obrazoburcze” zamiary wydawców czy zaiste rewolwerowe tematy w nich przywoływane, ile fakt, iż można na ich podstawie sądzić, iż głównym zadaniem, jakie stawiały sobie *Zeszyty*, była penetracja problematyki emigracyjnej. Pod tym względem redakcja w niewielkim tylko stopniu spełniła zapowiedzi i choć nr 1 otwiera „Nieznane *exposé* premiera Tomasza Arciszewskiego na posiedzeniu Rady Narodowej w Londynie w dniu 15 stycznia 1945 roku”, ilość materiałów dotyczących dziejów emigracji, jej organizacji i władz politycznych jest znikoma wobec pojemności informacyjnej dotychczas ogłoszonych numerów (nie dotyczy to wydarzeń związanych z historią władz i wojska w czasie samej drugiej wojny światowej). Może zapowiedź

ta była tylko haczykiem, na który złapać zamierzano wychodzących czytelników? Nie wiem. W każdym razie „przynęty” okazały się inne i nie groziło pismu, iż szybko wyczerpie swoje zasoby — i cierpliwość czytelników — zamykając się w kręgu „niezdrowych sensacji”².

Tematów nie zabrakło, chętnych do ich omawiania — i kłócenia się — także. Nie rozdzielając tu opracowań od relacji czy dokumentów i nie mając ambicji wskazania wszystkich problemów, które trafiły na łamy 76-ciu numerów *Zeszytów*, chciałbym wskazać na niektóre tylko, zaś przede wszystkim na te, które składają się w przeważającej mierze na — nie waham się tego słowa użyć — historyczny dorobek inicjatorów pisma. Jednym z nich jest penetracja, próba zrekonstruowania polskiej polityki w okresie II Rzeczypospolitej — jest to zasługą stałej obecności w *Zeszytach* artykułów Piotra Wandycza (od nr. 3) i Anny Cieńciały (od nr. 14), prac na wysokim naukowym poziomie. Ich znajomość archiwów krajowych i zagranicznych, okazałej literatury dotyczącej sytuacji międzynarodowej okresu międzywojennego, wybitna kultura pisarska i polemiczna podnoszą rangę pisma.

Do kanonu źródłowego XX-wiecznych dziejów Polski zaliczyć można zarówno wspomnienia B. Miedzińskiego, St. Kota czy W. T. Drymmera, jak i dyskusję wywołaną przez wspomniany już tekst T. Katelbacha o „łożach”, materiały Janusza Rakowskiego „Zetowcy i piśsudczycy” (nr. 54-56), pierwodruki listów Piśsudskiego czy dokumentację zebraną przez W. Stachewicza o polskich przygotowaniach wojskowych do wojny 1939 roku. Nie dałoby się napisać historii wrześnieowego exodusu i powstawania rządu na emigracji bez licznych relacji dotyczących m.in. epizodu rumuńskiego (np. numery 6, 7, 18, 38, 39, 76), „Aktu pierwszego dramatu” T. Katelbacha (numery 7, 8). Okres drugiej wojny światowej jest oczywiście — tak jak i w publikacjach krajowych — opisywany obficie, spora garść ogłoszonych tekstów ma charakter pionierski, jak choćby liczne opracowania Z. S. Siemaszki — zwłaszcza dotyczące NSZ — czy pierwodruki dokumentów z archiwów londyńskich. Znajdziemy więc w *Zeszytach* pierwszy tekst założyciela SZP, gen. Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza (nr 6), relację Michała Borwicza z okupowanego przez Armię Czerwoną Lwowa (nr 3), ważne wspomnienia okupacyjne K. Pu-

2. W rezultacie nie dysponujemy dziś nie tylko żadnym syntetycznym opracowaniem, ale nawet systematycznie ogłaszanymi przyczynkami do politycznej historii powojennej emigracji. Jest to jedna z najrozleglejszych „białych plam” w najnowszych dziejach Polski.

żaka (nr 41), wiele unikalnych materiałów dotyczących losów Polaków w Rosji, liczne przyczynki do dziejów Powstania Warszawskiego, relacje o emisariuszach, źródłową dokumentację Leonidasa Kliszewskiego *Baza w Sztokholmie* (nr 58), materiały dotyczące walk o Wilno w lipcu 1944 roku czy wypowiedzi Józefa Garlińskiego. Już od numeru 4 *Zeszytów* wkraczamy też na teren historii PRL. Żadne pismo w Polsce, łącznie z „branżowym” organem partyjnych historyków *Z pola walki*, nie może się poszczycić ogłoszeniem takiej ilości ineditów Władysława Gomułki: *O nieznannej dyskusji Gomułki z dziennikarzami* (nr 4), wspomniane już wystąpienie tow. Wiesława z 1964 roku (nr 22, 23), przemówienie z czerwca 1948 i jego obrona (nr 34), listy do najwyższych władz z marca-maja 1956 roku (nr 43). Ważne jako świadectwa, choć bardzo dalekie od wyczerpania problematyki, są teksty Kazimierza Bagińskiego *Cenzura w Polsce* (nr 8), czy Stanisława Wójcika *Na 30-lecie wyborów* (z 1947 roku, w nrze 43). Ważne sprawy porusza wspomnieniowe opracowanie Jana Drewnowskiego *Proces CUP* (nr 28). Są także wydawcy *Zeszytów* zwolennikami uprawiania *histoire immediate*, dokumentowania wydarzeń bieżących, co nie zawsze musi być traktowane jako mieszanie historii z polityką, gdyż jest także (lub może być) świadectwem zobowiązań profesjonalnych wobec przyszłych badaczy. Mamy więc w *Zeszytach* dokumentacyjne opracowanie Michała Kołodzieja *Podziemne struktury NSZZ SOLIDARNOŚĆ* (nr 72), omówienie „Procesu gdańskiego” pióra Jolanty Strzeleckiej (nr 74), „rewolwerowy” raport NIK (nr 64), *Akt oskarżenia przeciwko Jerzemu Popietuszcze* (nr 71), materiały do bibliografii wydawnictw konspiracyjnych po 13 grudnia 1981 roku (nr 73) czy kalendarium Klubów Inteligencji Katolickiej w okresie 1980-1981 (nr 76).

Wprawdzie redakcja zapowiadała, iż nie będzie żywiła żadnych politycznych przesądów i gotowa jest publikować prace pisane z różnych punktów widzenia, ale jest oczywiste, iż pewne tendencje — żeby nie powiedzieć kierunki — polityczne są w *Zeszytach* wyraźne. Dziwne zresztą gdyby było inaczej, skoro i inne czasopisma naukowe nie zawsze mogą uniknąć tendencyjności w doborze autorów czy tematów, także i wówczas, gdy nie wisi nad nimi cenzorski miecz. A przecież ani *Kultura*, ani cały Instytut Literacki nie są instytucjami mającymi na celu proste, bezrefleksyjne gromadzenie dorobku innych. Przyświecały im raczej zdecydowane wybory ideowe i polityczne. Linia *Zeszytów* zbieżna była oczywiście z linią miesięcznika, z którego wyrosły. Należałoby wskazać na następujące dominanty: idea niepodległościowa, z wyraźną szczególnie w początkowym okresie skłon-

nością do utożsamiania się z tzw. obozem piłsudczykowskim; związana z tym obozem idea federacyjna, opowiadająca się za ścisłą współpracą z narodami znajdującymi się, tak jak Polska, „pomiędzy Niemcami a Rosją”, wyraźnie większe zainteresowanie problematyką Rosji (ZSSR) niż Niemiec, wynikające wszakże nie z opcji geopolitycznych, ale z faktu, iż Polska utraciła suwerenność na rzecz Rosji Sowieckiej, co stanowiło (i stanowi) poważne zagrożenie dla podmiotowości narodu; aktywizm wyrażający się w eksponowaniu nie tylko polskich wysiłków niepodległościowych z lat dawniejszych, ale także tych wszystkich działań w kraju, które zmierzają do zmiany *status quo*.

Obok tradycji niepodległościowo-piłsudczykowskiej najbliższa redaktorom *Zeszytów* jest, jak sądzę, tradycja o proveniencji socjalistycznej (czy socjaldemokratycznej) w jej wolnościowym, demokratycznym wydaniu, powiązana zresztą z tą pierwszą wieloma epizodami z przeszłości, generacyjnie dawniejszymi niż doświadczenie osobiste Jerzego Giedroycia. Daje się w każdym razie wyraźnie wyczuwać dystans wobec tradycji obozu narodowego, a nawet orientacji chrześcijańsko-społecznej. Określenie sylwetki ideowej wydawnictwa wymagałoby z pewnością szerszej zakrojonych badań, opierających się na analizie zawartości *Kultury*, ale wydaje mi się, iż można zaryzykować tezę, że zespół z Maisons-Laffitte dałoby się przyporządkować tej długiej linii wyborów ideowych, które zapoczątkowane zostały w najnowszych dziejach Polski przez generację „niepokornych” z przełomu wieków, zaliczyć ich do spadkobierców tej formacji, dla której polityka — jeśli się już ją uprawia — jest raczej środkiem niż celem.

W chwili, gdy *Zeszyty Historyczne* wkroczyły na rynek czytelnicy, funkcjonowały już na nim co najmniej dwa pisma emigracyjne zajmujące się dziejami Polski, a problematyka historyczna często trafiała także na łamy czasopism informacyjnych — stan szczególnie oczywisty wobec kombatanckiego charakteru emigracji. Jednym z tych dwóch pism były *Teki Historyczne*, wydawane w Londynie od 1947 roku przez Polskie Towarzystwo Historyczne na Obczyźnie. Pismo, którego *spiritus movens* był aż do śmierci Marian Kukiel, miało charakter wydawnictwa profesjonalnego, ogólnohistorycznego, zajmowało się całą historią Polski i poloniami, było, można powiedzieć, „normalnym” czasopismem naukowym z obszernym działem recenzji, dobrze prowadzoną kroniką życia naukowego, a nawet — zgodnie z przyjętymi obyczajami — przygotowało specjalny, obcojęzyczny numer na XII Międzynarodowy Kongres Nauk Historycznych (1965). Wówczas gdy powoływano do życia *Zeszyty*, pismo londyńskie było w początkowym okresie wydawniczego kryzysu (od 1960 roku ukazywało

się już tylko raz na dwa lata) i nie przetrwało śmierci swego założyciela — po wydaniu 30 numerów (w 17 rocznikach) przestało się ukazywać w 1980 roku. Drugim była powstała w 1948 roku *Niepodległość*, organ Instytutu im. J. Piłsudskiego (zrazu w Londynie, od 1972 Londyn - Nowy Jork), czasopismo „poświęcone najnowszym dziejom Polski”. Wydawcy traktowali je — i traktują do dziś — jako wznowienie periodyku, który pod tym samym tytułem (i o podobnym zakresie zainteresowań) ukazywał się przed 1939 rokiem w Warszawie. Odwrotnie niż *Teki*, pismo to zyskało rytmiczność ukazywania się dopiero w końcu lat 70-tych i przetrwało ciężki kryzys, który spowodował, iż przez lat 10 (1962-1972) nie wydało ani jednego numeru. Do chwili obecnej ukazało się 19 tomów o średniej objętości ok. 300 stron każdy. Posiadając zaplecze w instytucie, którego była organem, nie stała się *Niepodległość* profesjonalnym czasopismem historycznym i podobnie jak w *Zeszytach* znaczną część jej tekstów stanowiły wspomnienia i opracowania przygotowywane przez uczestników opisanych wydarzeń. *Niepodległość*, zgodnie ze swą przedwojenną tradycją, poświęcona była (i jest) przede wszystkim dziejom Polski w latach 1908-1921 oraz okresowi drugiej wojny światowej i zasadniczo nie wykraczała poza granicę 1945 roku, nie interesowała się wydarzeniami z historii PRL, a już zwłaszcza nie starała się być — tak jak *Zeszyty* od końca lat 70-tych — także rejestratorem aktualnych wydarzeń. Nadało to jej większą zwartość tematyczną, a z racji często podkreślanych związków z postacią, czynami i ideologią patrona Instytutu — także jednoznaczne ukie-
runkowanie ideowo-polityczne.

Z trójki tej — *Zeszyty*, *Teki*, *Niepodległość* — najbardziej swobodny w doborze tematów, „najlżejszą ręką” redagowany, najbardziej urozmaicony — a jednocześnie najmniej sprofesjonalizowany — jest kwartalnik Jerzego Giedroycia. W oczach jednych ujmuje mu to wartości, w oczach innych stanowi najlepszą zachętę do czytania pisma „od deski do deski”, co nie jest przymiotem pism naukowych.

Przez dłuższy czas większość tekstów pomieszczanych w *Zeszytach* pisana była przez autorów emigracyjnych, którzy zresztą — co jest naturalne — wciąż są podporą pisma. Pierwsze dokumenty „krajowe” pojawiły się dzięki uchodźcom powojennym (wspomniana już dyskusja Gomułki z dziennikarzami opracowana przez Jerzego Monda), a bezpośrednie kontakty z krajem były, jak można sądzić, sporadyczne (np. tekst Stanisława Mackiewicza o Władysławie Studnickim w nrze 9, 1966). Szerszą falą materiały „stąd” zaczęły napływać po 1970 roku, a wraz z nimi pojawili się na łamach *Zeszytów* niektórzy zawodowi historycy z emigracji

pomarcowej (wspomniany już P. Korzec, także Lucjan Dobroszycki, Józef Lewandowski, Aleksander Litwin). Jednym z pierwszych było opracowanie Jerzego Rosa (pseudonim) *Henryk Holland — ostatnia ofiara Berii* (nr 19, 1971), ale wnet zaczęły napływać materiały dość liczne i ważne, choć zasadniczo przyczynkowe: wspomniane już dokumenty związane z Gomułką, dokumenty KC PPR (nry 24, 26), zakwestionowane przez cenzurę fragmenty eseju Adama Krzyżanowskiego (nr 21), a także, ogłoszony zrazu anonimowo, tekst Jacka Kuronia *Spór o wydarzenia marcowe* (nr 24, 1973) pisany *ad usum* wydawnictwa emigracyjnego. Od jesieni 1976 roku (nr 38) strumyk materiałów z kraju stawał się coraz bystrzejszy — do jesieni 1980 roku ogłoszono w *Zeszytach* co najmniej 15-16 przemyconych tekstów, w tym wypowiedzi Romana Zambrowskiego (nr 38) i Gomułki (nr 39), które nie miały wówczas szans publikacji, a także m.in. kontrowersyjny szkic Natalii Naruszewicz (pseudonim) *Zarys historii Polski* (nry 42, 47), wspomniany raport Szerera (nr 49), opracowanie Andrzeja Alberta (pseudonim) *Wschodnie granice Polski* (nr 53) czy esej Z.K. *Historia najnowsza i historycy* (nr 56). Niektóre z nich były przedrukami z wydawnictw drugiego obiegu, który narodził się w 1977 roku.

Sumując w 1972 roku swój 25-letni dorobek *Kultura* stwierdzała: *Ktoś powiedział, że nie ma w Polsce potrzeby samizdatu, bo istnieje „Kultura” i jej wydawnictwa. Stanowisko to uważamy za błędne. Ideatem „Kultury” byłoby stać się zapleczem polskiego samizdatu w kraju*³. Uwaga ta dotyczyła z pewnością nie tylko miesięcznika, ale całego wydawnictwa (Instytutu Literackiego), w tym także i *Zeszytów Historycznych*. I rzeczywiście redakcja z podparyskiego Maisons-Laffitte stała się takim zapleczem i to w dwojakim znaczeniu: ogłaszała materiały nadesłane z kraju (oryginalne lub przedruki), zarazem zaś jej publikacje stały się ważnym źródłem tekstów dla oficyn niezależnych. W niecenzurowanym obiegu znalazły się liczne artykuły z *Zeszytów* — m.in. wspomniane tu już *Cenzura* Bagińskiego, *Wybory 1947* Wójcika, *Proces CUP* Drewnowskiego, *Wspomnienia* Pużaka⁴, zaś dwa niezależne wydawnictwa podjęły przedruki całych numerów pisma: *Krąg* opublikował przed 13 grudnia 1981 numery 2, 3, 52 i 55, zaś Krakowskie Towarzystwo Wydawnicze (KTW) ogłosiło w 1985 roku numery 67-69.

3. Cytat według Konstanty Jeleński: „*Kultura — Polska na wygnaniu*”, Warszawa 1984, wyd. *St o p*, str. 17 (przedruk z *Aneksu* nry 24-25, 1981).

4. Dodać by tu można, że nawet prasa oficjalna korzysta z *Zeszytów* — patrz fragmenty dokumentów dotyczących ucieczki Mikołajczyka ogłoszone przez Mariana Turskiego w *Polityce*.

W ten sposób *Zeszyty Historyczne*, zamierzone zrazu jako pismo przeznaczone zasadniczo dla emigrantów i sowietologów, od początku niemal obecne na krajowym rynku naukowym i rozchwytywane w środowiskach intelektualnych, trafiły pod — choćby tylko „opozycyjne” — strzechy. Stały się — i tego nic już nie zmieni — trwałym fragmentem naszego krajobrazu naukowego, społecznego i politycznego.

A. P.

Stanisław SOSABOWSKI,
D-ca Oddziału Dyspozycyjnego A KEDYWU

JÓZEF RYBICKI

Gdy co roku myśli akowców biegną pamięcią do powstańczej Warszawy, to zwykle stają przed oczyma postacie głównych dowódców i najbliższych towarzyszy broni. Jedną z takich postaci jest dla żołnierzy warszawskiego Kedywu Józef Rybicki. Człowiek równie skromny, co zasłużony. Nie tylko w dniach Powstania, ale całym swym życiem. Jest to postać godna miejsca w wielkim Panteonie walczących o niepodległość.

Tak się złożyło, że pierwszy chrzest bojowy przeszedł Rybicki na ziemi lwowskiej. Był to chrzest krwi. Urodzony w 1901 roku w Kołomyi, większość lat szkolnych spędził we Lwowie i tam właśnie z całą swoją siódmą klasą gimnazjum imienia Staszica w lipcu 1920 roku wstąpił do Małopolskich Oddziałów Armii Ochotniczej. W III-im batalionie 240 pułku piechoty brał udział w walkach z armią konną Budionnego pod Buskiem, Kozłowem, Laszkami Królewskimi i Zadwórzem. W ostatniej swej bitwie pod Rakobutami nad Bugiem został ciężko ranny w prawy bark od szabli kozackiej. Leczenie było długotrwałe, ale mimo to usztywnienie ręki pozostało na zawsze.

Po otrzymaniu rok później we Lwowie matury Rybicki nadal pozostał wierny naszym ziemiom wschodnim i wstąpił na Wydział Humanistyczny Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Stał się miłośnikiem filologii klasycznej i po ukończeniu studiów w dalszym ciągu pracował jako asystent, a w 1930 roku zdobył doktorat filozofii. Brał czynny udział w życiu akademickim i naukowym. Był członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie, uczestniczył w kongresie filologów klasycznych w Pradze czeskiej, ogłaszał swe prace w pismach naukowych, pisywał artykuły do wileńskiej prasy codziennej. I znajdował jeszcze czas na działalność w Klubie Seniorów znanych wileńskich „Włóczęgów”.

Od września 1934 roku był dyrektorem gimnazjum i liceum imienia Adama Mickiewicza w Nowogródku. Jako społecznik z zamiłowania został szybko prezesem Okręgu Nowogródzkiego Towarzystwa Rozwoju Ziem Wschodnich i pod jego patronatem założył w Nowogródku szkołę spółdzielczą. W roku 1937 władze zlikwidowały istniejące w Nowogródku jedno z dwóch w całej Polsce gimnazjów z białoruskim językiem nauczania. Rybicki przeciwstawił się tej decyzji, jako zdecydowany zwolennik współpracy polsko-białoruskiej. Na znak protestu opuścił Nowogródek i objął stanowisko dyrektora gimnazjum i liceum w Tomaszowie Lubelskim. Tam zastała go kampania wrześniowa.

Po ustaniu walk rozpoczął działalność konspiracyjną w trzech powiatach. Należał do Tajnej Organizacji Wojskowej i z jej ramienia kierował później pracą konspiracyjną w Częstochowie. W 1941 roku został komendantem Okręgu Stołecznego TOW, a później zastępcą Komendanta Głównego tej organizacji, majora Mazurkiewicza. Obok działalności wojskowej, zgodnie ze swymi pedagogicznymi zamiłowaniem przez półtora roku nauczał młodzież na tajnych kompletach.

W roku 1943 po wcieleniu TOW do Armii Krajowej Rybicki znalazł się w Kedywie Okręgu Warszawskiego, a w listopadzie tegoż roku został jego komendantem, co było dowodem uznania jego walorów przez pułkownika „Montera”, komendanta stołecznego AK.

„Andrzej”, względnie „Maciej” (bo takich wówczas pseudonimów używał) miał swoisty styl pracy konspiracyjnego dowódcy. Nie tworzył wokół siebie jakiegoś sztabu z wieloma łączniczkami, lecz działalność prowadził bezpośrednio, osobiście ze swymi podwładnymi. Dowódcy jakiejś akcji nie tylko dawał zadania, ale później przy jej wykonaniu dyskretnie towarzyszył żołnierzom, by w razie potrzeby służyć im pomocą. Chciał dzielić z nimi niebezpieczeństwo. Zjednywało mu to szacunek i przywiązanie podkomendnych.

Tak samo uczestniczył w walkach swoich żołnierzy w czasie Powstania w Śródmieściu. Gdy zginął „Rygiel” — dowódca jednego z plutonów — to Rybicki sam objął po nim dowództwo i brał udział w ataku na PAST-ę, na kościół św. Krzyża i komendę policji. Później w natarciu na ul. Granicznej został ranny w nogę. Zawsze był opanowany i spokojny, troszczył się o swych młodych podkomendnych.

Po kapitulacji Warszawy przedostał się do Częstochowy i dalej rozwijał działalność, kładąc szczególny nacisk na organizację pomocy dla byłych powstańców. Gdy po rozwiązaniu Armii Kra-

jowej powstała w maju 1945 roku Delegatura Sił Zbrojnych na Kraj pod dowództwem płk. Rzepeckiego, Rybicki został zastępcą Delegata na Obszar Centralny. Delegatura zakończyła swoją działalność 6 sierpnia, ale jej czołowi działacze utworzyli 2 września niepodległościową organizację polityczną pod nazwą „Wolność i Niezawisłość” — WiN. Rybicki był w niej prezesem Obszaru Centralnego.

W listopadzie nastąpiły aresztowania przywódców WiN-u. Przejściowo Rybicki kierował całą organizacją aż do aresztowania w dniu 22 grudnia. Wytrzymał ciężkie śledztwo. Swą odpornością naraził się wojskowym sędziom i w procesie WiN-u, zakończonym na początku lutego 1947 roku, został skazany na 10 lat więzienia. Bierutowska amnestia zmniejszyła mu tę karę do 6 lat, które odsiedział do końca.

Z więzienia wyszedł ze starganym zdrowiem, ale z niezmienną siłą duchową i wolą walki o wolność. Osiedlił się w Milanówku, ale władze nie dopuściły go do umiłowanej pracy w szkolnictwie w obawie przed wpływem, jaki mógłby wywierać na młodzież. Otrzymał jakieś skromne zajęcie redaktorskie w księgarni św. Wojciecha w Poznaniu, ale wierny swym powinnościom obywatelskim rozpoczął działalność w Społecznym Komitecie Przeciwalkoholowym, by powściągać groźbę narodowej klęski alkoholizmu. Wiele czasu poświęcał działalności odczytowej na temat najnowszej historii Polski, kładąc szczególny nacisk na lata ostatniej wojny i niepodległościową postawę kraju.

W lecie 1976 roku należał do założycieli Komitetu Obrony Robotników, w którego pracach brał niezwykle czynny udział. Zarówno w KOR-ze, jak i w środowisku akowskim, z którym stale był związany, Rybicki zdobył wyjątkową pozycję powszechnie szanowanego i uznawanego autorytetu ideowego i moralnego.

Zagrożony śmiertelną chorobą, nie poddawał się biernie losowi, lecz chciał z nim walczyć, by jak najdłużej spełniać swą powinność.

Za swe bohaterstwo w walce zbrojnej — jawnej i konspiracyjnej — miał Krzyż *Virtuti Militari* i czterokrotnie był odznaczony Krzyżem *Walecznych*. Nagrodą za działalność ideową i społeczną — nagrodą chyba dla niego najcenniejszą — było uznanie, zaufanie, przywiązanie i głęboki szacunek tych wszystkich ludzi, którzy go znali, którym radził i pomagał i którzy żegnali go w głębokim żalu 9 maja ubiegłego roku na cmentarzu w Milanówku.

Stanisław SOSABOWSKI
D-ca Oddziału Dyspozycyjnego
A KEDYWU

Józef RYBICKI

ROK 1945*

Będę mówił tak, jak się mówi do kogoś w sprawach rodzinnych i bliskich. Oczywiście, że bardzo ciężko mówi mi się o pewnych sprawach. Dlatego, że każdy, który pragnie jakoś zbudować, jakoś sobie przypomnieć to, co było — jest mu bardzo ciężko, zwłaszcza, jeśli się było świadkiem wydarzeń 1945 roku, było i uczestnikiem, no i niejako i współtwórcą pewnych działań tego roku... Wiem, że jest bardzo ciężko mówić o ludziach, którzy działali wtedy *wrogo* [? — nieczytelne], że trzeba zawsze się patrzeć, co się z nimi stało. Dlaczego byli tacy, dlaczego inaczej myśleli przed wojną, jak się zachowywali podczas okupacji jednej i drugiej, jacy ostatecznie byli, dlaczego tak się zmieniają. Zresztą my się wszyscy zmieniamy. Dlaczego jest tak trudno mówić? Dlatego, że każdy historyk, każdy, kto coś pisze, nigdy nie może pozbyć się trochę subiektywizmu.

Największy historyk ulega pewnemu subiektywizmowi. A jeśli jeszcze się działało, to jeszcze jest trudniej. Jak to Tacyt pięknie mówi: *Sine ira et studio*. Historycy udowadniają jemu, że to było duże „ira”.

Wiecie, bardzo mi ciężko. Jeśli będę pewne rzeczy mówił, to proszę mi z góry darować, że będzie dużo subiektywizmu podświadomego. Nie będę wystawiał sądu. Będę mówił tak, jak się to działo. To czego byłem świadkiem, co widziałem, rozumiałem — aż do mego aresztowania, które nastąpiło 22 grudnia 1945 roku.

Aby przejść do 1945 roku, trzeba dać pewne konieczne elementy ostatnich miesięcy 1944 roku. Każdy, kto był w Powsta-

* *Głos* nr 1 (47), styczeń-kwiecień 1986, Warszawa.

niu, mógł sobie już wtedy bardzo wyraźnie powiedzieć, pomyśleć, przypomnieć sobie wstęp do „Irydiona” Krasieńskiego, gdzie on tak pięknie pisze: „Miało się pod koniec starożytnemu światu”. I myśmy wiedzieli, że mamy pod koniec niepodległości naszej. Ale wiedzieliśmy, że to jest jedna z bitew przegrana, ale jeszcze nie wojna przegrana.

Jesteśmy rozbici po Powstaniu. Ja z polecenia wyższych władz nie idę do niewoli. Uciekam z podróży, gdy nas wywożono. Czekam w Częstochowie. No, spotykamy się tam z tymi ludźmi, którzy mieli polecenie nie iść do niewoli. Jesteśmy rozbici: część działa w Piotrkowie Trybunalskim, część w Krakowie, część w Częstochowie, część podjeżdża czasami jeszcze do Łodzi. Właściwie tam się to centrum prowadzi, tam spotykają się ci wszyscy, którzy mają coś do działania. Tam spotyka się, oczywiście, przede wszystkim generał Okulicki-Niedźwiadek, jest generał Fieldorf-Nil, jest Radosław i jestem ja z tej czwórki, która mimo woli musi jakoś pewne rzeczy robić.

Ale co się dzieje w terenie? W terenie dzieją się ciężkie rzeczy, nieprzyjemne, mimo tzw. amnestii lutowej 1945. Mianowicie wpada nam wówczas w ręce rozkaz dany przez KBW (wtedy ta formacja nazywała się inaczej). Ten rozkaz został na szczęście przedrukowany w wydawnictwie MON-u „Z walk przeciw zbrojnemu podziemi 1944-1947” pod redakcją znanej historyczki partyjnej Marii Turlejskiej. I tam jest artykuł pana Nawrockiego Włodzimierza, który pisze o tzw. Organizacji Oddziałów Wojsk Wewnętrznych. I on tam pisze: z wytycznych, które otrzymaliśmy z ministerstwa, wynikało, że działalność operacyjną kierowano głównie przeciwko członkom Armii Krajowej, volksdeutschom i dezterterom z wojska polskiego. Mieliśmy następujące decyzje: napotkanych mężczyzn od 16 do 50 lat zabierano i na miejscu przeprowadzano śledztwo, osoby podejrzane lub poszukiwane aresztowano, a jeżeli chodzi o dalsze sprawy, to dezterterów kazano nam kierować do Prokuratury Wojskowej w Chełmie, uchylających się od obowiązku służby wojskowej — do RKU w Zamościu, a członków Armii Krajowej — od razu do władz bezpieczeństwa, do UB.

Czyli automatycznie każdy akowiec był podejrzany jako wróg nowych władz w kraju. Tak to wtedy wyglądało...

A jak myśmy w tym czasie wyglądali? Tu mam wycinek z *Panoramy Śląskiej* skonfiskowany, która wyszła w tym roku. Skonfiskowana została za jeden passus, który państwu przeczytam, byście wiedzieli, jak wtedy wyglądało położenie Armii Krajowej. Otóż ten gość, zresztą znany historyk wojskowości, partyj-

ny, tak pisze: siły Armii Ludowej w 1944 roku liczyły 10 brygad partyzanckich, 27 samodzielnych oddziałów, 11 grup bojowych — łącznie około 516 tysięcy osób. W stanie szczytowym Armia Krajowa liczyła 380.175 żołnierzy. Straty AK poniesione z rąk okupanta wyniosły 62.133 ludzi bez Powstania Warszawskiego.

To mówię państwu, jak to wtedy wyglądało. Jak tzw. historyk — nie nasz, nie ze strony akowskiej, ale ze strony władz — pokazuje, jak to rzeczywiście było.

I proszę państwa, jaki był wobec tego stosunek. Mianowicie, nawet bez naszej jakiegokolwiek akcji, było bardzo dużo — jak oni nazywają — dezertarów Wojska Polskiego. Wtedy całe bataliony przechodziły. Byliśmy bezsilni starając się wstrzymać ten napływ, bo wiedzieliśmy, co się dzieje, że idzie nieunikniona tragedia. A szczyt tej tragedii to — jak każdy starszy pan pamięta — dzień z 31 grudnia 1944 na 1 stycznia 1945, kiedy to PKWN zostaje rozwiązany i zostaje utworzony załęcz przyszłego Rządu Tymczasowego. Siedziałem wtedy w Częstochowie, rozmawiałem z moim przyjacielem, generałem Fieldorfem, i mówiłem do siebie: nadszedł koniec, nie ma co. Trzeba inaczej działać, inaczej pracować. Proszę sobie wyobrazić, jak bardzo ciężko jest ludziom w tym czasie, kiedy to na gwałt się dzieje, kiedy powstaje ten Rząd Tymczasowy. Widzimy, że jest aprobata Stalina, że już jesteśmy sprzedani. Mimo wszystko nie wiedzieliśmy, jeszcze nie mieliśmy tak dużo wiadomości o Teheranie; Jałta będzie dopiero za półtora miesiąca — 1945 rok. Ale już wtedy dochodziły wiadomości o tym słynnym liście Roosevelta, który teraz nawet w książce wydanej w Warszawie można przeczytać: „Korespondencja Stalina - Roosevelta”, gdzie Roosevelt pisze do Stalina po Teheranie: „Kochany Generalissimusi, proszę cię bardzo, nie podawaj do wiadomości publicznej naszych uchwał w Teheranie, bo za dwa miesiące mam wybory i potrzebne są mi głosy Polaków”.

Ten człowiek, który pisał w pierwszych latach wojny, że Polska jest sumieniem i natchnieniem narodów, tu równocześnie okazuje się cynicznym człowiekiem, który każe zachować [tajemnicę] przed Polakami, bo potrzebuje ich głosów. Oczywiście, świadome oszustwo. Chciano nas oszukać w tych sprawach.

I teraz my się tu znajdujemy. My, którzy ocaleliśmy z tej pożogi powstańczej. Co mamy robić? W pewnej mierze, ci wszyscy, którzy działali, jakoś się nie mieścimy w tych dniach dzisiejszych. Ja nie mogę się w nich jeszcze jakoś... Mając 84 lata jest mi bardzo ciężko uformować swoją postać, swoją wewnętrzną postać duchową inaczej. Ja należę do epoki minionej, na to nie ma żadnej rady. Ja muszę myśleć podobnie, bo inaczej nie potrafię. Byłem wychowany na roku 1863. Pamiętam, jak ojciec

prowadzał mnie na wystawę, we Lwowie, popowstaniową, w pięćdziesięciolecie, w 1913 roku. Do dziś dnia pamiętam... wszedłem do sali, która była cała wyklejona nekrologami powstańców. Obraz tych nekrologów cały czas tkwi w moich oczach. Tak nas wychowywano. Myśmy we Lwowie byli inaczej wychowywani i nie uczono nas tam nigdy miłości do ojczyzny. Na miłość Boską, tego żaden nauczyciel nam nie mówił. Myśmy nie mówili o wolności, myśmy pewną wolność mieli. Myśmy marzyli o niepodległości. To są dwa różne elementy. Ale tak było. Szkoła lwowska, moi nauczyciele, moi wychowawcy nigdy nie mówili do mnie: kochaj Polskę, taką kochaj a taką. Patriotyzm był wewnętrzny. On wynikał z całej atmosfery, z klimatu szkoły, w którym się wychowywaliśmy. To jest jedna strona. A z drugiej strony tkwiła we mnie atmosfera Wilna. Potem byłem na Uniwersytecie Wileńskim. Moim wychowawcą, który kształtował moją umysłowość, był wielki filozof chrześcijański, jeden z największych — moim zdaniem — myślicieli owych czasów, Marian Zdziechowski. Znany wielki filozof, na którego wykłady chodziłem, który fascynował naszą młodzież, mimo że Miłosz w swoich wspomnieniach podkpiwa z tego troszkę, nazywając go Staruszkim. Ale ja pamiętam jedno zdanie, które się potem ciągle powtarzało i które sobie zawsze powtarzam: dlaczegoż my walczymy? Bo Zdziechowski tak nas uczył, proszę pamiętać: „Naród, który utracił niepodległość, a nie wyzyskał wszystkich możliwości do jej odzyskania, ten naród nie jest godzien być narodem”.

Rozumieją państwo? To było dewizą jego życia. I to właśnie spowodowało, że byłem w Służbie Zwycięstwa Polski, byłem w AK, byłem szefem „Kedywu” na miasto Warszawę, potem byłem w Delegaturze Sił Zbrojnych na Kraj, potem byłem współzałożycielem WiN-u, no i potem więzienie sześcioletnie, a potem KOR aż do najnowszych czasów. Tak to wyglądało... To moja przeszłość, a teraz przechodzimy do roku 1945.

Proszę sobie wyobrazić, że powstaje ten Rząd Tymczasowy Rzeczypospolitej Polskiej i równocześnie spotykam się z Nilem. Radosław leży ranny po Powstaniu. Ja, który byłem tyle lat jego zastępcą w Tajnej Organizacji Wojskowej, na jego prośbę obejmuję resztki Komendy Głównej „Kedywu” akowskiego, mego „Kedywu”, no i chodzę na te zebrania już jako współpracownik Nila i Okulickiego.

Bardzo dużo rozmawiamy, co robić. Powstaje wtedy koncepcja, do dziś dnia jeszcze niewyjaśniona i niejasna, koncepcja organizacji NIE, o której może słyszeliście państwo. To jest organizacja, która do dziś dnia nie jest jeszcze rozwiązana. Dlatego, że z tego, co wykazują najnowsze moje badania, czy moje akta,

były dwa NIE. Jedno było NIE głównego jej szefa — Fieldorfa. Wspaniały człowiek! Jeden z najpiękniejszych ludzi, jakich w życiu poznałem. Został aresztowany pod przybranym nazwiskiem 7 marca 1945 roku w Milanówku i wywieziony pod przybranym nazwiskiem, jako Iwanicki, na Ural. Pamiętają państwo znany sąd szesnastki? Tam ciągle o Nilu mówią, szukają go. Nie wiedzą, że go mają niedaleko u siebie, prawie o 100 kilometrów, tylko pod przybranym nazwiskiem. Wraca do kraju. Zgłasza się dalej. Zostaje aresztowany i niestety pod haniebnymi oskarżeniami. Niestety, dwóch ludzi z Armii Krajowej, pułkowników, którzy fałszywie zeznawali, a potem odwoływali już po jego śmierci. Zostaje powieszony w więzieniu, a po jego śmierci — jak to zwyczajnie bywa — rehabilitowany. Rozumieją państwo? Najpierw trzeba wykonać wyrok, uśmiercić, a potem się rehabilituje. Zresztą, kto zna procesy, zwłaszcza procesy marynarki polskiej, pamiętają państwo, byliście na cmentarzu warszawskim: rehabilitowany pośmiertnie, rehabilitowany pośmiertnie... Ale najpierw trzeba powiesić.

Ale proszę pamiętać, że 5 stycznia Anglia i USA nadal jeszcze uznają Rząd Polski. Nadal, 5 stycznia... proszę patrzeć... kiedy już wiemy, czuje się w powietrzu, że to już koniec, że to jest jakaś gra między nimi, już koniec będzie. Teraz przypomnijmy sobie pewne daty. 17 stycznia 1945 — jest przełomowy w naszym działaniu. Zajęta jest Warszawa i zajęta Częstochowa. My spotkaliśmy się z pierwszymi oddziałami sowieckimi w Częstochowie. Z Nilem... I wtedy następuje jedno z rozporządzeń naszych, najtragiczniejszych dla nas akowców — mianowicie rozkaz generała Okulickiego-Niedźwiadka 17 stycznia. Rozkaz, który rozwiązuje Armię Krajową. Proszę sobie wyobrazić: rozwiązuje Armię Krajową. Rozkaz tragiczny. Czujemy, że coś się dzieje. Rozumiemy...

Okulicki dwa dni przedtem z nami rozmawia i mówi nam o tym. Widzimy, że jest bezgranicznie zmęczony. Wiemy, jak trudno mu było zostać następcą Bora-Komorowskiego. Londyn go nie zatwierdzał. Zatwierdzono go dopiero 22 grudnia 1944. Tylko parę tygodni był. Zwalnia nas z przysięgi. Mówi, że każdy dla siebie musi być dowódcą. No i postanawiamy, że dowódcy się nie ujawniają. Żołnierze mają się ujawniać. Nie być ujawniani. Proszę mnie dobrze zrozumieć: mają ujawniać się sami.

Łatwo powiedzieć: wydać rozkaz. Co robić z bronią? Co robić z pieniędzmi? Co robić z archiwum? Z dokumentami? To wszystko trzeba robić! Proszę pamiętać, że równocześnie po tym rozkazie Okulickiego powstaje olbrzymi beład w całym kraju. Co się dzieje? Trudno w to uwierzyć, ale proszę mi wierzyć, na podstawie danych, w tym czasie po rozwiązaniu AK powstało

1.298 małych organizacji w kraju. 1.298! „Roski”, „Noski” itd. Rozwijają wszyscy. Powstają różne organizacje, które powołują się na nasze rozkazy, od góry. Tak. To jest nieprawdą. Powstaje rzecz tragiczna. Władze bezpieczeństwa atakowały nas mówiąc: bandy. Tak jest, trzeba sobie powiedzieć prawdę. Część ludzi przeszła na bandytyzm. Nie ma na to rady. Nie było pieniędzy, nie było ludzi. A najważniejsze, co się stało? Znikły punkty zaopatrzeniowe. Wskutek reformy rolnej ziemiaństwo, które zaopatrywało w żywność, tzw. kułacy, gdzie można było dostać zboże, cielaka czy tam świniaka do lasów — nie ma co brać. Stało się tak wskutek tego, że część ludzi z AK, która się nie podporządkowała, zaczęła rabować chłopów. Rozumieją państwo? Nie wszędzie tak było, ale mieliśmy szereg meldunków od chłopów, że AK zabiera. To nie była AK. Rozumiecie państwo? To są rzeczy, które trzeba było przeżyć. Jak się jeździło po oddziałach leśnych, żeby je rozwiązywać i mówić, że trzeba kończyć, rozwiązanie Armii Krajowej, to oczywiście nieraz się spotkałem z zarzutem, że się jest zdrajcą itd. Dopiero po wyjaśnieniach kim jestem, powoli to się zmieniało; były takie chwile, że ludzie byli po prostu nie przybici, ale zdecydowani na wszystko. Najtrudniejszą rzeczą było zwolnić oddziały leśne. Oddziały miejskie było łatwo rozpuścić, ale oddziały leśne, które były rozproszone po całej Polsce... Proszę pamiętać, gdzie one były: sięgały po Wilno, Wołyń, Polesie, Białostoczczyznę, Lubelszczyznę, Lwowskie. To trzeba było wszystko... dochodzić do nich i tłumaczyć im: rozchodźcie się, bo sprawa jest przegrana. Trudno: my, dowódcy, burzmy to, co przez pięć lat budowaliśmy. Proszę sobie wyobrazić tragizm człowieka, który wie, że 95 % społeczeństwa jest za AK, za Delegaturą Sił Zbrojnych, czuje, że ulega przemocy. Jest rozpacz i tragizm. Proszę pamiętać, że to są tragiczne chwile dla ludzi w lesie: co mamy robić? Człowiek, który pięć lat chodził z bronią w rękę, rozumiecie, nagle ma wszystko pozostawić, pójść sobie, zmienić nazwisko, dostać nową legitymację, pójść na Ziemię Zachodnie itd. Dzisiaj to łatwo mówić, bo to już historia, ale współżyć w tych czasach, z tymi ludźmi rozmawiać, dochodzić do nich, przekonywać, było szalenie trudno.

Proszę państwa, powoli jednak coś idzie. Jałta przychodzi, 4-11 lutego 1945. No i pamiętamy też słynny protest Rady Jedności Narodu w Kraju 21 lutego przeciwko Jałcie, ale to było, powiedzmy sobie, doraźnie. Ładnie napisane, pięknie. Ale niestety to wszystko.

8 lutego żegna się z nami przez radio Prezydent Raczkiewicz. Tak...

Nadal jeżdżę po terenach, zwłaszcza pięciu województw, które

mnie interesują: Łódzkie, Kieleckie, Lubelskie, Białostockie, Warszawskie. No, ciężko...

W tym czasie, około 8 czy 9 lutego, wraca z obozu Rzepecki. Tę postać trzeba zapamiętać, bo on znacznie odgrywać za chwilę dużą rolę w życiu podziemnym Polski. Wraca z obozu jenieckiego. Następuje rozmowa z Okulickim, Nilem i mną. Bardzo nieprzyjemna rozmowa. Tak jak z Niedźwiadkiem rozmawialiśmy bardzo poważnie, bardzo mądrze (tak mi się zdawało w tych czasach. On ostrzegał przed trudnościami, przed nieprzygotowaniem, przed okupacją sowiecką) tak Rzepecki po prostu krzyczał, wrzeszczał, ale nikogo nie przekonywał. Tak jest...

Co się dzieje w Londynie — pamiętają państwo — Anders zostaje zastępcą Naczelnego Wodza. Bór jeszcze jest w niewoli. Tak... Bór jeszcze siedzi w niewoli. Jeszcze Bór nie jest na wolności. I tutaj następuje nagle najtragiczniejsza rzecz, o której wspomniałem przed chwilą: 7 marca zostaje aresztowany Nil. Zostaje wywieziony. W związku z tym rozpada się koncepcja... nie ma tego NIE. I pozostaje drugie NIE przez kogoś robione. Nie chcę jeszcze mówić nazwisk, pewnie te rzeczy wkrótce będą wydane i może się coś uda wyjaśnić. Jednym z tych wspaniałych ludzi... był Nil... piękny człowiek. Zostaje aresztowany i osadzony w obozie w Rembertowie. My próbujemy go odbić. Mamy meldunki fałszywe czy błędne — już trudno dzisiaj mówić, czyja to wina. Czy to wywiad nawalił [?] że on pojedzie drugim pociągiem. W każdym razie wywieziono go pierwszym pociągiem z napisami na wszystkich stacjach Volksdeutsche, Volksdeutsche... Jak oni prosili: dajcie wody czy chleba, to ludność polska obrzucała ich kamieniami. Nie udało nam się ocalić Nila... i pojechał... i wrócił dopiero później. Było piękne wspomnienie pana Hoppego, tego działacza przedwojennego, który był razem z Nilem w obozie, jak Nila nie poznał. Jak pamiętacie, Nil wracał pociągiem i tam różni akowcy wracali z tych obozów jenieckich, niektórzy akowcy kopali go, chcieli zrzucić z wagonu, a on nie chciał się przyznać, że jest generałem. Rozumiecie? Że jest Nilem. Ciągle był tylko Iwanickim, kolejarzem.

Proszę was, co się dzieje dalej? Dzieje się ta rzecz najtragiczniejsza z punktu widzenia moralnego i etycznego. To jest ta data, którą państwo będą łaskawi zapamiętać, 27-28 marzec 1945, aresztowanie Rządu, Delegatury Polski Podziemnej. Pamiętają państwo: zaproszenie do Pruszkowa. Mówi się, że to był proces szesnastu, właściwie piętnastu plus jeden, bo jeden to był poseł Wierzyński z Narodowej Demokracji, później się dopiero zgłosił. Jest list przysłany przez Pimienowa, który dostaje Okulicki.

Okulicki jest przerażony. Dosłownie mocno przybity: skąd oni mają adres? To jest ta pierwsza rzecz. Jankowski również dostaje — Delegat Rządu. No i wzywają ich do Pruszkowa. Okulicki nie chce iść — to muszą państwu powiedzieć — dlaczego nie chce iść. Bo już przeszedł więzienie, już siedział w Rosji. Był aresztowany. Potem z Andersem go puszczono. Wrócił do Londynu. Jako skoczek wrócił do Polski. Nie chce iść, ale Jankowski mówi: Pan jest dowódcą AK. Pan jest jakby ministrem spraw wojskowych w kraju. Tak... Zmusza go do pójścia do Pruszkowa. Po drodze, dosłownie po drodze, spotyka Rzepeckiego i przekazuje mu p.o. dowództwa tzw. AK Likwidacji. Idą do Pruszkowa. Tam ich bardzo grzecznie przyjmują, że pan marszałek za chwilę przyjdzie. Wsadzają do samolotu. I rozmawiam teraz, obecnie, z kolegą z KOR-u, panem Pajdakiem. Ten, który był jednym z procesu szesnastu, ale nie brał udziału w procesie, dopiero później, bo był chory w tym czasie. Opowiada, jak oni siadają do samolotu i umawiają się, jakie teki będą mieli. Gadają dalej, ale po pewnym czasie patrzą się, że samolot leci nie na zachód — jak obiecywał pan pułkownik Pimienow, który napisał list, który wydano potem w 10.000 egzemplarzach ulotek, że słowem gwardyjskiego oficera ręczy, że będą wolni itd. — zauważyli nagle, że nie lecą na zachód, tylko na wschód. Państwo znają tę historię. Samolot psuje się. Niektórzy twierdzą, że umyślnie spowodowany był wypadek przed Moskwą. Ale jakoś ten pilot ratując swoje życie wylądował... Jeszcze rozmawiali, jeszcze nadal wierzą. Zamiast na Kremlu znaleźli się na Butyrkach. Tak... Rozumieją państwo? Potem przychodzi proces, o którym za chwilę będę mówił.

A więc tak wygląda sytuacja. Zostajemy pozbawieni w tym czasie całkowicie pełnej władzy Delegatury. Cały Rząd. Delegatura Rzeczypospolitej Polskiej, a właściwie to był pełnoprawny Rząd — prawa premiera miał Jankowski, a Niedźwiadek uprawnienia Naczelnego Wodza. Znaleźli się wszyscy w więzieniu moskiewskim. Parę miesięcy nie ma nic. Nic nie wiedzą. Rosja zaprzecza. W chwilę później Eden przydusza Mołotowa i Mołotow się przyznaje, że oni są aresztowani. Ale dopiero po czterech miesiącach, tuż prawie przed procesem przyznali się, że ich porwali — a tak zaprzeczano cały czas.

Jednocześnie rozpoczyna się wielka akcja władz tuż przed procesem, tzw. amnestia, która w maju wychodzi. Jest wspaniały, wówczas wydany list, pismo otwarte ministra bezpieczeństwa publicznego, Stanisława Radkiewicza, znanego, który pisze, że wywa, że mamy się wszyscy zgłosić, a kto to uczyni, będzie miał zapewnione bezpieczeństwo i wolność, kto jednak dalej będzie

warcholił, uprawiał bandytyzm i przeszkadzał narodowi naszemu w spokojnej, ciężkiej pracy, ten będzie bezlitośnie zmiądzony siłą. No, siła jakoś nie działała wtedy, ta amnestia..., bardzo mało wtedy ludzi poszło. Dlaczego poszło — bo prognoza była bardzo ładna, a jednocześnie setki aresztowań, więzienie lubelskie zwłaszcza było przepełnione, więzienie warszawskie, łódzkie. Równocześnie pokazało się wielkie ogłoszenie — pamiętam, byłem w Radomiu, czytałem — amnestia, ujawniajcie się, i nie wiem, czy to ktoś celowo zrobił, że na tych murach starostwa radomskiego po jednej stronie był plakat: „AK zapluty karzeł reakcji”, a po drugiej był bardzo dobrze zrobiony, bodajże przez pewnego pana, obecnie profesora sztuk pięknych, drugi plakat: miotła — wymieść te śmiecie, wymieść — i ta miotła zamiata te śmiecie, ale te śmiecie to są dwie opaski: jedna opaska hitlerowska, druga opaska AK.

Kiedy siedziałem w więzieniu, badał mnie Różański. Była rozmowa, dlaczego, jak mogliście wzywać i dawać takie plakaty? On do mnie mówi: Proszę pana, to była wielka omyłka. To było... to powinno być wydane dopiero po trzech latach. Myśmy się pośpieszyli. To jest prawda. Pośpieszyli się. Za wcześnie. A potem: dlaczegoście tak „na raty” nas niszczyli? — Nie mieliśmy sił do pokonania AK, nie mieliśmy miejsc dla uwięzionych, a po drugie, biorąc was tak powoli uzasadnialiśmy konieczność naszej pracy. Rozumieją państwo? Bo jak by zlikwidowano wszystko, no to trzeba z czegoś żyć, a oni... Tak wyglądała moja rozmowa z panem Różańskim, ale to dopiero później.

Co się dzieje? Przychodzi wiadomość, która strasznie Niemców ucieszyła, hitlerowców, zwłaszcza pana Goebbelsa. Umiera 12 kwietnia 1945 roku Roosevelt. Wtedy ukazują się te słynne artykuły Goebbelsa. Nie wiem, czy państwo pamiętają? Czy czytaliście „Umiera caryca”? Pamiętają państwo? „Caryca zmarła...” — to porównanie do Katarzyny. „Caryca zmarła” — caryca to jest Roosevelt. Największy ich wróg w tym momencie. Nie wiedzą wtedy o tym, prawda, że to był nie tylko ich wróg, ale i nasz. Koniec. Tak jest. Kończy się druga wojna. Kończy się druga wojna! W kraju likwidacja idzie bardzo chaotycznie. Właściwie byliśmy bezradni wobec rozbitcia AK, wobec nieposłuszeństwa. Ludzie nie chcieli słuchać. Nie mogli uwierzyć, że tak się to kończy. I wtedy w dniu 15 kwietnia Rzepecki pisze do Andersa takie wnioski, razem z Korbońskim, który objął następstwo po Jankowskim. Po pierwsze, wnoszę o rozwiązanie NIE. Ale nikt nie wie, kto to jest NIE, czy to pierwsze NIE, czy drugie. Raczej jestem zdania, że oni wiedzieli o drugim, a o pierwszym nic nie wiedzieli. Rozwiązują. I proszą równocześnie, Rzepecki wnosi,

żeby Anders mianował go wojskowym komendantem krajowym (WKK) i w ten sposób go zalegalizował.

No, nim ten list doszedł, następuje — 25 kwietnia — San Francisco, gdzie nas nie ma, jest tylko chorągiew polska. Ratuje nasz honor Rubinstein, ten słynny pianista, który zaproszony gra „Jeszcze Polska nie zginęła...”. Pamiętają państwo? To była taka jego demonstracja.

4 maja nowina — Bór jest wolny. Kiedy pytają się tam, dlaczego on nic nie próbował robić, Bór powiada bardzo ładnie, pięknie w tym czasie: dowódca przestaje dowodzić, gdy dostaje się do niewoli. Żaden dowódca nie zawiera w niewoli umów. Proszę o tym pamiętać, bo będę za chwilę o tym mówił w innym wypadku — Radosława.

Anders odpowiada 7 maja. Rozwiązuje... Zgoda na rozwiązanie NIE. To od razu, bo jemu to odpowiadało. A właściwie, moim zdaniem, tu była wielka sugestia Rzepeckiego. Jak się potem domyśliłem, Rzepecki nie chciał mieć konkurenta w kraju. A NIE mogło być konkurentem w kraju, więc wpływa na rozwiązanie NIE. [Anders] zgadza się na to, ażeby on objął dowództwo, ale mianuje go Delegatem do Sił Zbrojnych na Kraj. Rozumieją państwo? A nie Komendantem. Równocześnie daje mu trzy wskazówki: pierwsza — masz kierować akcją przeciwko sowietyzacji kraju, masz słuchać Delegata Rządu (jak się potem okazuje, nie tyle Delegata co Pełnomocnika Rządu, bo było drugie pismo) i nadaje mu — Rzepeckiemu — pełne uprawnienia co do nominacji wszystkich, takie jakie miał Komendant AK. Rozumieją państwo? To trwa aż do 6 sierpnia, ta pełna nominacja Rzepeckiego, pełne prawa.

Rzepecki tworzy — co już istniało formalnie — trzy obszary w Delegaturze Sił Zbrojnych na Kraj: obszar południowy, Krakowskie — Sanojcy, zachodni — Sławbora i centralny, gdzie Radosław i ja obejmujemy pięć województw.

Tak jest. Korboński jest Pełnomocnikiem i tutaj spełnia bardzo przykrą rolę, bo wysyła różne raporty za granicę, ale jak się potem okazało, wysyła podwójne, jedno dla Rządu, a drugie jako ludowiec dla Mikołajczyka. I tak powstają te nieporozumienia. Tragedia.

9 maja 1945 kapitulacja Niemiec. Koniec wojny. Wobec tego wzrasta nacisk na rozwiązywanie oddziałów leśnych. Zarówno Rzepecki, jak i Korboński wzywają ciągłymi odezwaniami oddziały leśne do powrotu do życia, ale nie do ujawniania się. Rozumieją państwo? Ciągłe proszę pamiętać: nie łączyć wzywania do wyjścia z lasu z ujawnianiem się. Macie się rozwiązać. Żadna amnestia was nie obejmuje, boście nic nie zawinili. Ale równocześnie

24 maja Rada Ministrów Rządu Tymczasowego powołuje KBW. To jest instytucja do walki z kontrrewolucyjnym podziemiem. Jak się KBW zachowała, jak badano, jak męczono, to trudno mi dzisiaj opowiedzieć. Ale kto zna książkę Moczarskiego „Rozmowy z katem”, ten wie. Równocześnie trzeba pamiętać, że Kazimierz napisał taką piękną rzecz, „czterdzieści dziewięć metod tortur w więzieniu”. Czterdzieści dziewięć metod. Przemawiałem nad jego grobem. Bardzo blisko z nim żyłem. Jeszcze dwa dni przed śmiercią byłem u niego w szpitalu. Pisał do mnie: „Kochany Józiu, pamiętaj o 'Rozmowach z katem', bo to nie tylko moja, ale i twoja sprawa”. Podpisał się po raz pierwszy do mnie: Kazimierz Moczarski. Kiedy pytałem, dlaczego tak podpisujesz, a nie „Kazik”, to się śmieje: — A bo chcę, żeby to miało moc urzędową, że jesteś moim pełnomocnikiem.

Następuje chyba najbardziej haniebnym akt — ja nie wiem, jak to nazwać, bo się bardzo boję, ale tak przeżywałem wtedy, pamiętają państwo — 28 czerwiec 1945, powstaje Rząd Tymczasowy Jedności Narodowej, tak się nazywa, z Mikołajczykiem wicepremierem. Już w samej nazwie jest to..., bo przez nas była używana nazwa: Rada Jedności Narodu. Teraz proszę wziąć inicjały: takie same. I równocześnie, 21 czerwca sąd wydaje wyrok na szesnastu. Mikołajczyk, który był w tym czasie premierem, który wydawał rozkaz dla nas, Mikołajczyk milczy. Nic nie mówi. Rozumieją państwo, jaka tragedia. Tak, jakby nie rozumiał, jak go biją tam w Moskwie po gębie. Ja bardzo przepraszam, jeśli kogoś urażam, ale tak myśmy reagowali w tym czasie. Tu skazują tych, którzy byli jego zastępcami, on siedzi i przyjmuje wicepremiera i nie stawia warunków. Skazania były bardzo mocne.

Tu dygresja. Rozmawiam z Pajdakiem i z innymi, m.in. Stypułkowskim, który ocalał. Ale przedtem jeszcze powiem, że przez sześć lat nikt nie wiedział, co się dzieje z Jankowskim. Oni umierali, ale paczki przyjmowali. Widocznie tam, na Wschodzie, i umarli jedzą paczki. Brali paczki, brali wszystko, a już nie żyli. I my nie wiemy nawet dzisiaj, gdzie spoczywają. Więc mówię do mnie Pajdak, że po wyroku „puka” do niego Okulicki i nadaje SOS, SOS. Już nazajutrz go nie było. Pajdak przypuszcza i inni też tak przypuszczają, że go specjalnie usunęli bardzo szybko, bo był świadkiem rozmowy Anders - Stalin na Kremlu, wtedy kiedy Stalin zaprzeczał, że żadnego Katynia nie było; [?] ci Polacy uciekli przez Himalaje czy jak tam dalej, i wtedy po raz pierwszy udało się historycznie udowodnić, że Stalin nie powiedział, że był obóz w Katyniu. Nie było obozu w Katyniu, to było tylko miejsce straceń. Rozumieją państwo? To zupełnie co innego.

Gdyby wtedy Stalin powiedział, że był obóz w Katyniu, że Niemcy zamordowali, to byłaby kwestia ta trudniejsza, o którą dzisiaj ciągle walczymy.

Proszę państwa, tak się dzieje, i równocześnie zbliża się powoli koniec. 1 lipca 1945 powstaje odezwa, chyba jeden z najpiękniejszych aktów podziemia: Rada Jedności Narodowej do Narodu Polskiego i do Narodów Zjednoczonych. Rozwiązuje się Rada, czyli to jest koniec formalnych jakichkolwiek władz w Polsce tzw. cywilnych. I w tej odezwie jest to co najpiękniejsze, przedrukowuje to czasem teraz prasa podziemna; jest rozdział, który nazywa się „Testament Polski Walczącej”. To jest najpiękniejsza może rzecz, którą można porównać w pewnych momentach do tych pięknych słów Traugutta, który mówi nam, że choćbyśmy nawet z góry byli przekonani, że przegramy, musimy jednak walczyć bo inaczej by nam przyszłe pokolenia nie przebaczyły, żeśmy nie walczyli. Otóż tutaj są najpiękniejsze słowa, które mówią o naszych zadaniach na przyszłość. Nie będę tego czytał, ale mogę powiedzieć, że rzadko czyta się tak poważny, tak smutny, tragiczny, tak brzemienny w skutki tekst, jak ten Testament Polski Walczącej.

5 lipca — dalszy cios. Anglia i Ameryka, które tak niedawno nie uznawały Rządu Tymczasowego i potwierdzały, że uznają Rząd Arciszewskiego, cofają uznanie dla Rządu Arciszewskiego. Rozumieją państwo: nowe uderzenie nowych sił. Mija parę dni, jest — 17 lipca aż do 2 sierpnia — Poczdam. Co robić? Dalej walczymy o rozwiązanie. 24 lipca rozdziela się odezwa Delegata Sił Zbrojnych do byłych żołnierzy Armii Krajowej: nie twórzcie zbrojnych oddziałów, precz z bronią i kończy ten wspinały list, bardzo mocny, tak: „Wierni swojej przeszłości, pójdziemy w przyszłość nowej Polski z hasłem wolności obywatela i niezawisłości bytu narodowego”.

Czyli państwo widzą, tu jest zapowiedź WiN-u, bo wolność obywatela i niezawisłość, to znaczy WiN — te pierwsze litery, które potem zostały zebrane, zakończyły jedną rzecz. Mianowicie zakończyły całkowitą strukturę formalnie. Proszę pamiętać, zakończyły formalnie strukturę Armii Podziemnej. Rozumieją państwo: to jest koniec Armii Podziemnej.

Zbieramy się 31 lipca w Warszawie. Radosław wzywa nas do akcji. Bardzo mocno. Nie będę powtarzał teraz słów. Powstaje bardzo silna dyskusja. Mówimy do niego: nie bądź tygrysem. On powiada: sam pójdę i sam będę robił. Proszę pamiętać, to jest 31 lipca. 31 lipca — nazajutrz Radosław był aresztowany. Wraz ze swoją łączniczką, późniejszą żoną. Idzie na spotkanie

z Rzepeckim w Podkowie Leśnej. Tego samego popołudnia z Rzepeckim się spotykam. Aresztowano Radosława. Proszę pamiętać, trzeba równocześnie wszystko inaczej robić. No i równocześnie ukazuje się druga amnestia, 2 sierpnia, a w Dzienniku Urzędowym dopiero 21 sierpnia. Jednocześnie z terenu dostają prośby, wnioski, zwłaszcza z Bialegostoku, ażebym zgodził się na likwidowanie niektórych przedstawicieli komunistycznych i z NSZ, którzy tam atakują. I wtedy wydaję rozkaz, z którego jestem dzisiaj dumny, że zakazuje likwidacji zarówno NSZ, jak i komunistów, nie dopuszcza do walki bratobójczej w terenie. Ja zapomniałem o tym rozkazie, dopiero na moim procesie ktoś mojej adwokatce przysłał i na procesie odczytano ten mój rozkaz. Ale w wyroku sąd powiedział, że Rybicki wprawdzie zakazywał strzelać komunistów, ale pozwalał strzelać urzędników bezpieczeństwa. A dla mnie w tym rozkazie to było to samo.

Proszę państwa, co się dalej dzieje? W tym samym czasie następuje, jak powiedziałem uprzednio, rozwiązanie Delegatury Sił Zbrojnych. Likwidacja więzi i struktur. Nagle 15 sierpnia dostają alarm: wychodzi na wolność, chce się ze mną na gwałt spotkać łączniczka, a późniejsza żona Radosława, pani Irma. Na gwałt chce się ze mną spotkać. No oczywiście, trzeba się spotkać. Kilku moich chłopaków, moje oddziały — miałem jeszcze wtedy oddziały w mundurach... i polecam wyszukać miejsce na nocleg dla mnie i dla niej i tam gdzieś koło Brwinowa w lesie ją przywożą chłopcy. I całą noc rozmawiamy. Irma przynosi mi list do Rzepeckiego, ale i do mnie zarazem, żebym go przekazał Rzepeckiemu. Radosław pisze do nas i prosi, ażebyśmy przyszli do więzienia na rozmowę z Gomułką, że on nam obiecuje list żelazny. No, oczywiście, więzień, który podpisuje list żelazny w imieniu Gomułki itd. — to nie jest przekonujące. Rozumieją państwo, jak to było. Ale list był podpisany numerem, cyfrą, która była tylko dla nas wiadoma. Każdy z nas miał dla siebie pewną cyfrę i jeżeli podpisywał, to było wiadomo, że to od niego. Inne były cyfry oddziałów, ale dla dowódców była jedna cyfra i Radosław tę cyfrę podpisuje. Proszę, żeby ona poczekała. Tam ją gdzieś zawieźli. I spotykam się alarmowo z Rzepeckim. Razem czytamy ten list. Ja odnoszę odpowiedź bardzo grzeczną. Rzepecki napisał, że niestety nie może itd. Gwarantować, jakże gwarantować, więzień gwarantuje?

I proszę pamiętać, że za chwilę będzie zupełnie inaczej. Chłopcy do mnie stają do meldunku i opowiadają, że jak z Irmą, to znaczy z tą panią rozmawiali, to powiedzieli, że może pani być pewna, że Radosław będzie wolny, bo my tu już mamy taki zamach na konsula rosyjskiego. Złapiemy go i wymienimy. A na

to Irma powiedziała bardzo wyraźnie: proszę tego nie robić, błagam was tego nie robić.

Proszę pamiętać, że to było w dwa tygodnie po aresztowaniu Radosława. Radosław już się dogaduje z władzami. Proszę tego nie robić, bo to przeszkodzi w rozmowach. Rozumiecie państwo? Kropka. Rozmawiam z Irmą. Nie chcę mówić o tej rozmowie, bo to była bardzo ciężka rozmowa, zwłaszcza, że tam padały pewne słowa, które no... wskazują, co się dzieje z ludźmi, którzy siedzą dwa tygodnie w więzieniu i już zupełnie inaczej myślą...

I przychodzi dzień 2 września — to jest po raz pierwszy ogłoszenie deklaracji WiN-u — wolność obywatela i niezawisłość narodu. Nazwa formalna jest Wolność i Niezawisłość. Obywatel-żołnierz się kończy. Nie ma żadnej przysięgi, nie ma żadnego przymusu. Tamci są rozwiązani. Jest nasza wewnętrzna uchwała, że kończymy naszą robotę w dniu wyborów. Mikołajczyk, który jest w Rządzie, jest powiadamiany przez nas, przez Rzepeckiego stale, co się dzieje. I nie stawiamy żadnych warunków politycznych, tylko czystość wyborów. Chcieliśmy poprzeć automatycznie te stronnictwa demokratyczne, każdy ma prawo. I mieliśmy się od razu, po wyborach, rozwiązać.

Równocześnie po ogłoszeniu tego „Wolność i Niezawisłość” nowy alarm. Chłopcy nadają: Radosław ma wolność. Proszę sobie wyobrazić, co to się dzieje. Miesiąc temu aresztowany, człowiek, który chciał iść kontra na wszystko. Myśmy nie chcieli, bo walka bratobójcza, on był zwolennikiem terroru. Prosi, błaga, żebym ja się z nim spotkał. Spotykam się z nim 4 września. Jest bardzo ciężka rozmowa, cztero- czy pięciogodzinna. Koło Wilanowa we wsi Żabie. Radosław namawia mnie, że on uważa, że trzeba się ujawnić. Ja odmawiam, powiadając, że jakże my dowódcy się ujawnimy, kiedy żołnierze siedzą, że nam nie wolno tak postępować. Długo rozmawiamy, bardzo ciężko.

Pytam się: kto sypie? — Sypie Bolesław Piasecki. To jest pierwsze pytanie każdego. Sypie — mówi — Bolesław Piasecki. Pytam go: na jakiej podstawie mówicie to? On mówi tak: po rozmowie naszej, pamiętasz, mówi do mnie, jak były burzliwe te rozmowy, ja wyszedłem, poszedłem do Piaseckiego, dlatego że byłem z nim blisko. (Mianowicie pierwsza żona Piaseckiego była główną łączniczką Radosława i zginęła w Powstaniu). Odwiedziłem jego. I kiedy siedziałem u niego, piłem herbatę, spał mi bandaż. (Radosław miał bandaż na nodze, miał ranę). Piasecki klęknął — mówi — obandażował mi wszystko. Bardzo ładnie mi obandażował. Ściągnął mi jeszcze — mówi — kalesony. Tak ładnie wszystko zrobił. A mówiłem jemu, że jadę na spotkanie. Wtedy zatrzymano mnie koło kościoła św. Piotra i Pawła na

ulicy Emilii Plater. Dowódca, który mnie aresztował, zaprowadził mnie koło „Romy”... taki tam był plac wolny, i mówi do mnie: proszę pana, panie pułkowniku, proszę podjąć nogawicę. Podjąłem nogawicę. — Acha — mówi — bandaż, my wiemy, kto panu wiązał, panie Radosławie, proszę z nami.

Proszę państwa, Radosław kończy ze mną. Nie dogadaliśmy się, ale bardzo spokojnie, bardzo rzeczowo. Ja powiadam: pan pójdzie taką drogą, ja taką. Radosław prosi mnie, błaga dosłownie, chce zobaczyć się z Rzepeckim, jeżeli ktoś będzie z WiN-u, ażebyśmy pogadali. Idę do Rzepeckiego. Rzepecki nie chce mówić, nie chce kategorycznie. Ja w końcu tłumaczę jemu jakoś, Bogu dzięki udaje mi się go przekonać, ażebyśmy porozmawiali z Radosławem. I na to ma być zaproszony zastępca Rzepeckiego Bokszczanin, Sławbor, ja no i oczywiście Radosław. Zawiadamiam Radosława, żeby czekał mnie gdzieś tam daleko, koło Warszawy i wyznaczam spotkanie, na które jest umówiony Rzepecki, na ósmego. Tak przed dwunastą czy jedenastą trzydzieści. Przywożę Radosława. Podejmuję go. Krążymy po ulicach, jak to się zwykle robi, jak się myli pogonie. Tak... Przychodzimy na spotkanie. Bardzo ważne jest miejsce spotkania. To jest koniec ulicy Nowogrodzkiej. Tam taki domek był, częściowo zwalony. Na pierwszym piętrze chłopcy mieli melinę. I tam go przyprowadzam. Dlatego to jest ważny punkt, że z tej ulicy Nowogrodzkiej było widać plac Trzech Krzyży.

Przychodzi Radosław. Zaczyna się... w człowieku pozostaje na całe życie... ta rozmowa. Radosław przychodzi. Siedzą inni. Rzepecki za chwilę wchodzi innymi drzwiami. Siada. Już mówi: co pan ma do powiedzenia. Już nie mówi: panie pułkowniku, ani nic, tylko: proszę pana. No i Radosław powiada... Ja siedzę koło niego... Mówi: daję wam słowo honoru, że nie podpisałem żadnej umowy. (Jest to nieprawda). Jeżeli mi nie uwierzycie, palnę sobie w łeb. „Nie podpisałem” — to są kłamstwa. Bokszczanin zadaje jakieś pytanie, Sławbor... I Rzepecki zadaje jedno ważne pytanie: co zaszło, że pan zmienił zdanie z 31 lipca na dzisiaj? Radosław nie odpowiada. Wtedy Rzepecki uderza w stół ręką: zaszło to, że stracił pan wolność! Nie ma pan innego wytłumaczenia. I opuszcza zebranie.

Do dziś pamiętam, jak tam siedzieliśmy w gorący upał, słychać było brzęczenie much. Cisza potworna. Radosław mówi: Boże... Boże... ja nie podpisałem. Ale ktoś tam w górze czuwa. Pan Bóg czuwa. I w tym momencie, godzina dwunasta, szczekaczka, te głośniki nadają na placu Trzech Krzyży: Hallo, hallo, nadajemy nadzwyczajny komunikat. Deklaracja porozumienia między pułkownikiem Radosławem, dowódcą Delegatury Sił Zbrojnych

Armii Krajowej... a Ministerstwem Spraw Bezpieczeństwa... Podpisuje razem z nim pułkownik Mrozek. Cały tekst wzywający do ujawniania. Radosław siedzi przy mnie... Czerwienieje. Jest jakby zaszokowany. Nie wiem, czy to do mnie powiedział, czy do siebie: Boże, Boże, oszukali mnie. A mieli to ogłosić po naszej rozmowie.

Rozumieją państwo, to jest chwila, z której się wszystko pamięta. Każde słowo. I proszę mnie zrozumieć, że to było coś strasznego, kiedy się wydaje, że on okłamywał nas od początku i prawda wychodzi na jaw. Rozstajemy się. Radosław opuszcza, a właściwie nie tyle opuszcza, co odprowadzam go tam na dół. Oddaję chłopakom, żeby go zawieźli... Żegnaj się z nim. Koniec.

To jest pierwsza sprawa. Rozumiemy, że Radosław poszedł całkowicie na ujawnianie. I zaraz nazajutrz, to jest dziewiątego, podaję dokładnie numer: 9 września w *Głosie Ludu*, numer 237, pod tytułem „Z konspiracji do jawnej pracy. Deklaracja Delegata Sił Zbrojnych Obszaru Centralnego Armii Krajowej na wyjście z konspiracji” itd. Radosław w niedawnym wywiadzie pisze, że on nie podpisał w więzieniu. To jest bardzo dziwne tłumaczenie, bo przepraszam, co za różnica czy się podpisuje za drzwiami, czy przed drzwiami więzienia. To że go wypuszczono, to znaczy, że umowa była już zawarta, bo inaczej przecież człowieka nie wypuszczają.

Proszę państwa, Radosław tworzy bardzo ważką rzecz, tworzy komisję ujawniającą w Banku Gospodarstwa Krajowego. Tam otwiera się komisję. Tam odwiedza go Korboński. Tam oczywiście pojawiają się niektórzy inni. Cały czas jest obecny pułkownik — wtedy major — Czaplicki z UB. My go nazywaliśmy później Akowerem. Wszystko bada. Radosław jest bezsilny. Był ktoś świadkiem, jak Radosław sięgnął po akta, a Akower: pułkownik, zostawcie, to moja sprawa. Czyli ujawnianie cały czas jest pod dozorem. Radosław jeździ po więzieniach łódzkich, lubelskich itd. Namawia wszędzie na ujawnianie się. Oczywiście, że on nie ujawniał bezpośrednio, ale ujawniał cały swój sztab, który rozsyłał, żeby ujawniali innych.

Rozumieją państwo, że następuje w kraju potworne rozbicie polityczne. Proszę przypomnieć sobie, że 31 października umiera Witos. Tak. Następuje znowu rozbicie między PSL-em a PPS-em itd. Mogę państwu powiedzieć, że doszły wtedy wiadomości do mnie, jako do Delegata Okręgu Centralnego, z wywiadu, że Cyrankiewicz stara się o porozumienie z PPR-em, że mają się połączyć. Melduję to Rzepeckiemu. Rzepecki mnie ruga, że to jest nieprawda, kłamstwo... Jakiego pan ma wywiadowcę? Ja wtedy wysyłam delegację dwóch PPS-owców do Cyrankiewicza.

Cyrankiewicz ślicznie odpowiada mi, ale cudownie odpowiada. Proszę, to byli jego znajomi z PPS-u, bo PPS trzymało z nami w tym czasie. Powiada tak: Proszę oświadczyć moje zdanie krótkie: nie ma PPS-u, nie ma niepodległości Polski. Pięknie powiedziane, prawda! To się spełniło bardzo szybko.

Następuje drugie uderzenie, jedno z najcięższych uderzeń. Właściwie zasadnicze uderzenie. 31 października 1945 kierowniczka całej naszej łączności, a poprzednio kierowniczka całej zagranicznej łączności, tzw. Zagroda, nazywałem ją panią na Zagrodzie, Emilia Malessa, zwana popularnie Marcysią, zostaje aresztowana. Marcysię aresztowano nie dzięki jej znajomości przez władze bezpieczeństwa, ale dzięki temu, że emisariusz z Londynu, który był już śledzony od granicy, przyszedł do niej do domu. Gdzie jest Marcysia? Nikt nie wie, co się stało. Zbieramy się w Łodzi, pamiętam na ulicy św. Andrzeja nr 4 czy 6, Rzepecki, Sanojca, ja. Ostatnie nasze wspólne posiedzenie. Rozmawiamy długo. Ja piętnaście minut przed godziną szesnastą zwolniłem się, bo dałem znać do mojej żony, że będę w Łodzi, żeby przyjechała ze mną tutaj na spotkanie. Bo ja byłem spalony, więc nie mogłem do niej jechać. Ja wychodzę wcześniej, a o godzinie szesnastej przyjeżdża Różański i aresztuje Rzepeckiego i Sanojcę.

Wydała ich Marcysia. Podała wszystkie nazwiska. Co więcej, zaczęła ujawniać cały teren. Ujawniała po kolei wszystkich. Miała urlop podczas śledztwa na parę tygodni. Pisała listy do Różańskiego. Skąd ja o tym wiem? Wybiegam naprzód: piątego maja czy czerwca, bodajże to był czerwiec 1949 roku, Marcysia prosi mnie o spotkanie. Spotkaliśmy się. Wiadomo, że ja byłem innego zdania. Powiedziałem: słuchaj Marcysiu, ujawniłaś się. Zresztą ona na rozprawie naszej, gdzie siedziałem obok niej, przyznawała się do wszystkiego, że tak robiła, tak a tak. — Ty wiesz, że byłem przeciwny. Ty wiesz, że mogłaś napisać list otwarty do członków WiN-u. Powiedzieć, że organizacja była do niczego, fałszywa itd., niepotrzebna. Ale nie wolno ci było ujawniać, bo to są dwie różne rzeczy. Nie wiadomo nigdy, jak przyjdzie UB, z tym ujawnianiem, nie wiadomo, czy ten ujawniony nie wyskoczy przez okno, czy nie palnie sobie w łeb. To jest olbrzymie ryzyko w stosunku do człowieka, który czeka, nie wie, co się dzieje. UB przychodzi. Reakcja nigdy niewiadoma. Ona mówi tak — przepraszam, będę mówił trochę o sobie — : Bardzo ciebie szanowałam za twoją postawę w sądzie. Bo ja w sądzie trochę inaczej mówiłem niż inni. Rzepecki i Sanojca powiadali, że organizacja była, no... szkodliwa, WiN. A w sprawozdaniu z procesu w *Głosie Ludu* jest powiedziane o mnie, że „Rybicki następnie pod koniec swoich zeznań oddaje się rozważaniom uza-

sadniającym, dlaczego nie jest w stanie zmienić w więzieniu swoich przekonań”. Uważam, że więzienie nie było i nie jest miejscem na to. Ta pochwała z *Głosu Ludu*, pisma partyjnego, które przedtem nazywało mnie bandytą, szpiegiem itd., to było coś niebywałego.

Dobrze, Rzepecki zostaje aresztowany. Wysyła listy z więzienia. Wysyła listy do różnych osób i wysyła list do mnie z więzienia. Ale ten list dotarł do mnie o cztery dni za późno. Przypuszczam, że ten gość, który dostał list od Rzepeckiego z więzienia szukał mnie. Ja odciąłem się od Rzepeckiego i Sanojcy od razu. Dałem tylko jedną prośbę, jedno polecenie do dowódców okręgu, żeby wszyscy porozmawiali z Radosławem, czy chcą się ujawniać, czy pozostać nadal. Wszyscy, którzy poszli do Radosława, wszyscy zostali nadal w podziemiu, ani jeden nie poszedł za Radosławem.

I dostałem list taki: „Kochany Macieju, jest dla mnie zupełnie zrozumiałe, że odcięliście się ode mnie i od ludzi, których po swoim aresztowaniu nakłoniłem do wyjścia z konspiracji. Stało się jednak źle, że ukryliście się tak gruntownie, że nie mogłem do was dotrzeć z wytłumaczeniem tego, co się stało. (...) Stwierdziliśmy obaj, że konspiracja nasza stała się przedmiotem wyzysku ze strony najniebezpieczniejszych agenturowców itd... Poczucie koleżeństwa każe mi nie szczędzić wysiłków, aby otworzyć ludziom oczy. Osobista moja sympatia do was i niezwykle szacunek do was powstały w wyniku wspólnej pracy. Cenię was wysoko, chcę ochronić was i waszych ludzi od sytuacji bezhonorowego wyjścia. Władze bezpieczeństwa gwarantują wolność tym, którzy usłuchają mego wezwania do wyjścia z konspiracji. Żywe dowody dotrzymania słowa coraz liczniej chodzą po świecie. Dlatego usilnie namawiam was, swoim honorem gwarantuję wasze bezpieczeństwo, zgłaszajcie się do najbliższego UB, powołujcie się na niniejszy list i żądajcie rozmowy ze mną i z Sanojcą. Sytuacja jest poważna i wymaga pośpiechu. Ściskam was, pułkownik Rzepecki”.

Nie usłuchałem tego rozkazu, ale cytuję wam, żebyście wiedzieli. Rzepecki wpada — jest aresztowany. Powstają różne nieciekawe sprawy. Ja zwołuję — była taka uchwała, że z chwilą kiedy wpada prezes ogólny, szef obszaru centralnego, w tym wypadku ja obejmuję władzę nad całością — zwołuję zebranie do Sławbora, do Poznania. Dlatego, że Rzepecki ujawniając oddał im wszystkie pieniądze, oddał drukarnie, oddał radia, wszystko do władz bezpieczeństwa. Od razu. Sławbor jest najstarszy z nas wszystkich rangą. Wybieramy Sławbora. On zostaje prezesem drugiego WiN-u. Rozumieją państwo: to jest drugi WiN. Na

ogół nie nazywa się to nigdy drugi WiN, tylko się mówi, że drugi WiN, to jest WiN tzw. Niepokólczyckiego. My wybieramy Sławbora. Wracam do domu. Cieszę się bardzo, że mamy już nowego prezesa. Ustalamy z nim następne zebranie mniej więcej koło 6-7 stycznia 1946. Wracam do Warszawy. Po tygodniu dowiaduję się, że Sławbor aresztowany. Wobec tego znowu obejmuję ten obszar w całości i wyznaczam nadal to samo zebranie, ale już nie w Poznaniu, tylko do Warszawy. Wzywam dowódców obszaru południowego i zastępcę Sławbora z zachodniego i centralnego. Wyznaczam spotkanie na 7 stycznia, ale 22 grudnia zostaje aresztowany. Wobec tego już na następnym spotkaniu nie byłam.

Natomiast chcę państwu jako ciekawostkę przeczytać jedną bardzo ciekawą rzecz. Aby jeszcze naświetlić, jakie było nastawienie. Radosław się ujawnił. Rzepecki po rozmowie z Radosławem, 8 września, wydaje tego samego dnia rozkaz. Zaraz po rozmowie. Czytam: „Doszło do mojej wiadomości, że aresztowany były Delegat na Obszar Centralny podpułkownik Radosław dał się namówić przez władze bezpieczeństwa do zawarcia z nimi umowy, na podstawie której miałby przeprowadzić, wspólnie z władzami bezpieczeństwa, likwidację i ujawnianie sieci organizacyjnej żołnierzy Delegatury. (...) Pamiętajcie, że umowy zawierane przez uwięzionego pozbawione są jakichkolwiek cech dobrowolności. Trudno określić, jakich środków użyły władze, by nakłonić podpułkownika do uległości. Gwarancje obietnicy podpisane przez urzędnika Ministerstwa Bezpieczeństwa mają bardzo wątpliwą wartość i mogą okazać się tylko środkiem do wykrycia nielegalności”. Kropka. Taki rozkaz wydaje po Radosławie.

I równocześnie, proszę państwa, udało mi się zdobyć przypadkowo zupełnie zeznanie Rzepeckiego na procesie. Siedziałem obok niego, z jednej strony Marcysia była, potem Rzepecki. Siedzieliśmy tak razem na tej ławie oskarżonych. I mówi: „31 sierpnia, kiedy byłem w Warszawie, czy też może w przeddzień, zgłoszono mi, że pułkownik Radosław jest na wolności i szuka kontaktu ze mną”. Ta data jest mylna, bo on już nie pamięta, oczywiście. „Chociaż taka rzecz była zawsze połączona z niebezpieczeństwem, zdecydowałem się na to. Ta rozmowa odbyła się 31 sierpnia w obecności pułkownika Bokszczanina i nowego Delegata na Obszar Centralny, kapitana Rybickiego. Nie trwała długo. Pułkownik Radosław oświadczył mi, że właśnie przygotowuje rozkaz dla żołnierzy swego obszaru, nakazujący im ujawnienie się. Zapytałem, czy jeżeli miesiąc temu, jak rozmawialiśmy z nim w końcu lipca, on zdradzał duży brak zaufania w stosunku do władz, które w tym wypadku obiecywały bezpieczne wyjście

z podziemia — czy się coś zmieniło w jego pojęciu przez ten miesiąc, czy kiedyśmy mówili w końcu lipca, że nie po to Rząd Jedności Narodowej nie rozluźnił rygorów itd. Nie wiem dlaczego, ale pułkownik nie znalazł innego argumentu, tylko powiedział mi: „wydaje mi się, że im można wierzyć”. Tak...

I ostatnia sprawa. Mianowicie przychodzi proces. Proces bardzo ciężki. Chyba jeden z najniebezpieczniejszych procesów. Nieprzyjemny. Rzepecki, Sanojca, z współzałożycieli, niestety załamują się.

Jest mi ciężko mówić. Sanojca twierdzi... Okazało się, że WiN był szkodliwy. Kaja się. Chwali Marcysię za ujawnienie itd. Proces się kończy. Kończy się w ten sposób, że trójka ich, tych dowódców, zostaje ułaskawiona. Marcysia idzie na wolność. Mnie Różański zatrzymuje jeszcze w więzieniu, chociaż powiedział Rzepeckiemu i tym innym, że wyszedłem innymi drzwiami. Przychodzi do mojej celi i mówi: musi pan zostać, bo pan mi zepsuł proces swoim oświadczeniem, że więzienie nie jest miejscem zmiany przekonań. Mija jeden dzień. Wchodzi do mojej celi oficer. Staje na baczność: Z rozkazu prezydenta Bieruta, ze względu na pana zasługi bojowe, na pana *Virtuti Militari* itd., prezydent Bierut zmienia panu karę z 10 lat na 6. Nie na 5, bo do 5 była amnestia. Rozumieją państwo: na 6. Ja odpowiadam jemu: Proszę podziękować panu prezydentowi, ale nie przyjmuję aktu łaski, dlatego, że mnie chodzi o motywację, a nie o wyrok. No i przychodzi moja adwokatka za chwilę i mówi: — Proszę pana, byłam u Różańskiego. Nie mogę robić odwołania pańskiego. — Dlaczego? — Bo to jest obraza prezydenta. — No to — mówię — będę sam robił. Wzywam, tam taki woźny, strażnik. Błagam o papier, że sam napiszę. Różański przylatuje: — Co pan tu wyrabia! No, my pana nauczymy. — No i poszedłem na 10 dni do dołka. Tam się siedzi zgarbionym, robi pod siebie, przepraszam, bo nie ma miejsca. Ciemno cały czas. Człowiek nie wie... No i kiedy po 10 dniach wyszedłem, Różański migiem mnie wzywa, a trzeba było się obmyć z tego kału, wszystkiego. — Czemu pan nie napisał odwołania? Przecież pan tak bardzo chciał, a termin minął. Ja mówię: Rozmyślałem się, wie pan. Zauważyłem, że szkoda rozmawiać. — Pan się rozmyślił? — mówi. — Całkowicie — mówię. — A zwłaszcza rozmyślałem się, kiedy nie ma już praw. Prawo się skończyło.

No, tak się kończy epopea WiN-u. Epopea WiN-u właściwie dopiero się rozpoczyna. WiN się zmienia. Powstaje druga, trzecia, czwarta i piąta Komenda. Piąta jest już całkowicie opanowana przez władze bezpieczeństwa. Już w drugiej Komendzie WiN-u były wtyczki. Tak, wtyczki, które powoli... opanowały

obszar gdański itd. Powoli opanowały przez swoich ludzi cały WiN i w szóstej — niektórzy nazywają ją piątą, ja nazywam szóstą Komendą WiN-u — ujawniają się. Pan Kowalski, znani agenci władz bezpieczeństwa, wychodzą, rozgrywiają, oddają pieniądze i kończy się likwidacja WiN-u.

Dlaczego tak nagle władze bezpieczeństwa poszły na likwidację WiN-u? Moja znajoma dziennikarka pojechała do pana Akowera-Czaplickiego. Pyta: Dlaczego pan tak szybko zlikwidował WiN? Bo to on był szefem od tej likwidacji. On mówi: My nie chcieliśmy. Myśmy cały czas dobrze sprzedawali WiN — że jest taki groźny, wielki, potężny. Ale co? Kto nakazał likwidację? Ona napisała mi to zeznanie na piśmie, tak że w razie czego, jak by władze chciały, to mogę im udokumentować. Pisz: Stalin nakazał. — Dlaczego? — Bo wasza reklama o wielkości WiN-u, o groźnym niebezpieczeństwie psuła jemu całą propagandę, że Polska cała jest posłuszna jemu. Wobec tego trzeba było zlikwidować WiN, ażeby nie było więcej mowy o tym. No i wtedy ci panowie otrzymali rozkaz ujawnienia WiN-u i na tym się kończy historia WiN-u.

Kończy się historia WiN-u, ale nie kończy się walka. Następują inne momenty, więzienia itd. Przychodzi KOR. Jestem jednym z tych pierwszych czternastu współzałożycieli. No i państwo domyślcie się. Rewizje, nie-rewizje, różne szykany, jak to zwyczajnie człowieka ładnie stara się dobrowolnie przekonać, represyjnie. Represja, ale dobrowolnie — rozumieją państwo. No i do tych czasów. Zobaczmy, co będzie jutro, czy pojutrze...

Chcę powiedzieć państwu jedną rzecz na końcu. Kiedy proszono mnie, ażebym niedawno w ambasadzie amerykańskiej, na prośbę córki generała Grota, pani Mielczarskiej, przemówił w związku z przyznaniem mu pośmiertnie odznaczenia, zastanawiałem się, co mam powiedzieć. Mówiłem pięć minut. Nie dziękowałem za odznaczenie. Bo uważam — to odznaczenie było skandaliczne. Po czterdziestu latach, ze względu na wybory, daje się odznaczenie! Natomiast mówiłem o dziejach Polski. Mówiłem o tym, co Traugutt mówił, że trzeba. O rozmowie z Grotem w 1943 roku, który mówił o konieczności walki beznadziejnej: że powstaje nieraz konieczność walki, która z góry jest przegrana, ale trzeba walczyć. Dlaczego? Bo nasz naród musi zrozumieć jedną wielką prawdę: że naród, który traci nadzieję, przegrywa. Dlatego każdy zaborca, każdy okupant stara się nam wmówić: porzućcie wszelką nadzieję. Tak mówili zaborcy. Tak mówił Hitler. Tak mówią nam inni ludzie: nie miejcie nadziei. Chodzi o to, żebyśmy uwierzyli, że to jest koniec naszej walki o niepodle-

głość. I powiedziałem do pana *chargé d'affaires*: Proszę pana, naród, który by uwierzył w te rzeczy — Ameryka też kazała nam tak myśleć — ten naród, który traci nadzieję, to jest naród-trup. Naród bez nadziei jest narodem trupem. A my Polacy chcemy żyć i dlatego jesteśmy pełni nadziei. Tę nadzieję wiążemy nie tylko z ruchem nadzwyczajnym, ale wiążemy również z solidarnością naszej wspólnej pracy i sprawy. Kropka. Skończyłem*.

Józef RYBICKI

* Wykład wygłoszony w duszpasterstwie akademickim w Łodzi w grudniu 1985 roku. Tekst spisany z taśmy magnetofonowej.

Jerzy ŁOJEK

HISTORIA NIE JEST OBRAZEM CZARNO-BIAŁYM*

WOJCIECH WIŚNIEWSKI: — *Pasja i talent, talent i pasja, te dwa słowa najczęściej powtarzają się w recenzjach z pana książek. Talent jest sprawą wrodzoną, a reszta?*

JERZY ŁOJEK: — Reszta to wiara w konieczność poszukiwania prawdy, przekonanie o możliwości znalezienia tej prawdy i przeświadczenie, iż w tym zakresie historii, którym się zajmuję, daleko jeszcze do przedstawienia prawdy, CAŁEJ prawdy o wydarzeniach i mechanizmach przeszłości. Że znacznie więcej niż dotychczas ukazano pozostaje ciągle nie opisane, a niektóre problemy były prezentowane wręcz opacznie.

W.W.: — *W naszej współczesnej historiografii pańskie prace rewolucjonizujące wiedzę o dziejach Polski schyłku XVIII stulecia, tomy Przed Konstytucją 3 Maja i Upadek Konstytucji 3 Maja trafiły tylko do profesjonalistów. Gdyby były spopularyzowane i wydane w odpowiednich nakładach, czy byłyby odbierane tak żywo jak Wiek markiza de Sade czy Dzieje pięknej Bitynki?*

J.Ł.: — Niedługo [mówione w listopadzie 1984 — W.W.] to się okaże. W druku jest moja nowa książka, sumująca treść obu wyżej wspomnianych, a nosząca tytuł *Geneza i obalenie Konstytucji*

* Wywiad przygotowany do IV tomu serii pt. „Tego nie dowiecie się w szkole”, który miała wydać „Nasza księgarnia”. Cały tom został zdjęty przez cenzurę. Wywiad drukujemy bez wiedzy i zgody autora. — Red.

tucji 3 Maja [Polityka zagraniczna Rzeczypospolitej (1787-1792)], która ma się ukazać, z całym aparatem naukowym, w nieporównanie wyższym nakładzie. Społeczeństwo polskie w ogromnej większości bardzo żywo interesuje się historią, zwłaszcza dziejami ostatniego trójwiecza; jest to zjawisko samo w sobie pasjonujące i godne badania. Specjalnym zainteresowaniem cieszy się historia stosunków polsko-rosyjskich. Sądzę jednak, że popularność moich książek nie jest związana z ich problematyką, a raczej ze sposobem mojego ujęcia i ukazania problemów historycznych, nadal dla nas żywych i aktualnych. Czasami atrakcyjność wykładu przeważa nad treścią, skądinąd dla Polaków obcą; jest to przypadek *Wieku markiza de Sade*. Ale przy pisaniu na przykład o historii rozbiorów Polski największe znaczenie ma autorska rzetelność, unikanie przemilczeń, oparcie się na dostatecznym zasobie źródeł, uczciwa krytyka dawniejszych opracowań bez względu na to, czy jakaś postać historyczna czy nawet jakiś badacz z przeszłości wypadnie w tym świetle lepiej czy gorzej. Niestety, w ostatnim półwieczu zwłaszcza pisarstwo o epoce Stanisława Augusta w Polsce obciążone było swoistym dydaktyzmem, nakazującym uwielbienie tych czy innych postaci, a przemilczanie i ukrywanie zjawisk i postaw negatywnych.

W.W.: — *Czy jest jeszcze wiele dokumentów, dotyczących okresu Konstytucji 3 Maja, które nie są dostatecznie znane czy też spopularyzowane wśród czytelników?*

J.Ł.: — W ogóle istotne źródła historyczne, dotyczące tego przełomowego okresu, zostały w badaniach naukowych wyzyskane najwyżej w połowie. Niektóre z nich w ogóle przepadły. Wiadomo, że archiwum Stanisława Augusta po jego śmierci zostało podzielone na cztery części. Trzy z nich znajdują się obecnie w Polsce, ale czwartą, zawierającą ogromnie ważne dokumenty, między innymi z początków panowania Stanisława Augusta, dotyczące stosunków króla z ambasadorami Rosji w Warszawie itp., bratanek królewski książę Stanisław wywiózł do Austrii w latach 1801-1807. Ta część przepadła bez śladu, ale nie ma żadnej wskazówki sugerującej, iż dokumenty te zostały zniszczone. Poświęciłem wiele lat bezskutecznych starań, aby ustalić, gdzie ta część archiwum Stanisława Augusta może się znajdować. Było tego około 300 tomów akt, w większości oprawnych. A przecież sama operacja spalenia takiego zbioru, tyłu kilogramów grubego XVIII-wiecznego papieru, nie mogłaby ująć uwagi jakiegos kronikarza i technicznie byłaby zadaniem ogromnie trudnym. Osobiście sądzą, że ten zbiór istnieje do dzisiaj gdzieś starannie ukry-

ty. Są również liczne inne dokumenty z XVIII wieku, na przykład archiwum Szczęsnego Potockiego z okresu Konfederacji Targowickiej (które syn Szczęsnego Mieczysław wywiózł do Francji), do dzisiaj nie oglądane przez żadnego badacza. W takiej sytuacji byłoby niebezpieczne i niepoważne utrzymywanie, że większość problemów politycznej historii Polski epoki rozbiorów jest już ostatecznie wyjaśniona. Wiele zapewne źródeł, dokumentów ogromnej wagi, można by jeszcze odnaleźć, nie mówiąc o tym, że znane już — spopularyzować. Można by wzbogacić, a nawet zmienić w zasadniczych punktach syntezę dziejów Polski w okresie 1764-1795, zmodyfikować wiele ustalonych i z pozoru niepodważalnych poglądów na ten okres naszych dziejów. Sądzę więc, że wszelkie nowe badania, przedstawiające inny niż dotychczas ogląd sytuacji i dokumentacji, każde nowe studium w oparciu o dokumenty proponujące nowe spojrzenie na sytuację przeszłości, powinny być przyjmowane z aprobatą dla starań badacza, choć naturalnie nie bez krytyki. Niestety lubi się u nas petryfikować poglądy, sugeruje ograniczenie badań tylko do wzbogacania przyczynkami istniejącej już syntezy, nie aprobuje się poglądów wywodzących się z nowych badań. Stąd historia nie umie sprostać ogromnemu zapotrzebowaniu społecznemu, tym bardziej, że większość tego, co się pisze i publikuje, jest dla niespecjalistów trudno czytelna.

W.W.: — *We wstępie do pana książki Wokół sporów i polemik czytamy: „Najcenniejsze treściowo dzieło jest niemal bezwartościowe, jeżeli współczynnik jego dostępności narracyjnej zbliża się do zera”. Zdaniem pana większość naszych książek historycznych ma taki właśnie zerowy współczynnik?*

J.Ł.: — Stawia mnie pan wobec trudnego zadania, nie chciałbym bowiem oceniać dzieł moich kolegów historyków, a nade wszystko konkurentów. Będę mówił o książkach wyłącznie naukowych, zamierzonych jako takie, a nie na przykład o esejach czy powieściach historycznych. To nieprawda, że monografia czy synteza historyczna z istoty rzeczy musi być adresowana tylko do profesjonalistów. Dobrze napisana rozprawa historyczna może pasjonować swoją treścią, zachowując pełną wartość naukową. Rzecz w tym, iż czytelność powstających od kilkudziesięciu lat dzieł poświęconych epoce Stanisława Augusta, dziejom Królestwa Kongresowego, a nawet Powstania Listopadowego, jest z reguły niezmiernie słaba. Sens, a nawet teza naukowa dzieła ginie w natłoku źle uporządkowanych szczegółów nierównomiernej wartości, bowiem przy uisławianiu „wyczerpania” tematu fakty czwartorzęd-

ne pomieszczone są z pierwszorzędnymi, a narracja jest z reguły odpersonalizowana, i to nawet w dziełach biograficznych!

W.W.: — *A przecież w samej selekcji dokumentów, zdarzeń, nawet źródeł, zawarta jest już ocena historyka.*

J.Ł.: — Tak, ma pan rację. Przez skupienie uwagi na zjawiskach, zdarzeniach i postaciach pierwszorzędnych, zasadniczych, wydobywa się istotę procesu historycznego. W taki właśnie sposób pisywał Szymon Askenazy i dlatego jego dzieła są tak czytelne do dzisiaj, mimo pewnej przestarzałej manieri językowej i stylistycznej. Niestety, autor ten w Polsce Ludowej prawie nie był wznawiany. Pisał on o mnóstwie szczegółów, ale skupiał uwagę czytelnika zawsze na tych najważniejszych.

W.W.: — *A przecież na książce Askenazego o Walerym Łukasim wychowało się całe pokolenie rewolucjonistów, socjalistów i działaczy niepodległościowych.*

J.Ł.: — Askenazy pisał w manierze trochę młodopolskiej, ale jest u niego niezwykła sugestywność głoszonych poglądów, niezależna od stylistyki. Sugestywność bardzo cennych sformułowań określających postawy ludzi. Umiejętność dosadnego określania postaci albo zjawisk. Tego, czego historycy współcześni się boją. Historycy dzisiejsi nie lubią stawiać kropki nad „i” i tę postawę chcą przedstawiać jako dowód obiektywizmu. A jest to po prostu indyferentyzm. Obiektywizm nie polega na tajeniu i przemilczaniu niektórych faktów i zjawisk, aby obraz wypadł „słodziej” i pozytywniej. Odwrotnie, polega na ukazywaniu wszystkiego co istotne, ale historyk nie traci obiektywizmu odnosząc się do niektórych postaci lub wydarzeń z wyraźną aprobatą, do innych zaś z niedwuznacznym potępieniem.

W.W.: — *Jak wygląda pana metoda badawcza?*

J.Ł.: — Spędziłem wiele lat na pracy w archiwach i bibliotekach, teraz coraz częściej porządkuję zgromadzone notatki i układam je w ciągi tematyczne dla przyszłych, już zaplanowanych, a może tylko widzianych jako potrzebne i możliwe następnych prac pisarskich. Z reguły szukałem tego, co było zapoznane, a czasem zlekceważone — mimo istotnego znaczenia dla poznania przeszłości. Pracę archiwalną uważam za pożyteczną tylko przy kierowaniu się w tej pracy dobrą znajomością stosunków i instytucji epoki. Askenazy (nie bez złośliwości) podzielił kiedyś historyków na dwie kategorie: takich, którzy w archiwach i bibliotekach pra-

cują głową, i takich, którzy trudzą tam głównie odwrotną stronę medalu. Nie trzeba chyba dodawać, kogo Askenazy cenił, a kim pogardzał. Jest wielu badaczy, którzy długie lata spędzili na grzebaniu w archiwach i nic z tego nie wyszło. Jest to trochę kwestia szczęścia, które czasami podsuwa ważne dla tematu dokumenty, ale trzeba temu szczęściu pomóc i szukać nowych materiałów tam, gdzie — choćby nieoczekiwanie — być mogą. Historyk musi znać dokładnie układy stosunków (choćby nieformalnych) w danym okresie, ówczesne kontrowersje i spory, nie mówiąc o faktycznych, nie formalnych kompetencjach, aby w odpowiednim momencie zamówić w archiwum ten, a nie inny tom akt. Historycy zawdzięczają bardzo wiele archiwistom. Polskie zbiory archiwalne mają z reguły bardzo dobre inwentarze, to jest katalogi z opisem zawartości poszczególnych facykułów i tomów. Czasami dobry inwentarz mówi niemal połowę tego co lektura całego tomu. Przykładem praca Władysława Semkowicza o tzw. Archiwum Publicznym Potockich, przygotowana podczas wojny, gdy autor był pozbawiony możliwości pracy na uniwersytecie, a miał dostęp do tego archiwum, znajdującego się wówczas w Krakowie. Umiejętność korzystania z inwentarzy w dużym stopniu warunkuje powodzenie w pracy historyka w archiwum.

W.W.: — „Łojek nie chce i nie może pogodzić się z historią. Nie akceptuje on fatalistyczno-katastroficznej wizji dziejów” — tak piszą o panu recenzenci. Czy pan się z tym zgadza?

J.Ł.: — Jest to stwierdzenie dość uproszczone. Uważam, że nasze losy, losy Rzeczypospolitej, która przestała istnieć w końcu XVIII wieku, oraz losy narodu polskiego po dziś dzień ułożyły się znacznie gorzej niż mogły być się ułożyć, w dużym stopniu z winy społeczeństwa polskiego, a raczej tej jego części, która miała realny wpływ na działania polityczne. A z drugiej strony sądzę, że w naszych własnych polskich rękach mieliśmy, nawet w najtragiczniejszych momentach dziejowych, znacznie większe możliwości działania niż sądzi się z reguły do dzisiaj, możliwości zaprzepaszczone z powodu braku gotowości do czynu i do — podkreślam — ofiary krwi. To nie paradoks, to prawda. Polacy niesłusznie się uważają za naród szczególnie skłonny do walki z zewnętrzną przemocą, do ofiarowania wszystkiego na ołtarzu niepodległości. Wcale tak nie było. Gotowe do walki było najwyżej kilka procent społeczeństwa, oczywiście kilka procent tego ogółu, który świadomością społeczną i polityczną w ogóle dorastał do rozumienia problemu walki o niepodległość. Reszta godziła się łatwo z przemocą, nawet w takich momentach, jak Powstanie

Styczniowe, które trwało siłą ofiary tych kilku procent. Jeżeli porównać Polaków w wieku XIX choćby na przykład z Palestyńczykami doby dzisiejszej (z którymi nie jestem emocjonalnie związany, ale których doceniam), to okazuje się wówczas, jak nikła była polska wola walki o niepodległość w epoce zaborów. W przeszłości mieliśmy znacznie większe niż się mniema szanse doprowadzenia spraw naszego bytu narodowego i państwowego do lepszego rozwiązania niż stało się to dotychczas; sądzę, iż szanse takie są ciągle przed nami.

W.W.: — *Jaki moment XIX wieku uznałby pan za najbardziej przyjający polskiej szansie „wybicia się na niepodległość”?*

J.Ł.: — Powstanie Listopadowe. Tezę tę starałem się przedstawić m.in. w książce *Szansie Powstania Listopadowego*. Sądzę, że był to jedyny moment w XIX wieku, kiedy Polska mogła uzyskać decydujący sukces militarny w wojnie z Rosją, który doprowadziłby zapewne do pokoju stabilizującego polską niepodległość, chociażby tylko na terenie Królestwa Polskiego i części zaboru rosyjskiego. Twierdzę, iż szansa ta została zniweczona dlatego, że odzyskanie niepodległości spowodowałoby nieuchronnie takie przeobrażenia społeczne i polityczne w Polsce, iż po prostu nie opłacało się to ludziom, którzy przechwycili ster powstania i starali się zapobiec jego politycznej (nie, podkreślam, społecznej) radykalizacji. Polakom brakowało najczęściej świadomości, że niepodległość jest dobrem takiej rangi, że po prostu warto i godzi się zapłacić za nią wszelką cenę... nawet cenę uzyskania tej niepodległości dla już tylko części ogółu. Niestety, historia dowiodła, że ogromna większość naszego społeczeństwa godzi się doskonale z uzależnieniem Polski od obcych mocarstw. To było źródłem katastrofy Rzeczypospolitej przy końcu XVIII wieku. Wcale nie materialna przewaga oręża zaborców.

W.W.: — *Jest to pogląd sprzeczny ze stanowiskiem większości współczesnych historyków polskich.*

J.Ł.: — Chyba niestety tak. Jesteśmy, jako społeczeństwo, ciągle pod wpływem fatalistycznej doktryny historycznej, iż co się stało, stać się musiało, a żadnych szans wywalczenia czegoś innego w ogóle nie było. W swoim widzeniu przeszłości Polski ostatnich dwustu lat szukam momentów, kiedy czyn Polaków mógł naprawdę coś zdziałać dla bytu naszego kraju. Przeraża mnie na przykład stanowisko większości naszej historiografii, że doszczętny rozbiór państwa polsko-litewskiego w ciągu 23 lat (1772-1795) był wydarzeniem bynajmniej nie niezwykłym. Drugie co do wiel-

kości państwo Europy, z 800-letnią nieprzerwaną tradycją swojego bytu, zostało wytarte z mapy w ciągu mniej niż ćwierćwiecza! Nie ma w nowożytnej historii świata przykładu podobnej operacji. Nawet w Azji nic podobnego się nie zdarzyło. Były transformacje i aneksje, ale nigdy całkowita likwidacja dużego i znaczącego państwa. Fenomenem szczególnym rozbiorów Rzeczypospolitej nie był zamach na całość terytorialną kraju, ale minimalny tylko (nawet w latach 1792-1793) sprzeciw Polski i Litwy wobec tej bezprzykładnej operacji. Złośliwy cudzoziemiec mógłby powiedzieć, że państwo polsko-litewskie o obszarze 730.000 km² zlikwidowano w trzech etapach jakby za milczącą zgodą jego obywateli. Próba odrodzenia niepodległej Rzeczypospolitej po 123 latach (1918-1939) była tylko w części udana i nietrwała.

W.W.: — *„Zadanie historii polega między innymi na burzeniu bezpodstawnych mitów i wydobywaniu z niepamięci spraw czy wydarzeń dotąd niezauważonych”*. Która z pana książek najlepiej realizuje te postulaty?

J.Ł.: — Za najważniejsze naukowo uważam swoje prace dotyczące epoki Sejmu Czteroletniego i polityki zagranicznej Rzeczypospolitej w tym okresie. Ale książką, która najbardziej burzy fatalistyczny pogląd na nasze dzieje, są chyba *Szanse Powstania Listopadowego*, wydane po raz pierwszy w 1966 roku (5 tysięcy egzemplarzy), wznowione w roku 1980 (10 tysięcy egzemplarzy). Starłem się ukazać w tej pracy istotne przyczyny klęski Powstania 1830-1831 roku: starania ludzi, którzy nad ranem 30 listopada 1830 roku objęli ster walki narodowej, aby w boju o prawa Polski z Imperium Rosyjskim nie „przeciagnąć struny”, nie doprowadzić do zupełnego oddzielenia Polski od Rosji — to jest pełnej niepodległości, czego skutkiem stała się definitywna klęska Powstania we wrześniu 1831 roku. Po pierwszym wydaniu całe niemal środowisko naukowo-historyczne rzuciło się na mnie z nieprzytomną furią. Czas pracował jednak dla mnie, bo już w roku 1980 to samo środowisko przyznało mi w wielu punktach rację.

W.W.: — *Pisze pan o swoich książkach z okazji ich wydań w 1976-1977 roku: „Było dla mnie prawdziwą satysfakcją, że w trzy lata później książki moje były szeroko czytane i dyskutowane w miejscach decydujących o losach Polski”*. Czy naprawdę wierzy pan jeszcze dziś, że jakakolwiek książka może mieć wpływ na losy Polski?

J.Ł.: — Doniesiono mi, i to z paru źródeł, że podczas sierpniowego strajku w Stoczni Gdańskiej w 1980 roku krążyła i była

czytana moja książka *Szanse Powstania Listopadowego*. Jeżeli w ówczesnych warunkach napięcia ludzie tę książkę czytali, to mniemam, że dostarczała im materiału do przemyśleń w sprawach ówczesnie ważnych. Dla historyka nie może być lepszej satysfakcji niż stwierdzenie łączności jego dociekań i idei z żywymi nadal nurtami ideowo-politycznymi. Większego sukcesu czytelniczego najpewniej nie mogę już oczekiwać.

W.W.: — *Statym problemem stanowiącym jakby leitmotiv pana pisarstwa jest pytanie o postawę moralną przywódców w przeszłości, o konsekwencje i granice oportunistu w naszej historii. Jaka jest pana ulubiona postać historyczna, która by spełniała wszystkie pana postulaty?*

J.Ł.: — Uważam, że w działaniach politycznych przeszłości w ocenie przywódców liczy się ich intelekt, ale jeszcze bardziej charakter i konsekwencja w działaniu, związane własnej świadomości z interesem narodowym. W wieku XVIII cenię najwyższej przywódcę stronnictwa patriotycznego na Sejmie Czteroletnim, Ignacego Potockiego, który prowadził kraj ku reformie ustrojowej w ścisłym związku z usiłowaniami zabezpieczenia bytu Rzeczypospolitej przez układy międzynarodowe istotnie dla Polski korzystne (zbliżenie do „Potrójnego Przymierza” Anglii, Prus i Holandii). Nawet w momencie klęski Potocki umiał godnie reprezentować sprawę narodową: w listopadzie 1794 roku, po „rzezi Pragi”, udał się osobiście do obozu generała Suworowa, aby pertraktować o dalszy los sprawy polskiej, co przypłacił paroletnim więzieniem w Petersburgu. Był w ramach idei federacji europejskiej twórcą przymierza polsko-pruskiego w 1790 roku. Człowiek z wielką, dalekosiężną wizją włączenia Polski do jednoczącej się Europy. Z XIX wieku: ks. Józefa Poniatowskiego, który umiał dla przyszłości kraju zginąć świadomie na polu bitwy pod Lipskiem 19 października 1813 roku. W wieku XX cenię najwyższej oczywiście Józefa Piłsudskiego. W historii zupełnie najnowszej nie widzę kandydatów do trwałej wielkości dziejowej.

W.W.: — *Historia polityczna i historia kultury, monografie poświęcone dziennikarstwu w wieku XVIII, prace dotyczące dziejów politycznych Polski od połowy XVIII wieku. Dlaczego wybrał pan właśnie wiek XVIII?*

J.Ł.: — Nie tylko wiek XVIII, bowiem w swoich zainteresowaniach badawczych sięgam także do epoki 1815-1831-1864, a również czasów najnowszych 1939-1945. Studiowałem na UW w strasznie nieciekawych czasach, w latach 1952-1956. Zawsze

interesowały mnie stosunki polsko-rosyjskie, między innymi wiek XVIII, epoka Konstytucji 3 Maja. Wiele zawdzięczam indywidualności mojego mistrza, jednego z ulubionych uczniów Szymona Askenazego, profesora Emila Kipy (1886-1958). Uważam, że każdy historyk, który osiąga jakieś znaczenie w społecznym odbiorze swojej twórczości, ma dług wobec swojego naukowego promotora. Emil Kipa nie był może wielkim myślicielem syntetycznym, ale doskonale rozumiał i bezbłędnie rozpoznawał ludzi dawnych epok, głównie XVIII wieku. Ten właśnie aspekt badań historycznych został po 1939 roku zagubiony: rozumienie mentalności danej postaci historycznej, skąd się ten człowiek wziął, dlaczego myślał tak a nie inaczej, dlaczego podejmował takie a nie inne decyzje. Emil Kipa umiał opowiadać o ludziach, w kilkudziesięciu zdaniach analizować i charakteryzować ważną postać. Bardzo to wpłynęło na mój stosunek do badania przeszłości, chociaż czasy (1954-1956) były dla takich postaw nie sprzyjające, lansowano bowiem badanie przeszłości przez studiowanie „ogólnych praw historycznych” i widzenie „uwarunkowań klasowych”. Ale po 1956 roku, gdy zacząłem sam pisać, było już możliwe traktowanie historii w kategoriach personalistycznych, chociaż nadal nie wolno było analizować istotnych i najważniejszych momentów przeszłości stosunków między Polską a Rosją, nawet w końcu XVIII wieku.

W.W.: — *Powiedział pan: „W moim przekonaniu powieść historyczna jest gatunkiem pisarskim wygasłym i nie ma żadnej przyszłości”. A mimo to trylogia Sienkiewicza należy wciąż do najpopularniejszych książek historycznych, czytanych przez wszystkich i przez wszystkie generacje.*

J.Ł.: — Jestem zdania, że nie powstanie już więcej żadna powieść historyczna, której rezonans społeczny mógłby być porównywalny do trylogii Sienkiewicza. Telewizja i film zmieniły bowiem warunki odbioru ukazywanych wydarzeń historycznych. Po roku 1945 nie powstała w Polsce (ani w świecie) żadna powieść historyczna, którą czytaliby „wszyscy”, mimo niewątpliwych walorów literackich dzieł takich pisarzy jak Gołubiew, Parnicki czy Bunsch. Zresztą próby epatowania współczesnego czytelnika artystyczną prezentacją odległej przeszłości nie mają żadnych szans, bowiem opinia publiczna oczekuje dzieł przedstawiających historię najnowszą, w rodzaju na przykład wielkich studiów analityczno-historycznych Aleksandra Sołżenicyna.

W.W.: — *Czy sądzi pan, że literatura, a ściślej: książka popu-*

larno-historyczna jest w stanie zmienić świadomość społeczną, pewne stereotypy myślenia o historii narodu?

J.Ł.: — Jedna książka na pewno nie, ale szeroko pojęta literatura historyczna zapewne tak, jeżeli zajmować się będzie sprawami najważniejszymi dla przeszłości narodu i nie będzie poddana doraźnym ograniczeniom, wynikającym z widzenia pisarstwa o przeszłości tylko z punktu widzenia doraźnych interesów władzy. Usprawiedliwiając się racjami polityki zagranicznej, władza broni się przed stworzeniem warunków umożliwiających publikowanie dzieł, poruszających najważniejsze sprawy narodowe z nieodległej przeszłości, między innymi dotyczących stosunków z naszymi sąsiadami. Gdyby (pofantazjujmy) stało się to pewnego dnia możliwe, zapewne w ciągu niedługiego czasu nastąpiłaby zmiana świadomości społecznej i ukształtowanie nowych stereotypów myślenia historycznego. Nastąpiłby bowiem pewnego rodzaju wstrząs psychiczny — bardzo dla narodu i zarazem władzy korzystny — polegający na tym, że nareszcie powiedziałyby się to, o czym każdy wie, a wielu pamięta, chowając w głębi serca głęboki uraz. Skończyłaby się egzystencja dwóch prawd historycznych: prawdy władzy i prawdy społeczeństwa. Jestem przekonany, że sąsiedzi nasi potrafiliby to zrozumieć i uznać.

W.W.: — *Podobno już w gimnazjum postanowił pan pisać. Czy był pan dobrym polonistą? I co ma pan do zawdzięczenia profesorom w szkole średniej?*

J.Ł.: — Skończyłem gimnazjum, które do 1947 roku nosiło imię Wojciecha Górskiego, a od roku 1946 egzystowało w Warszawie przy ul. Smolnej w gmachu dawnego gimnazjum im. gen. Zamoyckiego. Tam wśród zmieniających się często profesorów historii jeden z ostatnich doprowadził mnie do matury. Był nim doktor Stefan Balicki ze Lwowa. Był nauczycielem umiejącym różnicować swoje podejście do uczniów zależnie od ich zainteresowań historią, a moje zainteresowanie należało do najintensywniejszych. Gdy w 1951 roku zdałem maturę, starałem się dostać na Wydział Historyczny Uniwersytetu Warszawskiego. Naturalnie zdałem egzamin wstępny, ale nie zostałem przyjęty „z braku miejsc”. Potem, po latach, pracownicy naukowcy Wydziału Historycznego UW powiedzieli mi, że miałem wówczas pierwszą lokatę na egzaminie wstępnym, ale zarazem poufną pisemną opinię z koła ZMP (nie należałem do ZMP, ale wszyscy kandydaci na studia byli sekretnie opiniowani przez szkolne koła ZMP), że ze względów politycznych nie nadają się na żadne studia wyższe. Przecze-

kałem rok, pracowałem. Znowu postanowiłem starać się na ten sam wydział. Profesor Balicki spotkał mnie przypadkiem na ulicy i zapytał, co u mnie słychać? Opowiedziałem o swoich perypetiach. Balicki poszedł wtedy dyskretnie do prof. Aleksandra Gieysztor, ówczesnego kierownika Instytutu Historycznego UW, i poprosił osobiście o interwencję w mojej sprawie. Zbieg okoliczności sprawił, że jakaś przyjazna ręka zniszczyła w moich aktach fatalną opinię z 1951 roku. Dzięki temu kolejny wynik egzaminu wstępnego mógł już w 1952 roku zapewnić mi wstęp na UW. Przyjęcie na studia poprzedziła rozmowa z sekretarzem komitetu uczelnianego ZMP, który długo i wnikliwie wypytywał o moje poglądy, losy najbliższych (ojciec był lekarzem, zawodowym oficerem W.P. i zginął w Katyniu) i ich zapatrywania polityczne. Pod koniec rozmowy dżentelmen ów oświadczył, że jeśli w czasie studiów choćby słowem ujawnię swój negatywny stosunek do ówczesnej rzeczywistości, to natychmiast wylecę z hukiem z uczelni. Przeżyłem jednak cztery lata, skończyłem studia na seminarium Emila Kipy, otrzymałem magisterium 20 czerwca 1956 roku, no i — skoro nawet wówczas nie było dla mnie miejsca w instytutach historycznych UW ani PAN — wszedłem na pewien okres w tzw. „prasoznawstwo”, z tytułu moich badań nad XVIII-wieczną historią prasy polskiej. Szkoły średniej nie wspominam dobrze. Był to okres łamania charakterów nauczycieli, którzy ulegali dość łatwo presji politycznej. Do nielicznych nauczycieli, których zachowałem w pamięci jako ludzi godnych szacunku, należał wspomniany Stefan Balicki i nasz łacinnik Jan Lasocki, w tych ponurych czasach zajmujący godną uznania postawę. O reszcie nie warto wspominać. Uważam, że dla uczniów i wychowanków szkół średnich najważniejsza jest osobowość poszczególnych nauczycieli, ich charakter, odwaga i niezależność. To właśnie pozostaje w pamięci ze szkolnych czasów, gdy po latach wspomina się szkołę. Sądzę jednak, że nie szkoła średnia, ale uniwersytet wywarł na moją osobowość wpływ największy. Tam właśnie spotkałem ludzi, m.in. wspomnianego wyżej Emila Kipę, który umocnił mnie w wierze w sens posiadania i rozwijania własnych, indywidualnych poglądów na sprawy przeszłości, w ich rolę w naukowym badaniu historii.

W.W.: — *Starał się pan zmienić utrwalone poglądy na temat Stanisława Augusta czy też wodzów Powstania Listopadowego, ale nie wpłynęło to na treść fragmentów poświęconych tym postaciom i sprawom w dzisiejszych szkolnych podręcznikach historii.*

J.Ł.: — Do roku 1939 Stanisław August miał w ogromnej więk-

szości bardzo złą „prasę” naukową i publicystyczną; podobnie Chłopicki i Skrzynecki z okresu Powstania Listopadowego. Zasadnicza zmiana poglądów na temat ostatniego króla Rzeczypospolitej nastąpiła po roku 1945, bez związku z jakimikolwiek nowymi badaniami, a tylko wskutek zmiany perspektywy dziejowej, z punktu widzenia której poczęto teraz spoglądać na postać Stanisława Augusta. Zaczęła dominować w historiografii apologia króla, który był znakomitym mecenasem sztuk, a że w dziedzinie politycznej wszystko spartolił, łącznie z szansą ułożenia współpracy z Petersburgiem na równoprawnych warunkach, to stało się podobno wskutek intryg niechętnych mu współczesnych i braku „szczęścia” dobrotliwego monarchy. O braku godności Stanisława Augusta w stosunkach z Petersburgiem, o kompromitującej gospodarce finansowej i zadłużeniu, o setkach moralnie nędznych indywiduów z zagranicy, których zwabiała do Warszawy perspektywa skorzystania z łask monarchy, o wpływie tego wszystkiego na skompromitowanie króla w oczach Katarzyny II i dworu rosyjskiego, co odbiło się boleśnie w latach 1787-1795, usiłuje się w ogóle zapomnieć. Mam nadzieję, że to, co zebrałem i ogłosiłem, a także to, co ze swoich badań mam zamiar jeszcze ogłosić, ukaże postać Stanisława Augusta we właściwym świetle. Czas i nastawienie opinii publicznej robią swoje. Moje publikacje na temat Królestwa Kongresowego i Powstania Listopadowego dały już skutek. Może nikły w świecie „oficjalnej” nauki historycznej, ale coraz bardziej widoczny w nastawieniu opinii publicznej. Mit nieudolnych generałów-patriotów z 1831 roku już się skończył. Nadeszły czasy rozumienia tamtych wydarzeń jako działania zręcznych polityków Królestwa, zatrwożonych perspektywą rzeczywistego „wybicia się Polski na niepodległość” i nieuchronnych tego skutków w życiu społecznym i politycznym kraju.

W.W.: — *Czy jest taki okres w naszej historii najnowszej, który czeka na pewnego rodzaju odkrycie, spopularyzowanie, okres, o którym zbyt mało jeszcze napisano?*

J.Ł.: — Można by na ten temat wygłosić cały wykład. Ogólnie rzecz biorąc, nie ma spraw, wydarzeń i problemów, które nie miałyby wystarczającego omówienia w historiografii polskiej, jeżeli tym określeniem obejmuje się to wszystko, co pisze i publikuje się zarówno w kraju, jak na emigracji. Bariery zasadniczą jest tu dostępność źródeł do historii najnowszej; nie ma prawie przykładu wyzyskania przy badaniach problemów najważniejszych najbardziej w tym zakresie istotnych archiwów ZSSR. Innym zupełnie problemem jest upowszechnienie w kraju uczciwej wiedzy o

najnowszej historii Polski. Nie powstały w kraju jakiegokolwiek rzetelne opracowania dotyczące okresu Polski międzywojennej (wyjąwszy dość zresztą liczne studia na tematy wybrane spośród zagadnień ustrojowych, społecznych i gospodarczych, ale już nigdy na temat polityki zagranicznej i stosunków z sąsiadami, zwłaszcza z ZSSR). Studia obejmujące całość zagadnienia, godne uwagi ale powstałe na emigracji (Władysław Pobóg-Malinowski, Paweł Zaremba) są w kraju praktycznie nieznane. Zgoła tragicznie wygląda historiografia dotycząca Polski Ludowej. Nie ma żadnego poważnego studium na temat nawet pierwszego 10-lecia (1944-1956), nie mówiąc o sprawach późniejszych. Z maniackim uporem unika się pisania o najistotniejszych aspektach bytu Polski w okresie 1944-1984: realnym wpływie stosunków sojuszniczych z ZSSR na rozwój gospodarczy, strukturę władzy państwowej, stosunki polityczno-społeczne i kontakty Polski z zagranicą, w warunkach PRL. Ogólnie rzecz biorąc, najnowsza historia Polski — ta dostępna społeczeństwu — jest zniekształcona i pełna przemilczeń.

W.W.: — *Jaką rolę w pisaniu odgrywa wyobraźnia, mimo że opiera się pan na dokumentach, listach, relacjach, pamiętnikach, wspomnieniach?*

J.Ł.: — Każdy autentyczny dokument z epoki, który można zobaczyć i dotknąć, pobudza wyobraźnię. To coś zupełnie innego niż obszerny nawet zbiór listów, ale opublikowanych w książce. Mimo to brak autentycznego dokumentu, autografu pierwszoplanowej postaci, nie wyklucza możliwości napisania o danych sprawach nawet sporej książki. Kiedy zbierałem materiały na temat syna Szczęsnego, Mieczysława Potockiego, nie udało mi się znaleźć ani jednego jego listu czy dokumentu przezeń podpisanego; jedynym autografem był wpis do księgi pamiątkowej gości w zamku Montrésor we Francji. Ogromnie to komplikuje „zobaczenie” postaci, bo trzeba oprzeć się na relacjach współczesnych, wspomnieniach ludzi, którzy znali „bohatera”. Zdołałem napisać o nim wiele, ale sądzę, że naprawdę nie poznałem w pełni jego charakteru, nie znalazłszy jego listów i osobistych dokumentów. Inaczej — bo miałem pełniejsze źródła — pisałem o „pięknej Bitynce”, Zofii Glavani-Wittowej-Potockiej, która chyba słusznie była uosobieniem idealnej urody w tamtej epoce. W swoim pisarstwie często dochodziłem do momentu, gdy o pewnych ważnych wydarzeniach nic nie wiedziałem. Nie ryzykuję wtedy domniemań, swojego rodzaju fabularyzacji. Piszę po prostu, że nie wiadomo nam, jak było naprawdę i co się rzeczywiście stało. W *Dziejach*

pięknej Bitynki jest kilka miejsc, w których informuję czytelnika, że po prostu nie wiem, co w danym okresie jej życia się działo. W swojej pracy badawczej i pisarskiej historyk musi czasami uznać, że nie potrafi dociec prawdy, i w niczym mu to ujmę nie przynosi.

W.W.: — *A czy pan w trakcie pisania potrafi zmienić stosunek do bohatera, polubić go lub też zniechęcić?*

J.Ł.: — Tak, w trakcie badań i pisania ulegam — rzecz naturalna — różnym emocjom i zmianom stosunek do głównej postaci. Tak było ze Stanisławem Augustem, którego początkowo trakto-
wałem bardzo pozytywnie, póki nie wgłębiłem się w lekturę jego poufnej korespondencji politycznej, przechowywanej głównie w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie. Sądzę, że przez następne lata badań poznałem go bardzo dobrze. Znam też w pełni epokę, w której żył i działał. Mam do Stanisława Augusta wiele pretensji, ale nie mogę powiedzieć, bym go zupełnie nie lubił. Mam do niego pewną słabość, ale ogólnie król zawodzi mnie i irytuje. W mojej optyce jest po prostu — jako mąż stanu — niepoważny, zbyt słaby charakterologicznie jak na monarchę Rzeczypospolitej w drugiej połowie XVIII wieku, rozchwiany i przesadnie nadśluchujący głosów z zewnątrz; jest naturalne, że z Petersburga, ale nie trzeba zapominać, że w stolicy Rosji sam własnym wysiłkiem dopracował się pozycji człowieka i polityka nie traktowanego poważnie. Powtarzam, że największą winą Stanisława Augusta jest to, iż zniweczył szanse partnerskiej współpracy politycznej Rzeczypospolitej z Rosją, sam się zdegradował do roli posłusznego narzędzia ambasadora Stackelberga, odrzucając sugestie utrzymania bezpośrednich, trudnych ale i obiecujących kontaktów z Petersburgiem. Ten arcyinteligentny i pełen wewnętrznie najlepszych intencji, ale słaby i niezdolny do czynu monarcha, był jednym z najważniejszych czynników prowadzących Rzeczpospolitą ku totalnemu unicestwieniu. Stanisław August zajmuje w moich badaniach i pisarstwie rolę chyba najważniejszą. Przykro mi i smutno, że muszę pisać o nim w tonie negacji. Wszelako muszę, bo chcę pozostać badaczem nie koniunkturalnym, ale reprezentującym prawdę, uzyskaną przez swoje badania. W ostatnich latach Stanisław August stał się patronem tych programów politycznych, które głoszą zdanie się na los uwarunkowań zewnętrznych, bez żadnej próby własnego działania polskiego. Patronat to logiczny, ale tym bardziej dla kraju niebezpieczny.

W.W.: — *Jakie widzi pan związki między myśleniem historycznym a działalnością polityczną?*

J.Ł.: — Należy pamiętać, że wszelka działalność polityczna musi się wywodzić z przeszłości, że przy działaniu bieżącym szuka się zawsze tradycji wyraźnie umiejscowionej w historii. Konieczne jest rozumienie rzeczywistej genezy tego, co się stało, a ponadto widzenie alternatyw — czy mogło być inaczej? Obca jest mi upowszechniona skłonność do myślenia w kategoriach nieuchronności rozwoju historycznego. Sądzę, że raczej ma Karl Popper twierdząc, że historia jest w pewnym sensie dziełem przypadku. Toteż to wszystko, co stało się w dziedzinie polityki, nie było na pewno konieczne ani nieuchronne. A nawet rozwój ekonomiczny... Zastanawiam się, czy po okresie mocarstwowego rozkwitu Imperium Romanum musiała nastąpić tysiącletnia epoka barbarzyństwa i średniowiecza? Dlaczego tak gwałtownie skurczyły się siły produkcyjne Europy śródziemnomorskiej? Przecież poziom sił wytwórczych z wieku II lub III po Chrystusie odzyskała Europa dopiero w wieku XVI. W tysiąc lat później. Nie można tego wytłumaczyć tzw. prawidłowością rozwoju historycznego. Sądzę, że ani w dziedzinie rozwoju ekonomicznego i społecznego, ani tym bardziej w dziedzinie zjawisk politycznych nie ma żadnym prawidłowości, a tym większa jest rola jednostek i grup politycznych.

W.W.: — *Czy potrzeba znajomości naszej historii, szukanie źródeł i genezy naszej teraźniejszości będzie w naszym społeczeństwie wzrastać?*

J.Ł.: — Sądzę, że tak. Historia będzie nam o tyle potrzebniejsza, o ile wzrastać w nas będzie autentyczna świadomość polityczna kraju. Coraz bardziej potrzebna nam będzie wiedza, co i dlaczego się stało, a także, jakich niebezpieczeństw należy unikać. Niektóre zaszłości polityczne uświadamiają nam, że coś było błędne, a nawet zbrodnicze i że nie wolno tego powtórzyć, bo skończy się to tragicznie. Martwi mnie, że zainteresowanie historią nie jest jeszcze powszechne. Owszem, wzrasta liczba osób zainteresowanych przeszłością, w księgarniach dobre (a jakże rzadkie) dzieła historyczne są dosłownie rozrywane; ale wątpić należy, czy dostatecznie wielu tych miłośników historii szuka w niej wyjaśnienia ważnych zjawisk współczesnych.

W.W.: — *Czy można postawić znak równości między świadomością historyczną a narodową?*

J.Ł.: — To nie to samo. Świadomość historyczna jest w moim rozumieniu pojęciem bogatszym i szerszym. Jeżeli chodzi o Polskę, jest rozumieniem dziedzictwa wielowiekowej Rzeczypospolitej, a zarazem związków Polski z dziedzictwem Europy, z kulturą zachodnioeuropejską. Istnieje natomiast niebezpieczna tendencja do zwązania pojęcia polskiej świadomości narodowej do tego, co dotyczy bezpośrednio ludzi mówiących po polsku. Zamyka to nas w swoistym zaścianku, doprowadza do triumfu egoizmu narodowego, odrywa od europejskiego uniwersalizmu. Polski na to nie stać. Naród polski liczy 37 milionów obywateli; można się zastanawiać, czy „aż”, czy „tylko”. Osobiście sędzę, że tylko... Gdyby Polska liczyła na przykład 80 milionów, nasza pozycja byłaby odmienna. Ale przy 37 milionach jesteśmy skazani na solidarną jedność z europejskimi sąsiadami, nawet bez względu na racje moralno-ideowe. Prosty rachunek polityczny to wskazuje. Razem z Czechosłowacją, Węgrami i Rumunią osiągamy ten magiczny poziom: liczbę 80 milionów.

W.W.: — *Co pana cieszy najbardziej: gorące polemiki po ukazaniu się nowej książki, listy czytelników, popularność, nagrody i wyróżnienia, czy też własna satysfakcja?*

J.Ł.: — Własna satysfakcja, że książka się udała. Wyczuwam to bez względu na reakcję zewnętrzną. Listów od czytelników otrzymuję niewiele. Ale docierają do mnie informacje, że ludzie moje książki cenią, rozmawiają o nich, aprobują moje poglądy, albo się z nimi spierają. To właśnie jest najważniejsze dla autora: wzbudzić dyskusję wokół swojego dzieła.

W.W.: — *Jeden z pana najostrzejszych polemistów i przeciwników, profesor Emanuel Rostworowski, pisze: „Chodzi zawsze i wszędzie w pracach naukowych o zbliżenie się do prawdy”. Przyzna pan, że w wielu swoich pracach naukowych pisze pan tak, jakby pana prawda była jedyna i niepodważalna.*

J.Ł.: — Każdy z historyków pisze w ten sposób, profesor Rostworowski ze swojego punktu widzenia także. Dowód na to, że historia — dziedzina wiedzy ściśle związana z polityką — nie jest nauką w pełnym tego słowa znaczeniu. Jest bardzo często wykładem poglądów politycznych, służących przeprowadzeniu tezy użytecznej na dzień dzisiejszy. Nie chcę wnikać w to, z czym związane są racje profesora Rostworowskiego, a z czym moje. Być może kiedyś przedyskutujemy to publicznie w sposób otwarty i szczerzy. Ja polemizuję, spieram się i walczę o przedstawienie

swoich ustaleń i poglądów, bowiem wierzę, że jestem bliższy prawdy. Pisuję o tych aspektach historii, które milcząca zgoda wśród większości historyków skazała na przemilczenie i zapomnienie. Moje upominanie się o to, o czym zapomniano, radykalizuje postawy moich polemistów. Powstaje w naszych dyskusjach obraz czarno-biały: Stanisław August jako ideał monarchy bez skazy, albo wizja Łojka — przedstawiająca wszystkie negatywne strony panowania ostatniego monarchy — ale w ocenie wielbieli króla niesprawiedliwa i krzywdząca. Nikt nie chce się przyznać, że nie idzie o króla jako monarchę Rzeczypospolitej w latach 1764-1795, że idzie o wnioski z tego na dzień dzisiejszy. Wyjściem z sytuacji byłaby może dyskusja w oparciu o te same, wyczerpujące problem dokumenty, przy odmiennej interpretacji wniosków przez obie strony. Wątpię, aby to było rzeczywiście możliwe. Moi przeciwnicy wielbiący postać i politykę Stanisława Augusta mają tę przewagę, iż nie muszą wykazywać, udowodnieniu jakich racji ich wywody naprawdę służą. Moja polemika musiałaby się spotkać z trudnościami obiektywnymi, chciałbym bowiem wskazać „czemu to służy”. Niepodobna.

W.W.: — *Spór o króla Stasia jest w rzeczy samej sporem o widzenie naszej rzeczywistości?*

J.Ł.: — Tak sędzę. Jest oczywiste, że w całym problemie, któremu na imię „Stanisław August”, najważniejszą rolę odgrywa zakamuflowany spór o politykę króla wobec wielkiego sąsiada i wywiązanie się z obowiązków wobec Rzeczypospolitej i narodu w tej właśnie dziedzinie. Przecież nie spieramy się w podobny sposób o króla Jana Kazimierza, który jest również postacią kontrowersyjną. Wystarczy jednak, aby ukazał się artykuł o Stanisławie Augustacie, a już mamy spory i polemiki. Ta postać ekscytuje, mimo upływu czasu, nieporównanie bardziej niż przed rokiem 1939. To właśnie jest znamienne.

W.W.: — *Czy zgodzi się pan ze zdaniem Teodora Parnickiego: „Historia składa się z wiadomości o faktach, oraz wiadomości, że fakty odpowiadają prawdzie”?*

J.Ł.: — To jedno, perwersyjne skądinąd intelektualnie, zdanie Parnickiego zmuszałoby do wielogodzinnej może dyskusji. Fakty historyczne nie istnieją inaczej niż w naszej świadomości, a myniemy z reguły, że nasza wizja tych faktów odpowiada prawdzie. Prawda w historii jest problemem złożonym, bo trzeba by zastanowić się nade wszystko, do jak drobnych faktów można redu-

kować wielkie wydarzenia czy całe procesy dziejowe. Czy stwierdzenie, że Ustawę Rządową uchwalono dnia 3 maja 1791 roku, można oddzielić od konstatacji, skąd się Ustawa wzięła i czym była? Od jakiego momentu kompletności informacyjnej zaczyna się prawda? Być może na tym polega największa trudność w pracy historyka.

Rozmowę przeprowadził Wojciech WIŚNIEWSKI

21 września 1984

Nota biograficzna i bibliograficzna

Jerzy ŁOJEK urodził się w Warszawie 3 września 1932 roku. Studiował na Wydziale Historycznym UW 1952-1956, tam się doktoryzował (1961) i uzyskał habilitację (1967). 1960-1982 pozostawał na etacie Pracowni Historii Czasopiśmiennictwa Instytutu Badań Literackich PAN, publikując zresztą książki, rozprawy i artykuły nie tylko z dziedziny historii prasy polskiej. W 1983 przeszedł na „przyspieszoną emeryturę” i zajął się przede wszystkim pisarstwem historycznym. Jest autorem 27 opublikowanych książek i kilkuset artykułów. Największy rozgłos zyskały: *Szanse Powstania Listopadowego* (1966 i 1980), *Dzieje pięknej Bitynki* (1970, 1972, 1975, 1982), *Wiek markiza de Sade* (1972, 1975, 1982), książki o sytuacji międzynarodowej Sejmu Czteroletniego, których łączne poszerzone wydanie ukazało się jako *Geneza i obalenie Konstytucji 3 Maja — Polityka zagraniczna Rzeczypospolitej 1787-1792* (1985). Był członkiem dawnego ZLP.

Tadeusz WYRWA

KOŚCIÓŁ I PAŃSTWO W PIERWSZYM DZIESIĘCIOLECIU PRL (na podstawie raportów dyplomatów francuskich)

Straty poniesione przez Kościół katolicki w Polsce podczas drugiej wojny światowej¹, zmiany terytorialne oraz nowy reżym polityczny, wrogi wszelkiej religii, stawiały przed hierarchią kościelną wielkie zadanie, tak w skali krajowej jak i powszechnej. Polska nie mogła uniknąć konfrontacji katolicyzmu z komunizmem, państwa totalitarnego i jego materialistycznej doktryny z instytucjami Kościoła i jego systemem wartości duchowych.

Na czele hierarchii kościelnej w Polsce stało w 1945 roku dwóch dostojników. Jeden przeżył okupację niemiecką w Polsce, drugi borykał się ze skutkami wojny na Zachodzie, w Rzymie i we Francji. Adam Sapieha, biskup krakowski, od 1946 kardynał, swoją nieugiętą postawą wobec władz hitlerowskich zyskał przydomek „księcia niezłomnego”. Cieszył się bardzo dużym szacunkiem nie tylko wśród duchowieństwa, lecz i szerokiego ogółu Polaków.

1. Z wszystkich grup społecznych i zawodowych duchowieństwo poniosło procentowo największe ofiary (nie licząc ludności żydowskiej). Dane statystyczne, wciąż niekompletne, wskazują że w okupowanej Polsce śmierć poniosło 1.932 księży diecezjalnych (w tym 6 biskupów) i kleryków, 850 zakonników oraz 289 sióstr zakonnych. W niektórych diecezjach straty księży dochodziły do 50 % stanu przedwojennego. Według: J. Kłoczowski, L. Müllerowa, J. Skarbek, *Zarys dziejów Kościoła katolickiego w Polsce*, Wydawnictwo Znak, Kraków 1986, str. 357.

Urodzony w 1867 roku, był po wojnie w sędziwym już wieku i to było głównym powodem, dla którego nie odegrał takiej roli, jaką mógł być odegrać, gdyby był młodszym.

Prymas Polski, kardynał August Hlond (urodzony w 1881) po wybuchu wojny opuścił Polskę i 18 września 1939 przybył do Rzymu, ażeby zdać Stolicy Apostolskiej sprawę z sytuacji w Polsce. Różne krążą wersje na temat przyjęcia Hlonda przez Papieża — podobno było chłodne². W ciągu następných miesięcy Hlond czynił za pośrednictwem Watykanu starania o powrót do okupowanej Polski, ale nie otrzymał zezwolenia od Niemców. Podczas pobytu w Rzymie Hlond rozwinął działalność na rzecz Polski, demaskował kłamstwa propagandy niemieckiej i informował o okrucieństwach hitlerowców. Opublikował dwa memoriały o sytuacji religijnej, oparte na konkretnych danych, jakie otrzymał z Polski.

Atmosfera panująca wówczas w Rzymie nie sprzyjała jednak działalności podjętej przez prymasa Hlonda. Potwierdził to również Francuz, dobrze zorientowany w stosunkach rzymskich: „Prymas, bardzo odosobniony w Watykanie... schronił się we Francji wiosną 1940 roku³”. Ówczesny ambasador Francji przy Watykanie, Władimir d'Ormesson, pisał w raporcie z 27 czerwca 1940: „Prymas Polski miał wyczuć, że Stolica Apostolska nie uważa przedłużenia jego pobytu w Rzymie za pożądane. W każdym razie, gdy kardynał Hlond stawił się u Piusa XII, aby go poinformować o swoim wyjeździe, Papież — jak mi mówił mój kolega polski [ambasador K. Papée] — miał nie nalegać na to, żeby nieobecność Prymasa była krótkotrwała [*n'aurait pas insisté pour que l'absence du Primat fût de courte durée*]⁴”.

Po przybyciu do Francji w pierwszej połowie czerwca 1940 Hlond zamieszkał w Lourdes. W 1942 roku starał się wyjechać z Francji, ale rząd Vichy, pod naciskiem Niemców, nie udzielił mu wizy wyjazdowej. W kwietniu 1943 schronił się w opactwie benedyktyńskim w Hautecombe w Sabaudii. Dnia 3 lutego 1944 został aresztowany przez Niemców i uwięziony najpierw w Paryżu, a później internowany w Bar-le-Duc i następnie wywieziony do Niemiec, gdzie wyzwoliła go armia amerykańska w pierwszych dniach kwietnia 1945. Ożywiona działalność prymasa Hlonda

2. *Vide: Zeszyty Historyczne* nr 72, str. 186.

3. Jean Chélini, *L'Eglise sous Pie XII. La Tourmente (1939-1945)*, Fayard, Paryż 1983, str. 132.

4. Według Archives du ministère des Affaires étrangères w Paryżu, Série: Guerre 1939-1945, Z Vichy - Europe, Pologne, Dossier nr 909.

da na terenie Francji do chwili jego aresztowania przez Gestapo stanowi temat do odrębnego opracowania⁵.



Po uwolnieniu Hlond jedzie do Rzymu i 30 kwietnia 1945 zostaje przyjęty przez Papieża. Pius XII wyposaża go w nadzwyczajne pełnomocnictwa i 20 lipca Hlond przyjeżdża do Polski. W dziejach Kościoła katolickiego w Polsce rozpoczął się nowy okres, prawdopodobnie najbardziej wstrząsający, jaki zna nasza historia i nie tylko zresztą nasza, gdyż ścieranie się różnych systemów wartości, o nieznanym dotychczas nasileniu, odbywa się dzisiaj w skali nawet już nie europejskiej, lecz światowej. Jest to jednocześnie okres — jak potwierdzili ostatnio autorzy dziejów Kościoła katolickiego w Polsce — do którego brak „źródłowych badań naukowych” i jeśli chodzi o historię polskiego chrześcijaństwa, „poważniejsze badania są zaledwie zapoczątkowane⁶”. Raporty dyplomatów francuskich stanowią również jedno z dotychczas niewykorzystanych źródeł⁷.

Ambasadorem rządu generała de Gaulle'a przy Stolicy Apostolskiej w 1945 roku był Jacques Maritain, który w raporcie z 20 lipca, informując o powrocie Hlonda do Polski, pisał: „Prawdopodobne jest, że Prałat ma zlecone zdanie sprawy z sytuacji życia religijnego w Polsce. Jeżeli dostateczne gwarancje w tej dziedzinie będą udzielone, to droga do uznania — w każdym razie, wydaje się, bliskiego — nowego rządu polskiego przez Stolicę Apostolską będzie otwarta. Zbyteczne byłoby podkreślanie znaczenia, jakie miałyby ta decyzja dla przyszłości katolicyzmu w Europie środkowej i jakie mogłyby mieć konsekwencje dla stosunków między Kościołem i ZSSR. Jeśli weźmie się pod uwagę uczucia kardynała dla Rosji podczas jego pobytu w Rzymie, to nie można

5. Sporo daanych zawiera zwięzły artykuł Stanisława Wilka SDB pt. „Losy wojenne kardynała Augusta Hlonda” w *Więzi* nr 10/1980, Warszawa, str. 95-110.

6. J. Kłoczowski, L. Müllerowa, J. Skarbek, *op. cit.*, str. 374.

7. Niniejsze opracowanie oparte jest na dokumentacji, która znajduje się w archiwach francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Paryżu. W kilkunastu grubych teczkach z napisem „Polska — stosunki ze Stolicą Apostolską. Kwestia żydowska” najciekawsze są raporty Francuzów. W niektórych teczkach nie ma nawet żadnej wzmianki o kwestii żydowskiej — z wyjątkiem napisu na tytułowej stronie te czki. Tradycyjna etykieta antysemityzmu polskiego przetrwała wszystkie wojenne i powojenne wstrząsy.

Vide: Archives du ministère des Affaires étrangères w Paryżu, Série: Z Europe 1944-1949, Pologne, Relations avec le Saint-Siège. Question juive, Dossier 52-54 i Série: Z Europe 1949-1955, Dossiers 40-47. Od dwu lat te czki dotyczące Polski są ponownie segregowane przez pracowników ministerstwa i numeracja niektórych ulega zmianie.

zresztą być pewnym, czy informacje, które dostarczy Stolicy Apostolskiej będą wolne od wszelkich uprzedzeń”.

Maritain pisał ten raport w okresie, gdy polityka generała de Gaulle'a nastawiona była na ścisłą współpracę z Moskwą, zapoczątkowaną już podczas wojny i umiejętnie wykorzystaną przez francuską partię komunistyczną, która dzięki de Gaulle'owi została zrehabilitowana za swoją działalność do czerwca 1941 i Maurice Thorez, sekretarz generalny tej partii, który po dezercji w 1939 schronił się do Moskwy, został przez de Gaulle'a ułaskawiony i mianowany ministrem w jego rządzie. Maritain, filozof i pisarz katolicki, wyznawca tzw. „katolicyzmu otwartego” okazał się również „otwarty” dla symbiozy katolicyzmu z komunizmem.

W wyżej cytowanym raporcie Maritain donosił, że Papée, ambasador Polski i dziekan korpusu dyplomatycznego przy Stolicy Apostolskiej, „potwierdził publicznie swoją wierność rządowi londyńskiemu i swoją solidarność z generałami polskimi. Krąży pogłoska, że Sekretariat Stanu miał zalecić p. Papée, ażeby rządziem czynił urzędowe zabiegi i zachował pewną powściągliwość w stosunkach z otoczeniem Watykanu”.

Kilka dni po zerwaniu przez reżym komunistyczny konkordatu ze Stolicą Apostolską⁸ Maritain informował, w telegramie z 20 września 1945, swoje ministerstwo w Paryżu: „Wydaje się, że wypowiedzenie konkordatu przez rząd warszawski wywołało zdziwienie w środowisku Watykanu, które okazało się tą decyzją bardzo poruszone”.

W związku z komunikatem pierwszej Konferencji Episkopatu, która odbyła się na Jasnej Górze 3 i 4 października 1945, gdzie m.in. biskupi polscy podkreślili potrzebę jedności wiernych, przestrzegania zasad religii katolickiej i szacunku dla Papieża, Jean de Beausse, *chargé d'affaires* Francji w Warszawie, pisał w raporcie z 19 października: „Z lektury tego komunikatu, zredagowanego w ostrożnych słowach, wynika że Episkopat polski pragnie zachować niezależność i nie chce za żadną cenę wiązać się z obecnym rządem... Prymas Polski, który przez kilka lat przebywał we Francji i mógł na miejscu ocenić reakcje naszego Episkopatu wobec reżimu Vichy, chce jak się wydaje uniknąć powtórzenia się podobnych błędów w jego kraju. Biskupi obawiają się, aby zbyt uwydatnione przyzgnięcie do obecnego rządu nie zostało im później wypomniane jako zawiniona 'kolaboracja' i taki wydaje się być również punkt widzenia Watykanu”.

Jean Bourdeillette, *chargé d'affaires* Francji przy Watykanie, w raporcie z 12 stycznia 1946 donosił: „Ambasador Polski,

8. Chodzi o konkordat z 1925 roku.

p. Papée, akredytowany przy Stolicy Apostolskiej przez rząd polski z Londynu⁹, był dotychczas uważany przez Sekretariat Stanu za przedstawiciela swojego rządu; sprawował on również w dalszym ciągu funkcję dziekana korpusu dyplomatycznego. Sytuacji tej położono kres. Przy tradycyjnym składaniu życzeń Ojcu Świętemu p. Papée został przyjęty osobno, dzień przed swymi kolegami i *Osservatore Romano* nie wymienił go w sprawozdaniu jako ambasadora Polski. P. Papée wystosował protest do Sekretariatu Stanu, na który nie otrzymał jeszcze odpowiedzi, ale który niewątpliwie spowoduje zajęcie jasnego stanowiska przez Stolicę Apostolską. Mons. Montini¹⁰ prosił ambasadora Belgii o pełnienie już od teraz funkcji dziekana korpusu dyplomatycznego. W środowisku rzymskim wszyscy myślą, że stanowisko zajęte przez Sekretariat Stanu wobec reprezentanta rządu polskiego w Londynie każe przewidywać bliską ewolucję stosunków między Watykanem i rządem z Warszawy. Przybycie do Rzymu mons. Sapięhy nabiera w tych okolicznościach szczególnego znaczenia, albowiem nowy kardynał¹¹ jest od dłuższego czasu uważany za najlepiej kwalifikowanego do pośredniczenia między Rzymem i Warszawą”.

Wiadomo, że Papée pełnił jednak w dalszym ciągu funkcję ambasadora Polski i dziekana korpusu dyplomatycznego przy Stolicy Apostolskiej. Przeształ być uznawany ambasadorem za pontyfikatu Jana XXIII; otrzymał wówczas, w 1958 roku, statut „kierownika spraw” [*gerente degli affari*], a w październiku 1972 został pozbawiony nawet i tego, pozornego już właściwie kierownictwa sprawami Polski przy Watykanie.

Ambasador Francji w Warszawie, Roger Garreau, pisał również w raporcie z 31 stycznia 1946, że „osobowość tego prałata [Sapięhy], prestiż jakim się cieszy z powodu nieugiętej postawy podczas całej okupacji niemieckiej, przeznaczały go szczególnie do roli nieoficjalnego pośrednika między Rzymem i Warszawą. Możliwe jest przeto, że podróż nowego kardynała doprowadzi do uśmierzenia kampanii prasowej, prowadzonej w Polsce przeciwko Watykanowi i jednocześnie skłoni Sekretariat Stanu do ponownego przemyślenia problemu stosunków tak z reprezentantem byłego rządu w Londynie, jak i z rządem jedności narodowej¹²”.

9. Informacja błędna, Papée złożył listy uwierzytelniające 24 lipca 1939.

10. Patrz notę nr 16.

11. Sapięha został mianowany kardynałem w styczniu 1946.

12. Roger Garreau, pierwszy ambasador Francji w Polsce po drugiej wojnie światowej, przyjechał do Warszawy z Moskwy, dokąd został wysłany przez de Gaulle'a w lutym 1942. Pod silnym wpływem propagandy najpierw sowieckiej, a później reżymowej w Warszawie, Garreau reprezentował klasyczny typ dyplomaty zachodniego, jeśli chodzi o brak znajomości problemów Europy środkowowschodniej.

W raporcie z 26 marca 1946 Garreau donosił: „Wybitny członek duchowieństwa polskiego, były minister rządu londyńskiego, który w październiku powrócił z Anglii¹³, wyłożył mi w ciągu długiej rozmowy swój punkt widzenia na sytuację Kościoła w Polsce. Mój rozmówca, który na szczęście nie podziela uprzedzeń swoich rodaków, ocenia obecną sytuację z dużą bezstronnością i sądzi, że przyszłość Polski zależy od powolnej ewolucji. Nie chodzi o to, ażeby dokonać przewrotu istniejącego stanu rzeczy, lecz aby stan ten ulepszyć i uważa, że od jego przyjazdu dużo zostało w tym sensie zrobione. 'Na początku — oświadczył mi — jego rodacy żyli w oczekiwaniu na pomoc z Londynu lub z Waszyngtonu; dzisiaj zaczynają rozumieć, że ocalenie przyjsć może jedynie od nich samych i dlatego też zabrali się rezolutnie do pracy'. Nie będąc w żaden sposób przeciwny porozumieniu z Sowietami, duchowny ten przyznaje jednak, że podstawowe trudności pochodzą od nich, a szczególnie od zaufanego grona ludzi, w większości rosyjskich izraelitów, którzy zostali ulokowani na kierowniczych stanowiskach. Oni to właśnie wywierają specjalnie szkodliwy wpływ i — jeżeli wierzyć mojemu rozmówcy — inni izraelici, polscy tym razem, mają czuć się zmuszeni do opuszczenia kraju ze względu na wzrastający antysemityzm. Z punktu widzenia religijnego, to ci właśnie agenci sowieccy uniemożliwiali dotychczas wszelkie trwałe zbliżenie z Kościołem. Ale jak na razie nie można jednak mówić o prześladowaniu”.

Po powrocie z Rzymu kardynała Sapiemy konsul Francji w Krakowie¹⁴, Alphonse Droz, złożył mu wizytę, po której pisał w raporcie z 2 kwietnia 1946: „Jego Eminencja powiedział mi z pewnym rozgoryczeniem, że Zachodowi brak wyobraźni i właściwego pojęcia o życiu w Polsce. Kardynał nie wierzy w możliwość pokojowego uregulowania problemu polskiego; patrzy z dużą obawą na rozciągający się nad Polską cień jej wielkiej sąsiadki”.

W raporcie z 15 czerwca 1946, ambasador Garreau donosił: „Jeden z moich współpracowników otrzymał od osobistości duchownej, szczególnie dobrze poinformowanej, sporą ilość wiadomości o stosunkach między Kościołem i państwem w Polsce. Stosunki te, oświadczył mój informator, nie były nigdy tak napięte jak dzisiaj i na dniach jest oczekiwana inicjatywa przeciwko duchowieństwu, którego 90 % jest zresztą, według niego, całkowicie przeciwne obecnej polityce, z czego nie robi żadnej tajem-

13. Mowa jest zapewne o księdzu Zygmuncie Kaczyńskim.

14. W okresie tym przedstawicielem konsularnym Francji w Krakowie był *chargé de la chancellerie détachée*; oficjalnie ranga konsula przysługiwała mu dopiero od 11 maja 1946.

nicy. Można było oczekiwać w tej ziemi polepszenia stosunków. Nieoficjalne kontakty zostały nawiązane między emisariuszami rządu i księdzem ze stolicy i rozmowy okazały się dość zadowalające... Nominacja kardynała Hlonda na arcybiskupstwo w Warszawie¹⁵ — dokonana zresztą bez żadnego uzgodnienia z rządem — położyła nagle kres tym stosunkom, które nie wydają się być bliskie wznowienia. Nowy arcybiskup, chociaż nie podziela idei ultrareakcyjnych swojego duchowieństwa, może istotnie nie potrafił manewrować z niezbędnym wyczuciem sytuacji. Wydaje się, że szczególnie jego odmowa, po powrocie do Polski, nawiązania kontaktu z prezydentem Bierutem i p. Osóbką-Morawskim bardzo źle usposobiła do niego władze... Z uwagi na to, że znakomita większość ludności pozostała głęboko przywiązana do katolicyzmu i że duchowieństwo ma duży wpływ, można jedynie ubolewać nad jego wojowniczą postawą”.

W następnym raporcie, z dnia 19 czerwca 1946, Garreau przypomina, że dziewięć miesięcy temu rząd z Warszawy zerwał konkordat i od tego czasu sytuacja nie uległa zmianie, nie widać żadnego znaku odprężenia. „Przyczyny tego — twierdzi dalej ambasador — należy jednocześnie szukać w postawie rządu polskiego, w postawie duchowieństwa i wiernych oraz w postawie Watykanu”. Jeśli chodzi o rząd, wyjaśnia Garreau, to pomimo że większość jego członków nie żywi dla Kościoła sympatii, wolą jednak nie atakować go wprost i „pragnęliby nawet wejść w kompromis, który pozwoliłby ustalenie *modus vivendi*, mogący jedynie wzmocnić ich władzę, ale oni nie chcą zrobić pierwszego kroku. Wice-minister spraw zagranicznych oświadczył mi już jakiś czas temu, że rząd był gotów pertraktować z Watykanem, pod warunkiem jednak, że inicjatywa wyjdzie z Watykanu. Otóż to jest dokładnie to, czego Watykan wydaje się nie chce zrobić, zachęcony prawie jednomyślną postawą duchowieństwa i narodu polskiego, którzy traktują obecny rząd tak jak patrioci francuscy traktowali rząd Pétaina. Słusznie czy niesłusznie, znakomita większość narodu polskiego wierzy w bliską wojnę między ZSSR i Anglosasami. Wielu oczekuje nawet wojny i sądzi, że reżym obecny jest istotnie tymczasowy. W tych warunkach nie warto jest zbliżać się do niego i kompromitować w ten sposób przyszłość”.

„Opinię tę — kontynuuje Garreau — podzielają niestety duchowieństwo i Episkopat polski, którzy — zamiast przewodzić

15. Chodzi o nominację kardynała Hlonda arcybiskupem warszawskim. Jako arcybiskup gnieźnieński Hlond miał siedzibę w Poznaniu i w 1946 roku unia kościelna połączyła Gniezno z Warszawą, która odtąd stała się siedzibą prymasa Polski.

wiernym — ulegają im i nieugięcie tkwią w bezpłodnej opozycji. Kardynał Hlond, nowy arcybiskup Warszawy, pomimo bardzo istotnych zalet nie wydaje się być człowiekiem przeznaczonym, żeby doprowadzić do takiego zbliżenia. Jeśli chodzi o Watykan, to od wielu miesięcy prasa prowadzi kampanię przeciwko jego polityce. Zbyt dużo postawionych zarzutów jest niestety słusznych i wierni — jak mi wyznał dyrektor tygodnika katolickiego z Warszawy — są w głębi duszy zgorzzeni tym, że po zachowaniu milczenia podczas wojny, Stolica Apostolska wydaje się brać w obronę 'biednych Niemców' prześladowanych przez Polaków. Nadto fakt, że były ambasador rządu polskiego w Londynie jest ciągle w Rzymie może słusznie dziwić. Żywioty emigracji intrygują nieustannie przy Kurii Rzymskiej i bynajmniej nie ułatwiają zbliżenia”.

Miesiąc później Garreau, w telegramie z 17 lipca, znowu informował swoje ministerstwo w Paryżu, że stosunki kardynała Hlonda z rządem polskim są coraz bardziej napięte i nie jest wykluczone, jak przypuszcza jeden z księży, że zostanie on wydalony z kraju. Garreau ubolewa, że „Stolica Apostolska nie jest prawdopodobnie skłonna do ukarania prałata, którego ostatnio przeniosła, w sposób niepożądany, na arcybiskupstwo Warszawy”. Powtarza raz jeszcze, że Hlond po powrocie do kraju sądził, że „nie jest obowiązany złożyć wizyty prezydentowi Bierutowi” i znalazł się w błędnej sytuacji „wobec rządu, który w dalszym ciągu ignoruje”.

W raporcie z podpisem Jean de Beausse, *chargé d'affaires*, który Garreau wysłał od siebie do Paryża, z datą 7 stycznia 1947, autor pisze, że jeden z jego współpracowników złożył wizytę kardynałowi Sapieszce w Krakowie. Kończąc rozmowę, „Sapiecha wyraził nadzieję, że stan rzeczy istniejący w Polsce ulegnie zmianie w bliskiej przyszłości. 'Niech pan powiadomi swój rząd — powiedział — że wiele oczekujemy od Francji. Przez swoje położenie między światem sowieckim i anglosaskim, Francja może dużo dla nas zrobić na konferencjach, które w marcu rozpoczynają się w Moskwie. I nie znajdzie jednego Polaka, który nie pragnąłby, żeby otrzymała satysfakcję stając na Kremlu w obronie Polski naprawdę wolnej i niepodległej, której zostałyby oddana kontrola nad własnym losem'”.

Etienne Jalenques, pełniący w zastępstwie funkcję *chargé d'affaires* Francji w Warszawie, pisze w raporcie z 28 lipca 1947, że rozmawiał ostatnio ze znanym prałatem, który potwierdził, że stosunki Kościoła z państwem polskim są bardzo złe i „w Polsce nie będzie ani nuncjusza, ani delegata apostolskiego, jedynie może

tylko wizytator apostolski, ale też tylko na bardzo krótko. To jest kwestia moralna. Kościół jest z natury swojej obrońcą moralności. A co dzieje się w Polsce? Wybory zostały sfałszowane, rząd uzurpował sobie władzę, to jest niemoralne. Czy możemy się do tego przyłączyć? Nie. Nie możemy pod pretekstem ocalenia kilku katolików polskich uderzyć w samą bazę Kościoła. Z tego punktu widzenia jesteśmy tutaj z narodem polskim. Nasz kardynał ma władzę nuncjusza”.

W czerwcu 1947 kardynał Sapięha przebywał w Rzymie. W wyniku jego tam pobytu francuskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych wysłało, z datą 14 sierpnia, do swojej ambasady przy Stolicy Apostolskiej informacje, jakie na ten temat otrzymano w Paryżu, nie podając jednak źródła. Według tych informacji Sapięha „ostrzegł Stolicę Apostolską przed propozycjami, które są jej robione, a które zmierzają do osiągnięcia przez rząd z Warszawy zawarcia konkordatu, który byłby interpretowany przez masy katolickie w Polsce i w całym świecie jako inwestytura nadana temu rządowi. Kardynał mógł skonstatować, że chociaż Stolica Apostolska nie mogła zostać głucha na jego zażalenia, to niemniej pragnęłaby nawiązać stosunki z rządem polskim, ale pod wyraźnym warunkiem, że katolicy polscy będą mieć prawdziwą, a nie pozorną wolność... Jeśli chodzi o sytuację światową, to według Watykanu zwiastuje ona wojnę. Stąd, mimo że Watykan potępia ideologię materialistyczną, stara się przygotować do zachowania neutralności w przyszłym konflikcie, tak jak ją zachował podczas ostatniej wojny”.

Jean Bourdeillette, *attaché d'affaires* Francji przy Stolicy Apostolskiej, po otrzymaniu z ministerstwa informacji, o których wyżej jest mowa, wysłał do Paryża raport z datą 29 sierpnia 1947, gdzie potwierdził, że Sapięha w czasie pobytu w Rzymie „przedstawił rzeczywiście bardzo ponuro sytuację katolików w Polsce”. Jeśli chodzi o nawiązanie stosunków z rządem polskim, to „Stolica Apostolska oświadczyła gotowość dostosowania swojej decyzji do postawy biskupów polskich”. Co dotyczy sytuacji w świecie, to „mimo kontynuowania walki przeciwko komunizmowi i popierania jak tylko to możliwe inicjatyw w rodzaju planu Marshalla, opartego niewątpliwie na idei solidarności międzynarodowej i wiary w cywilizację zachodnią — jedyną postawą, jaką Stolica Apostolska może przyjąć i jaką winna zanotować historia, jest postawa neutralności pokojowej. Szczególną uwagę kardynała Sapięhy i środowiska polskiego przyciągnęło to, że zajęcie tego stanowiska wydaje się ujawniać bardzo pesymistyczny pogląd na sytuację międzynarodową”. Przechodząc następnie do pesymizmu

Montiniego¹⁶, Tisseranta¹⁷ i Tardiniego¹⁸, autor raportu pisze: „Prażą ci są przekonani, że dla Kościoła katolickiego nadchodzi era prześladowań, najpierw w krajach zawładniętych obecnie przez ZSSR, potem w całej Europie, która wkrótce — jak mówią — będzie okupowana przez Rosjan”.



Konsul Francji w Szczecinie, Jacques Leguèbe, usiłujący poznać bliżej problemy Polski¹⁹, pisze w raporcie z 14 maja 1948: „Większość konfliktów w Polsce toczy się obecnie na zamkniętej przestrzeni między państwem, które dysponuje wszelkimi środkami presji fizycznej i moralnej, a ludnością, pozbawioną wszelkiej pomocy z zewnątrz... Partia komunistyczna i Kościół robią wrażenie, że żyją obok siebie, przestrzegając reguły cichego porozumienia... Jedyne wtajemniczeni wiedzą, co się rzeczywiście dzieje za tymi pozorami spokoju. Dla tych wtajemniczonych, z jednego i drugiego obozu, jest rzeczą oczywistą, że nie może zaistnieć żaden kompromis między państwem, które neguje istnienie Boga i duszy a Kościołem, który pretenduje do roli schronienia i przewodnika dla dusz. W ich oczach konflikt jest nieunikniony i bez odwołania... Polska posiada niezwykłych i makiawelicznych przywódców; nie ma jednak Lenina ani ekipy filozoficznej, dającej się porównać do ekip, które kierują partiami we Francji i we Włoszech... Polska partia komunistyczna nie może oczekiwać, że wygra wiele w debacie akademickiej z Kościołem”.

Jean de Beausse nie miał złudzeń, czemu dał wyraz w raporcie z 2 sierpnia 1948, że po kampanii antykatolickiej w Rumunii i na Węgrzech „w Polsce mnożą się ataki nękające Kościół i duchowieństwo. Kleszcze zacieśniają się wokół Kościoła... Ofensywa generalna jeszcze się nie rozpoczęła, ale wszystko jest przygotowane, żeby ją rozpetać”.

W tej sytuacji umiera, dnia 22 października 1948, prymas Hlond. Jak miał powiedzieć wtedy kardynał Sapieha, co zanotował konsul w Krakowie, Henri Léautier, w raporcie z 15 listopada: „Hlond popełnił w swoim życiu dwa błędy: był nieobecny w Polsce podczas wojny i zbyt wcześnie umarł”.

Ambasadorem Francji w Polsce był wówczas Jean Baelen, który w raporcie z 27 października pisał: „Po powrocie do

16. G. B. Montini pracował w 1923 roku w nuncjaturze warszawskiej. Wybrany Papieżem w 1963, przybrał imię Pawła VI.

17. D. Tardini, podsekretarz Stanu. On i Montini byli przez dłuższy czas głównymi doradcami Piusa XII.

18. E. Tisserant, kardynał francuski, dziekan Świętego Kolegium.

19. *Vide: Zeszyty Historyczne* nr 71, str. 208 i nast.

Polski w 1945 roku Hlond prowadził delikatne rokowania, usiłując uregulować stosunki między Kościołem i państwem. Po długich pertraktacjach przekonał się, że zgoda nie jest możliwa do osiągnięcia. Hlond uważał, że rząd, który utwierdził swoją władzę dzięki sfałszowanym wyborom i który rządzi krajem w sposób sprzeczny z opinią większości i za pomocą siły, jest niemoralny. Prymas sądził, że Kościół, mając oparcie w 90 % ludności, nie powinien w niczym ustępować ze swoich przywilejów i praw i że każde ustępstwo na rzecz władzy tymczasowej byłoby przeciwne interesom kościelnym. Kilka dni przed śmiercią Hlond zwierzył się p. de Beausse [wyżej cytowany *chargé d'affaires* — T.W.] ze swojego przekonania, że Polska stanie się wkrótce jedną z republik sowieckich”.

„Prymas nie był specjalnym frankofilem — kontynuuje ambasador Baelen. — Wpływ na jego postawę wywarły również motywy natury osobistej, szczególnie podobno zbyt mało okazanych mu względów w czasie jego przymusowego pobytu w naszym kraju w latach 1940-1945. Wydaje się jednak, że w ostatnim roku dokonała się w jego umyśle pewna ewolucja na naszą korzyść²⁰. Hlond nie cieszył się taką popularnością jak kardynał Sapieha... Był wszakże szanowany. Jego nieugiętość wobec rządu i zajęte przez niego stanowisko na korzyść nowych granic Polski zyskały mu dużo sympatii... Kościół w Polsce stracił swojego przywódcę w chwili rozgorzenia walki”.

Konsul w Krakowie, Henri Léautier, potwierdził w raporcie z 15 listopada 1948, że „choć polityka kardynała Hlonda wobec rządu nie zawsze była jednomyślnie aprobowana przez Episkopat, który zarzucał mu, że w pewnych okolicznościach postawa jego była zbyt negatywna, to jednak jest pewne, iż autorytet moralny tego praelata o skłonnościach do mistycznego ascetyzmu był bardzo duży. Po czterech latach przymusowego wygnania, które mu wymawiali jego przeciwnicy, Hlond potrafił w trudnych latach po wojnie zjednoczyć wokół siebie Kościół w Polsce, ażeby stawić czoło różnym atakom skierowanym przeciwko niemu... Podczas tych trzech lat powtarzające się usiłowania przeciwników Kościoła, aby rozbić ten blok, spełzyły na niczym dzięki zwartej postawie duchowieństwa i wiernych stojących przy swoim kardynale, jedynym który był uprawniony do reprezentowania ich wobec władz

20. Jak już wspominałem na wstępie, pobyt prymasa Hlonda we Francji stanowi temat odrębny. Na razie chciałbym przynajmniej wyrazić przypuszczenie, że prymas Hlond, jeśli chodzi o okres wojenny, nie żywił chyba urazy do narodu francuskiego, gdyż do momentu aresztowania go przez Gestapo żył i działał w warunkach dużo lepszych niż księży w Polsce pod okupacją; mógł natomiast mieć pretensje do funkcjonariuszy rządu Vichy.

publicznych". Postawa ta była tym bardziej godna uwagi, jak pisze dalej konsul Léautier, że „rozbieżność zapatrywań istniejąca między kardynałami Hlondem i Sapiehą była dosyć dobrze znana. Odejście kardynała Hlonda może wywołać kryzys autorytetu w łonie Kościoła w Polsce, czego nie omieszka wykorzystać rządowa polityka antykatolicka. Episkopat polski, doskonale świadomy tego niebezpieczeństwa, pragnie w obecnym stanie rzeczy zapobiec możliwie jak najszybciej temu kryzysowi”.



Naglącym problemem był wybór nowego prymasa. Ambasador Baelen pisał w raporcie z 17 listopada 1948, że „jest do przewidzenia, iż będzie się unikać [wśród kandydatów] prałatów znanych z nieprzejechania wobec dzisiejszych władców i odnoszących tylko kandydaturę, ogólnie najbardziej przewidywaną, mons. Wyszyńskiego, biskupa z Lublina, bardzo młodego i nade wszystko cenionego za znajomość teologii i kwalifikacje administracyjne”.

W raporcie z 12 stycznia 1949 Baelen, pisząc na temat mianowania Wyszyńskiego, dwa miesiące po zgonie Hlonda, prymasem Polski, podkreśla że okoliczności zmusiły Watykan do szybkiego podjęcia decyzji, ale „nie wydaje się, żeby mianowanie nowego Prymasa przyniosło oczekiwane odprężenie w stosunkach między Kościołem i państwem. Rząd przyjął tę nominację wyraźnie wrogo”.

Ambasador d'Ormesson pisał 14 stycznia 1949 z Rzymu: „Kardynał Hlond wyznaczył w swoim testamencie duchowym na swojego następcę Wyszyńskiego i Stolica Apostolska, po jego śmierci, zostawiła jeszcze poniekąd zmarłemu Kardynałowi sprawowanie władzy, której mu udzieliła za życia. Były ambasador Polski przy Stolicy Apostolskiej p. Papée, który w dalszym ciągu mieszka tutaj, cieszy się w Watykanie sytuacją dość specjalną i nadal ma doń dostęp, nie ukrywa zadowolenia z wyboru, jaki dokonał Ojciec Święty. Jest szczególnie zadowolony z pośpiechu, z jakim została dokonana ta nominacja... Przy tej okazji Papée przypomniał mi, że jeżeli zajdzie wypadek wakansu legalnej władzy cywilnej, to, zgodnie z tradycją jego kraju, władza nadzwyczajna przechodzi w ręce prymasa, który staje się niejako suwerennym przewodnikiem narodu²¹. Całkowity wakans władzy jest ewentualnością, którą uchodźcy polscy ciągle mają na myśli i która

21. Mowa jest tutaj o sprawowaniu władzy w dawnej Polsce podczas bezkrólewia. Władzę tę sprawował *interrex*, którym od 1573 roku był z urzędu prymas Polski.

jest powodem, że przywiązują szczególne znaczenie do mianowania Wyszyńskiego prymasem Polski”.

Wiele miesięcy później d'Ormesson wysłał do Paryża raport z datą 28 października 1949, oparty głównie, jak sam pisze, na informacjach, które otrzymał od Papée. Na wstępie ambasador Francji wyjaśnia, że „przez fikcję, której jest tutaj kilka przykładów, Papée jest w dalszym ciągu traktowany jak gdyby stałe wchodził w skład korpusu dyplomatycznego, którego byłby zresztą dziekanem, gdyby dobrowolnie nie uchylił się od tego stanowiska”.

Następnie d'Ormesson potwierdza, że „Stolica Apostolska jest w dużej mierze informowana o sytuacji w Polsce za pośrednictwem Papée. Według niego rząd warszawski usiłuje pertraktować z Episkopatem polskim bez interwencji Stolicy Apostolskiej, ażeby udowodnić opinii publicznej, że gdy nie ma przedstawicieli Watykanu po to, aby rozstrząsać sprawy, to można łatwo dojść do porozumienia między Kościołem i demokracjami ludowymi. Pomimo nonsensu, jakim byłoby nazwanie tego porozumienia „konkordatem”, rząd warszawski nie zawahałby się tak go określić celem wprowadzenia w błąd ludowych warstw ludności. Pułapka jest zbyt prostacka i biskupi nie dali się w ten potrzask złapać. Obecnie spróbują lawirować, żeby zyskać na czasie, nie licząc jednak na przyszłość, że przyniesie ona polubowne rozwiązanie problemu, co do którego — w świetle precedensów z Rumunii, Węgier i Czechosłowacji — wszyscy są zgodni, iż jest bez wyjścia. Jedynie wojna, w formie jak najbardziej groźnej, a mianowicie nowego konfliktu światowego, byłaby w stanie, wydaje im się, rozwiązać tę sytuację. Toteż okazuje się, że jak tylko mają po temu okazję, nie przestają dowiadywać się w Rzymie o szanse bliskiego wybuchu wojny. Odpowiedź Watykanu zawiodłaby ich oczekiwania, ale utwierdziłaby ich w przekonaniu, że jedyną możliwą polityką jest przeto polityka grania na zwłokę i trzymania się możliwie jak najdłużej”.



Dnia 14 kwietnia 1950 roku podpisane zostało porozumienie między przedstawicielami reżymu i Episkopatu polskiego, gdzie w zamian za pewną niezależność Kościoła Episkopat zobowiązał się m.in. „szanować prawa i władzę państwową”, „przeciwstawiać się wrogiej Polsce działalności”, „potępiać wszelkie wystąpienia antypaństwowe”, „zwalczać zbrodniczą działalność band podziemnych oraz piętnować i karać konsekwencjami kanonicznymi duchownych, winnych udziału w jakiegokolwiek akcji podziemnej i antypań-

stwowej”, „popierać wszelkie wysiłki do utrwalenia pokoju”, „przeciwstawiać się wszelkim dążeniom do wywołania wojny”, „nie przeciwstawiać się rozbudowie spółdzielczości na wsi” [chodzi oczywiście o kolektywizację]. Porozumienie to²² było pierwszym tego rodzaju aktem w państwach rządzonych przez komunistów.

Trzy dni po podpisaniu porozumienia ambasador Baelen pisał z Warszawy w raporcie z 17 kwietnia: „Wszystko wskazuje na to, że rząd polski chciał temu nadać charakter sensacyjny przez nagłą publikację dokumentu po kompletnej ciszy o rokowaniach, miejsce zarezerwowane dla tekstu w prasie niedzielnej, audycje radiowe etc. Rząd wierzy więc, iż osiągnął sukces i jest możliwe, że się nie myli. Zgodnie z prawem i formą, Kościół włączył gwarancje do tego paktu z diabłem, ale jaką wagę mają tutaj prawo i forma? Prymas Hlond powiedział mi w 1948 roku: „nie pertraktuje się z diabłem”. Nie ulega wątpliwości, że Episkopat polski nie odbiegł od tradycji, zalecając poszanowanie władzy, przypominając granice autorytetu papieskiego, rekomendując kooperację jako moralny obowiązek, wzywając do pokoju; ale rozdźwięk między deklaracjami i rzeczywistością polską będzie silnie odczuty przez wiernych... [dalszy ciąg zdania jest zniekształcony — T.W.]. Czy na zwykłe zalecenie prawowitych biskupów będą oni mieli w sercu rząd, który uważają za narzucony z zewnątrz, rząd zuchwały, solennie zaangażowany w walkę o triumf doktryny materialistycznej? Czy będą raptownie widzieli w kołchozach przejaw braterstwa społecznego? Wreszcie, czy przyłączy się do apelu o pokój, który robi na nich wrażenie pokoju więziennych lochów? Jest to bardzo wątpliwe i rząd osiągnie wówczas to, czego pragnął: złamanie wspólnoty duchowej między pasterzami i owczarnią”.

Motywy jednak — kontynuuje ambasador — które skłoniły hierarchię polską do tej tak długo rozważanej decyzji muszą być bardzo istotnej natury. Można je streścić następująco: ocena sytuacji trzeźwiejsza niż większości Polaków; biskupi nie wierzą w bliską wojnę. Wyciągnęli więc z tego wnioski, że trzeba się trwale urządzić i przede wszystkim zachować kontrolę nad młodymi pokoleniami. To jest podjęcie walki o dusze młodzieży. To dla kontynuowania tej walki biskupi zrezygnowali ze swojej nieprzejednanej postawy. Ale czy wytchnienie będzie długie? Wytworzy się gwałtowna konkurencja między apostołami materializmu dialektycznego i apostołami chrześcijaństwa... Niewiele upły-

22. *Vide: Arka. Wybór 10-12. Kraków 1985. Wydanie zachodnie, Paryż 1986, str. 188-191.*

nie czasu, żeby usłyszeć nieuczciwe oskarżenia szemrane przez jedną ze stron i rozgłaszane przez drugą i niewiele też trzeba będzie czasu, aby zobaczyć jak rząd zacznie wywijać obłudnym dekretem o wolności sumienia. Jak nigdy dotychczas przywiązywać będę, w związku z tą sprawą, dużą wagę do cennych informacji, jakie p. d'Ormesson jest w stanie zebrać w Watykanie. Wydaje się niemożliwe, żeby Episkopat polski podpisał porozumienie bez pozwolenia Rzymu (gdzie znajduje się obecnie kardynał Sapięha) i jest prawie niemożliwe, aby Rzym aprobował to porozumienie bez poważnych zastrzeżeń”.

19 kwietnia 1950 d'Ormesson pisał ze Stolicy Apostolskiej, że po ogłoszeniu w Warszawie porozumienia „Watykan nie mógł ukryć swojego zdziwienia... W środowisku polskim w Rzymie księży — z dala od wszelkiej kompromitacji — nie ukrywają zmęczenia ich rodaków; dają do zrozumienia, iż za granicą nie zawsze ocenia się właściwie, stosownie do ich wagi, cierpienia i trudności duchowieństwa polskiego. Księża ci pragną porozumienia i jednocześnie obawiają się go... W tej atmosferze niepewności przeważają dwie opinie. Z jednej strony wielu nie wierzy, żeby biskupi mogli, bez uprzedniego uzgodnienia ze Stolicą Apostolską, zatwierdzić definitywnie akt, który angażuje również bezpośrednio politykę Watykanu. Z drugiej strony wszyscy przyznają, że rząd komunistyczny z pewnością wykorzystał nieobecność kardynała Sapięhy, moralnego zwierzchnika Episkopatu, ażeby przynaglić swoją akcję. Arcybiskup Krakowa, który przebywa w Rzymie od ośmiu dni, zachowuje całkowite milczenie... Podczas kiedy Watykan przyjął z wielką rezerwą i nie bez zaambarasowania wiadomość o zmianie, jaka ma się dokonać w stosunkach Kościoła i państwa w Polsce, prasa komunistyczna triumfuje, że światu dano nowy dowód harmonii, jaka mogłaby zapanować między demokracjami ludowymi i Kościołem, gdyby nie wdawał się w nie Watykan, aby zmącić ich stosunki”.

Dwa dni później, po rozmowach najpierw z mons. Tardinim, a później z mons. Montinim na temat zawartego porozumienia Kościoła z państwem w Polsce, d'Ormesson raportował 21 kwietnia: „Oto wrażenie, jakie odniosłem z tych rozmów:

1. Stolica Apostolska absolutnie nie spodziewała się tej no-winy. Dopiero dzisiaj rano otrzymała potwierdzenie²³. Wiado-mość ta była tak sprzeczna z postawą przyjętą przez Episkopat

23. Stolica Apostolska nie była wcześniej pewna, czy porozumienie to zostało rzeczywiście zawarte.

polski w listopadzie ubiegłego roku w związku ze sprawą Caritasu²⁴, że początkowo myślano w Rzymie, że chodzi o oszustwo...

2. Kardynał Sapieha, który przyjechał przed ośmiu dniami, również nie spodziewał się tej nowiny. Wiedział, że prowadzone są rokowania, ale wcale nie wierzył w ich pozytywne zakończenie, a jeszcze mniej w szybkie zakończenie...

3. Stolica Apostolska jest całkowicie zbита z tropu. Uważa, że trzej biskupi [którzy podpisali to porozumienie w imieniu Episkopatu — T.W.] dali się 'wygrać' rządowi w Warszawy i niebawem będą tego żałować. Porozumienie samo w sobie byłoby zrozumiałe, a nawet w niektórych punktach korzystne, powiedział mi mons. Tardini, gdyby miano do czynienia z partnerami, którzy posiadaliby minimum dobrej woli. Ale biskupi winni byli wiedzieć, kogo mają istotnie przed sobą. Jedynym skutkiem tego porozumienia będzie wywołanie zamieszania wśród katolików polskich i ich poróżnienie. Dla Kościoła jest to prosty cios, ale cios mistrzowski dla władz sowiecko-polskich.

4. Stolica Apostolska jest tym bardziej zaskoczona, że wierzyła, iż będzie mogła szczególnie liczyć na niezłomność duchowieństwa polskiego. Oparła na nim nadzieje jakich nie budziło na początku duchowieństwo na Węgrzech i w Czechosłowacji. Mons. Tardini nie ukrywał przede mną, że przewidywania Stolicy Apostolskiej na ten temat okazały się błędne i gorąco wychwalał wierność i jedność, których dali dowody — jak tylko mogli — biskupi i księża w tych dwóch ostatnich krajach.

5. Mons. Montini i mons. Tardini uważają, że troski materialne wywarły głęboki wpływ na powzięcie decyzji przez reprezentantów Episkopatu polskiego. Rząd polski rozpętał intensywnie sprawę Caritasu, korzystając z pewnych malwersacji, jakie wkrały się do administracji. 'Oto — powiedział mi mons. Montini — ujemna strona mieszania spraw świeckich z działalnością duchową'. Episkopat przestraszył się pogroźek co do jego środków utrzymania, jakimi sprytnie posłużył się rząd, i dał się zwać obietnicami natury materialnej, które mu z drugiej strony zaofiarowano.

6. Sekretariat Stanu wnioskuje, że Sowici osiągnęli swój cel, jakim było dla nich pozbawienie krajów satelickich środków łączności ze Stolicą Apostolską... Biskupi, w braku kontaktu ze Stolicą Apostolską, tracą samodzielność myślenia, która pozwoliłaby im oceniać wypadki lub propozycje, jakie są im robione. Mój rozmówca — reasumując skutki tego odosobnienia i wynika-

24. Chodzi o upaństwowienie, czyli odebranie Kościołowi, w styczniu 1950 roku, organizacji Caritas, rozbudowanej w całej Polsce, która prowadziła charytatywną pracę w czasie wojny i po jej zakończeniu.

jąca z tego nieznanostwo rzeczywistości — powiedział o biskupach: 'Oni pokładali całą nadzieję w wojnie, której pragnęli, gdyż spodziewali się, iż przyniesie im ona wyzwolenie; widząc, że wojna nie przychodzi, poczuli się opuszczeni i usiłują ocalić to, co jest do uratowania w sytuacji bez wyjścia''.

Ambasador Baelen podawał w depeszy wysłanej z Warszawy 22 kwietnia 1950: „Wydaje się, że opinia publiczna w Polsce okazuje zupełną obojętność wobec porozumienia między Episkopatem i rządem”. A w depeszy z 24 kwietnia informował: „Księżę arcybiskup Krakowa [Sapieha] był przeciwny [porozumieniu], które uważa za abdykację. Dlatego wycofał się do Rzymu za skwapliwym zezwoleniem rządu”.

W tym samym czasie ambasador d'Ormesson potwierdzał z Rzymu, w raporcie z 28 kwietnia: „Stolica Apostolska ciągle zachowuje rezerwę wobec porozumienia rządu polskiego i hierarchii kościelnej, co też jest wyrazem jej ogromnego zakłopotania i niezdecydowania”.



Pretekstu dla reżymu komunistycznego w Warszawie — jeśli chodzi o narzucenie swojej woli Kościołowi — dostarczyła administracja kościelna na Ziemiach Zachodnich. Kardynał Hlond, na mocy specjalnych pełnomocnictw, jakie otrzymał w Rzymie przed powrotem do Polski po zakończeniu wojny, ustanowił dekretem z 15 sierpnia 1945 na terenach nad Odrą i Nysą pięciu administratorów apostołskich, którzy bez sakry biskupiej mieli tymczasowo sprawować funkcję biskupów. Ustalenie stałej organizacji kościelnej na tych terenach Stolica Apostolska uzależniała, zgodnie ze swoim zwyczajem, od zawarcia traktatu pokojowego i definitywnego zatwierdzenia granic.

W sytuacji bez precedensu w historii Watykan zastosował jednak regułę tradycyjną, perfidnie wykorzystaną przez reżym, który — usiłując siać zamęt wśród katolików — oskarżał hierarchię kościelną i Watykan o sprzyjanie rewindykacjom Niemców, którym jedynie on, poparty przez ZSSR, byłby w stanie przeciwstawić się. Podczas wojny polityka sowiecka usiłowała sprowadzić zatarg z Polską do problemu granicy wschodniej, a po 1945 roku, „obrona” granicy zachodniej miała z kolei służyć reżymowi za narzędzie tej samej polityki, mającej głównie na celu odwracanie uwagi od istoty rzeczy.

W styczniu 1951 roku reżym komunistyczny usuwa z Ziemi Zachodnich administratorów apostołskich, których nigdy zresztą nie uznał i na ich miejsce polecił wybranie bezprawnie wikariuszy kapitulnych. Prymas Wyszyński, chcąc uniknąć rozłamów w Ko-

ściele, do którego musiałyby dojść, gdyby pozostawiono wybranych w ten sposób wikariuszy kapitulnych, nadaje im jurysdykcję kościelną jako wikariuszom generalnym Prymasa Polski, co było rozwiązaniem tymczasowym i wymagało zajęcia zdecydowanego stanowiska przez Stolicę Apostolską. W tych okolicznościach, coraz bardziej dramatycznych, Episkopat polski nalegał na potrzebę wyjazdu Wyszyńskiego do Rzymu. Jednak reżym ciągle odmawiał wydania mu paszportu. Problemy te znalazły oczywiście oddźwięk w raportach dyplomatów francuskich.



Mons. Tardini podczas rozmowy z ambasadorem d'Ormessonem — który pisał o tym w raporcie z 16 marca 1951 — widział w inicjatywie prymasa Wyszyńskiego pewną sprzeczność, gdyż z jednej strony zalegalizował wikariuszy kapitulnych, narzuconych przez reżym, z drugiej natomiast strony miał wystosować list protestacyjny do Bieruta [zdaje się, że zaprotestował biskup Choromański, sekretarz Episkopatu, a nie sam prymas Wyszyński]. „Stolica Apostolska — oświadczył mons. Tardini — powstrzyma się tak od wyrażenia swojej aprobaty mons. Wyszyńskiemu za pokrycie pewnych nierregularności celem uniknięcia schizmy, jak i od oznajmiania na zewnątrz o poważnych zastrzeżeniach, które nasuwają się jej co do pewnych aspektów jego inicjatywy. Uważa się tutaj, że nie jest możliwe wydanie na odległość ostatecznego sądu o sytuacji tak bardzo delikatnej i trzeba ograniczyć się do okazania w milczeniu zaufania do inspiracji i sumiennosci legalnej hierarchii katolickiej, która jest tam na miejscu”.

Po incydencie z organizacją kościelną na Ziemiach Zachodnich nastąpiło ożywienie w stosunkach między Episkopatem i reżymem. Dnia 3 lutego 1951 roku prymas Wyszyński udał się z wizytą do Bolesława Bieruta, o czym raportował ówczesny ambasador Francji w Warszawie, Etienne Dennery: „Po raz pierwszy od wyniesienia go na czoło duchowieństwa polskiego mons. Wyszyński złożył wizytę prezydentowi RP. ...Przedsięwzięcie tego kroku przez Prymasa Polski było tym bardziej niespodziewane, że mons. Wyszyński, podobnie jak i jego poprzednik Kardynał Hlond, zlekceważył składanie oficjalnych wizyt prezydentowi Bierutowi”.

Konsekwencją tego pozornego odprężenia było umożliwienie prymasowi Wyszyńskiemu wyjazdu do Rzymu, gdzie przybył, z biskupem Michałem Klepaczem, wieczorem 4 kwietnia 1951. Henry Rollet, sprawujący wtedy funkcję *chargé d'affaires*, pisał z Warszawy w raporcie z 17 kwietnia, że reżym liczy na załatwie-

nie przez Wyszyńskiego administracji kościelnej na Ziemiach Zachodnich, czego wyrazem był artykuł w *Słowie powszechnym*, zawierający „imperatywne ostrzeżenie, nabrzmiałe groźbami w razie, gdyby misja mons. Wyszyńskiego w Rzymie nie odniosła sukcesu”.

Dnia 5 kwietnia 1951 ambasador d'Ormesson raportował: „Przybycie do Rzymu mons. Wyszyńskiego wprawiło Sekretariat Stanu w nieukrywane zakłopotanie. Mons. Montini oświadczył mi z otwartością, która jest tym bardziej znamienna, gdy się zna ostrożność tego prałata i jego manieri obwijania w bawełnę (*manières enveloppées*). Watykan jest zaniepokojony nie tylko perspektywą postawienia arcybiskupa Warszawy w sytuacji delikatnej, czy nawet niebezpiecznej po jego powrocie do kraju, jeżeli decyzje, które zostaną powzięte w czasie jego pobytu stawałyby go w opozycji do rządu; Watykan jest również zakłopotany z powodu problemów, od których nie może już dłużej się uchylać, a których rozstrzygnięcie zmusza go do poniesienia ciężkiej odpowiedzialności”.

„Jest rzeczą oczywistą, że w oczach Watykanu biskupi polscy w ciągu ostatnich miesięcy gięli się i zeszli z drogi oporu, który — miano nadzieję — że utrzymają. Żałuje się tutaj również, że mons. Wyszyński sądził, iż winien uregulować, jak też i zrobił, sytuację wytworzoną pod presją rządu w diecezjach na Ziemiach Zachodnich. Nie chce się oczywiście wiedzieć o trudnościach, z jakimi borykali się biskupi i prymas, ale odczuwa się silnie zakłopotanie, w jakie wprawili Stolicę Apostolską”.

„Pomimo iż mons. Montini nie widział jeszcze mons. Wyszyńskiego, jest przygotowany na to, że prymas będzie starał się, aby Watykan mianował polskich biskupów w dawnych diecezjach niemieckich. W związku z tym mons. Montini oświadczył stanowczo: odmówimy, powiedział mi. To jest dla nas, dodał, zasada absolutna oparta na naszym przywiązaniu do norm prawa międzynarodowego: do czasu, gdy traktat nie ustali granic jakiegoś kraju, my odmawiamy zatwierdzenia zmian terytorialnych dokonanych w wyniku wojny. Substytut Sekretariatu Stanu zdaje sobie sprawę, że odmowa Stolicy Apostolskiej może rozpętać, po powrocie mons. Wyszyńskiego, gwałtowną kampanię przeciwko Watykanowi i Episkopatowi polskiemu i oczywiście obawia się skutków tego dla Kościoła w Polsce. Stolica Apostolska posuwa tak daleko przywiązanie do zasady prawa międzynarodowego, jeśli chodzi o uznanie zmian suwerenności terytorialnej, że jurysdykcję nad pięcioma diecezjami polskimi sprawuje w jej oczach wciąż jeszcze nuncjusz w Niemczech, mons. Münch. Postawiłem to pytanie mons. Montiniemu, który bez wahania dał odpowiedź twierdzącą. Przyznał jednak, że mons. Münch nie ma nic współ-

nego z nominacją wikariuszy kapitulnych; mons. Wyszyński, powiedział mons. Montini, działał sam na mocy pełnomocnictwa, jakie zostawił mu kardynał Hlond i które pozwoliły mu uregulować wszelkie sprawy polskie. W ten sposób diecezje niemieckie zależne są od nuncjusza, w myśl pierwszej zasady i od prymasa Polski w imię drugiej; trzeba przyznać, że zawiła sytuacja wytworzona zbiegiem wydarzeń trudna jest do pogodzenia ze sztywną logiką, jaką mons. Montini ciągle się posługiwał podczas naszej rozmowy”.

W następnym raporcie, z 20 kwietnia 1951, d'Ormesson pisał, że prymas Wyszyński i biskup Klepacz zostali umieszczeni w obrębie zarezerwowanym w Watykanie dla wybitnych osobistości i unikają wszelkich kontaktów poza spotkaniami z duchowieństwem. Pomimo tego odseparowania, ambasador Papée rozmawiał z prymasem Wyszyńskim i później treść tej rozmowy przekazał ambasadorowi d'Ormessonowi. Według Papée wizyta prymasa Wyszyńskiego była bardzo pożyteczna i „usunęła wiele nieporozumień” tak z jednej, jak i z drugiej strony. „Episkopat polski był skłonny uważać, że jest 'opuszczony' przez Stolicę Apostolską... Postawa Episkopatu natomiast mogła być źle rozumiana przez Watykan”.

Pomimo odrazy Wyszyńskiego do dyktatury sowiecko-komunistycznej patrzy on niezbyt łaskawym okiem na cywilizację amerykańską. „Stany Zjednoczone też nie reprezentują ideału chrześcijańskiego”. Fakt ten, w pewnym stopniu, zakłócał spokój jego sumienia i — jak pisze dalej d'Ormesson — „być może, że ten skrupuł wpłynął na wahającą postawę, jaką widzi się od kilku miesięcy u mons. Wyszyńskiego i którą interpretowało się jako załamanie. Jeżeli tak było, to stanowiłoby to dowód, że arcybiskup Warszawy (i być może Episkopat polski) ulegli mimo wszystko wpływom propagandy, jaką codziennie uprawia się wokół nich. To jest atmosfera, w której się żyje i która w końcu przenika...” [kropki w tekście — T.W.].

„Ponieważ Watykan, z powodów bardzo odmiennych, zachowuje ze swojej strony ostrożność, która wzmożła się znacznie wskutek pogorszenia się sytuacji międzynarodowej, okazuje się, że drogi Episkopatu polskiego i Stolicy Apostolskiej schodzą się w jednym punkcie: „rezerwy”. Ale stanowisko arcybiskupa Warszawy wydaje mi się być przede wszystkim natury ideologicznej, podczas gdy Watykanu jest stanowiskiem taktycznym. Choć Stolica Apostolska jest na pewno zgodna z mons. Wyszyńskim w ocenie, że cywilizacja amerykańska nie zadowala całkowicie ideału chrześcijańskiego, to jednak jest zbyt realistyczna, aby nie wziąć pod uwagę, że jedynie potęgą amerykańską jest zdolna

przeciwstawić się potędze sowieckiej. Jest też zbyt sprawiedliwa, aby nie przyznać, że cywilizacja amerykańska pozwala przynajmniej chrześcijaństwu wypowiedzieć się. P. Papée zreasumował obecną mentalność Episkopatu polskiego w tych słowach: maksimum wierności wobec Stolicy Apostolskiej, pesymizm co do najbliższej i dalszej przyszłości Kościoła w Polsce; ostrożność w codziennym działaniu”.

Dnia 23 lipca 1951 roku umiera schorowany kardynał Sapięha. Trzy dni później ambasador Etienne Dennery telegrafował z Warszawy, że „Kardynał Sapięha cieszył się dużym prestiżem nie tylko z uwagi na arystokratyczne pochodzenie, osobowość i kwalifikacje pasterskie, lecz również dzięki godności i patriotyzmowi, których dał dowody w swoich stosunkach z okupantami w czasie ostatniej wojny i w sprawie Caritasu”. W ostatnich latach przed śmiercią kardynał Sapięha nie brał już bezpośrednio udziału w decyzjach dotyczących spraw kościelnych, czego przykładem było podpisanie 14 kwietnia 1950 porozumienia Episkopatu z reżymem bez wiedzy Sapięhy, który jednak do końca życia zachował duży autorytet moralny.



W latach 1951-1953 reżym usiłował wszelkimi środkami rozbić i podporządkować sobie organizację kościelną. Aresztowanie kilkuset księży, ośmiu biskupów, procesy pokazowe, coraz większa ingerencja reżymu w sprawy duchowieństwa tak przez kontrolę nad obsadzaniem stanowisk kościelnych, jak i przez działalność „księży patriotów”, „katolików postępowych”, PAX-u itp., nie spotkały się początkowo z silniejszą reakcją Episkopatu polskiego, pomimo że wszystko to było jawnym pogwałceniem porozumienia z kwietnia 1950 roku. Episkopat zareagował wreszcie memoriałem *Non possumus* z 8 maja 1953, w którym przedstawił prześladowania Kościoła i oświadczył, że nie może dłużej tolerować ingerencji państwa.

Jeśli chodzi o Stolicę Apostolską, to wydawało się, że wizyta prymasa Wyszyńskiego w Rzymie, w kwietniu 1951, przyczyniła się do wzajemnego zrozumienia sytuacji w Polsce i polityki Watykanu i tym samym ułatwiła ustalenie wspólnego kierunku postępowania. Jak wynika jednak choćby z wypowiedzi mons. Tardiniego, którą przekazał ambasador d'Ormesson w raporcie z 8 maja 1953, w dalszym ciągu istniały nieдомówienia, czy też po prostu różnice w ocenie stanowiska, jakie należało zająć w stosunku do reżymu komunistycznego. „Ma się skrupuły robić zarzuty — oświadczył mons. Tardini d'Ormessonowi. — Jeżeli

bowiem my jesteśmy źle poinformowani o życiu Kościoła w Polsce, to w dużo większym stopniu Kościół ten jest pozbawiony informacji o nas. Jest on skazany na przebywanie w takiej atmosferze, że wbrew swojej woli staje się podatny na wpływ propagandy, której poddany jest cały naród. Stwierdziłem w czasie pobytu w Rzymie arcybiskupa Warszawy, że myślenie jego było w głębi antyzachodnie, z czego nie zdawał sobie zapewne sprawy”.

„Poza tym, kontynuował podsekretarz Stanu, w duszy duchowieństwa polskiego tkwi ukryty, podobnie jak i w duszy wielu Polaków, bolesny zarzut: 'Wyście nas opuścili. Zachód nas opuścił! A więc, jeżeli nie mogliście i nie możecie nic dla nas zrobić, to przynajmniej zaufajcie nam i zostawcie nam samym pieczę nad prowadzeniem podjętej inicjatywy'”.

„Ale niestety, oświadczył Tardini, jest to droga długa i pełna niebezpieczeństw. W gruncie rzeczy jestem pewny, że duchowieństwo polskie, gdy zawierało to słynne porozumienie, było przekonane, że w ciągu kilku miesięcy, co najwyżej za rok lub dwa, zajdą wypadki, które położą kres panowaniu komunistów. To jest jedna z najbardziej dramatycznych cech świata, w którym żyjemy, że w obecnej chwili miliony i miliony ludzi w Polsce, w Czechosłowacji, na Węgrzech i gdzie indziej w Europie, jak również w Azji, pokładają nadzieje w wojnie, albowiem wydaje się im, że jest ona jedynym środkiem mogącym uwolnić ich od doznawanych krzywd”.

„Mons. Tardini smutnie zakończył swoją wypowiedź: 'Przypominam sobie jak w 1939 roku, naprzeciwko mnie, w tym samym biurze, kardynał Schulte, arcybiskup Kolonii, powiedział mi: « Jedynie przegrana wojna wyswobodzi nas z nazizmu ». Od tego czasu doświadczyliśmy skutków nowego żniwa wojny'”.



W nocy 25 września 1953 został aresztowany kardynał Wyszyński. Uwięzienie Wyszyńskiego nie wywołało energicznego protestu w środowisku kościelnym. Trzy dni później, 28 września, Episkopat wybrał swym przewodniczącym biskupa łódzkiego Michała Klepacza. „Ksiądz biskup Klepacz był najbardziej umiarkowaną osobistością w Episkopacie. Rząd domagał się, żeby wybrano go przewodniczącym. Ze strony biskupów wpłynęła kandydatura ks. arcybiskupa Dymka z Poznania. Rząd zdecydowanie się jej przeciwstawił... Piasecki zyskał natomiast w osobie biskupa łódzkiego życzliwego partnera²⁵”.

25. Andrzej Micewski, *Współzgodzić czy nie kłamać? Pax i Znak w Polsce 1945-1976*, Libella, Paryż 1978, str. 60.

Na tej samej sesji Episkopat przyjął tekst narzuconej mu przez reżym deklaracji, którą kardynał Wyszyński nazwie „bolesną”, pisząc następnie, że ostrze jej „było wymierzone — wbrew woli autorów — w to wszystko, co dotychczas czyniłem²⁶”. Wiele lat później, w rozważaniach nad tym okresem ogólnej słabości, sądzi się, że „w okolicznościach towarzyszących jego internowaniu Prymas przeżył kryzys zaufania w stosunku do pozostałych biskupów, kleru i intelektualistów katolickich²⁷”.

Radca ambasady francuskiej przy Stolicy Apostolskiej, René Brouillet, pisał w raporcie z 1 października 1953: „Mons. Tardini oświadczył mi, że mons. Klepacz był w Rzymie trzy lata temu [z prymasem Wyszyńskim, o czym była wyżej mowa — T.W.] i wówczas prałat ten zrobił na nim wrażenie, iż żyje w ciągłej trwodze głosząc, że nie ma innego wyjścia jak szukanie ocalenia tego, co może być jeszcze ocalone”.

Ambasador d'Ormesson raportował z kolei 10 października 1953: „Dzisiaj rano mons. Tardini oznajmił mi, iż ostatnio dowiedział się ze źródeł, które uważa za bardzo poważne, iż sam kardynał Wyszyński kilka dni przed aresztowaniem wyznaczył mons. Klepacza swym następcą na czoło Episkopatu polskiego”.

Wyżej cytowany René Brouillet pisał w raporcie z 2 października 1953: „Szczególnie wymowny jest fakt, że *Osservatore Romano* i *Quotidiano*, w momencie gdy internowanie mons. Wyszyńskiego uwydatnia 'niezłomność' tego prałata, nie mogły choćby powstrzymać się od wyrażenia ubolewania, że biskupi zgodzili się na podpisanie porozumienia bez otrzymania uprzednio zezwolenia Stolicy Apostolskiej. Watykan zawsze uważał, że Episkopat przyjmując tę postawę usadowił się na śliskim terenie, który pewnego dnia będzie dla niego fatalny; że rezygnując z zasłonięcia się autorytetem Stolicy Apostolskiej będzie zmuszony albo abdykować ze swej niezależności na rzecz rządu, albo wykazać nieugiętość, żeby ją ocalić, ale za cenę nieugiętości, która będzie wyglądać na bunt przeciwko władzy rządowej”.

Tydzień później, dnia 9 października, d'Ormesson wysłał z Rzymu raport, w którym przytoczył treść rozmowy, jaką odbył z Montinim: „Mons. Montini zwrócił mi uwagę, że aresztowanie kardynała Wyszyńskiego stanowi wydarzenie jeszcze bardziej ważne niż aresztowanie kardynała Mindszentego, a to z dwóch powo-

26. Kardynał Stefan Wyszyński, *Zapiski więzienne*, Editions du Dialogue, Paryż 1982, str. 207.

27. *Vide*: Adam Stanowski, „Kościół i katolicyzm polski po drugiej wojnie światowej. Rys historyczny”. Referat wygłoszony na międzynarodowym sympozjum „Chrześcijańskie dziedzictwo kultury europejskiej w świadomości współczesnych” w: *Widnokrąg* nr 3/4, Fryburg 1986, str. 23.

dów. Różnica charakterów: prymas Węgier miał charakter bezkompromisowy, wojowniczy; nie unikał, ale raczej szukał walki. Prymas Polski przeciwnie, był giętki, cierpliwy, lawirant [*loueur*]. Posunął zmysł przystosowania się aż do zgody na zawarcie porozumienia z kwietnia 1950, które nigdy nie zostało zatwierdzone przez Stolicę Apostolską²⁸. W Budapeszcie był wyrok po sfingowanym procesie, który opierał się na konkretnych oskarżeniach. W Polsce nie było nawet tego. Rząd ukrył kardynała nie trując się, żeby podać jakiś istotny powód”.



Powyższa wypowiedź Montiniego ma szczególną wymowę zwłaszcza, gdy się pamięta, że są to przecież słowa przyszłego papieża Pawła VI, który krytycznie ocenił politykę kardynała Wyszyńskiego, ale którego pontyfikat charakteryzował się polityką dużo, dużo bardziej ugodową w stosunku do Związku Sowieckiego i do rebelii komunistów w innych krajach.

Za jego też pontyfikatu miał miejsce epilog dramatu kardynała Mindszenteo. Przypomnijmy kilka suchych faktów: aresztowany w 1948, prymas Mindszenty skazany zostaje w 1949 na dożywotnie ciężkie więzienie. Uwolniony przez powstańców w październiku 1956, chroni się następnie, po zduszeniu powstania, w ambasadzie USA. Odrzuca kategorycznie propozycje rządu węgierskiego co do wyjazdu z kraju. Niezłomna postawa kardynała Mindszenteo, który odmawia wszelkich kompromisów z komunistami, utrudnia normalizację stosunków Watykanu z rządem na Węgrzech. We wrześniu 1971, po usilnych naleganiach Stolicy Apostolskiej, Mindszenty opuszcza Węgry i zamieszkuje nie w Rzymie, co było bardzo wymowne, lecz w Wiedniu, gdzie umiera osamotniony w 1975 roku, cena jaką przyszło mu zapłacić za nieugiętą i zdecydowaną postawę wobec reżymu komunistycznego i za walkę ze złem.



W dniu 17 grudnia 1953 roku Episkopat polski złożył wymuszone przez reżym ślubowanie na wierność PRL. Identyczne

28. Zbyt powierzchownie i jednostronnie potraktował przyjęcie porozumienia przez Stolicę Apostolską Andrzej Micewski w książce *Kardynał Wyszyński Prymas i mąż stanu*, Editions du Dialogue, Paris 1982, str. 74 pisząc: „W Watykanie mons. Tardini był początkowo „przejęty bólem” na wieść o podpisaniu porozumienia. Ojciec Święty Pius XII miał je jednak później w pełni zaaprobować”. Wystarczy chociażby wyżej cytowana wypowiedź Montiniego, żeby sobie zdać sprawę, iż nie chodziło tylko o „początkowy ból” dostojników watykańskich.

ślubowanie złożyli później wszyscy księża. Ambasador d'Ormesson, nieustannie zainteresowany sytuacją Kościoła w Polsce, rozmawiał dwa dni później z Tardinim i w raporcie z 19 grudnia pisał, iż w Sekretariacie Stanu dowiedziano się, że jeszcze przed aresztowaniem kardynała Wyszyńskiego Episkopat polski powziął decyzję ślubowania na wierność PRL.

Następnie d'Ormesson pisze: „Tardini nie ukrywał przede mną obawy, jaką budziła w nim wiadomość o nowym ustępstwie Episkopatu polskiego, który sądził, że musi tak postąpić wobec władzy komunistycznej. Według niego wysiłki pojednania ze strony Episkopatu są i pozostaną daremne. Wysiłki te dają jedynie coraz bardziej skuteczną broń przeciwnikom Kościoła i osłabiają pozycję katolików. Mons. Tardini jest przekonany, że biskupi polscy, poddani groźbom i codziennym presjom, nie mają już samodzielności myślenia, koniecznej do poprawnej oceny rzeczy. Nie ukrywał, iż był bardzo przerażony stanem ducha kardynała Wyszyńskiego i przede wszystkim mons. Klepacza — który zastępuje teraz Prymasa na stanowisku przewodniczącego Konferencji Episkopatu — kiedy ci dwaj prafaci przyjechali dwa lata temu do Rzymu. Podsekretarz Stanu znalazł ich w stanie prawdziwej psychozy. Od tego czasu kardynał opanował się, uświadamiając sobie znaczenie ponoszonej odpowiedzialności. Ale cios, jaki mu zadano musiał zwiększyć poczucie strachu, w jakim żyje reszta Episkopatu”.

„Widzicie, powiedział mi mons. Tardini, to co jest szczególnie niepokojące, to fakt że jeżeli biskupi polscy, tak żarliwie wierni Stolicy Apostolskiej, tak nieustraszenie katolicycy, popełnili mimo wszystko te błędy, dając się ponieść tego rodzaju pokusom, to dlatego, że uważają się za zdradzonych. Tak, dobrze mówię, zdradzonych. Zdradzonych przez Zachód. Trzeba zobaczyć z jaką animozją, z jaką urazą mi to powiedzieli. Nazajutrz po wojnie żyli pewnością, że wkrótce wojna ich wyzwoli. Otóż widząc, że rzeczy wzięły inny obrót i że wysiłki krajów zachodnich zmierzają do zachowania pokoju pomimo okropnej sytuacji Europy Wschodniej, poczuli się opuszczeni przez swoich przyjaciół. Wówczas w ich odruchowym rozumowaniu doszli do wniosku, że nie mają innego wyjścia jak ułożyć się z nieprzyjacielem i że Zachód jest 'zgniły'. Nieszczęśliwi! wykrzyknął mons. Tardini, ich sytuacja jest rzeczywiście straszna. Ale to, co oni nazywają, w swoim nieszczęściu, 'wojną wyzwolenczą' byłoby taką okropnością, że nie można nawet o tym myśleć... Nie mają więc innej perspektywy jak być stopniowo pożartymi przez tych, którzy ich już napoczynają, kasek po kasku”.

„Mons. Tardini dodał: 'Trzeba też powiedzieć, że ci biskupi

polscy są przesiąknięci nacjonalizmem, który trudno sobie nawet wyobrazić... [kropki są w tekście — T.W.]. Jak tylko chodzi o Niemcy, biskupi zapalają się. Należałoby ich uspokoić. Ale z trudnością uspokaja się ciężko chorych, a na skutek powolnych tortur, jakim są codziennie poddawani — trzeba ich zaliczyć do ciężko chorych’ ”.

W związku z przyjazdem do Rzymu Jana Dobraczyńskiego i krytyką PAX-u na łamach *Osservatore Romano*, d'Ormesson pisał w raporcie z 24 lutego 1955: „... Tak więc, wobec środków bezpośrednich lub skrytych zastosowanych przez rząd warszawski, ażeby kontrolować i posłużyć się katolicyzmem, wyższa władza watykańska uważa, wydaje się, że lepiej jest opierać się niż ulegać, że wszelka ugodowość mogłaby jedynie służyć zwiększeniu wpływu reżymu na wiernych”.

Oto jeszcze jedna wypowiedź Tardiniego przekazana przez d'Ormessona w raporcie z 16 kwietnia 1955: „Mons. Tardini powiedział mi, że krąży pogłoska pochodząca z polskich środowisk postępowych i rozsiewana przez ich sympatyków francuskich, że mons. Klepacz, przewodniczący Konferencji Episkopatu, miałby zamiar udać się wkrótce do Rzymu. Mam wielką nadzieję — oświadczył mi podsekretarz Stanu — że biskup łódzki nie wprowadzi w czyn swojego projektu. Jeżeli przybędzie, to istotnie, będzie mógł odejść jedynie z pustymi rękami. A to utrudniłoby tylko, po powrocie do kraju, jego sytuację osobistą i sytuację Episkopatu polskiego’ ”.

Następny i ostatni raport d'Ormessona w tej serii, z 28 października 1955, zawiera treść rozmowy z Papée: „Ambasador Polski na wygnaniu, p. Papée, zwierzył mi się, że obecnie czyni wszelkie wysiłki, żeby Papież wystosował, w tej czy innej formie, specjalne orędzie do Episkopatu polskiego. Według p. Kazimierza Papée, biskupi polscy mają odczuwać nieodzowną potrzebę większej zachęty i większego niż dotychczas poparcia przez Stolicę Apostolską. Oni są zupełnie odcięci od Rzymu. Nie zbierają się już razem, albowiem chcą uniknąć spotkania pewnych wikariuszy kapitulnych, których mianowanie zostało dokonane przez kapituły pod presją rządu. W konsekwencji żyją odosobnieni, zamknięci w swoich diecezjach. Sytuacja ta byłaby podwójnie niekorzystna: z jednej bowiem strony biskupi nie uzgadniają wystarczająco swej działalności — stąd pewne różnice między diecezjami, które uprawiają wiernych w zakłopotanie — z drugiej natomiast strony sami biskupi wiele tracą ze swojego zapału”.

„Ambasador Papée — kontynuuje d'Ormesson — sądzi więc, że koniecznym byłoby, żeby Papież zwrócił się czasem do nich,

aby podtrzymać zarliwość religijną, potrzebną im jak nigdy dotychczas do zachowania jak najwyższej płomienia ich apostołstwa. P. Kazimierz Papée sugerował Piusowi XII użycie pretekstu trzechsetnej rocznicy (która w tym roku przypadnie w Boże Narodzenie) obrony przez paulinów słynnego klasztoru w Częstochowie przed Szwedami — epizod bohaterski w historii Polski, który zawsze był uważany przez naród polski za wydarzenie, gdzie wiara katolicka ocaliła Polskę — ażeby wystosować orędzie do biskupów polskich stale wiernych zespoleniu ze Stolicą Apostolską. Propozycje zrobione w Sekretariacie Stanu przez p. Kazimierza Papée zostały przyjęte — co najmniej dotychczas — z pewną rezerwą”.



Emmanuel Mounier pisał kiedyś w odniesieniu do milczenia Piusa XII: „Oto zgorzenie — poprzez owo milczenie — weszło do tysięcy serc. I nie jest dobrze, iż to zgorzenie się pojawiło²⁹”. Wydaje się, że można byłoby zrobić podobną uwagę jeśli chodzi o rozbieżność polityki Watykanu i Episkopatu polskiego. Żle się bowiem stało, że do wielu serc wkradło się zwątpienie w słuszność jednej czy drugiej postawy, a zapewne i zgorzenie, że w tak trudnym okresie dziejów Watykan i hierarchia kościelna w Polsce nie znalazły wspólnego języka i nie ustaliły wspólnej taktyki działania, a ciągle się przecież przypomina — i słusznie — o uniwersalnej misji Kościoła katolickiego, z której wierni chcieliby w słowie i w czynie czerpać wzorce postępowania i wiarę w przyszłość, niezbędną do przezwyciężenia kryzysu cywilizacji chrześcijańskiej i moralnej tożsamości człowieka. Jak wykazują wypowiedzi dostojników kościelnych, przekazane w raportach dyplomatów francuskich, wiary tej zabrakło nawet w Watykanie, bo trudno inaczej tłumaczyć pesymizm tych dostojników co do losów Europy i ich politykę czekania i obserwowania.

Tadeusz WYRWA

29. *Vide*: Michał Horoszewicz, „Piusa XII milczenie — i czyny” w *Więzi* nr 7-8/1986, Warszawa, str. 115.

Z. S. SIEMASZKO

JENCY WOJENNI*

(ZSSR 1939-1941)

Starając się zbadać sposób traktowania jeńców trudno jest ustalić jakąś jednolitą i konsekwentną taktykę ze strony sowieckiej. W jednych wypadkach z miejsca odseparowywano oficerów od szeregowych, których puszczano wolno. W innych odprowadzano zarówno oficerów jak i szeregowych razem do punktu rejestracji i tam dopiero ich segregowano. Jednym szeregowym pozwolono wrócić z miejsca do domu, a drugich najpierw puszczono, a potem znowu zatrzymano i skierowano do obozów jeńców. Niektórych bez mała z miejsca ładowano do wagonów lub ciężarówek, innych goniono w kolumnach piechotą, nieraz w bardzo uciążliwych warunkach (jak np. opisuje Młynarski). Można by przypuszczać, że — po pierwsze — traktowanie jeńców zmieniło się nieco w czasie. Czym później wzięto ich do niewoli, tym gorzej ich traktowano. Po drugie, zależało chyba jeszcze bardziej od tego, czy dowództwo sowieckie sądziło, że dana grupa jeńców walczyła z ich oddziałami, czy też nie. Można domyślać się, że ci którzy poddawali się bez walki, byli traktowani — przynajmniej na początku — nieco łagodniej. Z pewnością zależało to również od tego, jaki oddział Czerwonej Armii brał jeńców do niewoli. Jeżeli były to oddziały liniowe, bardziej zdyscyplinowane, to jeńcy byli nieco lepiej traktowani, niż w wypadku kiedy trafiali do oddziałów mniej zdyscyplinowanych i

* Opracowanie to jest częścią większej pracy, dotyczącej losów obywateli polskich w Sowietach w okresie ostatniej wojny.

skłonnych do rabunku (jak to opisuje Młynarski). Należy tu zwrócić uwagę, iż początkowo jeńcy byli „pod opieką” oddziałów Czerwonej Armii, a dopiero nieco później przechodzili do rąk NKWD, któremu oddziały wojskowe pomagały w pilnowaniu zatrzymanych.

Pomimo takiego chaosu, zresztą typowego dla stosunków sowieckich, można dopatrzeć się w traktowaniu jeńców pewnych standardowych metod postępowania. Wśród nich należy wymienić to, iż z miejsca lub wkrótce po wzięciu do niewoli odseparowywano oficerów i z zasady nie zwalniano ich do domu ani też (w pierwszej, kilkumiesięcznej fazie) nie przekazywano Niemcom, chociażby nawet byli niemieckiego pochodzenia. Natomiast nie oddzielano podoficerów od szeregowców, traktując ich przeważnie w ten sam sposób. Rozstrzeliwania zarówno oficerów jak i nie-oficerów w początkowym okresie (kilka pierwszych miesięcy) należały raczej do rzadkości i miały miejsce przeważnie wówczas, kiedy NKWD lub wojskowi sowieccy podejrzewali, że dany jeńiec stawia lub ma zamiar stawiać opór, czy też całkowicie ignoruje wydane przez nich zarządzenia. Niektórych oficerów jak i nie-oficerów aresztowywano i poddawano normalnemu śledztwu, zmieniając jednocześnie ich status z jeńca wojennego (*wojenno-plennyj*) na więźnia (*zakluczonnyj*). Należy zwrócić uwagę na to, że w obozach oficerowie były niekiedy niewielkie grupy szeregowych. Już w listopadzie 1939 oficerowie byli zgrupowani w dwóch obozach — Kozielsku pod Smoleńskiem i Starobielsku na Ukrainie w *ługańskiej obłasti*. W obu obozach było w sumie około ośmiu tysięcy jeńców¹.

Wziętych do niewoli funkcjonariuszy policji traktowano w sposób jednolity. Trzeba jednak zaznaczyć, iż w ogromnej większości wypadków nie byli to policjanci, których władza sowiecka zastała na ich posterunkach w terenie (tych przeważnie wkrótce aresztowano i poddano śledztwu). Natomiast były to zgrupowania policji, które na zarządzenie władz polskich ewakuowano przed nacierającą armią niemiecką (choć nie całą tzw. granatową policję, która potem w Generalnej Guberni współdziałała z władzami niemieckimi, ewakuowano w ten sposób na Wschód). Czyli byli to policjanci głównie z Polski zachodniej i centralnej i tylko częściowo z Polski wschodniej, jedynie z tych terenów,

1. Zarówno dowództwo frontu białoruskiego jak i ukraińskiego wydało ulotki do polskich żołnierzy. Pomimo, że podsycaly one żołnierzy przeciwko oficerom, nie są znane incydenty, w których szeregowi, czy to Polacy, czy też Żydzi, Białorusini lub Ukraińcy, występowałyby przeciw oficerom w czasie lub po dostaniu się do niewoli. Istnieje jedynie wzmianka o podrzucaniu z oficerów przez policjantów (Swianiewicz, str. 92).

na które wkroczyli Niemcy (na przykład okolice na zachód od Lwowa). Policjantów wszystkich stopni (z oficerami włącznie) trzymano razem i nikogo spośród nich nie odsyłano do domu. Dołączono również do nich zgrupowania Straży Granicznej i Straży Więziennej ewakuujące się przed Niemcami, jak również niewielkie ilości oficerów i podoficerów Korpusu Ochrony Pogranicza (KOP) oraz kilku kapelanów. Ta, w ogromnej większości policyjna grupa, została ulokowana na północy w Ostaszku w *kalininskiej obłasti*, na wyspie jeziora Seliger. Było ich około sześciu i pół tysiąca².

Ponieważ Armia Polska cofała się w kierunku południowo-wschodnim, na północnych Kresach było o wiele mniej oddziałów, spośród których kilkanaście tysięcy żołnierzy zdołało uniknąć niewoli sowieckiej (przynajmniej tymczasowo) przechodząc na Litwę i Łotwę. Dlatego tragedia dostawania się do sowieckiej niewoli rozegrała się głównie na południowych Kresach.

O ile chodzi o Kresy północne, wiadomo jedynie (ze wspomnień prof. Bluma), że jeden z ośrodków rejestracyjnych jeńców mieścił się w Stołpcach, położonych na granicy sowieckiej. Natomiast istnieje szereg relacji dotyczących dostawania się do niewoli na Kresach południowych. Z relacji tych można wnioskować, że jeńców kierowano w zasadzie do dwóch ośrodków — Wołoczysk i Szepietówki — znajdujących się po sowieckiej stronie. Niektórych dowożono lub doprowadzano bezpośrednio do Szepietówki, a innych przez Wołoczyska. Chociaż odnosi się wrażenie, że większość tych, którzy znaleźli się w Wołoczyskach nie przechodziło potem przez Szepietówkę³.

W Szepietówce trzymano jeńców częściowo w pustych kosza-

2. Podobno przed 17 wrześniem istniał projekt obsadzenia ewakuowaną policją granicy sowieckiej, z której zabrano większość oddziałów KOP-u do walki z Niemcami. Jest to zgodne z relacją Józefa Szkudłapskiego, ówczesnego ucznia liceum, który ewakuował się wraz z ojcem przed Niemcami z Niemirowa koło Rawy Ruskiej i dotarł w grupie policjantów aż do Ostaszku. Stamtąd, wraz z innymi osobami które nie należały do policji, został odstawiony jesienią 1939 do dawnej granicy polskiej i tam puszczony wolno. Ojciec jego zginął wraz z ogromną większością internowanych w Ostaszku.

3. Koszutski podaje (str. 248), iż w koszarach w Szepietówce było trzy tysiące oficerów i policji w jednym ogrodzeniu i około 12 tysięcy szeregowych w drugim. Według Antoniego Mitręgi, kilka dni po 11 listopada 1939 wywieziono z Szepietówki około dwóch tysięcy oficerów, z tego około 1.200 do Starobielska i około 800 do Kozielska. Natomiast Julian Wrona, ówczesny maturzysta z Junackich Hufców Pracy, podaje iż zdołał wyjść z Szepietówki w grupie starszych ludzi (*stariki*), których widocznie jako niezdolnych do pracy przeprowadzono przez Zbrucz na polską stronę i puszczono wolno.

rach, gdzie spali na gołej cementowej podłodze, a częściowo w parku, który jeden z jeńców opisuje następująco:

Prowadzą. Gdzie? Widzimy na przedzie jakiś lasek. Tak, to do tego lasku idziemy. Okazuje się, że to park miejski. Park? Trochę jakichś koślawych krzewów i sosny. W tym to parku, zdaje się, biwakowało wojsko bolszewickie przed uderzeniem na Polskę. Widać było ślady tego. Brud niesamowity. Pełno odchodów ludzkich wszędzie. Jakies śmiecie na kupkach. Słoma zgniła pod każdym krzaczkiem. W środku parku budynek. Przed nim ławki na pieńkach wkopane w ziemię. Większość tych ławek połamana. Budynek ten to teatr miejski. Na froncie sierp i młot i jakies napisy. Całość brudna, obdrapana z poodbijanymi deskami. (Zalewski, str. 9).

W Wołoczyskach, a ściślej mówiąc w Frydrychówce położonej parę kilometrów na wschód od Wołoczysk, gdzie był *pieriesylny punkt wojennoplennych*, sytuacja wyglądała następująco:

W środku czworoboku ograniczonego dwiema oborami po dłuższych stronach, odrutowanymi stertami od tyłu i bramą w ogrodzeniu z drutu kolczastego od frontu, stał szereg sześciu autobusów Leyland, należących do śląskich linii autobusowych. Jeden z tablicą „Częstochowa — Herby Śląskie”. (Komornicki).

Autobusy te przyjechały 8 października. Ulokowano w nich oficerów z grupy płk. Płonki. Kuchnia składająca się z 6 kotłów była umieszczona poza drutami. A w oborze była „brudna, sproszkowana i zapluskwiona słoma” (Zgorzelski). Czapski (str. 4)⁴ przypuszcza, że w oborach tych w czasie jego pobytu mieściło się około dwóch tys. oficerów i dwóch tys. szeregowych.

Z przejściowych obozów położonych blisko granicy polskiej, a w pierwszym rzędzie z Szepietówki i Wołoczysk, niektóre grupy oficerów wysyłano bezpośrednio do Kozielska i Starobielska, jak również niektóre grupy policji do Ostaszkowa. Inne rozsyłano do różnych obozów, przeważnie na Ukrainie, z których potem oficerów przesłano do Kozielska i Starobielska, a policjantów do

4. Przez ten „obóz” w Frydrychówce, która prawdopodobnie była dawnym polskim dworem, przeszli następujący oficerowie:

— generałowie: Jarnuszkiewicz, Skuratowicz, Smorawiński, Stanisław Haller, Wołkowicki, Plisowski;

— pułkownicy: Hauke-Nowak, Freud-Krasicki, Chodźko-Zajko, Płonka, Kopeć, Grobicki, Żeliszawski, Czerny, Skrzydleski, Kuczek;

— majorowie: Salmonowicz, Fiszer;

— oficerowie niższych stopni: Letyński, Ośmiałowski, Koszutski, Czapski, Kiedacz, Zgorzelski, Birn, Komornicki i wielu, wielu innych.

Spśród wymienionych tu oficerów Koszutski, Kiedacz, Zgorzelski i Komornicki zdjęli dystynkcje i dzięki temu zdołali wydostać się na wolność. Natomiast Wołkowicki, Grobicki, Czapski i Birn pozostali w niewoli, ale nie zostali zastrzeleni.

Ostaszkowa. Natomiast szeregowi pozostali przez szereg miesięcy w różnych obozach, częściowo na polskich terenach, a częściowo na Ukrainie.

Wśród istniejących wówczas obozów można wymienić następujące. Około 90 km na wschód od Równego był obóz w Nowogrozie Wołyńskim, w którym przebywało około 15 tys. szeregowych. Rozesłano ich później do kopalń w Krzywym Rogu i Dniepropietrowsku, jak również do stalowni w Zaporozżu (relacje Matuszka i Wójcika). Nieco bliżej Równego były położone inne obozy, głównie w Zwiahlu (nad Słuczą) i Korcu, z których rozesłano szeregowych również do dniewrowskiego zagłębia przemysłowego (relacja Zalewskiego). Istniał również obóz w Jarmolińcach, około 90 km na południowy wschód od Tarnopola. Wysłano stamtąd grupę oficerów do Starobielska (relacja Młynarskiego).

Szereg innych obozów był rozmieszczony we wschodniej Ukrainie, jak np. Putiwl i Tietkino, około 80 i 60 km na północny zachód od Sum. Przez oba przechodziły grupy zarówno oficerów jak i szeregowych. Oficerów wysłano przeważnie do Kozielska, a szeregowych do dniewrowskiego zagłębia (relacje Swianiewicza i Grobickiego). Około 20 km na północ od miasta Kriemienczug istniał obóz Kozielszczina, przez który przechodziła prawie wyłącznie policja, przetransportowana potem do Ostaszkowa (relacja Szkudłapskiego).

Z przejściowych punktów położonych blisko polskiej granicy niektórych szeregowych, którzy się na to zgłosili, przewieziono do Przemyśla i przekazano Niemcom (relacja Stypułkowskiego i Kurowskiego).

Szereg relacji wskazuje na to, że zasadnicze segregowanie, przetransportowywanie i rozmieszczanie jeńców wszystkich stopni zakończono na początku listopada 1939. Na skutek tego oficerowie znaleźli się w Kozielsku i Starobielsku, policja w Ostaszkowie, a szeregowi w dwóch zgrupowaniach, jedno w kopalniach i stalowniach zagłębia dniewrowskiego, a drugie, zaangażowane w pracach drogowych i ogólnych, na polsko-ukraińskich terenach.

Sprawom oficerów w ZSSR, a szczególnie sprawie Katynia, zresztą całkiem słusznie, poświęcili Polacy na Zachodzie wiele czasu i stąd jest ona dość dobrze znana. Chociaż i w tej dziedzinie bardziej niekiedy dbano o demonstracje i wiece niż o konkretną znajomość rzeczy. Na przykład nie została wydana po polsku jedna z najlepszych prac z tej dziedziny, mianowicie prof. Zawodnego — „Death in the forest”. Nie jest ona dostępna dla ludzi z kraju. Prof. Zawodny został odznaczony za tę książkę

orderem Polonia Restituta i na tym poprzestano. A przecie można by sądzić, że pracę autora tak zasłużonego należałoby udostępnić Polakom z kraju, nie znającym angielskiego.

Literatura dotycząca Kozielska i Katynia jest obszerna i właściwie niewiele pytań pozostało bez odpowiedzi⁵. Na przykład nie wiadomo, czy ofiary (z wyjątkiem opornych, których wiązano) strzelano nad grobem i potem wciągano już martwe zwłoki do grobu, czy też kazano jeszcze żywym kłaść się na zwłokach kolegów i w tej pozycji ich strzelano. Należy przypuszczać, iż stosowano chyba tę drugą metodę, na co wskazują porządnie ułożone płaszcze na zwłokach postrzelanych⁶.

Sprawa Katynia jest względnie łatwa do badania, bo są trupy i są dokumenty. Natomiast losy drugiego obozu oficerskiego — Starobielska i obozu policyjnego — Ostaszkowa, są trudniejsze do wyjaśnienia. Wiadomo, że ogromna większość jeńców z obu tych obozów zginęła w sposób gwałtowny, prawdopodobnie podobny do Katynia, ale nie zdołano ustalić ponad wszelką wątpliwość, gdzie zginęli. Zarówno Zawodny jak i FitzGibbon przypuszczają, że jeńców ze Starobielska wyładowywano z wagonów w Charkowie, a jeńców z Ostaszkowa w Bołogoje (stacja węzłowa, na której krzyżują się linie Moskwa - Leningrad i Psków - Jarosławł, a jednocześnie dochodzi kolej z Rygi, przy której leży Ostaszków). FitzGibbon („Unpitied and Unknown”) wskazuje, że jeńcy ze Starobielska zostali wymordowani w miejscowości Diergaczi, około 25 km na północny zachód od Charkowa, a jeńcy z Ostaszkowa w pobliżu Bołogoje⁷.

5. Zarówno Gniezdowo — stacja, na której wyładowywano oficerów, jak i Lasek Katyński — gdzie ich wystrzelano, należały przed rewolucją do Polaków. Gniezdowo było częścią majątku Niewiszcze, należącego do Targońskich, a potem „po kądzieli” do Kozlińskich, a lasek należał do majątku Borek, będącego własnością Lednickich. Píše o tym w swych wspomnieniach prof. Wacław Lednicki.

6. Według „Grażyny”, podczas ewakuacji mińskiego więzienia latem 1941 rozstrzeliwano pojedynczych jeńców w pozycji leżącej, z wyjątkiem masowego strzelania biegnących. Zakładając, że szkolenie NKWD było ujednolicone, najprawdopodobniej w Katyniu i innych miejscach kaźni poszczególnych jeńców strzelano w pozycji leżącej.

7. Pawliszczew Bor był również znany jako Juchnowo (na mapach sowieckich oznaczony jako Juchnow) położone 40 km na północ od stacji Babynino na linii kolejowej Moskwa - Briansk. Obóz ten znajdował się w dawnych dobrach księcia Orłowa (relacje Bojakowskiego i Lasockiego). Można domyślać się, że w okresie marzec - maj 1940 NKWD wydawało w stosunku do polskich jeńców wojennych szczególnie drastyczne zarządzenia. Na przykład ppłk Władysław Chudy písze, że między 28 marca i 2 kwietnia 1940 wywieziono z jego celi więziennej w Brześciu nad Bugiem następujące osoby, które „z pewnością podzieliły losy tych, którzy zginęli w Katyniu”, gdyż wszelki słuch o nich zaginął: płk dypl. Stefan Kossecki,

Zachodzi pytanie, dlaczego jeńcy z tych trzech obozów zostali wymordowani? Niezaprzeczalnej odpowiedzi, która musiałaby być oparta na dokumentach sowieckich, nikt już chyba nie ustali. Ale na podstawie szeregu relacji można dojść do pewnych wniosków. Na przykład prof. Swianiewicz sugeruje, że wielu jeńców sądziło, że stosunek Sowietów do nich i do sprawy polskiej może zmienić się na lepszy. Inne relacje i opracowania potwierdzają te optymistyczne nastroje, które były szczególnie silne w czasie wywożenia z tych obozów wiosną 1940 poszczególnych transportów w nieznaną. Jednak trzeba podkreślić, że nastroje te nie były wyrazem uległości wobec Sowietów, a może nieco naiwnym niezrozumieniem celu i sensu postępowania sowieckiego. Zawodny pisze (str. 103):

Polacy nie tylko odrzucili przyjęcie doktryny komunistycznej publicznie, ale również odrzucali je prywatnie, kiedy będąc sam na sam z badającymi [oficerami NKWD — Z.S.S.], nie byli oni pod presją swoich kolegów. Mówili oni o „honorze” o „niepodległej Polsce” i o „zasadach świata zachodniego”. Byli oni dumni z tego, że pierwsi powiedzieli Hitlerowi „nie” i z tego, że Warszawa walczyła, jak średniowieczny zamek, dwa tygodnie po zajęciu terytorium Polski przez niemieckie i sowieckie wojska.

Można przypuszczać, że ten zdecydowany zbiorowy i indywidualny opór przekonał władze sowieckie, iż nawet system normalnie stosowanych więzień i łagrów (czyli system powolnego wymierania) byłby dla nich niewystarczający i że trzeba z nimi skończyć radykalnie i natychmiastowo jako z ludźmi zupełnie nieprzydatnymi w systemie sowieckim.

Płk Koszutski, który sam z łatwością mógłby się tam znaleźć, naświetla to wymordowanie jeńców wojennych nieco inaczej, niż większość piszących na te tematy, więc warto go zacytować:

W pojęciu mordu tkwi zasadniczy element nieświadomości ofiary, a ja wiem z całą pewnością, że gdyby upiory mogli mówić, to ci żołnierze polscy zabici w Katyniu, zapytani, co sądzą, dlaczego zostali zamordowani, wszyscy bez wahania odpowiedzieliby:

„Byliśmy rozbrojeni i związani, ale ginęliśmy walcząc o Polskę. Śmierć nasza jest konsekwencją naszej postawy i działalności. Zginęliśmy w bitwie o Polskę, w mundurach z odznakami szarży i godła państwowego”.

dowódca 18 Dywizji Piechoty, ppor. Szkatulnik, sierżant podchorąży Kątski, profesor Bronisław Stelmachowski, sędzia Stasiński, radca NIKP Dmochowski, ppor. Dynowski, kpt. Brejcha, nadkom. p.p. Czarnożyński, rtm. Sikora-Sikorski, płk dypl. Bolesław Ciechanowski dowódca 64 p.p. i oficer sztabowy jednego z kresowych pułków o nieznanym nazwisku (*Zeszyty Historyczne*, nr 61, str. 128). Również istnieją poszlaki, że w okresie czerwiec-sierpień 1940 przeprowadzano masowe rozstrzeliwanie Polaków w Sławucie („Jeszcze jedno...”, *Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza* z 7 lutego 1985).

I tak jest. Nie ma nic przypadkowego w akcie Katynia. Katyń jest i będzie jednym z ogniów walki. Jest jednym z pól bitewnych. Największym ze wszystkich. Olbrzymia bitwa o Polskę (str. 247).

Ale nie wszyscy jeńcy-oficerowie i jeńcy-policjanci zostali rozstrzelani. Jedni, jak np. gen. Anders, z miejsca zostali poddani więziennym badaniom i nie byli w obozach jeńców, a innych, jak np. prof. Swianiewicza, zabrano do więzienia i poddano śledztwu. Byli oni potrzebni Związkowi Sowieckiemu, miano jeszcze nadzieję, że uda się dostać od nich jakieś przyteczne wiadomości. Były również grupy oficerów i policjantów, które wyselekcjonowano z trzech obozów przed rozstrzeliwaniami. Według Zawodnego (str. 117) liczyły one 245 jeńców z Kozielska, 79 ze Starobielska i 124 z Ostaszkowa, razem 448 ludzi, których trzymano w dalszym ciągu jako jeńców wojennych, początkowo w obozie Pawliszczew Bor, a potem, od czerwca 1940 w obozie Griazowiec, około 40 km na południe od Wołogdy, przy linii kolejowej Wołogda - Jarosławł.

Nie wiadomo, jakie były dyrektywy władz NKWD dla tych, którzy „darowywali życie” wyselekcjonowanym, ale przyglądając się poszczególnym wypadkom można jednak wyciągnąć ogólne wnioski. Zawodny (str. 143) sugeruje, iż pozostawiono przy życiu tych kilkudziesięciu, którzy od początku wykazywali sympatie komunistyczne, jak również tych, którzy w pojęciu NKWD byli podatni na dalszą indoktrynację, jak i tych, którzy mieli coś w swej przeszłości lub osobowości, co wzbudzało sympatię u osób decydujących o życiu i śmierci. W tej ostatniej grupie z pewnością byli tacy, u których nie można było liczyć na podatność wobec komunizmu, ale może można było, na skutek uprzednich powiązań, oczekiwać pewnej sympatii w stosunku do Rosji.

Wśród nierozstrzelanych znaleźli się gen. Wołkowicki, rtm. Czapski, por. Młynarski, jak również młody wówczas podporucznik, który nie został rozstrzelany chyba tylko dlatego, że on jeden z młodów uczył się rosyjskiego⁸. Widocznie do gustu przypadł NKWD również płk Grobicki, którego oryginalność polegała na tym, że za młodu służył w Legii Cudzoziemskiej. Zawodny (str. 145) zwraca uwagę na to, że pozostawiono przy życiu dwóch przedstawicieli arystokracji, książąt Radziwiłła i Lubomirskiego. Można również zauważyć, że częściej oszczędzano młodszych.

8. Wołkowicki był oficerem carskiej marynarki wojennej i bohaterem wojny japońskiej. Czapski, pisarz i znany malarz, spędził część młodości w Petersburgu. Młynarski był synem znanego dyrygenta i kompozytora Emila Młynarskiego, który w latach 1893-1897 był profesorem konserwatorium w Odessie i później występował jako dyrygent w Rosji carskiej.

W czasie kiedy likwidowano obozy Kozielsk, Ostaszków i Starobielsk pogorszyły się znacznie losy tych szeregowych, którzy dotychczas pracowali w kopalniach i stalowniach zagłębia dniewrowskiego, gdyż przewieziono ich na północ do Komi ASSR, gdzie pracowali nad budową kolei Kotłas - Workuta lub przy wyrębie lasu w miejscowościach Uchta, Kniaź Pogost, Jossier, Nianda, Stikino itd. Jeden z członków tego zgrupowania jeńców charakteryzuje je w sposób następujący:

Tak w pierwszym okresie w Zwiahlu, jak i później w Czebiu⁹ na północy, gdy nas zgrupowano razem, ilość według mojej oceny dochodziła do dziesięciu-jedenastu tysięcy. Skład narodowościowy był taki jak w Polsce przed wojną. Wiek, od uczni szkół lotnictwa dla małoletnich i uczni orkiestr wojskowych do osób w wieku lat sześćdziesięciu i więcej, z przewagą lat średnich. Większość pochodziła z województw Polski centralnej, ale było wielu z Pomorza i Poznańskiego, jak również z Małopolski Wschodniej i Wileńszczyzny. Nie spotkałem tylko Ślązaków. Wykształcenie, od umiających tylko czytać i pisać do osób z wyższym wykształceniem.

Nigdy nie dzielili nas na podoficerów i szeregowców i nikogo nie zwalniali, z wyjątkiem niewielkiej ilości tych, którzy podali się za Niemców. Jaki był stosunek (ilościowy) podoficerów do szeregowców, trudno określić. Myślę, że taki jak normalnie w wojsku, może nieco podoficerowie przeważali, ale to niepewne, bo wielu podawało inne stopnie niż w rzeczywistości posiadali. Szukali tylko spośród nas kaprali i tych, którzy zajmowali jakiegokolwiek stanowiska w życiu społecznym¹⁰.

Nie byliśmy aresztowani. Jeśli kogokolwiek aresztowano i zabrano z obozu, to nigdy już do obozu nie wracał. Na południu w Karakubie widziałem napis na mojej teczce personalnej *wojennoplennyj*. Chociaż później na północy czasami mówiono nam, że jesteśmy *zakluczonyje*, czyli zamknięci. Na niektórych zabranych z obozu ogłaszano nam wyroki skazujące najczęściej na pięć lat. Było wśród nas kilku ukrytych oficerów, ale dokładnej ilości nie znam.

Jeśli chodzi o zachowanie się w niewoli, to należy podkreślić z całym naciskiem, że wszyscy, z wyjątkiem kilkunastu oportunistów, zachowali się

9. Na liście zaginionych żołnierzy (o której mowa w tym rozdziale) obóz ten występuje pod różnymi nazwami — Czibiu, Czubin, Czibi, Czybin, Czibija, Czybnica, Czibin itp. Trudno się temu dziwić, gdyż jak słusznie pisze Zalewski w jednym z listów do autora:

„Przecież żadnej mapy tam nie widziałem, a wszystkie nazwy pochodziły od ludzi przygodnych, bo władze obozowe i NKWD nigdy nie podawały nam żadnych nazw miejsc, gdzie przebywaliśmy”.

Prawdopodobnie ten rozdzieliły obóz, do którego niektóre transporty przywożono statkami z Kotłasem w górę rzeki Wyczegda, znajdował się nieco na północ od stolicy Komi ASSR Syktywkar, w pobliżu stacji Czowju, wykazanej w sowieckim atlasie kolejowym z 1968 roku.

10. Początkowo władze sowieckie miały szczególne podejrzenia w stosunku do kaprali i biorąc jeńców do niewoli, często wydawano rozkaz: — *Oficera i kaprała na odnu storonu. Ostalnyje na druguju* (Oficerowie i kaprale na jedną stronę. Pozostali na drugą). Jednak po pewnym czasie zdali sobie sprawę, że kapral, to tylko najniższy stopień podoficerski.

godnie i nie ulegli żadnym naciskom i perswazjom. Tak jak mnie wiadomo, nikt nie wyrzekł się polskiego obywatelstwa z tej grupy (Zalewski, str. 5).

Warunki na północy były bez porównania cięższe niż na południu w zagłębiu dniewrowskim. Wskaźnikiem tego jest lista „żołnierzy z roku 1939 zmarłych i zaginionych w ZSSR”, obejmująca około 700 nazwisk. Wśród nich jest zaledwie 6 jeńców zmarłych na południu przed latem 1940 i około 120 zmarłych na północy w okresie lato 1940 - lato 1941¹¹.

Ogromna większość jeńców z zagłębia dniewrowskiego została skierowana na północ do Komi ASSR, jedynie niewielką ilość, wynoszącą około tysiąca żołnierzy, skierowano na polskie tereny i dołączono do tych, którzy tam przebywali od jesieni 1939 (relacja Abramowicza).

W czerwcu 1940 Sowiety zajęły Litwę i Łotwę, na skutek czego około 12 tysięcy polskich żołnierzy dotychczas internowanych w tych krajach dostało się w ręce sowieckie¹². Wkrótce przewieziono ich do kilku obozów na terenie Sowietów, a między innymi do Kozielska (tzw. drugi Kozielsk) i do Juchnowa. Jeńcy ci byli, przynajmniej początkowo, traktowani łagodnie, nie musieli pracować i mieli prawo do ograniczonej korespondencji z rodzinami, dzięki czemu wiedzieli, że ich rodziny zostały wywiezione do Kazachstanu i byli z nimi w kontakcie listownym¹³. Po

11. Lista ta zawiera jedynie drobną część nazwisk, które udało się zebrać kapelanom wojskowym w oddziałach zorganizowanych w ZSSR. Została ona wydrukowana w „Wykazie poległych i zmarłych żołnierzy PSZ na obczyźnie w latach 1939-1946”.

12. Była to grupa Polaków, która była w Sowietach najkrócej i miała tam najłżejsze warunki, chociaż niektórych z tej grupy najprawdopodobniej zgładzono (między innymi znanych z bojowej postawy w czasie wojny polsko-bolszewickiej płk. Jerzego Dąbrowskiego i mjr. Bobiatyńskiego). Seniorami tej grupy byli gen. Wacław Przeździecki i płk Alfred Schmidt. Losy tej grupy opisuje Zawilo. O jej dziejach piszą również Lasocki, Ruta i Bojakowski.

13. Jeńcy, którzy przebywali najpierw w dniewrowskim zagłębiu przemysłowym, a potem w Komi ASSR mieli również prawo korespondencji. Adresy podane przez Zalewskiego wraz z listem do autora z 19 października 1979 były następujące. W czasie pobytu nad Dniestrem: *Stalinskaja obłast', Poczutowe oddzielenie karakubskowo rudouprawlenija, Poczutowy jaszczik nr 20*. W czasie pobytu w Komi ASSR: *Gorod Moskwa, Moskowskij pocztamt, Poczutowy jaszczik nr 11/52*.

Na pierwszy adres Zalewski otrzymał dwie pocztówki z Brześcia datowane 23 lutego 1940 i 4 kwietnia 1940, a na drugi adres dwie koperty z Ciechanowca datowane 3 i 17 marca 1941 i jedną pocztówkę z Brześcia datowaną 15 marca 1941. Jednak odnosi się wrażenie, że korespondencja tej grupy była bardziej ograniczona niż tych, którzy przeszli przez Litwę i Łotwę, gdyż w większości wypadków nie byli oni w kontakcie ze swymi rodzinami wywiezionymi do Kazachstanu.

bez mała rocznym pobycie w tych obozach oficerowie w liczbie około 800 zostali wysłani z Kozielska do Griazowca, gdzie połączono ich z ponad 400 uratowanymi z obozów Kozielsk (pierwszy), Starobielsk i Ostaszków, którzy przebywali w Griazowcu od lata 1940. Jednocześnie w czerwcu 1941 wywieziono szeregowych (uprzednio internowanych na Litwie i Łotwie) na północ, na półwysep Kola, nad rzekę Ponoj, gdzie mieli budować lotniska.

W tym czasie, kiedy jedną grupę jeńców-szeregowych przewożono znad Dniepru do Komi ASSR, a drugą z Kozielska i Juchnowa na półwysep Kola, inna duża grupa przebywała w dalszym ciągu na terenach polsko-ukraińskich. O jej losach pisze Marian Mrozek:

Do końca niewoli (wrzesień 1941) nie było mowy, żebyśmy z powodu niedzieli lub święta mieli wolny dzień od pracy. Były jednak okresy, kiedy z różnych powodów siedzieliśmy w obozie beczynnie. Trzymano nas w obozach jenieckich na terenie Wołynia rosyjskiego do marca 1940, następnie wywieziono nas na Wołyń polski (Żyłyń, Antopol) i do Małopolski Wschodniej (województwo lwowskie: Babina, Ostra Góra, Tuligłowy i Czerlany). (*Przegląd Powszechny*, grudzień 1984).

Początkowo (październik 1939) zapędzano nas do różnych dorywczych robót, np. wyładowywanie kamieni z wagonów kolejowych, potem (zima 1940) oczyszczanie dróg ze śniegu. Ale od wiosny 1940 zaczęła się systematyczna praca nad budowaniem drogi Lwów - Równe, mającej łączyć okupowane ziemie polskie z Rosją. Poza tym zatrudniono jeńców przy budowaniu lotniska w Czerlanach (koło Gródka Jagiellońskiego)¹⁴. Jeńców zmuszano do wysiłku przez stosowanie lepszego i obfitszego jedzenia dla gorliwych pracowników i gorszego, skąpszego dla słabszych i niewydajnych (istniały trzy tzw. kotły). Były też kary karceru lub nagrody, jak praca bez dozoru strażników (głównie kierowcy samochodowi).

Jeńcy pochodzili z różnych warstw społecznych — rolnicy, rzemieślnicy, kupcy, urzędnicy, zawodowi wojskowi i in. Nie wszyscy byli przywykli do pracy fizycznej i tu leżała jedna z przyczyn nierównych wyników pracy, od czego zależały porcje jedzenia. Czasem mocniejsi pomagali słabszym. Nieraz oszukiwano przy obliczeniu wyrobku. Z drugiej strony tzw. inteligenci potajemnie działali w kierunku podtrzymywania na duchu słabszych. Przy okazji odbywały się tajne pogadanki z historii polskiej. Prawdopodobnie politycy mieli wśród jeńców swoich zauszników. Zdarzały się wypadki, że niektórzy jeńcy znikali. Na temat propagandy jeńcy wypowiadali się głośno. Dużo Białorusinów, obywateli polskich po kryjomu wysmiewało się z wykładów propagandowych.

Wszyscy byliśmy zawszeni. Od czasu do czasu prowadzono nas do tzw. łaźni, to znaczy pod prysznic. Zwykle wtedy bielizna nasza szła do odsważenia, do tzw. dyskamery. Mało to jednak było skuteczne.

Niektórym jeńcom, którym zdarło się ubranie lub obuwie, dawali sorty sowieckie, tj. watawone spodnie lub kurtki, albo gumowe buty. W jednym z obozów był też fryzjer jeniec.

14. Według innych wersji jeńcy polscy budowali również szosę Brześć - Moskwa oraz wykonywali roboty podziemne przy budowie lotnisk w okolicach Sum na Ukrainie (Rekulski, str. 17).

W czasie szybkiej ewakuacji z terenów polskich po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej mordowali tych jeńców, którzy w marszu nie mogli nadążyć. (List do autora z 2 lutego 1986).

Dalszych danych udzielił Feliks Cichoński, ochotnik z września 1939. Według niego nikogo do domu nie zwalniano. Jedynie Niemcy jak również Ślązacy i niektórzy poznaniacy zostali przekazani Niemcom. Natomiast pozostali jeńcy byli w pierwszym rzędzie zaangażowani przy budowie asfaltowej szosy Przemysł - Lwów - Równe - Kijów. Budowano ją na raz na wielu odcinkach. Niektórzy pracowali w kamieniołomach. Zaangażowanych przy budowie lotniska w majątku Czerlany rozpoczęto ewakuować piechotą dopiero 23 czerwca wieczorem. Byli konwojowani przez batalion NKWD. Ponieważ stosunek konwojentów do konwojowanych był 1 do 5, kolumna z Czerlanów musiała liczyć 2 do 2 i pół tysiąca. W czasie marszu napotykała na inne kolumny jeńców. Z ludnością cywilną żadnego kontaktu nie było, gdyż usuwano ją z trasy marszu. Przy słabych, nie mogących nadążyć za kolumną pozostawał żołnierz NKWD. Wśród najbliższych towarzyszy Cichońskiego był zakamuflowany ks. Woźniak. Idąc intensywnym marszem dniem i nocą, kolumna z Czerlon dotarła do Wołoczysk, gdzie było wielkie zgromowienie jeńców. Stamtąd została przewieziona wagonami do Starobielska. Niektóre grupy jeńców nie były tak szczęśliwe i maszerowały dalej przez Ukrainę. Cichoński nie słyszał o tym, żeby jakaś kolumna jeńców nie zdążyła wycofać się i dostała się w ręce niemieckie.

Trochę informacji o jeńcach zatrudnionych na terenach polsko-ukraińskich zawiera lista „żołnierzy z roku 1939 zmarłych i zaginionych w ZSSR”, na której można doszukać się 86 nazwisk należących do tej grupy. Ilościowo lista ta przedstawia jedynie drobny ułamek całości zagadnienia, ale daje pojęcie o losach jeńców, którzy przebywali na tych terenach.

Przed rozpoczęciem wojny niemiecko-sowieckiej, tzn. w okresie wrzesień 1939 - czerwiec 1941 (21 miesięcy), zanotowano 18 śmierci w następujących miejscowościach:

Po stronie polskiej:

Tuligłowy koło Mościsk	1
Sądowa Wisznia między Mościskami i Lwowem	1
Jaryczów Stary koło Lwowa	2
Kamionka koło Tarnopola	2
Busk między Lwowem i Dubnem	1
Radziwiłłów między Lwowem i Dubnem	1
Kołownica koło Równego	3
Korzec na wschód od Równego	1

Po stronie sowieckiej:

Szepietówka	2
Kamieniec Podolski	1
Miejscowości nie podane	3
R a z e m :	<hr/> 18

W początkowym okresie wycofywania jeńców przed nacierającymi Niemcami w ciągu 24 dni, między 22 czerwca i 16 lipca 1941, zanotowano 61 śmierci, w tym 8 zastrzelonych, w następujących miejscowościach:

Na terenie polskim:

Skole koło Stryja	1
Ostra Góra koło Przemyśla	1
Brody między Lwowem i Dubnem	2
Złoczów między Lwowem i Tarnopolem (3 zastrz.)	6
Zborów między Lwowem i Tarnopolem (1 zastrz.)	7
koło Lwowa	(1 zastrzelony) 4
Podwołoczyska między Tarnopolem i granicą sowiecką	(zastrzelony) 1
Czortków	(zastrzeleni) 2
Razem na polskim terenie (między 22 i 29 czerwca)	<hr/> 24

Na Ukrainie:

między Wołoczyskami i Płoskirowem (Chmiel- nickim)	1
koło Winnicy	5
koło Żytomierza	4
koło Kijowa	4
Skwiera między Koziatyniem i Białą Cerkwią ..	13
koło Białej Cerkwi	4
między Białą Cerkwią i Zołotonoszą	2
Stawieńsk	1
koło Czerkas	2
miejsce nie podane	1
Razem na Ukrainie (między 24 czerwca i 16 lipca)	<hr/> 37

Zastrzelonych w tej liczbie nie odnotowano.

W późniejszym okresie ewakuacji, tzn. między 16 lipcem 1941 i przekazaniem jeńców władzom polskim, odnotowano jedynie 7 śmierci, głównie w drodze do Starobielska i w samym Starobielsku¹⁵.

Zestawienie to wskazuje, jak ciężkie były warunki ewakuacji, w czasie której — szczególnie w ciągu pierwszego tygodnia — ginęło ponad trzech jeńców dziennie¹⁶. A jednocześnie w tej samej grupie jeńców, z której wywodzą się te dane, przed uderzeniem niemieckim, umierało poniżej jednego jeńca miesięcznie.

Większość jeńców ewakuowanych latem 1941 z terenów polsko-ukraińskich skierowano do Starobielska. W połowie sierpnia 1941 przybył tam przedstawiciel gen. Andersa, płk dypl. Kazimierz Wiśniowski. Jeńcy mogli wybierać, albo zgłoszenie się do Polskiego Wojska, albo też do Armii Czerwonej. Według Cichońskiego nikt ze Starobielska nie wybrał tej drugiej alternatywy. Transporty ze Starobielska odeszły do Tockoje, gdzie formowała się 6 Dywizja Piechoty.

Na początku lipca 1941 władze sowieckie zaczęły interesować się polskimi jeńcami, polecając wycofanie ich z ciężkich warunków na północy. Już 12 i 13 lipca 1941 jeńcy, którzy dopiero co zostali przywiezieni na półwysep Kola zostali załadowani na dwa okręty „Ałtan” i „Uzbekistan” (7 tys. i 5 tys. ton pojemności) i przetransportowani do Archangielska. Tych, którzy płynęli na „Uzbekistanie” przewieziono potem do Suzdału, około 200 km na północny wschód od Moskwy, dokąd przybyli 27 lipca. Było ich w tym obozie około 2 tys. Dnia 25 sierpnia przyjechał do tego obozu wysłannik gen. Andersa, płk Nikodem Sulik. Wszyscy jeńcy zgłosili się do Polskiego Wojska, z wyjątkiem dwóch, którzy odeszli do Czerwonej Armii. Z Suzdału żołnierzy przewieziono do Tatiszczewa, gdzie formowała się 5 Dyw. Piech. (Według relacji Zawiły).

15. Zimą 1939-1940 pojemność Starobielska wynosiła około 4 tys. jeńców (tzw. pierwszy Starobielsk). Następnej zimy pojemność ta została powiększona do 22 tys., między innymi przez zlikwidowanie składu zboża w głównej cerkwi (Czapski, str. 51). Wynika stąd, że wszyscy jeńcy wyewakuowani latem 1941 z terenów polsko-ukraińskich mogli pomieścić się w Starobielsku. Według Sokołowskiego (str. 56) 12 czerwca 1941 wywieziono ze Starobielska do Komi ASSR kilkanaście tysięcy więźniów, a wśród nich sporo Polaków.

16. Ludwik Więckowski, którego obóz ewakuowano pieszo spod Tarnopola do Żołotonoszy, podaje (str. 26), że w niewielkiej odległości za kolumną jeńców szedł patrol składający się z trzech sowieckich żołnierzy, których zadaniem było dobijać tych jeńców, którzy upadali ze zmęczenia i pozostawali za kolumną. Natomiast tych, którzy zdołali uciec z kolumny i schować się w łąkach ukraińskiej pszenicy (liczyli oni niekiedy na dostanie się do Niemców) wystrzeliwały oddziały sowieckiej kawalerii.

Tych, którzy jechali statkiem „Ałtan” przewieziono na stację Wiazniki, około 120 km na zachód od Gorkiego, skąd marszem pieszym przeprowadzono ich do obozu Juża (około 40 km na północ od Wiaznik). Zastali tam większą liczbę jeńców przywiezionych niedawno z Komi ASSR. W obozie tym było 10 do 15 tys. żołnierzy. Do otrzymanej wiadomości, że została zawarta umowa i że ma się organizować Armia Polska na terenie ZSSR, większość żołnierzy odniosła się z wielką nieufnością. Kiedy 27 sierpnia przybył do tego obozu płk Sulik, uwierzono. W niedzielę 31 sierpnia miało tu miejsce pierwsze publiczne nabożeństwo odprawiane przez księdza w mundurze lotniczym, który nie miał ani naczyń, ani szat liturgicznych. W pierwszych dniach września odeszły transporty z tego obozu do Tatiszczewa, gdzie tworzyła się 5 Dyw. Piech. (relacje Lasockiego i Matuszaka).

W dniu 17 lipca 1941 z szeregu obozów w Komi ASSR wyruszyły transporty jeńców na południe. Przywieziono je do obozu ćwiczebnego Talica, który był położony nad Oką, dopływem Wołgi, na wschód od Gorkij. Czyli wszystkie trzy obozy — Suzdal, Juża i Talica — były jak na stosunki sowieckie niedaleko od siebie. Przybycie płk. Sulika do Talicy opisuje Zalewski jak następuje:

Orkiestra gra hymn polski. Idą enkawudziści, a między nimi cywilna osoba. Ma nowe ubranie, ale wisi na niej luźno, jak na kołku. Cywil wszedł na trybunę i zaczął przemawiać po polsku. Dowiadujemy się, że jest pułkownikiem. Nazywa się Sulik. Że przyjechał w zastępstwie Andersa. ... Na zakończenie przemówienia płk Sulik wznosił okrzyk na cześć sprzymierzonych — Anglii, Stanów Zjednoczonych i ZSSR. To ostatnie ubodło nas. Tak nas męczyli i katowali, a teraz wznosimy okrzyk na ich cześć. Katowani chwalą kata. Trudne to było do przyjęcia, ale pocieszaliśmy się, że grali hymn polski, a mówili przedtem, że Polska przepadła i że znaleźli się na końcu okrzyku (str. 60).

Na żądanie płk. Sulika ujawniło się 12 oficerów (choć niektórzy pozostali nadal w ukryciu). Najstarszy stopniem wśród ujawnionych był ppłk dypl. artylerii konnej Tadeusz Sheybal, któremu płk Sulik powierzył komendę obozu z ramienia władz polskich. Ujawnił się również diakon Dzierżek, którego później bp Gawlina wyświęcił na księdza. Została wkrótce utworzona mieszana komisja. Stających przed nią zapytywał enkawudzista, czy chcą dobrowolnie wstąpić do Wojska Polskiego. Zaledwie kilku odpowiedziało negatywnie. Pod koniec sierpnia żołnierze wyjechali z Talicy do Tatiszczewa pod Saratowem.

W tym czasie kiedy Sulik i Wiśniowski objeżdżali obozy szeregowych, Anders wraz z Bohuszem-Szyszką 25 sierpnia 1941 przeprowadził inspekcję jedyne obozu oficerskiego w Griazow-

cu, gdzie znajdowało się około 1.200 oficerów i parę setek szeregowych.

Na zakończenie należy przeprowadzić bilans ilościowy.

Dnia 31 października 1939 sesja Rady Najwyższej ZSSR była poświęcona sprawom polskim. To wówczas w swoim przemówieniu ludowy komisarz spraw zagranicznych Wiaczesław Mołotow stwierdził: „*łoskutnoje gosudarstwo, urodliwoje dietiszcze wiersalskowo dogowora, Polska, pieriestała suszczestwowat*”. Czyli: „Łachmaniarskie państwo, pokraczny bękart traktatu wersalskiego, Polska, przestała istnieć”. (Zdanie to zapamiętałem wówczas do brze — cytuję je z pamięci).

Sesja ta miała niewątpliwie charakter triumfalny, gdyż celebrowano rewanz Sowieców nad Polakami za powstrzymanie sowieckiego pochodu na Zachód w 1920 roku. W mowie swej Mołotow stwierdził również, że we wrześniu 1939 wzięto do niewoli około 230 tysięcy polskich jeńców¹⁷.

W niecały rok później, w rocznicę napadu na Polskę, 17 września 1940 roku, pismo Czerwonej Armii *Krasnaja Zwiezda* podało, że wzięto do niewoli 181 tys. jeńców wojennych, w czym 12 generałów, 55 pułkowników, 72 podpułkowników i 9.227 oficerów niższych stopni.

Jak wiadomo, z tej liczby wymordowano wiosną 1940 roku około 14 tys. oficerów i policjantów (obozы Kozielsk, Starobielsk i Ostaszków), więc pozostało około 170 tys., a wśród nich zaledwie nieco ponad 400 oficerów. Później latem 1940 zagarnięto z Litwy i Łotwy około 12 tys. jeńców, a w tym około 1 tys. oficerów. Czyli w sowieckiej niewoli latem 1941, nie licząc zmarłych w okresie niewoli, powinno było być 179-182 tys. żołnierzy, w tym około 1.400 oficerów i 177-180 tys. szeregowców i podoficerów.

Z drugiej strony wydane w Rzymie 1945 roku opracowanie Bohdana Podoskiego „Polska Wschodnia 1939-1941”, oparte na obliczeniach szacunkowych przeprowadzonych przede wszystkim „na podstawie relacji wiarygodnych świadków”, ocenia liczbę jeńców wojennych wziętych do niewoli przez Sowiety jesienią 1939 na 230 tys. To samo opracowanie podaje, że około 46 tys. szeregowych zwolniono jesienią 1939. Obejmuje to chyba szeregowych przekazanych Niemcom.

Jednocześnie z różnych relacji (np. wspomnienia A. Bluma, „O broń i orły narodowe”) wiemy, że szeregowców pochodzących z terenów przyłączonych do Sowieców zwalniano do domu.

17. We wspomnieniach generała Andersa (str. 61) liczba ta podana jest — chyba błędnie — jako 300 tysięcy.

Ale nie zwolniono jednak wszystkich szeregowców tej kategorii. Podobnie zwolniono również chyba pewną ilość młodszych podoficerów, ale nie wszystkich, bo wielu podoficerów z Ziemi Wschodnich służyło potem w Armii Andersa. Jednocześnie z innych wspomnień (jak np. Zbigniewa Stypułkowskiego „W zawierusze wojennej”) wiadomo, że szeregowych z Polski zachodniej i centralnej przekazywano Niemcom, ale znowuż wszystkich nie przekazano, bo potem wielu spośród nich spotykało się w Armii Andersa. O sprawach tych pisze S. Kurowski w sposób następujący:

Po sześciu tygodniach pobytu (w obozie przejściowym w Wołoczyskach) i selekcji oficerów odszedł pierwszy transport w stronę Przemysła, skąd — po przejściu przez Niemców — skierowano go przez Kraków w głąb Niemiec, do Stalagu IX w pobliżu Kassel. W Wołoczyskach jeńcom, oprócz oficerów, dano prawo wyboru pozostania w Związku Sowieckim, albo odesłania do Niemców. W Przemysłu Sowieciarze zegnali przekazywanych jeńców podaniem ręki. (*Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza* z 14 listopada 1970).

Jak widać, niełatwo zorientować się w sprzecznych danych o liczbie jeńców. Ale jeżeli założymy, że początkowa liczba 230 tysięcy podana przez Mołotowa obejmowała wszystkich jeńców wojennych, a późniejsza 181 tys., podana w *Krasnoj Zwieździe*, jedynie tych, którzy zostali po zwolnieniach do domów i przekazani Niemcom (czyli że zostało zwolnionych i przekazanych 49 tys.) i jeżeli jednocześnie założymy, że liczba oszacowana przez Podoskiego (230 tys. minus 46 tys. zwolnionych do domów, czyli 184 tys.) wzięta już pod uwagę przekazania Niemcom, dojdziemy do bardzo podobnych liczb z obu stron, mianowicie 181-184 tys. jeńców wszystkich stopni.

Tymczasem w sierpniu 1941 gen. Panfilow (pełnomocnik sowieckiego sztabu głównego do spraw polskich) podał gen. Andersowi następujący stan jeńców polskich — około 20 tys. szeregowców i podoficerów oraz ponad 1 tys. oficerów w obozie Griazowiec. Nieco później, 10 października 1941, Andriej Wyszynski, na usilne nalegania ambasadora Kota, zawiadomił go, że Sowiety miały ogółem 25.314 jeńców polskich wszystkich stopni. Należy przypuszczać, że liczba ta odpowiadała prawdzie w sierpniu 1941, bo tylu mniej więcej żołnierzy z września 1939 znalazło się w Armii Andersa. Wynika stąd, iż brakuje 154-157 tysięcy szeregowców i podoficerów. Jest to ogromna liczba, w przybliżeniu dwa razy większa niż wszyscy żołnierze wywiezieni do Persji w obu ewakuacjach, wiosną i latem 1942.

Spróbujmy zrobić inne obliczenie, bardziej korzystne dla Sowieców. Pamiętając o tym, że zwycięzcy zwykle podają przesadne liczby jeńców, zignorujmy 230 tys. wymienione przez Mołotowa

i założmy, że 181 tys. w *Krasnoj Zwiezdie* odpowiadało stanowi faktycznemu i obejmowało wszystkich jeńców wziętych do niewoli, włączając zwolnionych do domów i przekazanych Niemcom. Założmy również, że Podoski też przesadził, szacując liczbę jeńców na 230 tys., natomiast słusznie ocenił liczbę zwolnionych do domu na 46 tys. Założmy również, że dodatkowo około 10 tys. żołnierzy przekazano Niemcom. W tym wypadku obliczenie wygląda następująco: 181 tys. wziętych w sumie do niewoli, minus 46 tys. zwolnionych do domu, minus 10 tys. przekazanych Niemcom, minus 14 tys. rozstrzelanych (obozy Kozielsk, Starobielsk i Ostaszków), plus 12 tys. z Litwy i Łotwy, czyli (pomijając zmarłych już w niewoli) latem 1941 powinno być w rękach sowieckich około 123 tys. jeńców wojennych wszystkich stopni. A tymczasem według Wyszyńskiego było jedynie około 25 tys. A więc brakuje 98 tys.

Z tych dwóch przybliżonych obliczeń wynika, że szacunkowo 100-150 tys. podoficerów i szeregowców zginęło w Sowietach w przeciągu niecałych dwóch lat, między jesienią 1939 i latem 1941. Niektórzy spośród nich zmarli śmiercią powolną (choroby, niedożywienie, mróz, ciężka praca, nieznośne warunki transportowe). Ale pewna liczba musiała umrzeć śmiercią bardziej gwałtowną, podobną do tej, jaką umarli oficerowie i policja z obozów Kozielsk, Starobielsk i Ostaszków¹⁸.

W świetle tych danych uporczywe pogłoski krążące w Sowietach na temat tragicznych losów polskich „oficerów” stają się bardziej prawdopodobne, z tym iż trzeba pamiętać, że w oczach sowieckich szeregowi w przedwojennych polskich mundurach uchodzili normalnie za oficerów. Najczęściej spotykane były wiadomości o zatopieniu barek na Morzu Białym lub między Buchtą-Nachodką i Nową Ziemią. Pisze o tym Czapski, jak również cały szereg innych autorów wspomnień. Inne wersje dotyczą grobów na terenie Ukrainy. Na przykład Ryszard Bittner, którego powołano do Czerwonej Armii pisze o śladach pobytu polskich jeńców w obozie Biezludowka na południowym przedmieściu Charkowa, w którym przebywał wiosną 1941. Fakt ten potwierdzali miejscowi kolejarze, ale unikali rozmowy na temat ich dalszych losów. Bittner zdołał ustalić, że obóz ten był uprzednio miejscem wypoczynkowym wojsk NKWD i na jego terenie były porzucane łuski rewolwerowe. Kiedy miały się rozpocząć cwi-

18. Więckowski pisze (str. 22), że w kwietniu 1941 znalazł się w specjalnym obozie pod Tarnopolem, gdzie grupowano tych, którzy mieli uprzednio zatargi z władzami obozowymi lub uchylali się od pracy. Pomimo, że warunki w tym obozie były o wiele lepsze niż gdzie indziej, panowało tam przekonanie, że jeńcy w nim zgrupowani przeznaczeni są na zagładę.

czenia oddziału Bittnera w okopywaniu się w terenie, przyszedł nagły zakaz kopania na terenie tego obozu i jego peryferiach na skutek czego odebrano żołnierzom tego oddziału łopatkę.

W połowie lat 70-tych polscy robotnicy budowali w okolicy Starobielska odcinek orenburskiego rurociągu. Na podstawie wiadomości pochodzących od lokalnej ludności utarła się wśród nich wieść, iż tuż pod Starobielskiem, blisko skrzyżowania kolei i szosy, w ogromnym dole po wybranym piasku, zastrzelono 6 tys. polskich oficerów. Na ich cześć jeden z robotników polskich zapalił tam dwie świece na Zaduszki 1977. Zarówno autor broszury w tej sprawie, A. T. Rekulski, jak i Józef Czapski, który napisał do niej przedmowę, zastanawiają się nad tym, czy nie są to groby oficerów z 1940 roku. Tego wykluczyć nie można. Ale również nie można wykluczyć, iż po usunięciu tych oficerów wiosną 1940 zaludniono Starobielsk podoficerami i szeregowymi na przełomie 1940-1941 (których miejscowa ludność brała za oficerów) i że to są ich groby. Ale już nikt chyba tych spraw ostatecznie nie wyjaśni.

Wydaje się, że wystrzelanie lub wytopienie wszystkich brakujących jeńców, tzn. 100-150 tys., jest mało prawdopodobne. Podobnie wymarcie wszystkich przy pracy w Komi ASSR w ciągu około 12 miesięcy (lato 1940 - lato 1941) nie jest możliwe. Nie ma żadnych śladów, które sugerowałyby, że jakieś kolumny jeńców wycofywane przed Niemcami latem 1941 dostały się w ręce niemieckie. Niemożliwe jest też, żeby NKWD zastrzeliło aż 100-150 tysięcy w czasie tej ewakuacji. Więc gdzie się ci ludzie podzieli? Co się z nimi stało? Możliwe, że na ich zniknięcie złożyło się szereg przyczyn, może nam całkowicie nieznanych. Gdyż na przykład jeden ze świadków K. Kobiałka pisze z Australii co następuje:

Dalsze moje losy potoczyły się jak wszystkich nas byłych żołnierzy z września 1939. W Szepietówce nie byłem, lecz byłem wywieziony do Czortkina, który jest niedaleko Kurska. Czortkin — tak nazywała go miejscowa ludność. Wszędzie bagna i bagna. Tam leżą nasi oficerowie. (List do autora z 20 października 1978 — niestety, więcej wiadomości nie udało się uzyskać).

Na Zachodzie żyje jeszcze co najmniej kilka setek ludzi, którzy przeszli przez sowieckie obozy jeńców nie-oficerów. Są też ci, którzy zostali przekazani przez bolszewików Niemcom jesienią 1939. Może jeszcze znajdzie się ktoś, kto pozbiera od nich informacje i wyciągnie wnioski prowadzące do wyjaśnienia tajemnicy¹⁹.

19. Autor byłby wdzięczny za nadesłanie relacji podoficerów i szeregowców.

ŹRÓDŁA OPUBLIKOWANE

- Abramowicz Stefan, „Notatka autobiograficzna”, *Teka B. J. Kukielki*, Londyn, sierpień 1984.
- Anders Władysław, „Bez ostatniego rozdziału”, Gryf, Londyn 1959.
- Blum Aleksander, „O broń i orły narodowe”, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1980.
- Bojakowski R., „Wigilia w Pawliszczew Bor”, *Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza* z 24 grudnia 1977.
- Chudy Władysław, „W sowieckim więzieniu w Brześciu nad Bugiem”, *Zeszyty Historyczne* nr 61, Paryż 1982.
- Czapski Józef, „Na nieludzkiej ziemi”, PFK, Londyn 1969.
- FitzGibbon Louis, „Unpitied and Unknown”, Bachman & Turner, London.
- Koszuński Stanisław, „Wspomnienia z różnych pobojoisk”, *Przegląd Kawalerii i Broni Pancernej*, Londyn 1972.
- Kot Stanisław, „Listy z Rosji do gen. Sikorskiego” i „Rozmowy z Kremlem”, *Jutro Polski*, Londyn 1955 i 1959.
- Krasnaja Zwiezda* z 17 września 1940.
- Wiesław Lasocki, „Święto żołnierza w Wiaznikach”, „Moje wojenne święta”, „Z Panoi do Tatiszczewa”, Londyn, *Tydzień Polski* lub *Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza* z 24 grudnia 1981, 15 sierpnia 1970, 11 sierpnia 1986.
- Lednicki Wacław, „Wspomnienia”.
- Młynarski Bronisław, „W niewoli sowieckiej”, Gryf, Londyn 1974.
- Mrozek Marian, „Niektóre objawy życia religijnego wśród żołnierzy polskich (1939-1945)”, *Przegląd Powszechny*, Londyn, grudzień 1984.
- Ruta Kazimierz, „Polski chór w łagrze”, *Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza*, Londyn, 11 grudnia 1970.
- Stypułkowski Zbigniew, „W zawierusze dziejowej”, Gryf, Londyn 1951.
- Swianiewicz Stanisław, „W cieniu Katynia”, Instytut Literacki, Paryż 1976.
- „Wykaz poległych i zmarłych żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych”, Instytut im. gen. Sikorskiego, Londyn 1952.
- Zawodny J. K., „Death in the Forest”, Macmillan, London 1962.
- Listy do redakcji *Tygodnia Polskiego* i *Dziennika Polskiego* i *Dziennika Żołnierza*: Tadeusz Birn (9 stycznia 1971), Jerzy Grobicki (26 kwietnia 1971), Stefan Komornicki (9 stycznia 1971), S. Kurowski (14 listopada 1970), M. J. Matuszak (24 lutego 1984), Antoni Mitrega (20 stycznia 1984), Tadeusz Wójcik (3 lutego 1984), Władysław Zgorzelski (13 lutego 1971).

ŹRÓDŁA NIEOPUBLIKOWANE

- Cichoński Feliks, relacja ustna z 2 lutego 1987.
- „Grażyna”, Wspomnienia 1939-1956, maszynopis, 537 str.
- Kobiałka K., list do autora z 20 października 1978.
- Mrozek Marian, list do autora z 2 lutego 1987.
- Sokołowski Andrzej (zginął pod Monte Cassino), Pamiętnik, maszynopis, 18 str.
- Szkućłapski Józef, relacja ustna z 2 stycznia 1987.
- Więckowski Ludwik, 'Moja droga', rękopis, 30 str.
- Wrona Julian, relacja ustna z 2 stycznia 1987.
- Zalewski Jan, 'Wspomnienia z niewoli sowieckiej', maszynopis, 62 str.
- Zawiło Marian, 'Pamiętnik', maszynopis, 99 str.

Marek Kazimierz KAMIŃSKI

POLSKO-CZECHOSŁOWACKIE STOSUNKI
POLITYCZNE PRZED KONFERENCJĄ
TRZECH MOCARSTW W POCZDAMIE (dok.)
(maj - czerwiec 1945 roku)

W rzeczywistości jednak wycofanie noty, do czego zresztą nie doszło, byłoby równoznaczne z przyznaniem się do poniesionej porażki. Forma noty została wykorzystana przez stronę czechosłowacką jako dogodny pretekst do negatywnego ustosunkowania się w kwestiach merytorycznych. Ultimatum było konsekwencją ignorowania przez czynniki czechosłowackie polskich prób przynajmniej rozpoczęcia dialogu dyplomatycznego. Strona czechosłowacka doskonale rozumiała determinanty działania rządu polskiego i dlatego postawiła na kartę nieustępliwości wobec północnego sąsiada. Nie oznaczało to jednak, że uniknie ona jakichkolwiek kosztów związanych z przyjętym sposobem postępowania.

Toteż Clementis zamiast ustosunkować się do polskiego znaku równości między rokiem 1938 i 1919, gdy nastąpił najazd czechosłowacki na Śląsk Zaolziański, znalazł bardzo zgrabne wyjście. Oświadczył, że nie może zgodzić się na stawianie na jednej płaszczyźnie lat 1938 i 1920, ponieważ w pierwszym wypadku Polska zagarnęła Zaolzie siłą, a w drugim zgodziła się na decyzję Rady Ambasadorów. Zdaniem Clementisa na Śląsku Zaolziańskim miały miejsce jedynie incydenty, zresztą częściowo usprawiedliwione współpracą niektórych Polaków z Niemcami. Nie można było jednak mówić o uruchomieniu całego systemu wymierzonego w ludność polską. Kwestie te — zdaniem Clementisa — postara

się rozwikłać specjalna komisja czeska w tym celu wysłana na Zaolzie. Nie należałoby jej oczywiście mylić z proponowaną przez stronę polską komisją mieszaną. Clementis podtrzymywał też kilkakrotnie już przedkładaną w rozmowach polityków obu stron koncepcję transferu polskiej ludności z terenu spornego. Powoływał się na dobrą wolę rządu czechosłowackiego, który pierwszy po ZSSR uznał nowy rząd polski. Również w San Francisco minister spraw zagranicznych Jan Masaryk udokumentował swój stosunek do rządu polskiego, występując z propozycją zaproszenia go na konferencję. Polscy repatrianci wracający z Niemiec przez Czechosłowację — twierdził dalej Clementis — byli serdecznie i gościnnie przyjmowani przez Czechów. Oddanie Górnego Spisza i Orawy Polsce oraz incydenty na tych terenach były również wykorzystywane przez Clementisa jako argument.

Wierbłowski zaatakował *Rudé Právo* za postulat granic strategicznych z Polską oraz radiową wypowiedź Clementisa na temat Kłodzka, Głubczyc i Raciborza. Uzyskał od czechosłowackiego podsekretarza stanu obietnicę wstrzymania kampanii propagandowej w tej kwestii. W gruncie rzeczy Wierbłowskiemu chodziło o zasugerowanie Clementisowi koncepcji wymiany terytoriów, gdy twierdził, „że gotowi jesteśmy przedyskutować sprawy innych odcinków granicy polsko-czechosłowackiej, ale wespół ze sprawą Zaolzia”. Clementis nie reagował na próby stworzenia *iunctim* pomiędzy kwestią Kłodzka i Śląska Zaolziańskiego. Wierbłowski proponował wysłanie kogoś z Pragi do Warszawy w celu przedyskutowania problemu, ale i w tym wypadku natrafił na obojętność rozmówcy. Clementis natomiast gotów był zaaranżować spotkanie premiera Zdenka Fierlingera z Olszewskim, co z kolei strona polska przyjęła z rezerwą, gdyż dyskusja toczyłaby się w Pradze. Wysłanie delegata rządu czechosłowackiego do stolicy Polski mogłoby zostać wykorzystane propagandowo przez stronę polską, jako dowód, że Czechosłowacja uważa Zaolzie za kwestię sporną⁴².

Tak jak zapowiedział Clementis, Hejret wręczył 17 czerwca odpowiedź Roli-Żymierskiemu. W nocy wyrażano zdziwienie z powodu ультимatywnego charakteru żądań polskich i stwierdzono że rząd czechosłowacki, „jest zmuszony formę i ton noty polskiej jak najbardziej kategorycznie odrzucić”. Również kategorycznie odrzucił projekt powołania komisji mieszanej. Motywował to tym, że honoruje decyzje Konferencji Ambasadorów z 28 lipca 1920 i dodawał, że „oba nasze państwa okazałyby bardzo mało

42. *Ibidem*.

szczerzej chęci czynnego włączenia się w nowy system międzynarodowego bezpieczeństwa i sprawiedliwości, gdyby wkroczenie w nową epokę zapoczątkowały aktem poddającym w wątpliwość sprawiedliwość prawnie ważnej międzynarodowej decyzji". Zresztą w roku 1920 Czechosłowacja też była początkowo niezadowolona, ponieważ „przyłączona została do Polski część Księstwa Cieszyńskiego, która należała do historycznych ziem Korony Czeskiej”, oraz „czysto słowackie” gminy Górnego Spisza i Orawy. Niestety, ze względów komunikacyjnych komisja do zbadania sytuacji na Zaolziu nie mogła jeszcze udzielić informacji na ten temat rządowi czechosłowackiemu. „Zdziwienie Rządu Czechosłowackiego nad formą, tonem i treścią noty [polskiej] jest tym większe — głosi dokument — że ... Rząd przygotowywał i przygotowuje program daleko sięgającej współpracy gospodarczej z nową Polską”.

16 czerwca, a więc w przeddzień odpowiedzi czechosłowackiej, kierownictwa czterech partii wchodzących w skład rządu polskiego oraz Polskiego Związku Zachodniego w województwie śląsko-dąbrowskim wystosowały do Polaków zaolziańskich odezwę ogłoszoną następnego dnia w całej prasie. Wzywała ona polskich mieszkańców Zaolzia, by nie podporządkowywali się rejestracji tzw. „cudzoziemców” i by nie porzucali dobrowolnie swojej ziemi. „Zapewniamy was, że Naród Polski uczyni wszystko, by w razie potrzeby przyjść wam z pomocą” — obiecywali autorzy odezwy⁴³. 17 czerwca na Śląsk Cieszyński wkroczyły pierwsze oddziały wojska polskiego. Dotychczas nie stacjonowały tam jeszcze polskie jednostki wojskowe. Wraz z nimi przybył do Cieszyna marszałek Rola-Żymierski i wojewoda śląsko-dąbrowski gen. dyw. Aleksander Zawadzki⁴⁴. Po drodze — w Katowicach — Rola-Żymierski wygłosił ostre przemówienie, w którym marsz polskich oddziałów motywował tym, że „Czesi próbowali przed dwoma dniami wejść na nasze terytorium”. „Sprawa Zaolzia nabiera znaczenia europejskiego — oświadczył. „Nie przyznajmy Czechom prawa do Zaolzia — kontynuował marszałek — próbujemy tę sprawę rozstrzygnąć na drodze rozmów. O ile nie będzie zrozumienia u sąsiada wyjście znajdziemy. Pod tym względem Rząd Tymczasowy nie jest tylko rządem do rozmów. Pokrzywdzonych musimy obronić⁴⁵”.

W tym momencie było już wiadomo definitywnie, że rząd czechosłowacki odrzucił polskie propozycje ustosunkowując się

43. *Rzeczpospolita*, 17. VI. 1945.

44. *Rzeczpospolita*, 18. VI. 1945.

45. *Głos Ludu*, 18. VI. 1945.

negatywnie do dyskusji o Śląsku Zaolziańskim, której celem byłoby wprowadzenie korektur granicznych na tym odcinku. Rola Żymierski więc, po poinformowaniu delegacji polskiej w Moskwie o stanowisku rządu czechosłowackiego, porozumiał się z nią co do koncentracji wojsk polskich w rejonie Cieszyna z zamiarem przekroczenia granicy i zajęcia Śląska Zaolziańskiego. Tegoż 17 czerwca delegaci Rządu Tymczasowego RP powiadomili premiera Stalina i komisarza spraw zagranicznych Wiaczesława Mołotowa o odmownej decyzji rządu czechosłowackiego oraz planie wkroczenia jednostek polskich na Zaolzie. Politycy sowieccy sugerowali swoim rozmówcom, że „problemu tego zbyt dobrze nie znają”. Stalin wprawdzie wyraźnie nie zaakceptował zamiaru rządu polskiego, ale delegaci odnieśli wrażenie, że nie ma nic przeciwko użyciu siły zbrojnej. Widocznie przedstawiciele Rządu Tymczasowego RP nie zadowolili się wypowiedzią Stalina, bo 18 czerwca, w dniu gdy miało nastąpić zajęcie Zaolzia, jeszcze raz poprosili przywódcę sowieckiego o zajęcie stanowiska. Tym razem Stalin odradził podejmowanie kroków wojskowych i oświadczył, że problem mógłby być rozwiązany wyłącznie na konferencji pokojowej ponieważ mocarstwa nie uznają wszystkich pomocniczych zmian granicznych. Wówczas delegaci polscy poprosili Stalina o pośredniczenie między rządem polskim a czechosłowackim „w sprawie polubownego porozumienia polsko-czechosłowackiego⁴⁶”.

18 czerwca odbyło się w Warszawie posiedzenie rządu w niepełnym składzie zwołane ze względu na kwestię Śląska Zaolziańskiego. Wiceminister spraw zagranicznych Jakub Berman oświadczył, relacjonując dotychczasowy przebieg sprawy, że rząd sowiecki podjął się pośrednictwa i wysłał zaproszenie przybycia do Moskwy dla przedstawicieli rządu czechosłowackiego. W najbliższych dniach odbędą się rokowania w stolicy ZSSR. „Pierwszym naszym sukcesem — mówił z optymizmem Berman — jest fakt, że dzięki naszej twardej postawie udało się skłonić stronę czeską do rozmów⁴⁷”. Tylko tyle, że rozmowy te miały dotyczyć nie kwestii nowego rozgraniczenia na Śląsku Zaolziańskim, ale problemu, czy kwestię ową należy poddawać pod dyskusję.

Wojska polskie nie wkroczyły więc na Zaolzie, ale sam fakt pojawienia się ich na granicy na ziemi bezspornie polskiej został przez niektórych publicystów na zachodzie potraktowany jako

46. Osóbka-Morawski, „Dziennik polityczny”, *op. cit.*, str. 137.

47. Protokół nr 41 posiedzenia Rady Ministrów Rządu Tymczasowego RP w dniu 18. VI. 1945, AEOM.

wyraz agresywności rządu polskiego⁴⁸. Demonstracja zbrojna przyniosła więc Polsce nie najlepszą prasę i żadnych konkretnych korzyści. Na samym zaś Zaolziu rejestracja Polaków została wprowadzie wstrzymana, ale posypały się masowe aresztowania. Od 17 czerwca w ciągu trzech dni trafiło do więzień około 1.000 najbardziej patriotycznie nastawionych osób⁴⁹. Pretekstem do aresztowań stała się też akcja Polskiego Czerwonego Krzyża, którego delegacja usiłowała na terenie Zaolzia, począwszy od 18 czerwca, rozdawać żywność wśród miejscowych Polaków. Władze czeskie pozwoliły jedynie na zmagazynowanie prowiantu, po opuszczeniu zaś Zaolzia przez misję, rozpoczęły sprzedaż zarekwirowanych produktów wyłącznie ludności czeskiej. Nie powiódł się również główny cel wyprawy. Władze czeskie udaremniły założenie placówek PCK na Śląsku Zaolziańskim⁵⁰.

Rząd czechosłowacki dbał natomiast o to, by w opinii publicznej zachodniej Europy uchodzić za nastawionego pokojowo. 19 czerwca *Rudé Právo* zamieściło oświadczenie prezydium rządu w związku z doniesieniem korespondenta Reutera Johna Kimche z dnia 16 czerwca. Polemizując z podawanymi przez niego informacjami *Rudé Právo* pisało: „Jest wymysłem twierdzenie, że Czechosłowacja wysuwa pretensje do całego Śląska i że czechosłowackie wojska okupacyjne wkraczają do niektórych stref nie zajętych jeszcze przez Polaków. Jest oczywiście prawdą, że rząd czechosłowacki zamierza przeprowadzić niektóre konieczne korektury byłych czechosłowacko-niemieckich granic i to w porozumieniu z aliantami, włączając rząd polski⁵¹”. Kimche nie mylił się jednak, twierdząc, że wojska czechosłowackie przekroczyły w kilku miejscach dawną granicę z Niemcami. Inna sprawa, że po pewnym czasie musiały z terenów przejmowanych przez polską administrację wycofać się.

Prasa polska po nocie czechosłowackiej z 17 czerwca zrezy-

48. W artykule zamieszczonym w *Times*'ie pt. „Pretendenci do Cieszyna” podkreślano umiarkowanie strony czechosłowackiej i zwracano uwagę na reaktywowanie przez rząd polski metod z roku 1938 (częściowy przedruk w dwóch numerach „Biuletynu Specjalnego Polpressu”, 16. VII. 1945, oraz 30. VII. 1945. Cały przedruk w *Svobodne Slovo* z 18. VII. 1945). *Manchester Guardian* z 21. VI. 1945 podawał fałszywą informację: „Obecnie Polacy ponownie zajęli Cieszyńskie — tym razem za zgodą Rosji — i raz jeszcze decyzje konferencji pokojowej zostały uprzedzone dobrym starym zwyczajem grabienia” [przedruk (w:) *Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza*, 22. VI. 1945].

49. Raport Wengierowa do Bermiana, 20. VI. 1945, AMSZ.

50. Sprawozdanie delegacji PCK dla Wengierowa, 20. VI. 1945, AMSZ.

51. Fragmenty doniesienia Reutera, (w:) „Biuletyn Nasłuchu Specjalnego Polpressu”, 16. VI. 1945.

gnowała z twierdzenia, że za wypadki na Zaolziu ponoszą wyłącznie winę władze terenowe. *Rzeczpospolita* z 18 czerwca obarczyła również odpowiedzialnością władze centralne, a *Głos Ludu* z tegoż dnia pisał o „pewnych politykach czeskich i pewnych kołach na Zaolziu i w Pradze, którym nie podoba się przyjaźń polsko-czeska”. Po raz pierwszy też ujawnił meritum propozycji polskich, stawiając retoryczne pytanie: „dlaczego dotąd nie słyszemy o stworzeniu komisji polsko-czechosłowackiej, która miałaby za cel przyjazne uregulowanie wszystkich spraw spornych między obu narodami?”. Oba dzienniki zaatakowały również zapowiadane na łamach prasy czeskiej plany zwrócenia się do wielkich mocarstw w sprawie Kłodzka, Głubczyc i Raciborza. *Rzeczpospolita* wyrażała zdziwienie z powodu oferty czeskiej pod adresem aliantów, wskazując na to, że Polska stoi na stanowisku rozmów bilateralnych. Czynniki rządowe polskie zdawały sobie bowiem sprawę z tego, że obecnie trzeba będzie wystąpić z propozycjami odstąpienia Czechosłowacji części postulowanych przez nią ziem, byleby tylko wywiązała się dyskusja na temat Śląska Zaolziańskiego. Aby jednak z drugiej strony nie wywołać wrażenia w społeczeństwie polskim, że rząd gotowy jest iść na jakieś ustępstwa wobec południowego sąsiada, *Głos Ludu*, pisząc o odzywających się tu i ówdzie w Czechosłowacji żądaniach maksymalistycznych dotyczących Śląska, od których reszta następnego dnia odżegnało się *Rudé Právo*, nazywał je „świadomą prowokacją szowinistyczną”.

18 czerwca w nocy odwiedził Fierlingera ambasador sowiecki Walerian Zorin informując go, że rząd sowiecki uzyskał od rządu polskiego „po długim sporze” zgodę na niepodejmowanie kroków, które „mogłyby wywołać rozlew krwi”. Ambasador zaprosił następnie do Moskwy przedstawicieli rządu czechosłowackiego „aby ułatwić rozwiązanie istniejących spornych problemów między Polską a Czechosłowacją w dobrosąsiedzkiej atmosferze, a także (wyjaśnić sprawę) czeskiej próby zajęcia Raciborza”. Fierlinger obiecał zwołać od razu posiedzenie rządu oraz prosił Zorina, aby „zawiadomił Moskwę, że w ogóle nie była podejmowana próba zajęcia Raciborza⁵²”.

Podczas posiedzenia rządu czechosłowackiego 18 czerwca minister obrony narodowej gen. Ludwik Svoboda przekazał wiadomość ze Śląska Zaolziańskiego, „według której (radziecki) generał Antonow nakazał Polakom, aby odstąpili od naszych granic”. Rada ministrów przyjęła propozycję Zorina, ale zaleciła swoim

52. K. Kaplan, *op. cit.*, str. 53

przedstawicielom zdecydowanie odrzucić jakiegokolwiek rokowania na temat Zaolzia. Gottwald uznał, że strona polska posiada jednak pewien atut w swych rękach w postaci aprobaty dla przesunięcia wschodniej granicy państwa na Bug. Proponował zatem, aby delegacja czechosłowacka postąpiła analogicznie występując wobec gospodarzy z gotowością przedyskutowania problemu odstąpienia przez Czechosłowację Związku Sowieckiemu Rusi Podkarpackiej wraz z węzłem kolejowym w Czopie. Mimo sprzeciwu wicepremiera Jana Szramka z partii ludowej oraz socjaldemokratycznego ministra aprowizacji Vaclava Majera, którzy stali na stanowisku, że decyzję w sprawie cesji terytorialnej powinien podjąć parlament, rada ministrów przyjęła wniosek Gottwalda, „gdyż — jak zwrócił on uwagę — będziemy w stanie wskazywać na to, że podobnie jak Polacy zgodziliśmy się z rektyfikacją granic na wschodzie na korzyść Związku Radzieckiego^{52a}”.

Rząd czechosłowacki pragnął upoważnić ponadto swą delegację do wysunięcia wobec przedstawicieli władz w Warszawie postulatów terytorialnych wykraczających jak się wydaje, poza zakres Kłodzkiego, Głubczyckiego i Raciborskiego. Kopeczky proponował nawet, aby „Czechosłowacja na północnym wschodzie domagała się obszarów aż do Odry i Nysy, tak aby znikł klin między Polską a Czechosłowacją”. Wobec sprzeciwu Benesza, który uważał, „że Czechosłowacja powinna uzyskać jedynie terytoria takiej wielkości jak te, które jednocześnie odstępuje”, rada ministrów wzięła pod uwagę jako przedmiot roszczeń tylko trzy wyżej wspomniane ziemie^{52b}.

Clementis, informując Kliefortha o zamierzonych rozmowach z polskimi przedstawicielami, nadmienił, że Czechosłowacja pragnie wytrwać przy przedmonachijskich granicach z Polską, ale nie w zamian za rezygnację z rektyfikacji byłej granicy czechosłowacko-niemieckiej⁵³. Postawa rządu czechosłowackiego nie wróżyła sukcesu polskiej dyplomacji.

21 czerwca premier Fierlinger i ministrowie: p.o. obowiązki ministra spraw zagranicznych Clementis, minister obrony narodowej Ludwik Svoboda, handlu zagranicznego Hubert Ripka, zdrowia Adolf Prochazka oraz członek Śląskiej Rady Narodowej Hečko wraz z ekspertami przybyli do Moskwy uroczyste witani na lotnisku przez komisarza spraw zagranicznych Mołotowa i jego pierwszego zastępcę Andreja Wyszyńskiego⁵⁴. Do delegacji

52 a. *Ibidem*, str. 53-54, 39-40.

52 b. *Ibidem*, str. 69-70.

53. FRUS, *Diplomatic Papers 1945, Europe*, vol. IV, str. 514-515.

54. *Svobodne Slovo*, 22. VI. 1945; Osóbka-Morawski podaje w swoim *Dienniku błędą datę 24 czerwca* (str. 139).

przyłączył przybyły wcześniej 14 czerwca minister oświaty Zdenek Nejedlý⁵⁵ oraz wicepremier Jan Ursiny. 22 czerwca po rozmowie z Mołotowem Fierlinger odwiedził również Bieruta⁵⁶. Właściwe rozmowy między delegacjami obu rządów odbyły się dwukrotnie 22 i 25 czerwca.

Przedstawiciele polscy mieli przygotowane memorandum, w którym proponowali granicę na Śląsku Zaolziańskim wzdłuż tzw. linii z 4 czerwca 1945 roku. Ze wszystkich rozważanych przez rzeczoznawców pod koniec maja wariantów rozwiązań granicznych wspomniana linia była najkorzystniejsza dla Polski, ponieważ zostawiała karwińskie zagłębienie wysokokoksującego węgla po polskiej stronie. By propozycję uczynić łatwiejszą do przyjęcia dla polityków czechosłowackich, argumentowano, że w rękach czeskich pozostałoby około połowy produkcji Zagłębia Ostrawsko-Karwińskiego. Niezależnie od bogactw zagłębia w posiadaniu polskim pozostawały huty w Trzyńcu oraz zakłady metalurgiczne w Boguminie i Frysztacie. Kolej zaś Bogumin - Czadca przecinałaby jedynie na niewielkim odcinku obszar czechosłowacki, przebiegając przez gminy Rychwałd i Poręba. Polska, chcąc osłodzić Czechosłowacji stratę magistrali kolejowej, proponowała stronie czechosłowackiej zawarcie specjalnej umowy w sprawie uprzywilejowanego ruchu tranzytowego. W memorandum cały nacisk położono na argumentację natury ekonomicznej, ponieważ spodziewano się, że politycy czechosłowaccy tradycyjnie już będą bronić swoich pretensji przy jej pomocy. Zwracano ponadto uwagę, że obszar, którego domaga się Polska jest mniejszy o 40 km² od posiadanego w roku 1918 i o 174 km² od obszaru zajętego w roku 1938, tj. o 24 % w porównaniu z przyłączonym do Polski w wyniku akcji płk. Becka. „Zmiany te świadczą o dużej ustepliwości ze strony polskiej — pisano w memorandum — która chce pójść do jak najlepszego porozumienia”. W rzeczywistości, polskie rezygnacje dotyczyły ziem najmniej cennych gospodarczo na całym Zaolziu.

Delegacja polska i czechosłowacka zeszły się po raz pierwszy 22 czerwca późnym popołudniem w gmachu ambasady polskiej w Moskwie. Ze strony polskiej w rozmowach uczestniczyli: Gomułka, Rzymowski, wiceprezydent KRN Stanisław Szwalbe, ambasador polski w ZSSR Zygmunt Modzelewski oraz czterech ekspertów. Stronę czechosłowacką reprezentowali: Clementis, Ripka, Prochazka, szef jednego z departamentów praskiego MSZ

55. *Rudé Právo*, 15. VI. 1945.

56. *Svobodne Slovo*, 24. VI. 1945.

Némécek, *chargé d'affaires* ambasady czeskosłowackiej w Moskwie Jaroslav Hnizdo oraz trzech ekspertów.

Poprzedniego dnia przedstawiciele Rządu Tymczasowego RP osiągnęli bardzo korzystne porozumienie w sprawie składu osobowego mającego się ukonstytuować Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, zaś tego samego dnia wieczorem ambasadorzy USA i Wielkiej Brytanii w Moskwie obiecali uznać nowy rząd w zamian za uzyskaną od Bieruta ustną obietnicę przeprowadzenia wyborów w możliwie najkrótszym czasie⁵⁷. Rząd Tymczasowy RP odniósł więc duży sukces, umacniając swoją pozycję na arenie międzynarodowej. Od wyników rozmów z delegacją czeskosłowacką zależało, czy zdobędzie atut potrzebny do umocnienia pozycji w kraju.

Na samym wstępie rozmowy, po zaprezentowaniu przez Gomułkę stanowiska polskiego, Prochazka oświadczył, że delegacja czeskosłowacka nie ma prawa zmieniać decyzji przekazanych w odpowiedzi na notę Roli-Żymierskiego. Oznaczało to, że nie zamierza dyskutować o zmianach granicy na Zaolziu. Zdaniem Prochazki Śląsk Zaolziański nie stanowił problemu terytorialnego. Rozwiązań wymagałyby jedynie kwestie personalne, bowiem z ich powodu doszło do incydentów na Zaolziu. Polscy uczestnicy dyskusji dowiedzieli się w tym miejscu, jakie cele postawił rząd czeskosłowacki delegacji wysłanej w celu zbadania sytuacji na Śląsku Zaolziańskim. Miała ona „ukarać ludzi systemu Becka”. Zestawienie listy Polaków, którzy przybyli na Zaolzie po roku 1938 lub też byli wpisani na volksliście czy też współpracowali z Niemcami, ułatwiłoby według Prochazki wyjaśnienie 90 % incydentów. Słowem zakładano z góry, że odpowiedzialność za ucisk Polaków będą ponosić właśnie Polacy. Prochazka otwarcie oświadczył, że wobec wyżej wymienionych kategorii ludności polskiej „będzie stosowane specjalne postępowanie”, a „co do formy tego postępowania nastąpi uzgodnienie”. Rząd czeskosłowacki porozumiałby się w tej sprawie z rządem polskim, przekazując listy tych mieszkańców Zaolzia, którzy uważani byłiby za winowajców.

Takie ujęcie zagadnienia nie tylko niweczyło plany polskie wszczęcia dyskusji o kwestii terytorialnej przynależności Zaolzia, ale stanowiło zapowiedź poddania jak najszerzych warstw ludności polskiej różnorodnym represjom i szykanom. Polacy, którzy przybyli w roku 1938 na Śląsk Zaolziański, byli w większości wypadków zmuszeni przez administrację czeską w latach 1920-1938 do opuszczenia rodzinnego Zaolzia. Teraz zamierzano zgotować

57. W. T. Kowalski, *Walka dyplomatyczna o miejsce Polski w Europie (1939-1945)*, Warszawa 1970, str. 689-691.

im los nie lepszy niż pozbawionej praw obywatelskich ludności niemieckiej i węgierskiej.

Prochazka obiecywał, że Polacy zamieszkujący Zaolzie przed rokiem 1938 będą traktowani jako pełnoprawni obywatele republiki. Oznaczało to, że nie będą oni posiadali jakichkolwiek praw mniejszościowych. Nawet zresztą liczba tych Polaków mogła być dowolnie ograniczana przez administrację czeską tropiącą „okupantów” z roku 1938 i „kolaborantów” z okresu okupacji.

Gomułka próbował argumentować, że „naród polski ma pełne prawo żądać uregulowania sporów granicznych w duchu zasady samostanowienia narodów, w myśl której to zasady uregulowana została kwestia granic wschodnich Polski”. Na zarzut Modzelewskiego, że rząd czechosłowacki wysunął pretensje do ziem, gdzie została ustanowiona już władza polska, Prochazka odpowiedział, że „delegacja czechosłowacka nie zna żadnego dokumentu urzędowego, że te obszary są przyłączone do Polski” i że decyzja co do przynależności tych ziem musi zapaść na konferencji pokojowej.

Strona czechosłowacka gotowa była zapoznać się z polskimi materiałami dotyczącymi wydarzeń na Zaolziu. Co do spraw szkolnictwa polskiego Prochazka oświadczył, że „wszyscy demokracjacy” polscy nauczyciele będą mogli nauczać. Chodziło więc tylko o nauczycieli, których zaakceptuje administracja czechosłowacka. Prochazka sugerował, że rząd czechosłowacki myśli o zawarciu układu przyjaźni i wzajemnej pomocy z Polską oraz o uregulowaniu spraw gospodarczych i kulturalnych między obu państwami. Prawie dwugodzinna wymiana zdań pozwoliła Gomułce jedynie na sformułowanie stwierdzenia, że „pomiędzy stanowiskami obu rządów istnieje zasadnicza różnica w sprawie Śląska Zaolziańskiego i że spór trwać będzie aż do konkretnego rozwiązania sprawy rewizji granic⁵⁸”.

23 czerwca przybył z Pragi do Moskwy poseł Wierbłowski, by wziąć udział w planowanych na 25 czerwca powtórnych rozmowach obu delegacji⁵⁹. Tegoż dnia w gmachu ambasady czechosłowackiej spotkali się w szerszym nieco gronie przedstawiciele rządów polskiego i czechosłowackiego. Po stronie polskiej liczba dawnych uczestników powiększyła się o Wierbłowskiego oraz *attaché* prasowego poselstwa w Pradze dr. Staniewicza. Ze strony czechosłowackiej zjawili się nieobecni uprzednio — wicepremier Ursiny oraz poseł Arnošt Heidrich z praskiego MSZ.

58. Protokół posiedzenia komisji polskiej i czechosłowackiej dnia 22. VI. 1945, AMSZ.

59. *Głos Ludu*, 24. VI. 1945.

Wśród polskich rzeczoznawców obok Staniewicza znaleźli się rektor Akademii Górniczej w Krakowie profesor Walery Goetel, dyrektor Instytutu Śląskiego dr Lutman, docent geografii Uniwersytetu Jagiellońskiego Leszczycki i wicedyrektor Instytutu Śląskiego dr Antoni Wrzosek. Czeskie władze terenowe z Morawskiej Ostrawy reprezentowali wiceprzewodniczący rady narodowej profesor Dobeš oraz dwaj członkowie rady prof. Červenka i Hečko. Obok dr. Žourka stanowili oni zarazem grupę czechosłowackich ekspertów.

Na wstępie Clementis zaproponował w związku ze stwierdzoną podczas ostatniego spotkania różnicą poglądów obu delegacji co do spornego charakteru Śląska Zaolziańskiego, zajęcie się zbadaniem incydentów na Zaolziu. Zwrócił uwagę, że do zaostrzenia sytuacji przyczyniają się audycje rozgłośni katowickiej, podczas gdy naprawdę były one nie przyczyną tylko wynikiem polityki uprawianej przez administrację na Śląsku Zaolziańskim. Gomułka odrzucił projekt czechosłowackiego wiceministra spraw zagranicznych. Oświadczył, że strona polska zamierza rozpocząć dyskusję biorąc za punkt wyjścia konieczność zmiany granicy na Śląsku Cieszyńskim. Co więcej, nie tylko nie będzie zajmować się sprawami incydentów w oderwaniu od kwestii granicznej, ale nie podejmie rozmów na tematy proponowane przez stronę czechosłowacką. Oznaczało to, że rząd polski powstrzyma się na razie od rokowań o układzie przyjaźni i wzajemnej pomocy, o zawarciu umów gospodarczej i kulturalnej między obu państwami, a także o postulatach czechosłowackich w sprawie niektórych terytoriów byłej Rzeszy Niemieckiej znajdujących się już pod polską administracją.

Rozmowy, choć w końcowym etapie nie posunęły ani na krok sprawy, o której realizację delegacja polska usilnie zabiegała, pozwoliły jednak poznać bliżej plany czechosłowackie wobec Polaków zamieszkujących Zaolzie oraz zrozumieć dokładniej kruchość argumentacji etnicznej na poparcie stanowiska czechosłowackiego.

Wszyscy mówcy czechosłowaccy utrzymywali, że na Śląsku Zaolziańskim zamieszkuje większość czeska. Dopiero Ripka odślonił istotę zagadnienia. Przyznał bowiem pośrednio rację stronie polskiej, twierdząc, że „uznajemy skład narodowościowy tylko do września 1938 — jasne, że wówczas większość była czeska” i że „nie uznajemy i nie możemy uznać zmian składu ludności w okresie po Monachium”. Rząd czechosłowacki — oświadczył Ripka — aby przyczynić się do rozwoju przyjaźni z Polską, proponuje przesiedlenie Polaków z terenu Zaolzia, a w każdym razie opuszczenie tego terenu przez elementy faszystowskie, które napłynęły po okupacji albo w czasie wojny zachowywały się wrogo

w stosunku do Czechosłowacji. Ci Polacy, którzy zostaną, będą obywatelami równouprawnionymi z Czechami i Słowakami”.

Gomułka wykorzystał czechosłowacki projekt wymiany ludności, który mógłby, zdaniem Clementisa, dotyczyć również Górnego Spisza i Orawy, by podjąć jeszcze jedną próbę skłonienia strony czechosłowackiej do dyskusji o granicy na Zaolziu. Stwierdził, że gotów jest zgodzić się na nią, ale w tym wypadku, gdyby po dyskusji między rzeczoznawcami obu państw z zestawionych materiałów wynikało, że Śląsk Zaolziański zamieszkuje większość czeska. Ursiny zdecydowanie wystąpił przeciw propozycji powołania komisji ekspertów oraz dodał, że dyskusja w sprawie Zaolzia jest stronie czechosłowackiej niepotrzebna. Toteż prośba Modzelewskiego, by delegacja czechosłowacka zwróciła się w polskim imieniu do swego rządu o zmianę stanowiska przekazanego notą z 17 czerwca Roli-Zymierskiemu została przyjęta z dużym sceptycyzmem przez czechosłowackich rozmówców.

Czechosłowaccy politycy odrzucili ponadto sugestie, że sprawa Zaolzia jest podobna do sprawy Rusi Podkarpackiej. Utrzymywali, że w odróżnieniu od Zaolzia, terytorium to było zamieszkałe przez obcą etnicznie większość — w tym wypadku przez Ukraińców. Argumentowali natomiast, że po przeprowadzeniu nowej granicy między Czechosłowacją a ZSSR przykład Rusi wskazywać będzie również na konieczność wymiany ludności na Śląsku Zaolziańskim. Podobnie zresztą postępuje Polska i ZSSR wobec swych mniejszości pozostałych na terytorium sąsiada w związku z nową granicą na Bugu.

Ripka otwarcie zaproponował dyskusję na temat Kłodzkiego, Głubczyckiego i Raciborskiego z delegatami polskimi. Ci oczywiście nie kwapili się do rozmów, które w efekcie przynieść mogłyby uszczerbek w nabytkach terytorialnych na zachodzie nie gwarantując natomiast uzyskania czegokolwiek w zamian⁶⁰.

Oba spotkania z 22 i 25 czerwca z polskiego punktu widzenia zakończyły się kompletnym fiaskiem. Strona czechosłowacka musiała jednak ponieść pewne koszty związane z uchyleniem się od dyskusji na temat zmiany granicy na Zaolziu. Został on podpisany tego samego dnia przez Mołotowa, Fierlingera i Clementisa. Na mocy układu Ruś Podkarpacka została formalnie i ostatecznie włączona do ZSSR⁶¹. Moment, w którym doszło do

60. Protokół posiedzenia komisji polskiej i czechosłowackiej w Moskwie dnia 25. VI. 1945, AMSZ.

61. H. Batowski, *Wojna a dyplomacja 1945*, Poznań 1972, tekst układu na str. 290.

podpisania umowy przekreślił nadzieje prezydenta Edwarda Benesza i najbliższej mu partii narodowych socjalistów, że sprawę Rusi będzie można wykorzystać jako swego rodzaju artykuł wymienny za postulowane nabytki kosztem Niemiec. Chcieli oni, by definitywne uregulowanie kwestii faktycznie administrowanej przez władze sowieckie Rusi Podkarpackiej nastąpiło po ustaleniu granicy z Niemcami⁶². Tymczasem rozwiązanie nastąpiło w chwili, gdy ważyły się losy Śląska Zaolziańskiego.

Również zaproponowana przez stronę sowiecką granica między Rusią a Słowacją odbiegała od linii podziału administracyjnego między tymi prowincjami w przedwojennej republice. Tekst układu wyraźnie wspominał o „wniesionych zmianach⁶³”, które zgodnie z mapą sowieckiego sztabu generalnego służącą jako podstawa negocjacji powodowały przesunięcie granicy o około 25 kilometrów na zachód⁶⁴. Magistrała kolejowa Użok - Czop w okresie międzywojennym przecinana w kilku miejscach przez granicę prowincji (przy czym sama stacja Użok i Czop należały do Słowacji), obecnie w całości biegną przez teren sowieckiej Ukrainy Zakarpackiej, mając jeszcze w kierunku zachodnim zaplecze terytorialne⁶⁵. ZSSR godził się na wykorzystanie stacji Czop dla czechosłowackiego tranzytu⁶⁶.

Nawet w kwestii stosunków z Polską trudno było mówić o pełnym sukcesie strony czechosłowackiej. Rząd polski nie zrezygnował ze swego postulatu terytorialnego. Co więcej, politycy sowieccy wcale nie uważali, że nie istnieje kwestia sporna. Stali tylko na stanowisku, że winna być ona odłożona do konferencji pokojowej. Nie udało się również delegacji czechosłowackiej uzyskać aprobaty sowieckiej dla projektu włączenia Kłodzka, Głubczyc i Raciborza do republiki. I tym razem przywódcy państwa sowieckiego oświadczyli, że sprawy tych ziem będą rozstrzygnięte na konferencji pokojowej⁶⁷. Przedstawiciele rządu czechosłowackiego odrzucili jedyną na razie realną możliwość urzeczywistnienia przynajmniej części wysuwanych roszczeń. W rozmowach 26 czerwca Osóbki-Morawskiego z Fierlingerem

62. H. Ripka, *Le coup de Prague, Une Révolution préfabriquée, Souvenirs de...*, Paris 1949, str. 11.

63. H. Batowski, *op. cit.*, str. 290.

64. FRUS, *Diplomatic Papers 1945, Europa*, vol. IV, str. 521.

65. Zapis ustawijici o schůzi výboru zahraničního Prozatímního Národního Shromáždění (dalej (PNS) w dniu 21. XI. 1945, krab. 19, załączona mapa, Archiv Federálního Národního Shromáždění (dalej AFNS).

66. Zapis ustavujici o schůzi výboru ustavně-právního, PNS w dniu 21. XI. 1945, krab. 17 a. AFNS.

67. FRUS, *Diplomatic Papers 1945, Europe*, vol. IV, *op. cit.*, str. 519.

i Gomułki z przybyłym bez ogłaszania w prasie do Moskwy wicepremierem Klementem Gottwaldem, czechosłowaccy premierzy nie zgodzili się na wszczęcie rokowań o Zaolzie w zamian za obiecywaną podwójną rekompensatę ziemią Kłodzką⁶⁸.

Strona polska poniosła porażkę, bowiem nie udało się jej nawet rozpocząć merytorycznej dyskusji. Polskie memorandum z naszkicowanym projektem nowej granicy na Śląsku Cieszyńskim nie zostało nawet wręczone delegacji czechosłowackiej.

26 czerwca w gmachu polskiej ambasady odbyła się konferencja prasowa z udziałem wicepremiera Gomułki oraz przyszłego wicepremiera Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej Stanisława Mikołajczyka. Choć poświęcona była przede wszystkim zagadnieniom związanym z utworzeniem nowego rządu, padły również pytania dotyczące Śląska Zaolziańskiego. Gomułka mógł jedynie powiedzieć, że pragnie, aby Polska była państwem jednolitym pod względem narodowym i że w związku z tym zasada samostanowienia narodów winna znaleźć zastosowanie również w odniesieniu do Śląska Zaolziańskiego zamieszkałego przez większość polską. Niechętnie odniósł się do planów odłożenia problemu do chwili zwołania konferencji pokojowej. Preferował bilateralny sposób załatwienia sporu między dwoma państwami słowiańskimi⁶⁹. W tym też duchu ambasada polska w Moskwie zwracała się 28 czerwca do władz sowieckich, twierdząc, że sprawa Zaolzia „będzie musiała obecnie być wyjaśniona na drodze rozmów dyplomatycznych⁷⁰”. Strona polska liczyła więc, że w końcu uda jej się złamać opór czechosłowackiego sąsiada i skłonić go do dyskusji merytorycznej.

Tymczasem reakcja premiera Fierlingera na wypowiedź Gomułki stawiała pod znakiem zapytania możliwość urzeczywistnienia polskich zamiarów. Fierlinger wyjaśnił 27 czerwca sprawozdawcy Reutersa w Moskwie, że strona czechosłowacka wykazała już ochotę do ustępstw w roku 1920, gdy zgodziła się z decyzją Konferencji Ambasadorów przyznającą większą część Śląska Cieszyńskiego Polsce, „mimo że czuliśmy, iż jest to wbrew naszym interesom”. Dodał, że „nie można rokować z rządem polskim

68. Osóbka-Morawski, „Dziennik polityczny”, str. 139. O spotkaniu Osóbki-Morawskiego z Fierlingerem powiadomiła prasa czechosłowacka. Polskiemu premierowi towarzyszyli Rzymowski i Modzelewski (*Svobodne Slovo*, 27. VI. 1945).

69. *Rzeczpospolita*, 28. VI. 1945.

70. Komentarz polskiej ambasady do protokołów z rozmów polsko-czechosłowackich, 28. VI. 1945, wraz z pozostałymi materiałami przesłany na ręce sowieckie; dowiadujemy się z niego, że Hejret również brał udział w rozmowach, o czym nie wspominają same protokoły, AMSZ.

o jakimkolwiek odstąpieniu [zaolziańskiego] terytorium". Posiada ono bowiem najlepsze i najważniejsze kopalnie węgla w Czechosłowacji oraz jedną z najistotniejszych linii kolejowych łączących Czechy i Morawy ze Słowacją. Zbyt wielki kapitał został zainwestowany w przemysł ciężki tego obszaru. Fierlinger wyraził jedynie gotowość porozumienia z rządem polskim w sprawie wymiany ludności⁷¹. Oświadczenie Fierlingera otwierało wiele późniejszych wypowiedzi różnych polityków czechosłowackich przy rozmaitych okazjach akcentujących publicznie swój negatywny stosunek do rezygnacji ze Śląska Zaolziańskiego.

Fiasko moskiewskich rozmów spowodowało jednak również chwilową konsternację po stronie polskiej. Berman na posiedzeniu rządu 26 czerwca wolał nie zajmować się problemem stosunków polsko-czechosłowackich⁷². „Sukces”, o którym wspominał w tym samym gronie 8 dni wcześniej, okazał się bowiem początkiem porażki. Brakło również optymizmu w słowach Osóbki-Morawskiego na ostatnim posiedzeniu Rządu Tymczasowego RP 28 czerwca, gdy wspominał moskiewskie kontakty z południowymi sąsiadami. Oceniał, że ze względu na nieuznawanie przez mocarstwa pomonachijskich zmian granic „pod względem formalnym Czesi są mocniejsi od nas” i w związku z tym nie należy liczyć na zmianę neutralnego stanowiska ZSSR. „Wynika stąd — kontynuował — że najprawdopodobniej z tym zagadnieniem [tj. Zaolzia] trzeba będzie poczekać do czasu konferencji pokojowej”. Wyrażał też słabą nadzieję, że „ostatecznie może oni zrozumieją, że w interesie przyjaźni obydwu narodów leży to, żebyśmy się dogadali wcześniej”. Wracając do rozmów moskiewskich przypominał, że strona polska dawała do zrozumienia delegatom czechosłowackim, iż gotowa jest mówić nie tylko o Zaolziu, ale w ogóle o sprawach granic oraz sugerował konieczność ustępstw terytorialnych na rzecz południowego sąsiada⁷³.

Prasa polska nie przekazała żadnych szczegółowych danych na temat dyskusji moskiewskich. *Głos Ludu* z 27 czerwca podał jedynie za CzTK informację, że czechosłowackie ministerstwo szkolnictwa i oświaty zapowiedziało otwarcie na Zaolziu polskich szkół powszechnych. Był to z polskiego punktu widzenia jedyny pozytywny skutek rozmów między przedstawicielami obu rządów.

30 czerwca wróciła do Pragi czechosłowacka delegacja rzą-

71. *Svobodne Slovo*, 28. VI. 1945; *Rudé Právo*, 28. VI. 1945.

72. Protokół nr 43 posiedzenia Rady Ministrów Rządu Tymczasowego RP w dniu 26. VI. 1945, AEOM.

73. Protokół nr 44 posiedzenia Rady Ministrów Rządu Tymczasowego RP w dniu 28. VI. 1945, AEOM.

dowa⁷⁴. 2 lipca Fierlinger poinformował rząd, że rozmawiał w Moskwie również z ambasadorami anglosaskimi oraz francuskim. Przedstawiciele Wielkiej Brytanii i Francji poparli stanowisko czechosłowackie w sprawie Zaolzia. Ambasador amerykański wyraził natomiast wątpliwość, „czy Polacy poradzą sobie z olbrzymimi obszarami, które pragną anektować”. Fierlinger, popierany przez narodowosocjalistycznego ministra handlu zagranicznego Huberta Ripkę, przekonał pozostałych członków rządu, że nie należy rezygnować z pretensji terytorialnych do ziemi kłodzkiej, głubczyckiej i raciborskiej, mimo że Mołotow odmówił przekazania tych obszarów pod administrację czechosłowacką. Swoją optymistyczną dla Czechosłowacji prognozę opierał na zapewnieniu sowieckiego komisarza spraw zagranicznych, że problem przynależności państwowej tych terenów zostanie rozstrzygnięty na konferencji pokojowej. Według oceny Ripki „do pomyślniejszego wyniku wycieczki do Moskwy w rozstrzygający sposób przyczyniło się to, że Czechosłowacja definitywnie rozwiązała problem Ukrainy Zakarpackiej^{74a}”.

Tego samego dnia, 2 lipca, Fierlinger wygłosił przemówienie radiowe na temat przebiegu rozmów moskiewskich. Dał słuchaczom do zrozumienia, że Czechosłowacji nie grozi już powrót do sytuacji zaistniałej w połowie ubiegłego miesiąca. Czechosłowacki premier zwrócił uwagę, że „namiętność”, z jaką odnosiły się polskie czynniki do całej sprawy, ma swoje korzenie w zmianie wschodnich granic Polski. Fierlinger podkreślił, że w Moskwie delegacja mówiła również o Kłodzkiem, Głubczyckiem i Raciborskiem, dotychczas zamieszkałych, jego zdaniem, przez „liczną ludność mówiącą po czesku”. Oświadczył, że swoje „stosunkowo skromne” postulaty terytorialne rząd czechosłowacki zamierza forsować na konferencji pokojowej⁷⁵.

Po nieudanych rozmowach czerwcowych rząd polski zdecydował się na wprowadzenie swojej administracji na Górnym Spiszu i Orawie. Należało brać to, z czego rząd czechosłowacki zrezygnował tylko dlatego, iż pragnął utrzymać Zaolzie w swoim ręku. Wkraczająca na Górną Orawę polska milicja z Nowego Targu natrafiła na opór miejscowej ludności. Doszło do krwawego starcia w nocy z 3 na 4 lipca w miejscowości Podwillk między polską a słowacką milicją. Pierwsza placówka polska została rozbita⁷⁶.

74. *Svobodne Slovo*, 1. VII. 1945.

74 a. K. Kaplan, *op. cit.*, str. 55, 69-70, 41.

75. *Svobodne Slovo*, 3. VII. 1945; *Rudé Právo*, 3. VII. 1945.

76. A. Bielovodsky, *Severne hranice Slovenska*, Bratislava 1946, str. 28-30.

Ustanowienie polskiej administracji odbywało się w warunkach zbrojnego przeciwdziałania słowackich bojówek oraz antypolskiej propagandy księży i nauczycieli Słowaków⁷⁷. Władze polskie wysłały na Górny Spisz wojsko, które — przewidując wszelkie środki ostrożności — zajęło te ziemie 17 lipca⁷⁸.

Na przełomie czerwca i lipca dobiegł końca najbardziej napięty okres w powojennych stosunkach polsko-czechosłowackich. Możliwość konfliktu zbrojnego została zażegnana, ale pretensje terytorialne z obu stron nie zostały zlikwidowane. Długo jeszcze miały one ciążyć na relacjach międzypaństwowych obu sąsiadów, z których żaden nie zamierzał na razie rezygnować ze swych postulatów. Południowy sąsiad, uniknąwszy bardzo nieprzyjemnej dla siebie sytuacji, mógł obecnie występować bardziej aktywnie, wykorzystując w tym celu bogate doświadczenia swej międzywojennej i wojennej dyplomacji. Nowa ekipa rządząca Polską dysponowała w tym względzie znacznie skromniejszymi możliwościami. A od sposobu przeprowadzenia rozgrywki z partnerem zależał w pewnej mierze sukces terytorialny, a w przeważającym stopniu drobniejsze, choć nie mniej istotne osiągnięcia w dziedzinie stosunków politycznych, gospodarczych i kulturalnych. Rząd polski główny wysiłek skupić miał w najbliższej przyszłości na skłanianiu rządu czechosłowackiego do ponownych rozmów, które dotyczyłyby jednak granicy na Śląsku Cieszyńskim.

Marek Kazimierz KAMIŃSKI

77. Raport mjr. Bieleckiego, kierownika wojewódzkiego UBP w Krakowie do ministra Bezpieczeństwa Publicznego, 17. VII. 1945, AMSZ.

78. A. Bielovodsky, *op. cit.*, str. 22. 31.

WSPOMNIENIA

Gen. Józef JAKLICZ

Z ZESZYTÓW GEN. JÓZEFA JAKLICZA

Gen. Jaklicz prowadził dziennik, bardzo nierówny jeśli idzie o chronologię, trudny do odczytania gdyż pisany ręcznie, a ponadto uszkodzony przez wilgoć. Jest to jednak pasjonujący dokument. Nie tylko ze względu na fakty historyczne — Generał zajmował wybitne stanowiska w armii — ale także ze względu na niezależność sądów i odwagę cywilną. Sylwetka Generała wymaga specjalnego opracowania i nie wątpimy, że zostanie to kiedyś zrobione. Obecnie publikujemy niektóre fragmenty dziennika, udostępnionego nam przez wdowę, p. Stanisławę Jakliczową, z którą od lat łączy nas prawdziwa przyjaźń.

17 WRZEŚNIA 1939

3 kwietnia 1944

Śmigły i Sikorski nie żyją. Wolno mi upamiętnić dzień 17 września 1939.

16 września, późnym popołudniem w Kołomyi, Śmigły dawał wskazówki mjr. Galinatowi. Był przy nich obecny Stachiewicz, Malinowski i, jeśli się nie mylę, płk Smoleński. Treść ich była

następująca: wróci pan do wnętrza kraju, które po spłynięciu wojsk na przedmoście rumuńskie będzie puste. Tam założy pan POW i działać będzie na tyłach niemieckich. Jakkolwiek Śmigły nie mianował Galinata swoim zastępcą na kraj, to plenipotencje były właściwie równoznaczne z nominacją.

Wyznając, byłem zaskoczony, podobnie jak wszyscy obecni. Cóż reprezentował mjr Galinat? Młody (około 32-35 lat), zapałony i ideowy oficer pracujący w czasie pokoju w organizacjach młodzieży akademickiej, lecz nic więcej. Nikomu nie znany, nie posiadający ani autorytetu wewnętrznego, ani zewnętrznego.

Jeżeli Śmigły chciał pozostawić w kraju szefa pracy konspiracyjnej dla przetrwania, to należało wybrać człowieka z nazwiskiem, którego znałaby przynajmniej armia i do którego miałyby zaufanie.

Galinat, już po przekroczeniu granicy rumuńskiej 19 lub 20 września, odleciał samolotem do Warszawy. Lądował dosłownie na ulicy Warszawy. Po wzięciu Warszawy przedostał się do Paryża, tam go spotkałem. Uznał, że nie miał warunków pracy w kraju.

Pracowałem do późnej nocy 16 września. Był to bodaj pierwszy dzień od początku wojny, w którym przyświecała mi isierka nadziei. Z obliczeń moich wynikało, że do 20-22 września powinniśmy już zebrać ok. 10-12 [...] jednostek na przedmościu rumuńskim. Siła dość znaczna, aby trzymać się długo. Prace fortyfikacyjne, dzięki energii gen. Dąbkowskiego, posuwały się naprzód. Odcinek został już zorganizowany personalnie (gen. Fabrycy, gen. Paszkiewicz, kwatermistrz płk Rudka). Pierwsze bataliony znajdowały się w Stryju. Zwycięstwo (przeolbrzymione) Sosnkowskiego pozwalało przypuszczać, że odciążony Lwów da nam 2-3 dniowy oddech i jednostkom, które miały do nas spłynąć. Troską moją było, aby dywizja pancerna niemiecka nie przeszła na północ Lwowa, nie wdarła się na Tarnopol i w ten sposób nie przecięła marszu jednostkom, których oczekiwaliśmy z Wołynia i Polesia. Ta myśl nie dawała mi spokoju. Położyłem się spać ok. godz. 3-ej.

17 września 1939. Może o 6-tej przyszedł do mnie płk Kopański. Przyjąłem go w łóżku. Zawiadomił mnie, że bolszewicy przekroczyli granicę polską. Zrozumiałem.

Uderzenie bolszewickie było dla Sztabu Naczelnego Wodza całkowitym zaskoczeniem. Wprawdzie 14-go lub 15-go szef Oddziału II meldował Stachiewiczowi o mobilizacji korpusów nadgranicznych, lecz wiadomość ta przyjęta została jako naturalne zja-

wisko zbliżania się wojny do granic sowieckich. Nawet gdyby była pewność uderzenia Sowietów na nas, to w żadnym wypadku nie mogliśmy znaleźć odpowiedzi militarnej. Granica była pusta, stała otworem. Strzegł jej KOP, ale politycznie, nie wojskowo, osłabiony o te wszystkie jednostki, które zmobilizował i wysłał na wojnę z Niemcami.

Udałem się wspólnie z gen. Malinowskim do Stachiewicza. Przyszedł tam wkrótce biskup Gawlina z obandażowaną głową (ranny w czasie bombardowania niemieckiego). Od nas otrzymał złowrogą wiadomość. Zaczęły napływać pierwsze wiadomości. Bolszewicy przekroczyli granicę o świcie wojskami pancernymi i motorowymi. Czółgi jadą otwarte z białymi chorągwiami. Bolszewicy twierdzą, że przychodzą nam z pomocą, aby bić Niemców. Wojsko nasze jest zdezorientowane. Poszczególne oddziały KOP-u, nie mając żadnych instrukcji, działają na własną rękę. Jedne stawiają zacięty opór, inne przepuszczają wojska sowieckie. Te wymijają je i jadą dalej.

Stachiewicz udał się do Marszałka po decyzję. Ja wróciłem do biura. Zastałem tam już szefów misji angielskiej i francuskiej, gen. Carton de Wiart i gen. Faury. Wydałem pierwsze zarządzenia dotyczące ochrony Sztabu. Nie rozporządzałem żadnym oddziałem, wysłałem więc samochodami oficerów Oddziału III na Dniestr. Stamtąd kazałem połączyć się telefonicznie i informować o położeniu. Około godz. 9-tej (może trochę później) przyszedł pierwszy meldunek od mjr. Grubskiego, szefa placówki Oddziału II z [...] (ok. 5 km od Uściczka), donoszący, że bolszewicy przekroczyli most. Kiedy następnie Stachiewicz dał mi decyzję wysadzenia mostu, odpowiedziałem mu tylko jedno słowo: za późno.

Wróciłem do generałów, szefów misji. Cyrklem zacząłem odmierzać odległości. Gen. Faury zapytał mnie, co obliczam. Wtedy powiedziałem im: bolszewicy są w Uściczku. Odległość do Kołomyi wynosi 40-50 km. Wprawdzie brak oddziałów, które mogłyby ich zatrzymać, lecz drogi są wyboiste. Jeżeli wezmą kierunek na Kołomyję (innego nie było), mogą tutaj być za 2-3 godziny, tj. między godziną 12-13. Gen. Faury był zdenerwowany. Nie mógł się doczekać powrotu Stachiewicza z decyzją Marszałka. Gen. Carton de Wiart wykazywał całkowity spokój.

Zabrzmiął telefon. Kpt. dypl. Ciechanowicz z Oddziału III Sztabu Głównego telefonuje: jestem na moście w Uściczku, po drugiej stronie Dniestru widzę kolumnę motorową bolszewicką. — Jak to — przerywam mu — przecież bolszewicy przekroczyli most. — Nic podobnego, jestem tutaj od godziny, nie mogłem wcześniej uzyskać połączenia. Mam doskonały punkt obserwacyj-

ny na most i szosę wzdłuż Dniestru (istotnie, znam dobrze tę okolicę, szosa schodzi z miasteczka Uściczko w dół do jaru Dniestru, i biegnie doliną na przestrzeni kilku kilometrów), czy wysadzić most? — Zapytałem, co robią bolszewicy i czy przez most przeszły jakieś polskie oddziały. Odpowiedział: polskie oddziały przechodziły przez most przed jego przybyciem, obecnie bolszewicy jak gdyby odpoczywali. Oddziały polskie są razem z nimi zmieszane, lecz wygląda na to, że bolszewicy nie wykazują względem nich wrogich zamiarów. Dałem dyspozycje (po otrzymaniu zawiadomienia, że most jest zaminowany, gotów do wysadzenia przez zwykłe połączenie elektryczne): most wysadzić, lecz dopiero w momencie, gdy wjadą na niego bolszewicy. Wszystkie oddziały znajdujące się na południe od Dniestru kierować na Kołomyję. Odetchnąłem swobodniej, zyskiwaliśmy kilka godzin czasu. Fałszywy meldunek mjr. Grubskiego mógł mieć poważne następstwa, tak jak wiadomość fałszywa wieczorem tego dnia, że Śniatynia, przyspieszyła wyjazd Marszałka do Rumunii.

Kpt. Ciechanowicza spotkałem kilka dni później już na terenie Rumunii. Dzielny ten oficer zameldował mi, że do wieczora nikt mostu nie przekroczył (bolszewicy przekroczyli tego dnia Dniestr w bród w innym miejscu). Późnym wieczorem kpt. Ciechanowicz wysadził most i dołączył do Kołomyi do ekipy Szefa Sztabu.

Zameldowałem o powyższym gen. Stachiewiczowi, który oznajmił mi, że wraca do Sztabu.

Stachiewicz przywiózł decyzję Marszałka: Naczelne Dowództwo przenosi się natychmiast do Kosowa. Nie jest wykluczone, że stamtąd przejdziemy do Rumunii. On (Stachiewicz) pozostaje przez dzień dzisiejszy w Kołomyi przy radiostacji jako łącznik między Naczelnym Wodzem i wojskami (pozostał z nim ppłk dypl. Marecki).

Gen. Faury w rozmowie ze mną oświadczył, że jest to jedyna decyzja. Z Rumunii przejdziemy do Francji, gdzie będzie się formowało przy boku Francji nowe wojsko polskie.

Sztab się pakował. Do godz. 12-tej wszystkie oddziały Sztabu opuściły Kołomyję. Oddziałowi III poleciłem czekać na siebie przed Kosowem. Pozostałem ze Stachiewiczem do godziny mniej więcej 13-tej, omawiając położenie. Stachiewicz powiedział mi, że nie ma innego wyjścia, tylko przejście do Rumunii. Chodzi jednak o to, aby to nastąpiło jak najpóźniej, w ostatniej chwili. Ponadto zależy to od decyzji Rady Ministrów i przede wszystkim od ustosunkowania się rządu rumuńskiego, czy pozwoli on na przemarsz do Francji, gdzie Naczelny Wódz będzie mógł zapew-

nić ciągłość dowodzenia. Z rządem rumuńskim istnieje łączność, odpowiedź oczekiwana jest po południu. Rozstaliśmy się.

Przed Kosowem (ok. godz. 15-tej) oczekiwał mnie Oddział III. Na szosie przywitali mnie płk dypl. Klimecki, przydzielony do mnie rozkazem mobilizacyjnym jako mój zastępca, i płk dypl. Kopański, szef oddziału III. Mieli miny zafrasowane. Płk Klimecki natarczywie domagał się wyjaśnień, po co jedziemy do Kosowa, stwierdzał, że do Rumunii iść nam nie wolno. Czułem podniecenie oficerów Oddziału III, którego emanacją był Klimecki. Odpowiedziałem krótko i węzłowato. Jesteśmy żołnierzami, którzy nie rozumiemy, lecz wykonują rozkazy. Zwłaszcza od oficerów Sztabu Głównego należy się spodziewać ścisłego wykonywania decyzji. Taki jest rozkaz Naczelnego Wodza. Dałem polecenie zajęcia miejsc w samochodach i dołączenia do *gros* sztabu w Kosowie. Następnie, lecz dopiero w rozmowie prywatnej, zawiadomiłem ich o pertraktacjach z Rumunami i że istnieje wszelka nadzieja osiągnięcia Francji, gdzie będziemy organizowali nowe wojsko polskie.

Wątpię, czy płk Klimecki żałował kiedykolwiek swego przejścia do Rumunii. Po przedostaniu się stamtąd do Paryża mianowany został w „Régine” szefem Oddziału III, a po *débaclé* francuskim i ewakuowaniu do Londynu mianowany został generałem i szefem sztabu Naczelnego Wodza. W Paryżu widziałem się z nim dwa razy, co opisuję w innym miejscu. Mam w stosunku do niego żal, jak i do szeregu innych moich podkomendnych i kolegów. Klimecki był niegdyś (1932-1933) szefem Katedry Taktyki przy mnie jako kierownika rocznika W.S.W. Znając go jako dobrego oficera, ściągnąłem go do siebie na okres wojny do Sztabu Naczelnego Wodza. Kiedy przybył do Paryża, obowiązkiem jego było — jeśli nie zameldować się u mnie — to przynajmniej mnie odwiedzić. Pierwsze nasze spotkanie 22 marca wynikało z przypadku, drugie było służbowe. Lecz czyż można o to mieć żal? Wszak ze wszystkich tak mi niegdyś oddanych podkomendnych i kolegów zaledwie kilku pozostało mi wiernych: pierwszy to Marecki, odwiedzał mnie stale, drugi — raczej z poczucia obowiązku niż oddania — to Kopański, trzeci to kolega płk Zieleniewski i wreszcie czwarty to mjr broni pancernej Majewski Tadeusz. Był u mnie tylko raz (miał przydział na prowincję), lecz nie zapomnę jego wizyty. Przyszedł późnym wieczorem do mojej nory hotelowej (nie mogę inaczej nazwać maleńkiej, ciemnej dziury). Ktoś dał mu mój adres i kilka informacji. Zobaczywszy w jakich warunkach żyję, rozplakał się — pocałował mnie nagle w rękę: nie mogę patrzeć na to, w jaki sposób traktują takiego jak pan oficera — powiedział. Ucałowałem go

serdecznie i ze wzruszeniem. Koniecznie żądał ode mnie przyjęcia jego pożyczki. Było to jeszcze przed moją weryfikacją. Odmówiłem. Powiedziałem sobie wcześniej, że zaangażuję się do jakiegokolwiek pracy fizycznej, lecz od nikogo pomocy finansowej nie przyjmę. Spędziłem z nim cały wieczór (na jego koszt) w kawiarni w Quartier Latin. Cenię sobie wysoko i nie zapomnę mu nigdy tego odruchu oddania. Nie wspominam o najczęstszym widywaniu się z gen. Malinowskim, koledze moim z ubiegłej wojny i 1-szym zastępcy szefa sztabu z okresu przed 1939. Lecz obaj byliśmy w identycznych warunkach — w niełasce.

Wątpię również, czy kiedykolwiek żałował swego przejścia do Rumunii płk dypl. Kopański. Po zameldowaniu się w „Régine’ie” otrzymał przydział natychmiast, początkowo przy Inspektoracie Wyszkolenia, z końcem marca 1940 wysłany jako dowódca brygady do Syrii. Miał zaszczyt walczyć i chlubnie odznaczyć się pod Tobrukiem. Dzisiaj jest u szczytu swej kariery wojskowej — generałem i szefem sztabu Naczelnego Wodza. Czyż mógł przypuszczać, kiedy meldował się u mnie w marcu 1939 jako szef Oddziału III, że tak wysoko dojdzie? I czyż ja przypuszczałem, kiedy po jednym referacie u szefa sztabu musiałem przejąć jego referaty, bo Stachiewicz nie znosił jego sposobu referowania?

Po przybyciu do Kosowa zameldowałem się u Marszałka. Wrócił właśnie z Kut, gdzie przewodniczył Radzie Ministrów. Jakie uchwały zapadły, nie wiem. Wrażenie jakie odniosłem z willi, w której spędził on zaledwie kilka chwil, było niezmiernie przykre, dzięki zetknięciu się z żoną premiera gen. Sławoj-Skłodkowskiego. Chodziła w butach z cholewami i w spodniach do konnej jazdy, twarz umalowana we wszystkich kolorach tęczy. Lecz to byłbym jej darował. Nie mogłem w tych tragicznych godzinach znieść jej niesłychanie hałaśliwego zachowania się.

Marszałek przyjął mnie natychmiast. Nie zorientował mnie w sytuacji, lecz dał dwa polecenia: 1-sze — objęcia szefostwa sztabu do powrotu gen. Stachiewicza, drugie — trzymania sztabu w przygotowaniu do dalszej drogi i nawiązania z nim łączności.

Zainstalowałem ściśły sztab w karczmie na skrzyżowaniu dróg. Samochody frontem na Kut. Poleciałem szefowi łączności nawiązanie łączności telefonicznej z Marszałkiem i Stachiewiczem, wysłałem oficera jako łącznika na pocztę i czekałem. Przez całe popołudnie ciągnął nieprzerwany sznur wozów wojskowych i cywilnych w kierunku Kut.

Zapadł szybki zmierzch jesienny. W karczmie zebrani byli wszyscy szefowie oddziałów, brakowało jedynie gen. Malinowskiego, który gdzieś wyszedł (gen. Malinowski miał na okres woj-

ny przydział do ministra Wojny, lecz ponieważ ten właściwie przestał pracować, gen. Malinowski powrócił do sztabu, lecz nie pełnił żadnej funkcji). W pewnej chwili meldują mi, że przed sztab zajechał gen. Sikorski i pragnie się widzieć z najstarszym oficerem Sztabu Naczelnego Wodza. Wstałem. W tym momencie podszedł do mnie płk dypl. Wiatr, szef Oddziału I i powiedział mi: prawdopodobnie będzie panu niezręcznie rozmawiać samemu z gen. Sikorskim, pozwoli pan, że będę panu towarzyszył. Podziękowałem. Płk Wiatr nie domyślał się może nawet, jak dobrze znam gen. Sikorskiego. Wyszedłem na dwór. W małym samochodziku siedziało prócz szofera dwóch oficerów: gen. Sikorski i mjr Bogusławski. Było już zupełnie ciemno. Zameldowałem się generałowi, który zaskoczony moją obecnością, wyjątkowo się z niej ucieszył. Wyszedł z samochodu, wziął mnie pod rękę i najmniej pół godziny spacerowaliśmy. Po co przyjechał gen. Sikorski i czego chciał od Naczelnego Wodza?

W porozumieniu i z upoważnienia gen. Sosnkowskiego, którego widział we Lwowie (kiedy go mocniej przycisnąłem, bo chodziło mi o stwierdzenie, co się dzieje z gen. Sosnkowskim, okazało się, że był z nim tylko w kontakcie telefonicznym), przybywa do Marszałka, aby się u niego zameldować i oddać pod jego rozkazy. Jakież przydział może otrzymać pan generał — zapytałem — dzisiaj, kiedy już wszystko skończone? Generał Sikorski roztoczył wtedy przede mną przyszłość we Francji. Zakończył słowami: znam bardzo dobrze Francję i wszystkich francuskich mężów stanu, jestem przyjacielem Gamelina, mogę być Marszałkowi na tamtejszym terenie bardzo pomocny.

Wsiadłem do samochodu i pojechałem do Marszałka. Zastałem tam duży ruch i podniecenie. Marszałek dawał jakieś wskazówki gen. Berbeckiemu. Jak się później okazało, mianował go wtedy swoim zastępcą na teren Rumunii. Musiałem chwilę czekać. Wtedy zaprosił mnie do siebie premier gen. Sławoj-Składkowski i wzburzony zaklinał, abym odwiódł Marszałka od jego decyzji. Marszałek bowiem zdecydował, że pozostaje w Polsce i pragnie dołączyć do trzech batalionów, które znajdowały się w Stryju. Wobec rozruchów ukraińskich, które zaczęły się dn. 17 września w Małopolsce Wschodniej, on, jako minister Spraw Wewnętrznych, nie może dopuścić, aby Ukraińcy utłukli Marszałka w drodze. Decyzję tę uważa za szaleńczą.

Wszedłem do Marszałka, który stojąc dał mi następujące polecenie: wybierze mi pan sześciu oficerów z Oddziału III, z którymi udam się samochodami do Stryja — pozostają w Polsce. Zameldowałem: wybiorę najlepszych oficerów, stanę na ich czele

i towarzyszyć będę Panu Marszałkowi. Lecz równocześnie melduję: 1-mo — gdzie znajdują się bataliony, nie wiemy, wczoraj były w Stryju, upłynęły już 24 godziny i zaistniały nowe wypadki; 2-do, samochodami możemy wyjechać, lecz porzucimy je rychło w drodze, bo z Kosowa do Stryja prowadzi jedyna szosa przez Kołomyję, której użyć nie możemy, musimy iść górami; 3-tio, istnieją już rozruchy ukraińskie, my posiadamy tylko rewolwery; 4-to — i co najważniejsze, sztab i ja zrozumieliśmy, że Rumunia jest tylko etapem, a celem jest Francja, gdzie będzie się tworzyło wojsko, a Pan Marszałek jako Wódz Naczelny zapewni ciągłość dowodzenia...

Nie dokończyłem mojej myśli. Chciałem ją rozwinąć w tym duchu, że w obecnym stanie rzeczy nie ma generała, który mógłby stanąć na czele i Marszałka zastąpić. Wszedł silnie podniecony Składkowski. Zaraportował: starosta ze Śniatynia donosi, że miasto to zostało zajęte przez bolszewików. Ze Śniatynia prowadzi droga prosto na Kosów, odległość niespełna 30 km. Bolszewicy mogą być tutaj w ciągu godziny. Natychmiastowy wyjazd jest niezbędny.

Zapadła decyzja — kierunek most na Prucie w Kutach. [...] z mapy dał mi decyzję: wysłania kilku patroli na samochodach w kierunku Śniatynia i [...], celem jako takiego zabezpieczenia kolumny. (Decyzja ta była niepotrzebna, nawet zbędna była wskazówka, byłbym to sam zarządził. Lecz niestety Marszałek zbyt często regulował bardzo drobne szczegóły taktyczne).

Przystąpiłem wreszcie do zagadnienia, które mnie tutaj przywiodło. Marszałek wysłuchał spokojnie, lecz czułem, iż niechętnie przyjmuje propozycję Sikorskiego. Wyrwało mu się nawet zdanie: znajdę innych łączników do rządu i naczelnego dowództwa francuskiego. Gdy skończyłem, polecił mi: przedstawić gen. Sikorskiemu położenie, zawiadomić go, że nie może go w tej chwili przyjąć, że ma zamiar naprzód dotrzeć do Czerniowiec, następnie do Bukaresztu, niechaj więc gen. Sikorski jedzie za nim, dołączy do niego i na terenie rumuńskim się u niego zamelduje.

Następnie Marszałek dał mi wskazówkę co do swego przejścia. Wyraził chęć przekroczenia granicy łącznie z Oddziałem III. Zawiadomił mnie więc, że będzie na mnie czekał, lub ja na niego przed mostem.

Polecił się następnie połączyć z gen. Stachiewiczem. Podyktował mu krótki rozkaz do wojska. Treść: wojsko wewnątrz kraju bije się nadal, ci wszyscy, którzy mogą się przedrzeć, mają pójść do Rumunii względnie na Węgry.

Odmeldowałem się. Było to ostatnie moje widzenie z Marszałkiem.

Wróciłem do gen. Sikorskiego. Złożyłem mu sprawozdanie z mego poselstwa. W czasie naszej rozmowy przejechał koło nas krótki *cortege* wozów. Poznałem samochód Marszałka po specjalnym dźwięku syreny wozu, który go stale eskortował. Pożegnaliśmy się z gen. Sikorskim.

Wróciłem do sztabu. Wysłałem trzy samochody na patrole rozpoznawcze. Jeden z nich dołączył do mnie jeszcze przed przekroczeniem granicy rumuńskiej. Dotarł do Śniatynia. Był wolny, bolszewików ani śladu. Wiadomość była fałszywa, jak fałszywa była wiadomość ranna o przejściu bolszewików przez most pod Uścieczkiem.

Około godz. 11-tej w nocy ruszył Sztab Główny z Kosowa w kierunku Kut. Mozolna była to droga, często krok w krok, wobec zatoru nadmiernej ilości samochodów stłoczonych na wąskiej szosie i zdążających w tym samym kierunku. Mimo ścisłych rozkazów i dużej dyscypliny marszu, porządku w kolumnie utrzymać nie było można. Co chwila wyrывał się poprzez kolumnę jakiś samochód cywilny — byle prędzej do mostu.

Padła deszcz. Pierwszy deszcz od początku wojny. Deszcz, który mógłby jeszcze kilka dni temu zwolnić tempo gasienic niemieckich.

W Kutach Marszałka już nie zastałem. Na most wjechałem dokładnie o godz. 2.26 po północy.

Po drugiej stronie mostu przywitał nas (jechałem razem z gen. Malinowskim) dawny *attaché* rumuński w Warszawie ppłk [...], który dał nam dyspozycje prowadzenia Sztabu Głównego na Starożyńc, następnie na Vatra Dornei. Ministerstwo Spraw Wojskowych miało jechać na Calimanesti.

Marszałek znajdował się również po drugiej stronie mostu w samochodzie. Odpoczywał, proszono, aby nie przerywać jego odpoczynku. Po przejeździe przez most miał jakoby stwierdzić, że warta rumuńska rozbija naszych żołnierzy. Interweniował osobiście i zaprzestano rozbijania. Źle się stało, że nie przerwailiśmy odpoczynku Marszałkowi. Lecz, czy zmieniłoby to bieg rzeczy?

18 września 1939. Rano przybyliśmy do Starożyńca. Spędziłem tam cały dzień. W Starożyńcu stłoczonych było setki samochodów. Nikt nie wiedział gdzie jechać. Zajęliśmy się z gen. Malinowskim porządkowaniem tego bałaganu i weszliśmy w kontakt z miejscowymi władzami. Zjawił się, przybyły specjalnie

z Bukaresztu, niezwykle nam życzliwy senator rumuński. W porozumieniu z nim i władzami miejscowymi kierowaliśmy wozy cywilne na Czerniowce, wozy wojskowe na Vatra Dornei i Calimanești.

Do południa wszystko szło jak najlepiej. Lecz po południu senator znikł, natomiast zjawił się oddział żandarmerii z oficerami rumuńskimi. Otrzymaliśmy polecenie składania na miejscu sprzętu wojskowego, żandarmeria zaczęła rozbierać żołnierzy i oficerów. Dzięki interwencji gen. Malinowskiego i mojej uzyskaliśmy pozostawienie oficerom rewolwerów, żołnierzom pasów. Lecz cały sprzęt miał być złożony. Odbierano kompanii telegraficznej — aparaty telefoniczne, hugesy, morsy, aparaty radiowe. Zdejmowano z wozów motocykle, nawet rowery. Odbierano przejeżdżającym motocyklistom ich motory. Żołnierze z wściekłością niszczyli sprzęt. Oczywiście, wobec ciągłego wielkiego napływu wozów, rozbieranie odbywało się bardzo powierzchownie i większość sprzętu jechała dalej. Około godz. 17-tej żandarmerii rumuńskiej zdudziło się szczegółowe przeglądanie wozów, operacja ta stała się tylko formalnością.

W tym czasie wjechał na rynek Starożyńca samochód gen. Sikorskiego. Generał wysiadł z samochodu i podobnie jak dnia poprzedniego wziął mnie pod rękę (z gen. Malinowskim ledwie się przywitał) i rozpoczął spacer po rynku. Zapytywał o sytuację. Powiedziałem, co wiedziałem. Dorzuciłem pogłoski: pierwsza, król rumuński wysłał do Marszałka do Czerniowiec swego delegata i specjalny pociąg, zapraszając Marszałka do swojej rezydencji Sinaja; druga, specjalny pociąg przyjechał po Marszałka do Czerniowiec, aby jego i rząd polski odwiedzić do miejsca internowania.

Nagle gen. Sikorski postawił mi pytanie: co pan mi radzi zrobić w tej sytuacji, gdzie jechać? Wyznaję, że chociaż nieczęsto byłem zaskakiwany sytuacją, tym razem byłem prawdziwie zaskoczony nieoczekiwanym pytaniem. Dzisiaj rozumiem, jakiej oczekiwał ode mnie Sikorski odpowiedzi. Odpowiedziałem po prostu: cóż ja mogę panu generałowi poradzić. Ponieważ Marszałek polecił zgłosić się u niego, sądzę, że powinien pan generał podążyć za nim i do niego dotrzeć.

Rozstaliśmy się. Gen. Sikorski wsiadł do samochodu. Lecz kierunek jego jazdy nie był na Czerniowce. Ruszył szosą w głąb Rumunii. Miał już wtedy decyzję i zobaczył swoje przeznaczenie.

W perspektywie czterech lat dojrzała moja myśl, która zaczęła nurtować mnie od dn. 19 września, gdy stało się jasne, że jesteśmy internowani i przysły pierwsze jaskółki o internowaniu Naczelnego Wodza i rządu polskiego. Myśl dotycząca błędów Marszałka Rydz-Śmigłego i błędów moich.

BŁĘDY MARSZAŁKA

Stał się on po śmierci pierwszego Marszałka prawdziwym władcą Polski. Nie on sięgnął po władztwo. W triumfie wynieśli go najbliżsi i uznał prawie cały naród. W krótkim czasie stał się najbardziej popularnym Polakiem, dla szerokich warstw — nieomal bożyszczem, mężem opatrznociowym. Popularność jego nie miała nic wspólnego z niepopularnością Piłsudskiego. Pierwsza była wynikiem odprężenia. Wojsko widziało w nim świetnego dowódcę bojowego z wojny 1919-1920 roku, który prowadził swe oddziały do chwały i nie opuścił ich w najgorszych chwilach. Zwolennicy Piłsudskiego widzieli w nim jego wielkiego ucznia i kontynuatora jego polityki. Przeciwnicy Piłsudskiego nie widzieli w nim wroga. Naprężenie z okresu Piłsudskiego malało, zamieniało się w zaufanie, więcej — w wiarę. Propaganda (która — moim zdaniem — wyrządziła mu niedźwiedzą przysługę) i osobisty urok i czar Śmigłego dokonały reszty. Stał się pierwszym Polakiem. Wszyscy mogli spać spokojnie, wszak on czuwał, wziął na siebie całą odpowiedzialność.

Niepopularność Piłsudskiego była wynikiem jego wielkości, która nie dbała o siebie, lecz dbała tylko i wyłącznie o naród, o państwo. Nie zrobił nic, aby pozyskać miłość, aby łagodzić, aby goić. Bił niemiłosiernie kańczugiem polskie słabości, podłości i wady. Bił zarówno najbliższych jak i najdalszych. Był chirurgiem, który stawiał diagnozę nożem. Pacjent często umierał, lecz choroba była już wcześniej rozpoznana. Śmigły chciał być psychiatrą. Wszak po śmierci tylko w wyjątkowych wypadkach dokonuje się sekcji i stawia diagnozę.

Piłsudski był samotnikiem i milczkiem. Patrzył w głąb swojej duszy i w głąb duszy narodu. Tam szukał decyzji. Śmigły był światowcem i mówcą. Decyzji nie szukał u siebie, lecz w otoczeniu.

Znałem mało jednego i drugiego. Lecz od Piłsudskiego biła potęga. Szanowałem go najwięcej i patrzyłem z podziwem, wtedy kiedy bił pięścią i gromił. Gdy Śmigły raz mnie zwymyślał i nie przyjął mojej decyzji, byłem prawie na niego obrażony.

Po śmierci Śmigłego pisałem do Bobkowskiego: „Istnieją stanowiska, czy też funkcje, które przestają być własnością prywatną. Wybraniec przestaje być dla siebie i przez siebie rozporządzalną jednostką. Miłość, często nienawiść, którą go darzy społeczność, zaszczyty które na niego spływają, honory które wynoszą go ponad wszystkie tłumy, samo nazwisko, które staje się już historią, daje mu prawo, największe jakie uzyskać może śmiertel-

nik, prawo rządu dusz wszystkich, które naród potrafi w siebie wchłonać. Jakże trudne prawo, lecz równocześnie jakże wielkie. Lecz prawo to nakłada również i obowiązki. Największy lecz i najpiękniejszy, nie pozwolić zawieść włożonego zaufania. Wyrobić i przygotować w sobie taką siłę woli i charakteru, która pozwoli mu raczej zginąć, niż się pomylić, gdy przyjdzie wahanie, czy ziścić nadzieje w nim pokładane. Wuj (tak ówczesnie w listach nazywałem Śmigłego) się pomylił — więcej, zblądził”.

Marszałek stał się rzeczywistym szefem państwa. On dyktował swoją wolę sejmowi i senatowi, prezydentowi i rządowi, wojsku i narodowi. I nie spotykał sprzeciwu, względnie nieliczny. Wystąpienia jego publiczne (niestety zbyt częste) spotykały się ze społecznym uznaniem. Adoracja dla niego rosła poprzez zatarg z Litwą, następnie poprzez Zaolzie, aby dojść do zenitu w okresie pomarcowego zagrożenia. W okresie zagrożenia, poprzedzającego wojnę, chyba nie było Polaka, który by go nie uznał, nie wierzył w niego, nie poświęcił wszystkiego, czego by tylko zażądał. To ma swoją wagę najwyższą — nie dla polityka, który się zmienia, lub go zmieniają — lecz dla przewodnika, dla władcy dusz ludzkich, które jemu, a nie komu innemu się podporządkowały. Dusz tylko nie wolno zawieść. Trzeba się dla nich poświęcić, trzeba zginąć. Śmierć daje moc, hart, wiarę potomności.

Marszałek za dużo pracował, zbyt często przemawiał, zbyt liczne przyjmował delegacje, zbyt często konferował z rządem i z prezydentem. Nie miał, lub zbyt mało, czasu dla siebie. Na najwyższym szczeblu naszej hierarchii wojskowej panował fatalny system. Wchodziliśmy w szczegóły, które nie powinny nas być obchodzić. Wydaje mi się, że system ten wprowadził Stachiewicz, najinteligentniejszy, najrozumniejszy i najlogiczniejszy generał jakiego znam. Lecz pracując sam 20 godzin dziennie, żądał referowania najdrobniejszych szczegółów. Niezaprzeczalnie, on panował nad całością. Lecz podkomendni jego (między innymi i ja) byli tak zaabsorbowani pracą i przygotowywaniem referatów, często technicznych, iż nie mieli czasu na pogłębianie siebie i pogłębianie zagadnień wyższej natury. Ponadto nie mieli pozostawionej wystarczającej swobody i niezależności decyzji. W ostatnich dopiero miesiącach swobodę tę wywalczyłem dla siebie, lecz było to za późno. Czasu na samodzielne opracowanie wielkiego zagadnienia operacyjnego nigdy nie miałem.

System ten przejął Marszałek. Zwykły plan taktyczno-fortyfikacyjny na bardzo niskich szczeblach, którego zatwierdzenie lub odrzucenie nie powinno było wyjść poza szefa oddziału, był referowany z najdrobniejszymi szczegółami do sieci ogniowej poszczególnych karabinów maszynowych włącznie, przeze mnie Sta-

chiewiczowi, a następnie znowu przeze mnie w obecności Stachewicza Marszałkowi, który plan ten dyskutował, analizował, przyjmował lub odrzucał, przydzielał osobiście kredyty lub je zmniejszał. Jeżeli system ten stosowany był również do innych oddziałów (a tak było istotnie), to skąd Marszałek mógł znaleźć czas na pogłębienie siebie i przemyślenie tak wielkiego problemu, jak przygotowanie ciągłości wojny i jego zachowanie się na wypadek klęski.

Wódz Naczelny i szef państwa w jednej osobie, a równocześnie władca dusz całego narodu, niezależnie od przemyślenia zagadnienia prowadzenia wojny, musi zastanowić się nie raz, nie dwa, jak zachowa się, gdy odpowiedzialność za losy państwa stanie się tak wyraźna, że państwo walić się będzie w gruzy, a pozostanie jeden wielki symbol — przykład, moc, hart dla potomności. Nazwisko, którym pokolenia będą się szczyliły, a dziecięce czy młodzieńcze serca czerpały z niego otuchę. Jako dziecko patrzyłem na Traugutta jako na największego Polaka.

BŁĘDY DZISIEJSZEJ DOBY

7 września 1939 w Brześciu był u mnie ppłk angielski, z-ca gen. Carton de Wiart, szefa misji brytyjskiej przy Naczelnym Dowództwie i postawił mi konkretne pytanie: w czym może Anglia pomóc Polsce? W obecności gen. Malinowskiego, płk. Kopańskiego, szefa Oddziału III i płk. Smoleńskiego, szefa Oddziału II, prowadziłem z nim namiętną, gwałtowną dyskusję. (Gen. Stachewicz pozostał w Warszawie, dlatego Anglik zwrócił się do mnie jako zastępcy operacyjnego szefa sztabu). W niczym — odpowiedziałem — wojskowo, bezpośrednio. Za późno. Był na to czas jeszcze 3-go, jeszcze 5-go września, kiedy lotnictwo angielskie mogło sięgnąć na tyły armii niemieckiej, a następnie lądować na naszych lotniskach. Dzisiaj za późno. Lotniska nasze zrujnowane, zasięg lotnictwa angielskiego nie pozwala na powrót do baz francuskich względnie angielskich. Lecz istnieje inna pomoc, pośrednia, bardzo skuteczna. Niechaj lotnictwo angielskie zbombarduje Niemcy, tak jak oni bombardują Polskę. Niechaj da odczuć Niemcom, nie notami lecz bombami, że Anglia jest z nami, że wywiązuje się z zawartych zobowiązań. Będzie to pomoc realna, mająca swój wpływ moralny wyjątkowej wagi na naród polski i jego armię, i pomoc ta odciąży nas chociaż w części od nalotów niemieckich, które nas przygniatają i nie dają chwili oddechu.

A druga pomoc, to już nie dla Polski, lecz koalicji. Polska

się kończy. Utrzyma się jeszcze może kilka tygodni, lecz nie widzę już dla nas dzisiaj ratunku. Walczyć będziemy już tylko o honor żołnierski. Armia niemiecka zwróci się, natychmiast po zgnieceniu nas, przeciw Francji i Anglii. Nie wolno pozwolić jej na ten zwrot bezkarnie. Nie wolno pozwolić jej na oddech reorganizacyjny po skończonej wojnie polskiej. W myśl zawartej z Francją umowy ofensywa francuska zaczyna się 15-go dnia mobilizacji francuskiej, tzn. 17-18 września. Nie wolno pozwolić Niemcom, aby wyciągnęli zbyt wcześnie siły z Polski. Całe *gros* armii niemieckiej znajduje się w tej chwili w Polsce. Lotnictwo francusko-angielskie musi zacząć bombardować natychmiast wszystkie przejścia na Odrze i wszystkie węzły kolejowe, łącznie z polskimi, które prowadzą z Polski na zachód. Jeżeli zasięg lotnictwa francusko-angielskiego na to nie pozwala, wtedy muszą być zbombardowane wszystkie węzły kolejowe w głębi Niemiec, przez które muszą przepływać transporty wojskowe z Polski. Nie wolno pozwolić armii niemieckiej, możliwie jak najdłużej, dojechać na front zachodni. A Francja musi wyjść z linii Maginota i rozpocząć ofensywę wszelkimi siłami, dopóki *gros* niemieckie jest na wschodzie.

To była treść mojej odpowiedzi. Mój rozmówca zawiadomił mnie, że radiuje o tym natychmiast do Londynu.

Wiem, dlaczego ani jedna bomba polska nie padła na terytorium niemieckie — gdyż Marszałek polecił skupić całe lotnictwo bombowe na dywizjach pancernych niemieckich — lecz nie wiem, dlaczego ani jedna bomba angielska i francuska nie padła na terytorium niemieckie w czasie naszej wojny. I nie wiem, dlaczego Francja nie wyszła z linii Maginota lub nie naruszyła neutralności Belgii. Upływa równo sześć miesięcy od końca wojny polsko-niemieckiej. Sześć miesięcy złożonych w podarunku Niemcom na reorganizację, wcielenie zdobytego w Polsce sprzętu wojennego do swojej armii, uruchomienie naszego przemysłu. Przypuszczam, że Niemcy dobiegają do końca swych przygotowań. Zacznie się [...]. Czy tych sześć miesięcy nie zaciąży na froncie alianckim? Przyszłość okaże.

Błąd drugi. Po katastrofie polskiej znaleźliśmy się we Francji. Dużo oficerów mniej lub więcej zdolnych, mniej lub więcej tchórzliwych, mniej lub więcej mądrych, mniej lub więcej zarozumiałych i głupich. Lecz wśród tego różnorodnego, barwnego i swoistego tłumu znajdują się wojskowe jednostki o pełnej wartości zarówno mózgu jak i charakteru. Znajdują się dowódcy, którzy się bili i oficerowie dyplomowani różnych szczebli. Mają oni wszyscy doświadczenie, poglądy, myśli. Czy wolno dowódcz-

twu francuskiemu zbagatelizować te bezcenne wartości, doświadczenia nowego systemu operacyjnego prowadzenia wojny, pozostawić nas w cieniu pogardy, dlatego tylko, że wojnę przegraliśmy? Dlatego, że dowództwo to uważa, iż armia nasza nie była nowoczesnie uzbrojona, biła się źle i była kierowana nieudolnie? Wydaje mi się, że dowództwo to popełnia najbardziej kardynalny błąd, który w skutkach swych oby nie doczekał się kary.

Mój pogląd: spośród najlepszych naszych oficerów powinno wyłonić się komórka złożoną z oficerów wszystkich broni, dowódców kampanii wrześniowej i niektórych oficerów sztabu, aby opracowali raport z naszej wojny. Nie chodzi zupełnie o przebieg działań, ani przyczyny klęski. Chodzi o coś znacznie głębszego niż przeszłość, chodzi o przyszłość. Komórka ta przedstawiłaby, na podstawie przebiegu naszej wojny, przewrót jaki nastąpił w strategii i taktyce pod wpływem wprowadzenia dwóch nowych i zasadniczo wpływających na decyzję broni: lotnictwa bombowego i dywizji pancernych, za którymi postępują dywizje zmotoryzowane. Komórka ta przedstawiłaby ewolucję doktryny prowadzenia wojny u Niemców i wyciągnęła wnioski dla reakcji. Studia jej — moim zdaniem — mogłyby mieć decydujące znaczenie dla armii francuskiej, jej użycia ofensywnego i defensywnego.

Z gen. Boucherie pracowałem nad jego zestawieniem przebiegu kampanii wrześniowej. Postawiłem mu zagadnienie: musi wyciągnąć wnioski, jak należy zwalczać dywizje pancerne. Wstydliwie przyrzekł, że to zrobi. Lecz kiedy otworzyłem na ten temat dyskusję, wyczułem, że uważa mnie za coś znacznie niższego, że ze zdaniem moim liczyć się nie będzie, słucha mnie, bo jest dobrze wychowany i jestem mu potrzebny dla jego prac historycznych. Postawiłem tezę: front francuski może być przerwany. Więcej, front francuski będzie przerwany. Linia Maginota nie wytrzyma, znam ją. Nie przerwie jej piechota i artyleria, lecz nie jest dostosowana do walki z ciężkim bombardowaniem lotniczym i masą ciężkich czołgów. Sześć rzędów szyn przeciwpancernych, które ją ochraniają, musi trzasnąć. I na to trzeba przygotować odpowiedź. Proceder natarcia zmienił się radykalnie od 1918 roku. A jeśli Niemcy pójdą przez Belgię? I dlaczego nie mają pójść? Cóż ich może powstrzymać? Postawiłem mu wtedy zagadnienie odpowiedzi. Front zostanie przerwany, stworzy się luka, w którą wleje się masa pancerna niemiecka. Wtedy front nie przerwany musi pozostać na miejscu. Nie ma dla niego odwrotu, bo piechota nie umknie przed czołgami i lotnictwem i nie znajdzie z tyłu przygotowanej nowej pozycji. Front ten więc musi pozostać i zamknąć się, aby zatrzymać maszerującą za dywizją pancerną piechotę. Dziura nie może się rozszerzać. Grobem armii fran-

cuskiej będzie zwijanie frontu pod wpływem wytworzonych luk i tzw. *manoeuvre en retraite*. Skuteczna walka z masą pancerną, która wdarła się w pozycję — zdaniem moim — powinna być pomyślana, na podstawie doświadczeń kampanii wrześniowej, w sposób następujący: poza frontem znajdują się następujące zgrupowania odwodów, wyłącznie przeznaczone do walki z dywizjami pancernymi niemieckimi, które front przebiły:

a) dywizje pancerne,

b) zgrupowania lotnictwa bombowego z osłoną lotnictwa myśliwskiego. I te odwody muszą iść naprzód i stoczyć bitwę na tyłach własnej piechoty. Lotnictwo bombowe nadkruszy, a dywizje pancerne dzieło dokończą. Od wyniku tej dopiero bitwy może zależeć fluktuacja frontu. Odwroty, bez ciągłej walki zaczepnej, to powtórzenie klęski wrześniowej.

Gen. Boucherie był innego zdania. Był zwolennikiem tzw. *poches*. Gdy front zostanie przerwany, stworzy się *poche*. Na podstawę tej *poche* należy pchnąć najprzód lekkie elementy, następnie dosyłać resztę wojsk. Zamykać dziurę w tyle. A kiedy się już zamknie — przeciwuderzać.

Jakże można zamykać dziurę w terenie nieprzygotowanym, gdy teren ufortyfikowany, i to elementami fortyfikacji stałej, trzaś? I czym? Nim te lekkie elementy dojdą, nieprzyjacielskie oddziały pancerne albo zagłębią się dalej, albo pójdą zwijać skrzydło. I w taki sposób lekkie elementy mogą zatrzymać oddziały pancerne, gdy okopana piechota ze wszystkimi szykami przeciwpancernymi uderzenia nie wytrzymała?

Lecz gen. Boucherie niechętnie za mną na ten temat dyskuutował. Nie uważał mnie za godnego siebie partnera. Wszak był on dowódcą korpusu zmechanizowanego, a ja przedstawicielem armii pobitej.

Nie stworzono tej komórki studiów, która powinna i mogła dać Naczelnemu Dowództwu francuskiemu elementy do przemyślenia. Komórkę tę pod względem personalnym widzę następująco:

- a) dowódcy wlk jednostek: Maczek, Ketling-Prugar, Zielniewski,
- b) najteżsi artylerzyści i saperzy i przeciwpancernicy,
- c) przedstawiciele sztabu: Marecki i jednak powinienem do niej wejść ja.

Dlaczego komórki nie stworzono? Widzę dwie przyczyny:

1) to zarozumiałe przekonanie władz francuskich, że wojnę przegraliśmy z naszej winy. Nie byliśmy uzbrojeni, nie umieliśmy się bić, nie umieliśmy dowodzić.

2) Lecz istnieje druga, nie do darowania wina Naczelnego Wodza, gen. Sikorskiego. Zohydził nas wobec całego świata i utrwalił pogląd, że wojny nie przygotowaliśmy, plan nasz był fatalny, kierownictwo wojny pod psem, a wszyscy wyżsi dowódcy począwszy od Marszałka to durnie wojskowi. Czy chociaż napisał raport, jak należało tę wojnę prowadzić?

LEGENDA GENERAŁA SOSNKOWSKIEGO

Grenoble, 26 listopada 1942

We wrześniu 1939 roku i później na francuskiej ziemi stworzona została legenda: 13 września, kiedy Niemcy po raz pierwszy natarli na Lwów, gen. Sosnkowski samolotem poleciał pod Przemysł, zebrał tam 11, 24 i 38 DP, uderzył nimi na tyły niemieckie, rozbił całą dywizję pancerną, odciążył w ten sposób Lwów. Legendę tę rozwijałem sam w wykładach w 1940 roku (przed katastrofą francuską) w Vichy, w 1941 roku w Grenoble, ba, pisałem o niej w książce o kampanii wrześniowej.

Jaka jest jednak prawda, na podstawie książki gen. Prugar-Ketlinga?

Nie 13, lecz w nocy z 12/13 września wezwany jest płk Prugar, d-ca 11 DP do gen. Sosnkowskiego do Krasieczyna. Wynika więc z tego, że najpóźniej 12 września po południu gen. Sosnkowski był już w Krasieczynie, a więc przed uderzeniem niemieckim na Lwów. Poleca on pójść 11 DP na Przemysł, gdzie w nocy z 13/14 daje rozkaz koncentracji w rejonie Mościsk, mówiąc: „Oczy nasze mogą i muszą być skierowane tylko na Lwów, który wyraźnie jest już zagrożony”.

Gen. Sosnkowski wyleciał więc do wojsk, aby je zebrać, dać im rozkaz uderzenia i przebicia się do Lwowa, osobistym autorytetem przez zjawienie się podnieść ich morale. Działał jak dobry wódz, który oderwany działaniem nieprzyjaciela od swoich wojsk, pośpieszył do nich, aby dając im zadanie skoordynować akcję całości.

Lecz przez pozostanie na stałe przy tej jednej, maleńkiej części swych wojsk i objąwszy nad nią dowodzenie, przestał być wodzem, stał się dowódcą korpusiku (11 DP — 6 baonów, 38 DP — 7 baonów, 24 DP — 4 baony. Razem 17 baonów, to jest wartość niepełnych dwóch dywizji). Był mianowany dowódcą frontu, otrzymał zadanie obrony Małopolski Wschodniej, podlegały mu wszystkie wojska od Sandomierza do Karpat, a więc armie gen. Szylinga i Fabrycego, ponadto wszystkie wojska spływające z

północy (między innymi 35 DP, całkowicie świeża) i wszystkie ośrodki, które znajdowały się poza frontem. A oto zabiera ze sobą szefa sztabu (ppłk Dehmel) i część swego sztabu, zabiera szefa sztabu armii gen. Fabrycego (płk Morawski). Przestaje koordynować działania całokształtu frontu, armię gen. Szylinga i wszystkie inne wojska pozostawia ich własnemu losowi, sprzęga się terenowo z dwiema dywizjami do końca wojny.

Czy popełnił błąd? Z punktu widzenia zasad sztuki wojennej błąd był zasadniczy, z punktu widzenia ówczesnej, wojennej polskiej sytuacji ogólnej błąd to nie do darowania. Albowiem, gdy Wódz Naczelny powziął decyzję opuszczenia Polski i stworzenia na tzw. przedmościu rumuńskim, między Dniestrem a Stryjem, polskiego Piemontu, tam chciał mieć wszystkie zdolne do akcji wojska. Szły więc dn. 13, następnie 14 września do gen. Sosnkowskiego rozkaz za rozkazem, aby związał front i jak najszybciej szedł z wojskami na Dniestr. Osobiście pisałem do niego w tej sprawie trzy rozkazy. Przy mnie gen. Stachewicz wyprawiał lotników, dając im wskazówki ukrycia tych rozkazów tak, aby w razie zestrzelenia samolotu rozkaz nie dostał się w ręce nieprzyjaciela.

Lecz lotnicy wracali jeden po drugim. Gen. Sosnkowskiego we Lwowie nie było, nigdzie go odnaleźć nie mogli. Z książki gen. Prugara dowiaduję się, że rozkaz z 14 września dotarł do gen. Sosnkowskiego dnia 17 września przed południem. Było już wtedy za późno.

Jeżeli gen. Sosnkowski popełnił kardynalny błąd, nie wróciwszy do Lwowa po wydaniu rozkazów i uregulowaniu dowodzenia akcją uderzeniową 11, 24 i 38 DP, aby dowodzić armiami i całym frontem, nie zaś dwiema niepełnymi dywizjami i wykonywać wolę Naczelnego Wodza, to konsekwencje tego błędu zanulowało wejście Sowieców, które zniweczyło ostatnią koncentrację obronną Naczelnego Wodza. Ono wyzwoliło go z odpowiedzialności, a przez akcję pod Lwowem uczyniło z niego bohatera.

Niezaprzeczalnie akcja gen. Sosnkowskiego, to piękny żołnierski czyn, świadczący o wyjątkowej jego tężyznie wojskowej. Lecz jest to czyn bohaterskiego dowódcy taktycznego, nie zaś rozważnego, daleko wprzód patrzącego i przewidującego wodza operacyjnego.

Tak to z błędów rodzą się często bohaterowie, a z prawidłowo stosowanych zasad — winowajcy.

Może się mylę, lecz wydaje mi się, że teraz dopiero rozumiem, dlaczego w listopadzie 1939 roku w Paryżu gen. Sosnkowski nie przyjął mnie, mimo tego, iż trzykrotnie się do niego meldowałem.

Czyżby gryzło go sumienie i obawa pytania, dlaczego rozkazy Naczelnego Wodza z dn. 13 i 14 września nie mogły go odnaleźć?

17 września 1942

Straciłem swoją wiarę w Wodza Naczelnego, generała dyw. Sikorskiego Władysława. Nienawidzę go wszystkimi strunami mej duszy, serca i mózgu. Nienawidzę tego, któremu oddany byłem najserdeczniej, najszczerzej, najgłębiej przez właściwie całe moje życie wojskowe, od czasu jego poznania — koniec 1916 do 1939 roku włącznie. Nienawidzę tego, dla którego kult miałem najwyższy, o którego staczałem namiętne walki z jego wrogami w czasie pokoju, narażając moją karierę wojskową, o którego walczyłem dnia 17 września 1939 roku z marszałkiem Rydzem-Śmigłym w Kosowie, a dnia 29 września 1939 roku z Szefem Sztabu Głównego gen. Stachiewiczem (w obecności płk. dypl. Smoleńskiego), w obozie rumuńskim w Tucea, aby go uznać jako Wodza Naczelnego wojska formującego się we Francji.

Nienawidzę (tracę tę wiarę) dla 2 przyczyn:

1-sza, gdyż okazał się małym Polakiem, mizernym Naczelnym Wodzem, najślabszym charakterem. Gdy los uśmiechnął się do niego i pozwolił mu w jednym ręku zjednoczyć władzę naczelną, gdy Bóg rozpoczął swą wielką próbę nad nieszczęśliwym naszym narodem i pokazał swą karcącą dłoń za popełnione i niepopołnione winy, aby wypróbować siłę naszą, ducha naszego, charakter nasz, Wódz Naczelnny i Premier w jednej osobie, posiadał w swych rękach wszystkie atuty, aby naród zespolić, dźwignąć z upadku w jaki pogrzyżyła go nieszczęśliwa wojna, pokazać mu wielką drogę przyszłości.

Chyba nie było w dziejach naszych człowieka, którego przypadek, splot tragicznych okoliczności, wyniosły kiedykolwiek na takie stanowisko i w tak wyjątkowych warunkach. Polska leżała pokonana o stóp najeźdźcy. Upadł dawny rząd, Wódz Naczelnny i wszystko, co wiązało się z dobrem i złem przedwojennych rządów. Zarówno wrogowie jak i przyjaciele czy sympatycy widzieli źródło zła, źródło klęski w prezydencie, rządzie, Wodzu Naczelnym i w tych wszystkich, którzy stali blisko nich w przygotowaniach wojny. Najwierniejsi przyjaciele odstąpili ich, aby dołączyć swój głos do szali przekleństw i złorzeczeń. Lecz wszyscy bez żadnych różnic gotowi byli podporządkować się i pójść za opatrnościowym mężem, który by ich na nowo zorganizował i poprowadził w bój.

Nie trzeba było szukać opatrnościowego męża stanu, bo sięgnął już i wziął w swoje ręce władzę. Wszak był jedynym — w tych dramatycznych dniach drugiej połowy września — wolnym na paryskim bruku. Był ponadto przyjacielem Daladiera i Gamelina. Prezydent i Wódz Naczelny — internowani, dobrowolnie na niego przelali swoje zwierzchnictwo. Warunki więc ogólne składały się dla niego jak najpomyślniej.

Lecz ten opatrnościowy mąż stanu nie spojrzął głębokim wzrokiem na właściwe położenie i znalazł drogę, którą podszeptał mu diabeł zemsty, najgorszą jaką tylko można było wynaleźć dla działania. Kraj i uchodźstwo były rozbite, rozdarte w najkrwawszy sposób goryczą klęski, przepełnione słusznie czy niesłusznie żalem przeciw dawnym przewodnikom narodu, żalem wynikającym z rozpaczki po stracie Polski.

Istniała wtedy tylko jedna, jedyna droga. Uspokoić kraj i uchodźstwo przez wspólny, jednolity wysiłek dla prowadzenia dalszej walki, przez powołanie wszystkich, bez różnicy przekonań, bez różnicy win czy przewin, do jednego warsztatu pracy dla przyszłości Polski. Jedynym kryterium mogła się stać tylko zdolność do dobrego wykonania powierzonego działania.

Lecz Wódz Naczelny wybrał drogę wręcz przeciwną. Zamiast uspakajać, łagodzić i łączyć, wzniecał nowy pożar, rozogniał niezabliźnione rany, szczał jednych przeciw drugim, szukał winowajców klęski, aby ich rzucić na pożarcie opinii publicznej, zamiast szukać przyczyn klęski.

Nie wiem, co działo się w innych resortach. Lecz wiem, co działo się w armii. Wódz Naczelny zdemoralizował armię:

1. Odsunął wszystkich tych, którzy pośrednio lub bezpośrednio stali w jakimkolwiek bądź związku z dawnymi głowami wojska: Naczelnym Wodzem, Szefem Sztabu Głównego, Ministrem Wojny, bez względu na ich kwalifikacje, zdolności, przeszłość wojskową i dotychczasową pracę. W ten sposób pozbawił się znakomych oficerów (płk dypl. Wiatr, którego nie wpuścił do Francji, płk dypl. Smoleński, pierwszorzędny szef Oddziału II, ppłk Wańkiewicz, najlepszy jakiego znam fortyfikator, gen. Malinowski, 1-szy z-ca Szefa Sztabu, gen. Stachiewicz, szef Sztabu Głównego, którego zesłał na wygnanie do Algieru i setki innych) i wprowadził pierwszy zasadniczy ferment i niepokój. Przeciwstawił sobie wzajemnie dawnych dowódców i podkomendnych.

2. Podzielił wojskowych na dawnych swoich sympatyków i dawnych swoich wrogów. Pierwszym otworzył na oścież drzwi do władzy, bez względu na ich kwalifikacje, drugich czekała jego zemsta. Rozpoczęły się sądy (gen. Rayski) i deportacja do obozu Cerisay.

3. Zmuszał wojskowych (a sukurs niebywały niósł mu w tym dziele ohydny płk dypl. dr Modelski) do sprawozdań, z których wynikałaby wina ich przełożonych. Im więcej opluty został przełożony, tym szybsza była weryfikacja, tym szybszy przydział, tym wyższe dostojęstwo. I pluli podporucznicy na kapitanów, kapitanowie na majorów i pułkowników, pułkownicy na generałów i Wodza Naczelnego, bo za to czekała ich nagroda. Zapominali się nawet tak prawi oficerowie jak płk. dypl. Kopański, który złożył sprawozdanie i ciężko skrzywdził szefa sztabu. Przyniósł mi jednak swój raport, już po jego złożeniu, a gdy *ad oculos* wytknąłem mu jego brednie, raport wycofał i zmienił.

Wewnętrzna wartość moralna armii polskiej odtwarzanej we Francji, pod koniec 1939 i z początkiem roku 1940 przedstawiała obraz gangreny.

2-ga. Istnieje druga przyczyna mej nienawiści, to moja najściślej osobista.

Mnie, żołnierza frontowego z krwi i kości, który szczeniakiem będąc ruszył ochotniczo w 1914 roku na wojnę z Rosją, który nie przepuścił z własnej woli ani jednego dnia pobytu na froncie od 1914 do 1920 roku włącznie, który całe życie pokojowe poświęcił wyłącznie polskiej sprawie wojskowej, odsunął — w dniach tragedii, lecz równocześnie dniach na nowo zarysowującej się przyszłości tej wielkiej sprawy — od armii, odmówił mi prawa, odmówił mi należnego i wywalzonego moją przeszłością bojową honoru walki z wrogiem.

Nigdy nie mieszałem się do zagadnień polityki ani kraju, ani wojska. Byłem tylko i wyłącznie żołnierzem. I chciałem wyrobić się na dobrego żołnierza.

Z pochodzenia należałem do 3-go Pułku Legionów, a więc 2-ej Brygady, zwalczającej Brygadę Pierwszą Piłsudskiego. Nie trudno mi było 19-letniemu chłopakowi, który we wczesnej młodości borykał się lekcjami o życie i nie otrzymał przygotowania i nastawienia ideowo-politycznego w domu rodzinnym, przesiąknąć motywami, jakże zbędnej i szkodliwej walki i uznać ich słuszność, skoro głosili je starsi oficerowie, moi dowódcy prowadzący mnie w bój, do których miałem zaufanie. Motyw szczególnie trafiający mi do przekonania był następujący: posłannictwem Legionów jest stać się kadrą przyszłego wojska polskiego. Piłsudski rozbija Legiony (okres przełomu przysięgowego), tym samym rozbija przyszłe wojsko polskie. Druga Brygada musi przetrwać wier-na swemu ideałowi.

Przejrzałem znacznie później. Jedynym człowiekiem, który posiadał wzrok przyszłości i wojsko polskie budował był Piłsudski.

W tym okresie legionowym, gdzieś w październiku, a może

we wrześniu 1916 roku, gdy 3 pułk Legionów znajdował się na pozycjach na Wołyniu, objął na krótko dowództwo tego pułku płk Władysław Sikorski. Sprawowałem wtedy funkcję adiutanta pułku. Sikorski przyjechał po południu, gdy na noc przygotowana już była akcja bojowa pułku dla wsparcia wypadu mjr Burhardt-Bukackiego. Nie była to akcja specjalnie poważna, lecz ogień był gęsty. W pewnej chwili Sikorski kazał mi prowadzić się na linię okopów. Ziemianka dowództwa pułku była od niej odległa o 200-300 metrów, połączona z nią siecią głębokich rowów dobiegowych. W tym momencie trysnęła mi frywolna myśl. Poprowadzę go nie rowem lecz górą, zobaczę jak się zachowa. I już śmiałem się wewnętrznie na myśl jego reweransów świszczącym kulkom. Wszak przesiedział całą wojnę w NKN, na froncie jest po raz pierwszy. I poprowadziłem go górą. Sikorski kulkom się nie kłaniał. Nabrałem dla niego szacunku, zawiązała się nić, na przyszłość nierozzerwalna sympatii, następnie przyjaźni. Przeszedł przy mnie pierwszy, lekki chrzest ogniowy. Przejdzie później drugi, już tym razem ciężki, również przy mnie.

Na krótko przed 6 listopada 1916 roku odwołano Sikorskiego do Warszawy, do Komisji Werbunkowej. Równocześnie z aktem 6-tolistopadowym miało się tworzyć przy boku Niemiec wojsko polskie. Lecz Sikorski już mnie nie zapomniał. W Warszawie z końcem listopada lub początkiem grudnia zaszczycił mnie zaufaniem (łącznie z ówczesnym kpt. dr. Zającem) powierzając nam prowadzenie jego sprawy honorowej z Sieroszewskim.

W 1917 roku, gdy 2-ga Brygada po przełomie przysięgowym zamieniła się w Korpus Posiłkowy i poszła na front galicyjski, dowodziłem kompanią. Sikorski objął tzw. Dowództwo Uzuppełnień tego korpusu w Bolechowie. Dosłownie przemocą przeniósł mnie z pułku do Bolechowa w charakterze swego adiutanta i referenta wyszkoleniowego.

W listopadzie 1918 roku pośpieszyłem jako kapitan, z ówczesnym nie kim innym jak mjr. dr. Modelskim, jako ochotnik na odsiecz Lwowa. Wyjazd nasz z Warszawy był dramatyczny. Szefem kielkującego sztabu generalnego został Zagórski. Drugim jego rozkazem zostałem przydzielony do tworzącego się sztabu i otrzymałem odpowiednie zaświadczenie. Ono pozwoliło mi na otrzymanie transportu kolejowego. Por. Pokorny dosłownie wykraść z cytadeli 12 KM, ja rozbiłem świetny batalion garnizonu Warszawa dawnego Polnische Wehrmacht kpt. Proszajskiego, zabrałem mu, raczej zwerbowałem całą jedną kompanię i najlepszych oficerów i podoficerów, załadowaliśmy się i nie pytając o żadne pozwolenia pojechaliśmy przez Kraków pod Lwów. Działo się to w dniach między 15-22 listopada.

Z całej tej imprezy wyniknęła sprawa sądowa. Zostałem skazany zaocznie na więzienie (oczywiście nie zgłosiłem się) i grzywnę w wysokości 1.600 marek za zabrany prowiant (grzywnę tę odesłałem do sądu w Warszawie ze składek oficerów mego baonu). Amnestia lutowa 1919 roku umorzyła wyrok.

Z uzupełnień otrzymanych w Krakowie zorganizowałem batalion, powstała oficjalna grupa mjr Modelskiego w składzie mego baonu i lotnego oddziału karabinów maszynowych. Grupą tą nigdy w ogniu nie dowodził Modelski, zawsze ja. Lubiliśmy się bardzo. Był lotny, energiczny, dobry organizator, pefen inicjatywy, lecz panicznie bał się kulek i nigdy nie potrafił się zdobyć na jakąkolwiek decyzję bojową. W ten sposób doskonale się uzupełnialiśmy. Za walki pod Lwowem zostałem mianowany, pod koniec grudnia, majorem, Modelski podpułkownikiem.

W styczniu przyjechał do Lwowa płk Sikorski, objął dowództwo grupy bojowej w składzie około 6 baonów i 2 lub 3 baterii. Zaprosił mnie do objęcia szefostwa sztabu. Zgodziłem się pod warunkiem, że zachowam dowództwo mego baonu i będę nim dowodził, gdy wejdzie do akcji. Płk Sikorski przeszedł w tym czasie, przy mnie, po raz drugi chrzest ogniowy, lecz tym razem niezwykle ciężki i niebywale trudne i emocjonujące chwile pod Bartałowem (stracenie i odzyskanie 2 baterii).

W lutym rozchorowałem się, wróciłem na front w kwietniu. Grupa Sikorskiego zmieniła się w dywizję. Objąłem w niej pułk i do końca wojny ukraińskiej z dywizją tą przeszedłem wszystkie jej dobre i złe chwile. Były dni triumfu, były dni klęski. Triumfalny marsz na Seret, Tarnopol, Podhajce, Buczacz, Czortków. W pierwszych dniach czerwca 1919 roku, nudząc się z pułkiem w Podhajcach, zły na Sikorskiego, że nie mnie wyznaczył na zdobycie Tarnopola, ruszyłem sam, bez rozkazu na Czortków. Czortków zdobyłem atakiem nocnym 2/3 lub 3/4 czerwca. Olbrzymia zdobycz sprzętu, cała bateria z zaprzęgami etc. Lecz nazajutrz rozpoczęła się ofensywa ukraińska. Broniłem się rozpaczliwie przez 3 dni. Wzywałem z Buczacza na pomoc 4 dywizję gen. Aleksandrowicza, która odpoczywała w Monasterzyskach. Nie ruszała się naprzód, bo istniał taki rozkaz jakiejś komisji alianckiej. Jedyne Sikorski nie słuchał rozkazu i wysunął się naprzód. Aleksandrowicz kazał mi odpowiedzieć, „że skoro tam (tzn. do Czortkowa) wlaź sam, to niech sam siedzi”. Trzeciego dnia po południu, gdy przerwano mi linię pod Jagielnicą, rzuciłem baon odwodowy do przeciwdziałania. Baon (dowodził nim por.), załamał się moralnie i prawie bez strat, prawie bez walki cofnął się. Bitwa była przegrana. Zarządziłem natychmiastowy odwrót baonu Legii Akademickiej (późniejszy 36 p.p.) z Wygnańki (do-

wodził nim ówczesny kpt. Sawicki, późniejszy generał). Lecz cofnięcie w dzień, z drugiej strony Seretu, było prawie niemożliwe. Dwa baony cofały się w nieładzie pod Buczac. Z nimi właściwie jako gros powinienem się być cofnąć. Lecz wróciłem do Czortkowa do baonu Sawickiego. Zostaliśmy pod wieczór otoczeni i zamknięci. Burza nas uratowała. W nocy przedarliśmy się wzdłuż Seretu, tracąc cały ciężki sprzęt (wszystkie KM, wozy, konie) i dużo ludzi. Pułk mój był rozbity. Była to moja pierwsza, lecz równocześnie ostatnia w ubiegłej wojnie, bitwa czy walka przegrana. Szereg dni później w czasie odwrotu, przybyła do Sikorskiego komisja sejmowa, dla badania przyczyn klęski. Wszak zaczęło się na Czortkowie a skończyło się prawie pod Lwowem. Sikorski znalazł się godnie. Jakkolwiek ruszyłem na Czortków bez jego rozkazu, stwierdził, że tego wymagało położenie i on taki rozkaz dał. Pozostawiono mnie w spokoju.

Po odwrocie z Czortkowa, Sikorski powierzył mi obronę Tarnopola przez okres cofania dywizji, następnie straż tylną dywizji. Poprzez Zborów cofnęliśmy się na Gołogóry. W Krasnem rozpoczęło się wyładowywanie jednostek hallerowskich, które spieszyły nam na pomoc. Chodziło o utrzymanie rejonu Gołogór przez 2-3 dni do ukończenia wyładowań. Lecz prawe skrzydło dywizji trzaśło. Sikorski z naprędce zebranych oddziałami posyła mnie do kontrataku. W drodze spotykam dowódcę grupy operacyjnej gen. Jędrzejowskiego, który mówi mi, że od udania się przeciwnatarcia zależy los Małopolski Wschodniej i los Lwowa — błogosławi mnie (dosłownie — był to świetny żołnierz bojowy, dawny oficer, który później z nieznanymi mi powodów, pożarł się z Sikorskim).

Kontratak przeprowadziłem w nocy, na białą broń, z powodzeniem. Przez kilka jeszcze dni broniliśmy się w górach Gołogórskich. Ruszyła nowa nasza ofensywa. Otrzymałem nowy pułk i tym razem ja zdobywałem Tarnopol. Dotarliśmy do Zbrucza, wojna z Ukraińcami była skończona.

Wojna ukraińska, odbyta przeze mnie pod dowództwem Sikorskiego, pozostawiła węzły łączące nas, zdawałoby się nierozzerwalne. Był to wspaniały dowódca bojowy z niezwykle szybką decyzją i niepospolitą odwagą osobistą. We mnie cenił dobrego, może trochę z nadmiernym temperamentem, lecz wazącego się na wszystko, podkomendnego. Nabrałem pewności, że w jakiegokolwiek się znajdę sytuacji, poda mi rękę. Odwrotnie on wiedział, że może na mnie liczyć w najtrudniejszych chwilach. Z okresu wojny ukraińskiej posiadam 7 rozkazów pochwalnych dowódcy dywizji za czyny bojowe mego pułku.

Po wojnie ukraińskiej Sikorski przeniesiony został na front bolszewicki, gdzie na Polesiu objął dowództwo 9 dywizji. Ściągnął mnie tam na szefa sztabu, na którym to stanowisku pozostałem do końca grudnia, tj. do czasu powołania mnie na kurs szkoły Sztabu Generalnego w Warszawie.

Spotkaliśmy się następnie w 1920 roku. On jako dowódca 3 armii (krótko przed bitwą nad Wisłą), ja jako dowódca 25 pułku piechoty. Za liczne i szczęśliwie wykonane wypadki zostałem przez niego odznaczony 2-ma Krzyżami Walecznych.

Wojna się skończyła. Zasadniczo nie miałem zamiaru pozostawać w wojsku. Pociągała mnie natomiast wojna, pozwalająca wyładowywać się temperamentowi i energii. Pragnąłem ukończyć studia medyczne, rozpoczęte w 1913 roku i kontynuowane w czasie nielicznych urlopów. Miałem ukończone cztery półroczia, należało zasiąść do 1-szego rygorosum. Lecz tuż przed zawieszeniem broni (początek października) zostaje wezwany do Warszawy. Na wniosek już ówczesnego gen. Sikorskiego i na skutek decyzji gen. Rozwadowskiego, Szefa Sztabu Generalnego (znał mnie z okresu walk pod Lwowem), zostałem odkomenderowany na studia do École Supérieure de Guerre w Paryżu. Los mój został przypieczętowany, pozostałem oficerem zawodowym.

Gen. Sikorski nie należał do typu dowódców, którzy dbali o swoich podkomendnych, zwłaszcza wtedy, gdy ci zeszli z jego horyzontu działania. W 1921 lub 1922 roku jest on przewodniczącym 2-ej Komisji Weryfikacyjnej. Majorowie, którzy dowodzili w czasie wojny pułkami, zostawali podpułkownikami. Dowodziłem pułkiem przez cały prawie czas wojny polskiej. Lecz w tym okresie jestem daleko, w Paryżu. Nie staram się, ani nie dbam o moją szarżę, przeciwnie, uważam, że stopień majora jest dla mnie za wysoki. Moi dowódcy zaś o mnie zapomnieli. Mianowani zostają moi podkomendni, dowódcy baonów, podpułkownikami: kpt. Sawicki, rtm Abraham (obaj znacznie przed 1939 rokiem mianowani generałami), mjr Wir-Konas, któremu jako najstarszemu dowódcy baonu oddałem 25 pułk odjeżdżając do Paryża (nie został generałem, gdyż miał jakąś brudną sprawę pieniężną), mimo tego, że Sikorski był szefem Komisji Weryfikacyjnej, i mimo tego, że płk Szebert, dowódca 7 dywizji piechoty, kiedy odmeldowałem się u niego oddawszy 25 pułk, zawiadomił mnie, że za doskonałe dowodzenie pułkiem w boju, podał mnie do awansu na podpułkownika — pozostałem majorem.

Lecz to nie był dla mnie żaden cios, nawet nie zwróciłem na to uwagi.

Cios pierwszy przyszedł w 1924 roku. Sikorski był ministrem Wojny. Przy awansie zostałem nie tylko pominięty, lecz prze-

skoczony o 132 lokaty przez majorów, którzy nie dowodzili nawet baonami.

Mam jedno zadowolenie: nie zawdzięczam, w mej służbie wojskowej, Sikorskiemu absolutnie nic.

W okresie ministrowania Sikorskiego, towarzyszę mu w charakterze doraźnego szefa sztabu w czasie podróży inspekcyjnej na Pomorzu. Kiedy zaproponował mi przyjście na szefa gabinetu, odmówiłem, wolałem poświęcić się pracy naukowej, jako wykładowca Wyższej Szkoły Wojennej.

Nastąpiły wypadki majowe 1926 roku i usunięcie Sikorskiego z czynnej służby wojskowej. Osiadł w swej willi przy ul. Belwederskiej.

Jakkolwiek miałem w armii opinię zdecydowanego sikorszczyka, podobnie jak po 1939 roku — piłsudczyka (w rzeczywistości nigdy nie byłem ani jednym, ani drugim, lecz tylko niezależnym wojskowym), powołany zostaje przez Piłsudskiego na grę wojenną i przydzielony w następstwie do Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych.

W tym okresie widuję się z Sikorskim dosyć często. Pierwsza moja wizyta u niego jest burzliwa. Zarzuciłem mu, że w okresie wypadków majowych, będąc dowódcą Okręgu Korpusu Lwów, nie zachował się jak dowódca. Albowiem — według mego zdania — miał prawo powziąć tylko jedną z dwóch decyzji: pójść przeciw Piłsudskiemu lub pójść z nim. On natomiast wygłał się rzekomymi rozruchami ukraińskimi.

Pracując w GISZ-u dostarczam mu szereg materiałów do jego książki. Często rozmawiam telefonicznie. Pewnego dnia pułkownik (którego nazwiska nie mogę sobie przypomnieć) przyszedł do mnie do biura: wiemy — powiedział — że pozostaje pan w kontakcie z Sikorskim, ostrzegamy, że źle się to dla pana skończy. Odpowiedziałem mu, że moim pierwszym przełożonym jest gen. Romer, drugim Piłsudski, przed nimi tylko będę składał sprawozdanie z moich stosunków z gen. Sikorskim.

Kiedys w 1934 lub 1935 roku spotkaliśmy się w Zakopanem. Daje mi dowody niezwykłej przyjaźni. W roku 1939, już w okresie zagrożenia, spotkałem go na Placu Piłsudskiego, idąc do popołudniowej pracy w sztabie. Wziął mnie pod rękę i przez godzinę paradowaliśmy okrążając plac. Umówiliśmy się na następne spotkanie. Gen. Malinowski, 1-szy zastępca Szefa Sztabu, był z tych spotkań bardzo niezadowolony, lecz nie było w nich nic, poza przyjaźnią dowódcy frontowego z podkomendnym.

Wreszcie nadszedł dzień 17 i 18 września 1939 roku. Spotka-

łem go dwukrotnie, lecz o tym wolno mi będzie pisać dopiero po wojnie. Mogę tylko nadmienić, że wylewność jego uczuć pod moim adresem była niezwykła.

Dnia 29 września w obozie dla internowanych polskich oficerów w Rumunii, w Tulcea, w długiej dyskusji z generałem Stachiewiczem (był przy niej obecny płk Smoleński), starałem się wywalczyć u niego, aby przekonał marszałka Śmigłego, że gen. Sikorski winien być mianowany naczelnym wodzem wojska, które formować się będzie we Francji.

W październiku, z Bukaresztu, po ucieczce z obozu, napisałem do Sikorskiego długi, emocjonalny list. Poszedł drogą dyplomatyczną francuską i dotarł. Przedstawiłem w nim położenie naszego wojska w Rumunii, rozpoczynające się wewnątrz niego rozdarcie. Stwierdziłem, że zdrowa część wojska uznaje jedynie Śmigłego jako Naczelnego Wodza. Zażądałem, aby dla dobra sprawy podporządkował się Marszałkowi. Żądałem dalej, aby nie robił żadnych różnic między 1-szą, 2-gą czy 10-tą brygadą, aby nie odrzącał oficerów tzw. dawnego reżymu, aby przyjął wszystkich do armii i wszystkich jednakowo potraktował, aby wojsko zespałał nie zaś dzielił. Stwierdziłem, że patrzy na niego historia, która go będzie sądziła.

Dnia 4 listopada zameldowałem się u Sikorskiego w Paryżu.

Według karnetu przyjęć „audiencja” moja miała trwać kwadrans. Pozostałem w jego gabinecie przeszło godzinę. Przyjął mnie początkowo z wysokości dostojęstwa Naczelnego Wodza, premiera i dyktatora. Nic w nim nie było z dawnego przyjaciela z tych tak niedawnych czasów, zaledwie 6 tygodni temu, kiedy jeszcze dnia 18 września prowadził mnie pod rękę po rynku Starożyńckim i pytał się, co ma robić. Zaledwie zaprosił, abym usiadł. Pierwsze jego słowa, podniesionym głosem, były: jakim prawem pan śmiał tego rodzaju list do mnie wystosować, jakim prawem stawia mi pan jakieś nedorzeczne żądania?

Spoglądałem na niego spokojnie, zimno, z ironią. Odpowiedziałem: prawem uczciwego żołnierza, który pragnie tylko dobra armii i prawem stosunku, który nas niegdyś łączył. Powiedział mi następnie, że wśród błędów i win, które spowodowały klęskę, są błędy i winy operacyjne. Za nie będzie odpowiadał Stachiewicz i ja, jako jego bezpośredni pomocnik. Zawiadomiłem go, że sądów się nie lękam i mogę przed nimi stanąć chociażby dzisiaj, nie tylko mogę, lecz pragnę, bo wiele zagadnień mogę wyjaśnić. Lecz ostrzegam go przed sądami, bo spowodują one rozkład armii. Wywiązała się między nami ostra wymiana zdań, nastąpił moment tak silnego napięcia, że czekałem kiedy wyrzuci mnie za drzwi.

Lecz się opanował. W międzyczasie dwukrotnie wchodził adiutant z meldunkiem, że jakiś dygnitarz czeka. Polecił sobie nie przeszkadzać.

Kiedy atmosfera nieco zelżała, prosiłem, aby powierzył mi dowództwo pułku w pierwszej dywizji, która pojedzie na front. Motywowałem między innymi tym, że przecież zna moje kwalifikacje na dowódcę pułku z frontu. Roześmiał się wtedy: przecież dowodził pan pułkiem u mnie 20 lat temu. Zawiadomił mnie następnie, że do armii przyjęty być nie mogę (wyraził się chwilowo), jestem czerwoną płachtą, która będzie wszystkich drażniła.

Rozmawialiśmy następnie o drugorzędnych sprawach¹. Na zakończenie napisał dwa listy do ministra Skarbu: 1-szy, aby zmieniano wojskowym przybywającym po 1 listopada złote na franki. Zaniósłem ten list bezpośrednio do wiceministra, lecz odmówił ze względów budżetowych. 2-gi, czek dla mnie na 3.000 franków, na poczet przyszłych moich poborów. Odmówiłem przyjęcia motywując, że mogę przyjąć tylko to, co się wszystkim należy. Dosłownie prawie zmusił mnie do zabrania czeku. Wiedziałem, że go nie zrealizuję.

Złożyłem w biurze koszar Bessières wymagane do weryfikacji dane osobiste. Weryfikacja moja była niezwykle prosta. Wszak od Naczelnego Wodza poprzez Kukiela, płk. Modelskiego, szefa sztabu, płk. Kędziora, szefa Biura Personalnego mjr. Tokarza, a skończywszy na woźnych, wszyscy mnie znali. Od weryfikacji zależały pobory. Czekałem tydzień, miesiąc, dwa miesiące. Skromne zasoby finansowe się wyczerpały. Przeszedłem okres nędzy. Był tydzień, w którym jedynym moim pożywieniem była owsianka, gotowana przeze mnie. Równocześnie pisałem sprawozdanie historyczne dotyczące kampanii w Polsce.

21 grudnia gen. Faury, z którym utrzymywałem kontakt i który znał niestety moje położenie finansowe, wbrew mojej woli, interweniował u Sikorskiego.

22 grudnia zostałem wezwany przed oblicze Naczelnego Wodza. Czy prawdą jest, że pan dotychczas nie został zweryfikowany? Pan generał powinien o tym wiedzieć lepiej ode mnie, nie ja podpisuję dziennik personalny. — Co pan robi? Piszę sprawozdanie historyczne, oto jego 1-sza część, dotycząca przygo-

1. Zorientowałem go w sytuacji w Rumunii, prosiłem o ściągnięcie stamtąd pułkownika Wiatra, świetnego szefa Oddziału I (zanotował, lecz go nie ściągnął), mówiłem o uratowaniu całego archiwum Oddziału III, które należy ściągnąć do Paryża (istotnie ściągnął).

towań do wojny (warczyłem mu 90 stron maszynowego pisma). — Zostanie pan natychmiast zweryfikowany. Czy zna pan język angielski? — Nie. — Szkoda, chciałem pana przydzielić do misji polskiej przy dowództwie angielskim.

Prosiłem wtedy, aby skoro nie mogę służyć w linii, dał mi przydział do Biura Historycznego. Mogę na podstawie uratowanych dokumentów i pamięci odtworzyć wojnę polską i wyciągnąć wnioski, mogące się przydać dla kampanii francuskiej. Odpowiedział, że znajdzie dla mnie inny przydział.

Na zakończenie warczyłem, raczej zwróciłem jego czek na 3.000 franków, którego nie zrealizowałem. Zerwał się z klubowego fotelu w najwyższym podnieceniu, zaczął chodzić przez dłuższą chwilę po pokoju, wreszcie chwycił czek ze stolika, podał go i rzucił na biurko: „Pozostał pan takie same rogate bydle, jakim pan był w 1919 roku”. Odpowiedziałem: — Wolno mi przyjmować tylko to, co mi się należy jako oficerowi. — Przecież suma ta miała być panu wypłacona na poczet przyszytych poborów. — A więc powinny mi być wypłacone pobory, czekam na nie już od 2-ch miesięcy. Wyciągnął z portfela 1.000 franków. Od Naczelnego Wodza nie przyjął pan poborów, lecz od „przyjaciela” przyjmie pan pożyczkę. (Nie mogłem jej nie przyjąć, lecz zwróciłem mu ją 22 marca 1940 roku). Rozstaliśmy się².

Nazajutrz, dnia 23 grudnia, oficer reżymu przyniósł mi pismo podpisane przez płk. dr. Modelskiego z moją weryfikacją.

Minął styczeń, luty i marzec. W międzyczasie nazwisko moje pokazało się w *Dzienniku Personalnym*, przydzielając mnie do M6 wojsk, po czym tajemniczo wycofano kartkę, zastępując inną, pozostawiając mnie w dyspozycji komendanta koszar Bessières. Gdzieś w lutym wezwał mnie mjr Borkowski, oficer ordynansowy Sikorskiego i oświadczył: 1) Gen. Sikorski żałuje, lecz żadnego przydziału mi w tej chwili dać nie może. 2) Gen. Sikorski wie, że tworzę jakieś *complot* przeciw niemu i w jakimś towarzystwie źle się o nim wyraziłem (coś w rodzaju słaby człowiek). Odpowiedziałem i potwierdziłem to listem doręczonym do Sikorskiego, że mam dosyć charakteru, aby występować otwarcie i jeżeli kiedykolwiek wystąpię, to pierwszy Sikorski zostanie o tym przeze mnie powiadomiony.

22 marca widziałem Sikorskiego po raz ostatni. Wizyta ta wyniknęła z mojej inicjatywy. Posiadałem, z trudem przewie-

2. W międzyczasie zapytał mnie, dlaczego nie używam mego nazwiska. Istotnie, wyrobiłem sobie papiery na inne nazwisko. Odpowiedziałem, że zamknąć się do Cerisay nie pozwolę, a zamknąć można tylko płk. Jaklicza, nie zaś pana X.

zione z Polski i Rumunii, oryginały konwencji francusko-polskiej i protokoły rozmów polsko-angielskich. Po naradzie z generałem Malinowskim postanowiłem mu je wręczyć, mogły dla niego jako Naczelnego Wodza i premiera mieć znaczenie w rozgrywce z Francuzami i Anglikami.

— Dlaczego nie wręczył mi pan ich wcześniej? — Wszak wiedział pan generał, że brałem udział w rozmowach międzysztabowych polsko-francuskich w Paryżu i polsko-angielskich w Warszawie, wszak wiedział pan generał, że byłem szefem Oddziału III, a następnie zastępcą Szefa Sztabu, złożyłem w tych sprawach sprawozdania. Nikt nigdy nie zainteresował się tym, ani nie postawił mi żadnego pytania.

Wrócił znów do zagadnienia mego przydziału. Mówił, że pragnie mnie posłać na *stage* korpusu francuskiego na linii Maginota lub oddać mi dowództwo brygady polskiej mającej się tworzyć w Syrii. Odpowiedziałem, że do Syrii — jeżeli nie mogę objąć pułku w 1-szej Dywizji — gotów jestem jechać dzisiaj. Natomiast na *stage* w korpusie francuskim wolałbym pójść na *Cycle d'information des généraux et colonels* w Wersalu, celem zaznajomienia się z nowoczesną doktryną francuską.

23 marca przypadkowo spotkałem płk. Klimeckiego, ówczesnego szefa Oddziału III. Powiedział mi co następuje: wczoraj o godz. 14-tej mieliśmy odprawę dla wyboru kandydata na dowódcę Brygady Syryjskiej. Gen. Sikorski zapowiedział: moim kandydatem jest Jaklicz. Przyjąłem to jako decyzję. Przygotuj się do wyjazdu.

W kilka dni później (już po świętach Wielkiej Nocy) zaprosił mnie Klimecki do siebie, zawiadamiając, że dowódcą brygady został płk Kopański. Podobno Kot sprzeciwił się mojej kandydaturze.

W połowie kwietnia usunięto mnie z Paryża, polecając się zgłosić do *dépôt* oficerskiego w Vichy. Nic nie robiąc, pozostałem tam do rozpoczęcia ofensywy w dniu 10 maja. W połowie maja otrzymałem nagle dowództwo 10 pułku w 4 Dywizji, która prócz kadry oficerskiej nie posiadała ani kadry podoficerskiej, ani żołnierzy. W pierwszych dniach czerwca otrzymałem, na skutek interwencji gen. Faury, dowództwo w 3 Dywizji Piechoty. Nim zdolałem objąć nowy posterunek (12 czerwca) i zaznajomić się z ludźmi, nastąpiła klęska i odcięcie 3 Dywizji Piechoty (18 czerwca).

Gen. Józef JAKLICZ

Bohdan Tadeusz URBANOWICZ
Warszawa

ZE WSPOMNIEŃ DOWÓDCY 10 PUŁKU UŁANÓW LITEWSKICH

W pustym, szpitalnym pokoju o niebieskim ścianach patrzę na przeciwległą stronę ulicy. Jakaś kobieta myje okna. Rachityczne drzewa już zaczynają tracić liście. Po co teraz, w 1982 roku, piszę o wojnie? Mamy zbyt wiele historii, relacji i wspomnień wojennych. Te filmowe szarże Lotnej i Hubala, te natrętne w telewizji rogatywki, pomniki i wieńce, kompania reprezentacyjna maszeruje, śpiewając „ułani, ułani...”.

Każdy ma jednak prawo do opowiedzenia własnej prawdy. Los krótkiej, zaledwie pięcioletniej wojny ułańskiej, ostatniej w historii wojny kawalerii, to jakby beznadziejny marsz Diwizji Giełguda.

Po tym czas się zatrzymał dla mnie — przetaczało się 1.650 dni obozu.

Nie uczestniczyłem w szarżach ułańskich. Poznałem smak odparzeń, halucynacje w beznadziejnie długich bezsensownych marszach. Milcząca wojna w ciszy lasów, w huku artylerii i karabinów maszynowych. Na tej wojnie nie usłyszałem ani razu piosenki ułańskiej...



Rok trzydziesty dziewiąty zapowiadał się dobrze. Słoneczne lato łagodnie przechodziło w dostatnią jesień. Michał Walicki uzyskał dla mnie stypendium Funduszu Kultury — Belgia i Holandia.

W tym roku malowałem dużo, ukończyłem ścienne obrazy do kościoła w Pionkach; dziś widzę, jak bardzo masacciowskie. Konkurs na projekt polichromii nowego Dworca Głównego w Warszawie. Wyróżnienie i zakup. Kończyłem obszerne studium o współczesnym malarstwie włoskim, komentując przełom malarstwa florealistyki do metafizyki Chirico i Morandiego. Oddałem do *Arkad* esej „O rysunku”.

Dziś sądzę, że nie spłaciłszy długu uznania wydawcy i redaktorowi *Arkad* — Wandzie Filipowicz. Wielka dama i mądry

człowiek, niosła za sobą legendę udziału w zamachu na Skattona. Dążąc do odmodnienia pisma, zaprosiła Franciszka Bartoszkę, Zygmunta Skibniewskiego i mnie do redakcyjnej współpracy.

Profesor Huber

Wielokrotnie odwiedzałem dom ojca mej narzeczonej, profesora Maksymiliana Hubera. Należał do ludzi, którzy zostawiają znaczący ślad po sobie. Byłem zafascynowany jego osobowością.

Przed pierwszą wojną — trzydziestoparoletni rektor Politechniki Lwowskiej. W okresie wojny dostaje się do niewoli jako oficer rezerwy armii austriackiej. Wyreklamowany z obozu przez prof. Timoszenkę, może, zdaje się w Kijowie, dalej prowadzić pracę naukową.

Kiedyś pokazał mi książkę pamiątkową ku czci Timoszenki — „oto mój wkład — 2 rzędy cyfr i znaków wzoru” — śmiał się. O ile wiem, profesor jako jeden z pierwszych skomentował u nas teorię Einsteina. Pierwszy w Polsce opracował statykę samolotu. Jego teoria wytrzymałości materiałów do dziś zachowała światowe znaczenie. Dalekie i niezrozumiałe dla mnie są te dziedziny matematyki i techniki. Ale interesowała mnie u profesora różnorodność zainteresowań i szczególna organizacja pracy.

Profesor był znakomicie zorientowany w aktualnej literaturze pięknej. Regularnie prenumerował serię „Roju”. Jego biblioteka skupiała nie tylko książki naukowe, gromadził obszerną płytotekę, głównie z zakresu muzyki operowej. Czytał partytury, nucił partie wokalne. Obserwowałem, jak na pamięć, bez szachownicy, rozgrywał z prof. Godlewskim partie szachów.

Kiedyś namiętny palacz, nie znosił teraz dymu papierosowego; wracając z uczelni zmieniał ubranie, przesiąknięte — jak mówił „odorem ubraniowym”.

Szczególnie zaskakującym jego hobby była znajomość perfum; w rozmowach z paniami wyjaśniał swą systematykę zapachów i doradzał stosowanie odpowiednich perfum. Należał do tej klasy ludzi, którzy „zawsze mają czas”. Może dlatego do dziś kiedy ktoś mnie pyta, co robię? — odpowiadam — „nic nie robię, ale jestem bardzo zajęty”. Profesor formował własny rytm dnia, a pozornie uboczne zajęcia pozwalały mu skupić się, by jaśniej dostrzec właściwy problem pracy twórczej.

Do dziś zachowałem kartki profesora, pisane na Kriegsgefangenenpost do obozu w Murnau.

Brwinów

Mieszkałem w Brwinowie, na granicy Leśnej Podkowy i Stawisk. Odwiedzając Iwaszkiewicza, parokrotnie wpadali do mnie koledzy z gimnazjum wileńskiego — Staś Kownacki i Czesław Miłosz.

Piękny sad, sadzony przez moją matkę, już zaczynał zasłaniać dom. Kwitły teraz dale, a wkrótce miały zakwitnąć ulubione przez matkę michałki. Dziś na Żoliborzu widzę za oknem kwitnące drobne fioletowe kwiaty ze złotymi sercami, przesadzone przez matkę z Brwinowa.

W połowie sierpnia przeżyliśmy groźne zdarzenie. Nasz wilczur zaczął zdradzać dziwne zachowanie. Któregoś dnia biegł za moją siostrą, chwytając się, z przekrwionymi ślepiami. Hanka wpadła do kuchni. Pies wpadł za nią do sieni, której drzwi udało mi się zamknąć. Całą noc dochodziły rozpaczliwe wycie i łomotanie. Rano pies był martwy. Stwierdzono wściekliznę. Lekarz zapisał nam serię bolesnych zastrzyków, ale wojna przerwała kurację.

Niechętnie wyjeżdżałem do Warszawy, pełnej latem gwarnej młodzieży i ludzi wracających z urlopów.

Radio przekazywało coraz głośniejsze szczekliwe wrzaski.

I P S

24 sierpnia, idąc ulicą Szpitalną, spotkałem koło kwaciarni „Złocień” Elżunię Wilderówną. Właśnie szła na spotkanie z Marysią do Ipsu.

Dobrze pamiętam Elżunię, drobną i cichą blondynkę, córkę wybitnego antykwariusza Hieronima Wildera. Myślę, że tylko Antoni Słonimski mógłby opowiedzieć o tej świetnej żydowskiej rodzinie.

W połowie września, w czasie oblężenia Warszawy, niemiecka bomba trafiła dom Wilderów na Czackiego. Ciemna otchłań czerwonego gruzu i szarego popiołu pochłonęła całą rodzinę. Monika Żeromska wyszła cało, bo była tam zamknięta w łazience.

Szliśmy teraz z Elżunią do Ogródka Ipsowego. W Ipsie, jak zawsze o południowej porze, było pełno gości. Marysia ładnie wyglądała. Jej matka, Helena Skoczylasowa, była ubrana w białą suknię w czarne kropki i duży czarny słomkowy kapelusz. Wymienialiśmy wiadomości i plotki. Po raz ostatni piłem kawę

i lody. Nie wiedziałem, że dopiero za sześć lat zobaczę Marysię, która zostanie moją żoną i matką moich dzieci.

Wróciłem do mego ogrodu.

Mobilizacja

25 sierpnia wcześniej rano obudziły mnie gorączkowe głosy, trzaskanie drzwi ogrodu. Patrzyłem leniwie na jasne plamy słońca na ścianie pokoju. Wpadł ojciec, niosąc kartę mobilizacyjną. Przynaglał mnie, abym się nie spóźnił na pociąg do Białegostoku. Ubierałem się wolno. Do dziś mi żal tweedowej, tytoniowej w kolorze, marynarki, kupionej rok wcześniej w Rzymie. Matka łądowała mi do walizki wygodne buty od Hiszpańskiego, białe, kanapki i pudełko z zastrzykami przeciw wściekliznie.

Peron na Dworcu Głównym był pełen rozgorączkowanych młodych ludzi, miotających się matek, siostr i dziewczyn. Odprowadzał mnie tylko ojciec. Widząc, że chowam monety do kieszeni (czyżby to dotąd) — dał mi portmonetkę. Tę skórzaną, szerniałą podkówkę przechowałem przez całą kampanię wrześniową, przez pięć lat obozu i mam ją dotąd.

Ojciec gorączkowo uderzał mnie po plecach: „Nie rób głupstw, synu”. Były to ostatnie słowa Ojca i domu.

W 1946 roku, po powrocie do kraju byłem obecny przy ekshumacji rozstrzelanych 20 czerwca 1940 roku w Palmirach. W niewielkim piaszczystym dole leżało paruset pomordowanych. Ojca rozpoznaliśmy, leżał na samej górze. Długo musiał czekać na swoją kolejkę.

W tym roku Adam Siemaszko wyrzeźbił miedzianą płytę w formie trumiennej tablicy. To epitafium mego ojca, wisi teraz w kruchcie kościoła Św. Stanisława na Żoliborzu. Zachowałem grypsy z Pawiaka mego Ojca, troszczył się tylko o rodzinę.

10 Pułk Ułanów Litewskich

Cieszyłem się z przydziału do 10 pułku Ułanów Litewskich. Pułk ten znałem od lat dziecińczych. Jako chłopak odwiedzałem w pułku w Białymstoku mego wuja, rotmistrza Stefana Krzyżanowskiego, który kształcił moje umiejętności jeździeckie z całą surowością, nauczył mnie „anglezować” w siodle, bez strzemion i tak skakać przez niskie przeszkody.

Kolejni dowódcy pułku, to pułkownicy Obuch-Woszczatyński, Terencjusz O'Brien de Lacy, Witosław Porczyński, a na wojnie

1939 Kazimierz Busler, były adiutant osobisty Piłsudskiego. Poza Buslerem większość oficerów pochodziła z kawalerii rosyjskiej lub z Korpusu Wschodniego Dowbora-Muśnickiego. W rozmowach oficerów gęsto trafiały się rusycyzmy.

Co roku 8 maja pułk obchodził swoje święto pułkowe — rocznicę pojenia koni w Dnieprze pod Berezyną.

W czasie święta obowiązywało starszeństwo, to jest data promocji na oficera. Starszy promocją podporucznik rezerwy miał prawo „cukać” nawet sztabowego, ale młodszego pasowaniem, oficera.

Koszary pułku w Białymstoku były rozlokowane w lesie za Zwierzyniec Branickich. Przez otwarte drzwi kasyna były dźwięki dętej pułkowej orkiestry — granatowe „szasery” z amarantowym lampasem. Barwy pułku to amarant i biel przecięte paskiem granatowym.

Głównym akcentem święta pułkowego była oczywiście defilada. Za orkiestrą pułkową na siwych koniach — przypominam moje zaskoczenie — jechał stary brodaty Kozak, wachmistrz Denagujew, w czerkieskim żupanie — siedział na bułanym „kabar-dyńcu” o zadartej do góry jeleniej szyi, trzymając na smyczach dwa wilki. Ot relikwiarz carskiej tradycji kawalergardów. Potem szedł poczet sztandarowy. Sztandar, ofiarowany pułkowi pod Mołodecz-nem przez Julię Potocką, towarzyszył całej kampanii, wywieziony przez Litwę do Anglii, do dziś znajduje się w Instytucie Sikorskiego w Londynie.

W książce L. Żółtek-Mitkiewicza „Z generałem Sikorskim na obczyźnie” znalazłem wzmiankę: „15 maja 1942 w Gask (Szkocja) ksiądz prałat Kaczyński odprawił w dużym salonie pałacyku cichą mszę świętą na intencję pomyślnej podróży (do Waszyngtonu) Naczelnego Wodza i Prezesa Rady Ministrów Generała Sikorskiego. Pułkownik Zygmunt Borkowski nadał dekoracjami i całością urzędnika specjalną symbolikę. Jako tło posłużyły sztandary 10 pułku ułanów litewskich i 85 pułku strzelców wileńskich. Lewa strona płachty sztandaru 10 pułku ułanów litewskich z Matką Boską Ostrobramską i z Pogonią herbem Gedyminów. Do mszy świętej służyli rotmistrz de Virion z 10 pułku ułanów i podchorąży Odrowąż również z tego pułku...”

Pułk formował się w 1918 roku w Pietkowie pod Zambrowem. Wychodził w pole w zdobycznych niemieckich mundurach huzarskich.

Wiosną 1919 pułk wchodzi w skład dywizji litewsko-białoruskiej. Walcząc pod Słonimem, Bobrujskiem i Mińskiem, uczestnicząc w ofensywie na Kijów, dojdzie do Dniepru przy ujściu

Berezyny. W czasie odwrotu będzie wycofany aż do Rawy Mazowieckiej. Wtedy liczy już tylko 15 oficerów i 75 szabel. W nowej kampanii idzie na Druskieniki, Grodno i Stołpce. 15 października 1920 rozkaz o zawieszeniu broni zatrzyma działania pułku w Puszczy Nalibockiej. W grudniu 1920 pod dowództwem gen. Żeligowskiego wejdzie do Wilna, stając na granicy pod Trokami i Rudziszkami. Od 1922 stałą kwaterą pułku będzie Białystok.

„Walcząc, nigdy pułk 10 ułanów nie zawiódł pokładanej w nim nadziei” — to ustęp z rozkazu Naczelnego Wodza.

25 odznaczonych oficerów i ułanów — Krzyżami *Virtuti Militari*, 57 — Krzyżami Walecznych.

W ostatniej swej kampanii 1939 roku pułk rozpocznie wojnę bitwą na terenie niemieckich Prus Wschodnich. Skapituluje, nie mając amunicji 6 października w Woli Gułowskiej pod Kockiem. I znów będą odznaczenia — dziesięciu oficerów Krzyżami *Virtuti Militari*; na 24 oficerów pierwszej linii pułku zginęło na polu — 8, a 11 było rannych.

Z zapasowego 110 pułku wyjdzie i major Hubal-Dobrzyński.

W y m a r s z

25 sierpnia zameldowałem się w pułku. Szybko i w podnieceniu biegł czas. Nieustanne meldowania, pobieranie sort mundurowych, broni i konia. Zostałem przydzielony do 1 szwadronu, obejmując dowództwo 3 plutonu.

Tej nocy pułk wychodził na stanowiska wyjściowe. Ciemna, duszna noc, marsz bocznymi gościńcami. Oszczędzając konie, szliśmy pieszo i konno. Miękki stukot kopyt końskich, skrzypienie siodła, podzwanianie strzemion i przytroczonych szabel. Jedyne światło widziane tej nocy — to czerwone dopalające się zgliszcza wsi Pogorzelka. Była to pierwsza zapowiedź pożarów nadchodzącej wojny.

Zostałem wezwany na czoło szwadronu, do dowódcy rotmistrza Władysława Abramowicza. Rotmistrz trzymał mnie mocno pod ręką — mówił o przebytych wojnach — tłumaczył mi naturalność objawów strachu; żołnierz jest podporządkowany dwóm regułom wojny: ma wykonać rozkaz, bez względu na jego ocenę i odpowiadać za życie podkomendnego przed Bogiem i własnym sumieniem.

Zapamiętałem te rady, ale nie zawsze umiałem się im podporządkować.

Na dzień zalegaliśmy w lasach lub zagrodach wiejskich. W nocy

szliśmy na zachód wzdłuż Narwi na Kobylino, Strękową Górę. Przekraczaliśmy Biebrzę, idąc na Jedwabne. Mijaliśmy bezkresne płaskie bagna Wizny, zanurzaliśmy się w korytarze ciemnych lasów, obchodziliśmy ciężkie ponure bunkry umocnień Biebrzy. Wreszcie znaleźliśmy się, koło Orlikowa, na wyjściowych bojowych stanowiskach. Na łagodnym wzniesieniu, pokrytym z rzadka jałowcami, okopywaliśmy nasze i karabinów maszynowych stanowiska.

Parokrotnie pojawiał się mały, beczułkowany dowódca pułku podpułkownik Busler. Naszą gotowość bojową sprawdzał dowódca Brygady Podlaskiej, generał Kmicic-Skrzyński, niski, suchy, z czarną opaską na oku — jeden z paru pierwszych ułanów Beliny.

1 września, leżąc na skwaronym suchym polu, usłyszeliśmy wysoko na niebie ciągly i metaliczny brzęk. Świetliste srebrne samoloty — pierwszy nalot na Grodno.

Kurtyna rozpoczynającej się wojny podnosiła się w pełnym blasku słońca.

W nocy szliśmy na zachód, w kierunku granicy Prus Wschodnich. Jedwabne — puste, jakby wymarłe miasteczko. Wszedłem do jednego z nędznych domów. W ciemnym wnętrzu leżały rozrzucone w nieładzie białe plamy szmat, pościeli i betów. Ludność żydowska opuszczała w pośpiechu nadgraniczne miejscowości, zostawiając wszystko co posiadała.

Wojna otwierała zamknięte dotąd ludzkie sypialnie.

Bawiła mnie jeszcze ta pierwsza zabawa w wojnę. Gładziłem ciepłą szyję mego konia, słyszałem brzęk mych ostróg. Wydawałem gromkim głosem komendy, łajałem ułanów, którym konie „całowały”, tj. kłusowały w marszu stępem.

Podjazd na Prusy

2 września, stojąc na granicy w Milewie, szwadron otrzymał rozkaz przekroczenia granicy. Szliśmy szykiem bojowym z drużyną karabinów maszynowych i aparatem radiowym. Była godzina piąta popołudniu. Wchodziliśmy w inny krajobraz ceglanych zagród, wielkich stodół — Gross Brzosken, Klein Brzosken, Belzonen. Na środku wsi pał się spokojnie ciężki stary kasztan. Szwadron od czasu do czasu spieszał się, wymieniając strzały z cofającymi się oddziałami Grenzschutz. Z ciekawością patrzyłem na pierwszych jeńców w feldgrau i w hełmach, tak bardzo dürerowskich. Ułani nie byli jeszcze ostrzelani, strzelali często Panu Bogu w okno, kryjąc twarze w trawę. Równoległe szedł na Glarheim trzeci szwadron rotmistrza Mościckiego.

Szwadron wyszedł z lasu na Belzonem (dziś Bełcząc). Przed nami rozciągała się szeroko przestrzeń świeżo zoranego pola, skłaniająca się w dół w kierunku szosy i miasteczka Bialla (dziś Biała Piska). Szwadron spieszył się, zostawiając konie w lesie, szliśmy kolumnkami z bagnietami na karabinkach. Tak w tej wojnie walczyła kawaleria, bez lanc i szabli.

Niespodziewanie, z boku uderzyły głuchoe wybuchy moździerzy, zaterkotały liczne karabiny maszynowe. W zapadającym zmierzchu wybiegły parabole świątecznych pocisków. Pięknie nadzialiśmy się, odsłonięci, na umocnione stanowiska bojowe niemieckie. Zaskoczenie było pełne. Cała nasza ułańska piechota panicznie zaczęła się wycofywać. Ale biegnąc pod górę, przewracaliśmy się o skiby, przerażeni, zziązani — traciliśmy oddech.

Usłyszałem w tym zgiełku głośnie wołanie. Pojawiła się przede mną ciemna sylwetka jeźdźca. To mój luzak, starszy ułan Jabłoński podprowadzał mi konia, rzucił mi wodze, wycofując się galopem do lasu. Koń, zaniepokojony strzałami, wspinał się nerwowo, kręcąc się wkoło. Zziązany, z trudem ładowałem się na siodło. I wtedy zdarzyła się wręcz groteskowa sytuacja. Podobnie jak i ja, przerażeni moi ułani, rzucając się, jak na zbawienie, do mego konia chwyтали rozpaczliwie za siodło, za ogon i grzywę. Ryczałem jak wół bez skutku, pragnąc uwolnić się od tej kupy towarzystwa. Zniewolony wracałem do lasu wolnym truchtem, jadąc na szczycie piramidy ludzi. Miałem wrażenie, że moje plecy są dwumetrowej szerokości, otwarte i zapraszające las bzykających kul. Okazało się później, że miałem przestrzelony płaszcz i maskę gazową. Tracąc jednego ułana — wreszcie moja kupa ułanów dobiła do chroniącego nas lasu. Tak to, wbrew mej woli, byłem ostatnim oficerem, który wrócił razem ze swoim plutonem. Groteska sprzymierzyła się ze strachem.

Szwadron spełnił swoje zadanie, wrócił do pułku, prowadząc jednego niemieckiego oficera i 12 gemainów.

Z powojennej literatury dowiedziałem się, że uczestniczyłem w pierwszym w tej wojnie starciu z nieprzyjacielem poza granicami kraju. Wkrótce poszły dalsze podjazdy na Prusy z pułków Brygady Suwalskiej i Podlaskiej.

Z trzeciego na czwarty dzień wojny Brygada Podlaska zaatakowała Niemców na pograniczu, trafiła jednak na już podciągnięte odwody i artylerię nieprzyjaciela, ponosząc duże straty w ludziach i koniach, przyprowadzając jednak kolumnę jeńców.

Pułk mój stał w odwodzie. Staliśmy w pogotowiu na koniach, w młodym sosnowym zagajniku. W pewnym momencie Niemcy przenieśli ogień na nasze stanowiska. W lesie nic nie widzieliśmy — kuląc się pod gwizdami pocisków, nie wiadomo

skąd bijących, płoszyły się nam konie. Nagle usłyszałem głucho uderzenie i głębokie westchnienie konia — powoli zapadało się w dół moje siodło. Ktoś podprowadził mi nowego konia. Pryskałiśmy cwałem z zagrożonego ogniem lasu. W tych pierwszych dniach wojny nie bardzo wykorzystywałem rady rotmistrza.

Tkwi we mnie obraz ulicy wioskowej, zatłoczonej furmankami taboru i kolumny sanitarnej, z zabitymi i rannymi. Nie zapomnę szarego zakurzonego ciała, leżącego w słomie, patrzyłem na otwartą, wielką wyszarpaną z boku ranę — widoczne wnętrzości były bez krwi — szare; ranny patrzył na mnie przekrwionymi oczyma, poruszając ustami bez dźwięku.

W tym czasie zmotoryzowana dywizja pancerna, zdaje się Guderiana, przebiła się przez obronę Narwi pod Różanem, zagrażając odcięciem całego zgrupowania Narew — gen. Młot-Fijałkowskiego.

Brygada Podlaska skazana była na kierunek południowo-wschodni, na Ostrów Mazowiecki i Zambrów. Szliśmy teraz poboczami szosy Suwałki - Łomża. Kryły nas przed samolotami wielkie białodrzewy i topole rosnące wzdłuż szosy.

Jeżdżąc co roku do Wigier, patrzę na szczątki tej alei drzew, które przetrwały do dziś.

Weszliśmy na rynek w Stawiskach. Otoczył nas tłum mieszkańców w chałatach i jarmułkach, wynosili nam mleko i wodę. Ktoś podał mi wielką blaszaną białą miednicę z zimną wodą. Nareszcie mogłem zmyć kurz i brud parodniowy. Kwaterowaliśmy w rytualnej łaźni kobiecej, tak zwanej „mykwie”, skąd przez małe okienko strzelaliśmy, oczywiście bez rezultatów, do krążącego wywiadowczego samolotu.

Moja droga

Droga z Łomży do Suwałk, którą teraz maszerowaliśmy, aż hen poza granicę do Niemna i Kowna nanizana była dawniej domami krewnych, powinowatych i przyjaciół.

W 1920 roku jako dziewięcioletni chłopak furmaniłem i obrządzałem konie, uwożąc matkę i siostrę z Suwalszczyzny pod Warszawę. Od Grodna posuwała się szybko inwazja. Nocowaliśmy w Bzurach. Tam ładowano karete, bryczki i wozy — proponowano nam wspólną wyprawę za dwa dni, ale matka nerwowo nagliła do pośpiechu. Smagając batem zmęczone konie, wyjechaliśmy rankiem do Warszawy. Później dowiedziałem się o wymordowaniu na tej szosie całej uciekającej rodziny Kozłowskich.

Ale z tym krajem mojej młodości wiązały się i ciepłe, dobre

wspomnienia. Miejsca letnich wakacji w Zofiówce Liburga, zabawy w pomoc zniwną, smak zimnego mleka w glinianej dzieży. Galopy konno i na oklep na nocne pastwiska przy ognisku. Kiedyś zorganizowano bieg myśliwski. Przydzielono mi dwuletniego ogierka — Trakena. Rwał ostrym galopem, wyrывая mi wodze z rąk poprzez rżyska, miedze i rowy. Miałem już za sobą dobrą szkołę jeździecką mego wuja-rotmistrza. Na znak „mastra” finiszowaliśmy kasztanową aleją w Bzurach. Wyskoczyłem do przodu. Obok mnie, łeb w łeb, cwałowała panna Obrycka z Czarnówka. Wiatr niespodziewanie poderwał jej spódnicę. To co zobaczyłem tak mnie skonfundowało, że przyszedłem do mety pod gankiem jako drugi. Mieszają się te obrazy z tak odległej przeszłości.

Halucynacje

Wojna się dopiero zaczynała. Brzękły mi uwięzione nogi w cholewach. Powoli gubiliśmy kalendarz i rytm dnia i nocy. W nocy z 6 na 7 września przeszliśmy Narew pod Łomżą. Towarzyszył nam bez przerwy huk dział artylerii i wybuchy bomb lotniczych, rozsypywaliśmy się, kiedy szły na nas niskie ataki Stukasów.

Spaliśmy na mokrych bagnach, z maską gazową i mapnikiem pod głową. Ogarniało nas coraz większe znużenie. Koni nie wolno było rozsiódływać, zdejmowaliśmy na chwilę siodła, aby rozcierać wiechciami słomy mokre grzbiety koni. Wtedy po raz pierwszy przeżyłem zjawisko halucynacji.

Jak to się przejawiało? Ot, jeden z przykładów. Jadę na czele plutonu w zwartym szyku, aby nie pogubić się w ciemnościach nocy — orientuje mnie widoczna na przodzie biała plama siwego konia trębacza poprzedzającej nas kolumny. Widzę, że ten siwy koń skręca gwałtownie w prawo od drogi — podążam za nim z moim plutonem, patrzę na zagrodę wiejską, na sylwetę stodoły i żurawia studziennego. Nagle wszystko to znika, przede mną jest już tylko płaski horyzont pola. Zawstydzony zawracam konia, aby odnaleźć się znów w kolumnie marszowej.

Brok nad Bugiem

9 września. Po linii biegnie wiadomość o marszu na Bug pod Brokiem, gdzie przeprawia się kolumna niemiecka. Otrzymuję rozkaz wyjścia na czoło Brygady — jako szpica straży przedniej.

Wysuwamy się z lasu ostrożnie, przed nami pola, tak spokojne i ciepłe, jak to bywa jesienią o zachodzie słońca, na polu pasą się czerwone krowy, widać chłopą orzącego pole. Obrazek żywcem wyjęty z Milleta czy Chełmońskiego.

Wchodzimy do pierwszych zabudowań Broku — brukowane ulice — drewniane domy z ogródkami pełnymi kwiatów. Z zagród wybiegają baby, lamentując — ludzie, po co tam jedzicie, tam Niemcy. Widzę, jak moi szperacze walą łydkami boki koni, jednocześnie ściągając wodze. Ale nic to nie pomaga, napieram na nich, tak jak na mnie napiera szwadron, dalej pułk i reszta brygady. Posuwamy się stępa w głuchym milczeniu. Jak oczekiwałem, za zakrętem ulicy widzę posuwające się wolno opancerzone auto niemieckie, cofam pluton za zakręt — i szybko się spieszamy.

Leżę z moim ułanem na bruku w suchym rynsztoku. Choiński nerwowo nie może odryglować rusznicy przeciwczołgowej. Pomagam mu. Wysuwa się ciemny wóz niemiecki. Pierwszy strzał był celny, samochód okrywa chmura dymu, z wozu wyskakują ciemne sylwety — waliłem z mego pistoletu Visa do ukrywającego się w krzakach niemieckiego żołnierza, miał czerwone wypustki — chyba był to artylerzysta.

Długa cisza trwa w nieskończoność. Słyszę z krzaków nad rzeką coraz głośniejsze nawoływania się Niemców, z prawej strony widzę galopujący oddział kawalerii.

Pluton mój jest wreszcie zluzowany, wycofujemy się do grody. W cieniu wielkich topól pijemy wodę ze studni, leżymy wyczerpani i milczący. Na dziedziniec wbiega generał Kmicic-Skrzyński i gromkim głosem woła: „Ułani, musicie wpisać do historii dziesiątego pułku zdobycie Broku”.

Od tego momentu nie mogę słuchać krzepiących, patetycznych przemówień.

W nocy szwadron otrzymał rozkaz zaatakowania pobliskiego parku zamkowego. Przed nami krwawo świeciła ściana ognia, wznieconego przez Niemców. W ostatniej chwili rotmistrz poleca mi nawiązanie kontaktu z walczącym obok trzecim szwadronem Mościckiego; wracając po wykonaniu rozkazu, dopędzam mój szwadron i widzę jak na mostku walą się pod ogniem mój rotmistrz i atakujący ułani. Jeden z ułanów padł, nadziewając się szyją na swój bagniet. Natarcie nasze zostało odparte.

Stałem przy wozie, na którym leżał ranny rotmistrz Abramowicz — żegnał się z nami, przekazując mi swego konia. Później miałem możliwość ocenić siłę i sprawność tego konkursowego folbluta. Marsz brygady na odsiecz Warszawy został zatrzymany.

Stawaliśmy na postój w wioskach i zaściankach szlacheckich, kobiety wносиły nam chleb i mleko, rozpytywały się o los swoich mężów i synów.

Wieś Grzymki. Na zewnątrz były wystawione ubezpieczenia. Nad ranem usłyszeliśmy dobrze nam znany ciężki warkot krążących dookoła czołgów. Alarmując pluton, stwierdziłem brak Choińskiego z rusznicą. Zaniepokojony, obchodząc zagrody, z dala zobaczyłem nieruchomy i niemy czołg z sylwetą żołnierza. Z paru ułanami szliśmy powoli w kierunku czołgu. Niedaleko w trawie leżał zabity Choiński ze swoją rusznicą — szliśmy dalej, na czołgu półleżał ranny niemiecki czołgista. Kazałem położyć go na karabinach, wycofaliśmy się do wsi. Jak się okazało, Choiński sam, bez rozkazu, poszedł zapolować na czołg, trafił, unieruchomił go, ale został zastrzelony przez ukrywającą się w pobliskich krzakach załogę czołgu. Sądzę, że tylko fakt zaopiekowania się rannym Niemcem uchronił nas od podobnego losu.

Porażały nas wiadomości z radia. Nachodziły nas chwile pełne depresji. Pułk, jak dotąd, trzymał się dobrze, nie było jeszcze przypadków dezercji. Tradycje pułku, więź koleżeńska, no i na pewno instynkt stadny koni sprawdzały się teraz w polu.

11 września toczyła się duża bitwa pod Zambrowem. Czołgi przejechały tyralierę ułanów. Na czołg wyskoczył porucznik Chamski, nie trafił jednak granatem w otwartą kłapę i został przez czołgistę zastrzelony.

12 września trwały dalej walki, zginął dowódca Ułanów Krechowickich, pułkownik Litewski, nasz pułk odrzucił niemieckie pancerne oddziały rozpoznawcze, idące od strony Czyżewa.

Mień

W nocy z 12 na 13 września znów byłem uhonorowany zadaniem prowadzenia szpicy straży przedniej pułku. Przed nami szło 9 strzelców i 5 ułanów.

Weszliśmy do wsi Mień. Wioska była zatarasowana masą furmanek taboru. Przeszedłem most i wychodząc na skraj wsi, ze wzniesienia widziałem szosę łączącą Wysokie Mazowieckie z Brańskiem. Z daleka na horyzoncie zniknął w lesie oddział kawalerii pewno 9 pułku Strzelców Konnych Falewicza. Z lewej strony, z lasu, zaczęły dochodzić chaotyczne strzały i wybuchy granatników. Szosą uciekali w nieładzie jeźdźcy i jaszczce armatnie. Zatrzymałem pluton; rychło pojawił się pułkownik Busler z adiutantem Nostitz-Jackowskim. Niemcy walili teraz seriami karabinów maszynowych w poprzek ulicy wioski. Gęste serie siekły

w przerwach, między zagrodami. Udało się nam przeskoczyć tę nawałę ognia. W wiosce panowała panika wśród taborytów, paliły się niektóre zagrody. Mam przed oczami obraz biegnącej młodej dziewczyny z zakrwawioną piersią.

Ten dzień miał doniosłe znaczenie dla mego pułku i brygady. Pułk został odcięty od brygady.

Ponury był samotny marsz w ciemną noc. Schwymano paru Niemców-dywersantów, sygnalizujących światłami nasze ruchy. Zaczęła się psychoza zdrady i dywersji.

Defilada

15 września znowu w nocy prowadziłem szpicę straży przedniej. Dowództwo widocznie przyzwyczało się do tego. Obchodziliśmy kręgiem stanowiska niemieckie, ale łączność z brygadą była nadal zerwana — milczały stacje radiowe pułku. Drogę przecinała szosa Bielsk Podlaski - Siemiatycze, obrzeżona wielkimi drzewami. Zgodnie z regulaminem rozstawiłem ubezpieczenia z obu stron szosy, pułk rozwijał się szeroko kolumnami plutonów, aby łąwą przekroczyć szybko drogę. Przechodzenie kolumną groziło zawsze rozcięciem oddziału. W momencie, kiedy pułk był już gotowy do przejścia, stojąc kilkadziesiąt metrów od szosy, usłyszeliśmy rosnący z lewej strony szum zmotoryzowanej kolumny. Nastąpiła sytuacja, której nigdy nie zapomnę.

Przed rozwiniętym szeroko pułkiem defilowała teraz marszowa kolumna czołgów, wozów pancernych, samochodów ciężarowych, Niemcy śpiewali, grali na akordeonach, głośno rozmawiali. Nie mogę uwierzyć, aby Niemcy nie dostrzegli stojącej niedaleko konnicy, omiatały nas przecież reflektory. Nastąpił jakiś paraliż, na wojnie zdarzają się takie chwile, kiedy nikt nie chce oddać pierwszego strzału. Około godziny trwał ten przemarsz przed naszymi oczyma. Wydawało mi się, że to trwa nieskończenie długo, na krótki moment zapadłem nawet w drzemkę.

W końcu jednak przeszliśmy szosę, idąc na wschód na Puszcze Białowieską. Coraz więcej było lasów i ciemnych borów, które dawały nam chwilę wytchnienia i poczucie bezpieczeństwa.

Zabłocie

Prowadząc dalej szpicę, otrzymałem rozkaz przygotowania postoju w jakimś majątku. Piękne drewniane stodoły i obory

okalały wielki dziedziniec. Piszono okrążyłem gazon różany, stukając do drzwi niskiego dworu, mijałem wielką ciemną sień, w kancelarii dworskiej były rozwieszony strzelby, poroża i fotografie. Na spotkanie mnie wyszła wysoka kobieta w długiej szarej sukni. Prosiłem o sprzedaż owsa i możliwość wymłócenia, zapowiadając przyjazd sztabu pułku.

Ku memu zdumieniu, starsza pani sprzeciwiła się gwałtownie kwaterowaniu pułku. „Przecież wojna już jest skończona” — mówiła gorączkowo — „komendant niemiecki zabrania pod karą kwaterowania polskich żołnierzy”. Zatknęło mnie z oburzenia.

Szwadrony rozlokowały się jednak w majątku, słyszałem działające młockarnie, a w szopie znalazłem magazyn serów. Ułani kolejno podchodzili, płacąc za odbierane okrągłe żółte sery. Wprowadziłem sztab pułku do wielkiej jadalni, dwie dziewczki przyniosły jakąś nędzną ziołową herbatę i wysypały na stół wyschłe, spleśniałe resztki chleba.

Wściekły wybiegłem, szukając właścicielki, ale okazało się, że przezornie uciekła z ojcem. Do dziś żałuję, że nie kazałem publicznie, na dziedzińcu, sprać pasami jej tyłka. Był to jedyny wypadek podobnego zachowania w czasie całej mojej kampanii.

Ileż ciepła i wiary dawały nam te rozdające żywność i napoje, uśmiechnięte stojące przed chatami kobiety.

Puszcza Białowieska

Coraz więcej rozproszonych oddziałów skupiało się w głąszy puszczy Białowieskiej i Świsłockiej. Ale coraz bardziej brakowało i żywności i furazu.

Pułk został teraz włączony do brygady „Plis” — pułkownika Plisowskiego. Dywizją dowodził generał Zygmunt Podhorski. Wkrótce rozproszone oddziały zebrał w jedną grupę generał Kleberg. Czeremcha, Czeremyski, Hajnówka — to nasze dalsze miejsca postojów.

Dworzec kolejowy Nurzec był jakby wymarły, opustoszały, trwał tam jeszcze tak charakterystyczny zapach smarów — daleki znak normalnego życia, swobody poruszania, nostalgii dalekich podróży.

19 września dotarła do nas oficjalna wiadomość o przekroczeniu granicy wschodniej przez oddziały sowieckie. Przebywaliśmy na terenie wiosek białoruskich. Stwierdziliśmy fakty dezercji, miała również miejsce kradzież amunicji w taborach. To był najcięższy czas naszej tak już teraz beznadziejnej kampanii. Ale pułk

dalej trzymał się sprawnie, wykorzystując dobrze czas pobytu w puszczy na reorganizację oddziałów.

Podjazd

23 września zostałem wezwany do gen. Podhorskiego. Generał leżał na łóżku w białej izbie chaty, przykryty pledem w czerwono-czarną kratę. Pamięta się takie drobiazgi.

Otrzymałem rozkaz wykonania rozpoznawczego podjazdu. Stale towarzyszyło nam dążenie do skupiania się w Warszawie. Podjazd — w składzie mego plutonu i drużyny karabinów maszynowych — miał rozpoznać drogę na zachód do stolicy.

Z osobą generała wiążą się wybiegające naprzód wspomnienia. Spotkałem się z nim za pół roku, w obozie jenieckim w Murnau. Spacerowałem, rozmawiając wielokrotnie z generałem, w tłumie kręcących się w jedną stronę wokoło placu obozowego. Nazywaliśmy to „karuzelą”.

Ale utkwіło mi w pamięci i ostatnie spotkanie z generałem w czerwcu 1945 roku. W maju, po uwolnieniu obozu, zostałem delegowany do Austrii do Salzburga dla opieki nad wysiedlonymi dipisami. Zadaniem moim było znajdowanie koszar, zabezpieczenie żywności i opieki lekarskiej dla tysięcy bezdomnych rodzin, wywiezionych na roboty do Rzeszy. W czerwcu odwiedziłem mój obóz w Murnau. Życie obozowe nie uległo tam zmianom — te same karuzele, gotowanie na fetówkach i czekanie na lepsze czasy. Dowiedziałem się w obozie, że zostałem umieszczony w grupie pierwszych 80 oficerów zaproszonych do 2-go Korpusu we Włoszech. Nie wyraziłem zgody na ten wyjazd. Dziś myślę: jakże inaczej potoczyłyby się koleje mego życia! Wracałem autem do Salzburga, okrężną drogą na Innsbruck, mijając szczyt Herzogstandu, Garmisch-Partenkirchen. Zatrzymałem się na wysokiej przełęczy — przede mną rozciągał się niezmierny, rozległy widok na alpejski krajobraz, na dolinę Innu, na Otztaler, Tannengebirge i Dachstein, aż po odległy Gross-Glockner i Venediger.

Na przełęczy, od południa, pod słońce, powoli wjeżdżały jeepy i samochody ciężarowe. Ta kolumna ze znakami 2-go Korpusu przybywała po pierwszy transport oficerów. Z auta wysiadł major Dziewicki i gen. Podhorski. Generał serdecznie mnie powitał, przekonywał o konieczności zostania na Zachodzie — „musimy zakładać tam stancie polskości” — mówił.

Ta rozmowa na przełęczy, na tle niebosiężnych białych szczytów alpejskich — niosła skojarzenia romantyczne, przywoływała jakieś strofy Poety.

Wracam znów do kampanii 39 roku.

Prowadziłem podjazd (23 września) na Mielnik.

Mój Boże, znowu skojarzenia, nie umiem widocznie uciec od historii. W 1945 znalazłem się na zamku w Fishornie. W sklepionej sali bramy wejściowej odkryłem sterty książek z księgozbioru Stanisława Kostki-Potockiego z Wilanowa, na książkach leżały popiersia marmurowe z Zamku Warszawskiego, deptaliśmy grubą warstwę starych papierów; znaleziony pierwszy zżółkły dokument był oryginałem Unii Polsko-Litewskiej z 1505 roku, zawartej w Mielniku.

Pod Mielnikiem przeszliśmy wpływ na koniach przez Bug. Nad głowami trzymaliśmy karabiny i amunicję. Obraz jakby z Pamiętników Paska. Późnym wieczorem zatrzymałem się w Konstancyńowie u pani Platerowej. Piłem gorącą kawę zbożową, gorącą, bo byłem cały przemoczony przeprawą przez rzekę.

Maszerowałem na Sarnaki, Łosice. Podeszliśmy pod Mordy. Zostawiliśmy konowodnych w lesie, kwaterując u wójta; kończąc jajecznicę usłyszałem strzały z rusznicy — na szosie ciemniały dwa czołgi niemieckie: jeden z nich musiał być uszkodzony, bo drugi czołg, szczepiony, ciągnął go do tyłu. Wieś została silnie ostrzelana. Płonęły strzechy stodół i budynków. Przez kartoflisko wycofaliśmy się bez strat do lasu, objeżdżaliśmy dookoła, aby z lasu na wzniesieniu widzieć park i miasteczko Mordy. Szosa była zapełniona autami niemieckimi.

Nagle wyjechała naprzeciwko nas bryczka z dwiema młodymi dziewczynami. Zaskoczone naszym widokiem, panny chyba Platerówny z Mord tłumaczyły, że jadą do lasu zakopać srebra. Miały wiadomości o kończącej się obronie Warszawy.

Zadanie podjazdu uznałem za spełnione. Droga na Warszawę była zamknięta. Należało teraz znaleźć drogę do mojej brygady, przypuszczałem, że jedyny kierunek marszu otwiera się już tylko na południe.

W lesie mijaliśmy kilka unieruchomionych polskich Karasi, koło tych samolotów nie było żywej duszy, urządzenia pokładowe były jednak wymontowane.

Ostatni ułani

Kownaty, 26 września. Brama dworu była otwarta, zszedłem z konia w długim kawaleryjskim płaszczu i hełmie. Na moje spotkanie wybiegł młody mężczyzna, pozdrawiając mnie po rosyjsku. Był jak i ja zaskoczony i speszony — nie oczekiwał już tutaj

widoku polskiego żołnierza. Okazało się później, że szedłem cały czas, jak szczur prześlizgujący się pasem niczym, rozdzielającym wojska niemieckie od sowieckich.

Dom był pełen uciekinierów z Warszawy. Gospodarze zabili barana na obiad dla moich ułanów. Siedziałem na honorowym miejscu przy wielkim, krytym białą ceratą stole. Od dawna nie jadłem normalnego wiejskiego obiadu. Nadszedł jednak czas odjazdu, luzak podprowadzał mego konia, zgromadzeni na ganku gorąco mnie żegnali, babcia błogosławiła mnie krzyżem, a jedna z dziewcząt ładowała mi jabłka do kieszeni płaszcza. Okrążyłem z moim plutonem gazon. Ostatni ułani. Ot, malowniczy obrazek Kossaka.

Biała sarna

Maszerowałem na południe. Drogę grodziły mi bagna rzeki Krzny — szeroko rozlane między Białą Podlaską i Międzyrzecem, drogę przecinała nam zsośa biegnąca równolegle do rzeki. Rozwijając mój pluton, zobaczyłem nadjeżdżające z prawej strony od Międzyrzeca dwie tankietki sowieckie, przeczekaliśmy ich przejazd, aby przekroczyć zsośę.

Jeden z moich zwiadowców jechał na siwym koniu, nagle zobaczyłem naprzeciwko niego z daleka drugiego siwego konia. Okazało się, że napatoczyłem się na oddział sowieckiej kawalerii. Powitały nas strzały karabinowe, do akcji włączyły się i tankietki. Wialiśmy przez otwarte pole jak kuropatwy, rozproszonym stadem, nakryci dachem świetlnych pocisków.

Na szczęście konie, stadnym instynktem, znów nas skupiły w zwarty oddział. O zmierzchu zapadliśmy w sosnowym młodniaku. Piaszczystą glebę lasu przebijały schnące ostre badyle traw. Byliśmy odcięci od pułku; ułani milczeli, rzucając niespokojny wzrok od czasu do czasu na mnie, oczekiwali jakiejś decyzji swego porucznika.

Usłyszałem skrzypienie kół — stary brodaty Żyd w jarmułce siedział bokiem na wózku. Przerażony zatrzymał gwałtownie konia. Zapytałem go o miejsce przeprawy przez bagna rzeki, nie był miejscowy, ale radził nam zapytać o drogę w pobliskim Woroncu, majątku Światopełk-Mirskiego. Tarabaniliśmy się ciężko na konie. Zapadła już noc, wyszedł młody, w jasnym ubraniu właściciel — i tam, w czerni tego ciemnego parku dowiedziałem się o upadku Warszawy. Mirski dokładnie poinformował nas o mostach i miejscach przeprawy. Zginął podobno kilka dni później.

Omijaliśmy park, jadąc brzegiem lasu. Dla ostrożności nie wysłałem ubezpieczeń, bo oddalone od stada konie rżeniem mogły nas zdradzić. Szliśmy trójkami, stępa, zwartą kolumną. Ja jechałem w pierwszej trójce.

Niespodziewanie na płaskim polu zobaczyłem z daleka sarnę, białą w świetle wschodzącego księżyca. Sarna poruszała się wolno, równoległe do nas. Jak urzeczony patrzyłem na to zjawisko. To nie była halucynacja. Kto wie zresztą? W pewnym momencie sarna stanęła — odruchowo dałem znak ręką, by pluton stanął i usłyszałem w niedalekiej odległości gwar rozmów w obcym języku. Droga była tutaj zamknięta. Pozostało jeszcze jedno, już ostatnie przejście. Przekroczyłem wreszcie zbawczy most; za nami rozległy się krzyki komendy i pojedyncze strzały. Ruszyliśmy ostrym galopem. Czy ta księżycowa sarna przeprowadziła nas przez most właśnie w chwili zmiany warty, czy nieuwagi załogi? Nie wiem...

Ostrym kłusem pruliśmy dalej na południe. Spotkani chłopcy — byli to już polskie strony — mówili o przemarszu dużych oddziałów naszej kawalerii. Pod Parczewem dobiłem wreszcie do brygady, pułku i mego szwadronu; uważano nas już za straconych. Mam w gębie smak białej nogi gotowanej kury, wręczonej mi przez dowódcę szwadronu, porucznika Rostockiego.

Jawidz

W związku z kapitulacją Warszawy generał Kleeberg zaniechał marszu na stolicę. Jedyнным możliwym kierunkiem było południe. Szliśmy przez Czemierniki. Nad nami brzęczały samoloty. Stałe alarmy lotnicze.

28 w nocy, na szosie pod Wieprzem, staliśmy na odprawie w grupie oficerów. Nagle z zakrętu wyjechał na motocyklu żołnierz niemiecki, zaskoczony dodał gazu, roztrzaskując nas do rowów.

Przygotowywano uderzenie na Jawidz. Znów przeszliśmy wpływ przez rzekę, z bagnietami na karabinkach obchodziliśmy folwark, ulokowany na wzniesieniu. Skupiona tam załoga niemiecka zagradzała drogę, posuwaliśmy się, kryjąc się za zabudowaniami, wypierając powoli Niemców gęsto nas ostrzeliwujących. Naprzeciwko mnie seriami terkotał karabin maszynowy, granaty zmusiły go do milczenia. Biegący obok mój ułan pobiegł na to stanowisko — usłyszałem strzał pistoletu, padł zastrzelony przez rannego Niemca. Jawidz został oczyszczony z Niemców, szliśmy dalej już w rejon Adamowa i Kocka.

Kock, ostatnia bitwa

1 października stanęliśmy na postój we wsi Hordzież, rozciągniętej i ukrytej w wielkich drzewach, na drodze do Syrokomli. Karmiliśmy konie, rozcieraliśmy jak co dzień wiechciami słomy grzbiety koni, zakładaliśmy worki z obrokiem na łby końskie, przyjechała kuchnia polowa, rozstawiłem konie i ludzi w otwartych na oścież stodołach. Za zabudowaniami rozpościerała się wolna, duża przestrzeń pola, opadająca w dół do rzeczki i lasu. Noc przeszła spokojnie. Rano kopaliśmy wnąki i zasłony strzelecokie. Słońce świeciło mi teraz prosto w twarz, leżąc na ziemi patrzyłem na żółtą trawę, polne kwiaty, motyle i biedronki. Natura nie próżnowała.

2 października usłyszeliśmy z lewej strony, od strony Syrokomli serie karabinów maszynowych i szczękliwe stęknięcia naszych siedemdziesiątek. W Syrokomli stał trzeci szwadron Mościckiego. Odgłosy walki coraz bardziej potęgniały. Jak dowiedziałem się potem — nieubezpieczona kolumna niemieckich samochodów ciężarowych jadąc groblą, wjechała prosto na stanowiska szwadronu: zaskoczenie było pełne, bo Niemcy sądzili, że wojna jest już skończona. Jak do kaczek pruli nasi ułani.

Po linii szedł rozkaz pieszego natarcia. Jak się okaże — dla mnie ostatniego.

Wychodziłem z tej swojej dobrej wioski, trzymając w jednej ręce mapnik, w drugiej bojowy granat. Rozwinięci w tyralierze, co pewien czas zapadaliśmy się i znów podnosiliśmy, bo ogień z pobliskich stanowisk był coraz ostrzejszy. Z krzaków kryjących rzeczkę widzieliśmy odrywające się w tył grupy Niemców, uciekających do lasu.

W „Przyczynkach do kampanii wrześniowej” o tej naszej akcji i moim w niej udziale napisze później pułkownik Porwit.

Nawała ognia z moździerzy i karabinów zaczęła potęgnić. Co pewien czas któryś z moich ułanów nieruchomiał na ziemi, dalej nie sposób było się posuwać, unieruchomieni padaliśmy, jak kto stał, na ziemię, na otwartym do wroga skłonie pola. Dookoła mnie pryskały szare dymki uderzeń kul, skaczących beztrasko jak świerszcze. Podałem po linii — niemożność dalszego utrzymania naszych stanowisk na tej „patelni”; po linii też wrócił rozkaz pozostania na miejscu.

Patrzyłem na rosnącą liczbę rannych i zabitych. Parę kroków z boku usłyszałem wołanie o ratunek jednego z moich ułanów. Pełzając powoli, objąłem go w pasie, ciągnąc do tyłu. Nagle usłyszałem uderzenie i gwałtowne drgnięcie rannego. Trzymałem w

objęciach zabitego. Sparaliżowany strachem, poderwałem się i w tym momencie odebrałem piekielnie bolesne uderzenie w prawą stopę — okręciło mnie wkoło jak bąka. Leżałem plackiem bez ruchu, trzymając nadal granat w ręku. Obracałem się powoli głową do ognia, w jakimś dziecinnyim odruchu — z obawy trafienia mnie z tyłu. Raniony traci nadzieję ucieczki. Głośno mówiłem „Pod Twoją Obronę”, czekałem kresu, kiedy uspokoi mnie nowa kula. Nie wiem, jak długo tak leżałem. Wreszcie z tyłu wyskoczył plutonowy Masztalerz i wyniósł mnie z tej tak beznadziejnie durnej sytuacji.

Powoli zbierały się resztki plutonu i szwadronu. Sanitariusz przeciął mój but (ten od Hiszpańskiego). Przestrzał, na wylot, prawej stopy. Zwykłą koleją ułańskiego obyczaju, ściskali mi ręce moi żołnierze. Komuś przekazałem mojego gniadego, szaro-jabłkowitego konia, odziedziczonego pod Brokiem po rotmistrzu.

Szpital

Złożono mnie w jednej z chałup w Syrokomli. Niedobra to była noc, w gorączce, ręce moje trafiały na galaretę zaskrzepłej krwi rozlanej na podłodze.

3 października o świcie ewakuowano rannych. Wywożono ich chłopskimi podwodami, mnie władowano na mały wózek zaprzężony w siwego konia. Furmanki ruszały galopem, bo wieś obłożona była ostrzałem artylerii, ale ja w mojej furmance z młodym chłopakiem pozostałem jednak na miejscu: okazało się, że wóz miał ułamane hołoble, przy ruchu wozu wyglądało to wręcz groteskowo, koń szedł w lewo, a wóz w prawo. I znów stwierdziłem, jak blisko patetyczne sąsiaduje z zabawnym. Pociski artyleryjskie przenosiły nisko, nad naszymi głowami, ja zaś spokojnie kazałem chłopcu wyłamać z lasu dwie młode sosenki i uformować z nich drążki hołobli. Przyznam się, że czas mi się dość mocno dłużył. Wreszcie ruszyliśmy boczną piaszczystą drogą, chłopak kulił się na każdy gwizd pocisku. Wreszcie dobiliśmy do Adamowa.

W białym murowanym budynku szkoły w Adamowie był rozlokowany szpital polowy. W szkolnej sali pokotem na słomie leżeli ranni. Ktoś mnie wołał — okazało się, że był to porucznik Bohdan Kiełczewski z mego pułku, ranny w pośladek. Nie godził się na odesłanie do szpitala — był wożony na furmance taborowej. Teraz rana już była zgangrenowana. Nie rozstawałem się z nim do Radomia, pamiętam, jak leżąc obok, z uśmiechem mówił,

jak po tej wojnie objedziemy jego autem miejsca naszego marszu. Umarł w szpitalu w Radomiu.

Ściągnięty gwałtem stary lekarz-Żyd opatrywał rannych. W Adamowie nie było lekarstw ani bandaży.

Ciężka jest noc w takim polowym, przyfrontowym szpitalu, jakiś ciężko ranny całą noc wołał, jak w litanii, o pomoc swej matki.

4 października coraz bliżej było słyszeć odgłosy walki. Zaczął się ostrzelać artyleryjski Adamowa. Zbliżał się naprawdę koniec całej mojej przygody.

Parę kroków ode mnie leżał lekko ranny niemiecki oficer — młody Austriak. Podpełznął do mnie szepcząc: „Dlaczego ci Niemcy ostrzeliwiają miasteczko, tutaj nie ma wojsk polskich, tylko ranni?“, i proponował, że pójdzie na linię niemiecką i zatrzyma tam ogień. Pod słowem oficera zobowiązał się wrócić. Wyraziłem zgodę.

Przyjechał lekarz z brygady, zabierając lekko rannych — Kiełczewski błagał mnie, aby nie zostawiać jego samego. Odjechali.

Po godzinie ustało ostrzeliwanie Adamowa. Zapadał wolno wieczór, kręciły się kobiety z miasteczka, karmiąc nas i pielęgnując tak jak tylko umiały.

W nocy usłyszeliśmy głośny szum motorów. Do sali, oświetlonej paroma świecami, wbiegło kilku żołnierzy-motocyklistów w hełmach i czarnych płaszczach. Kolejno obchodzili rannych, zabierając im broń. W drzwiach zobaczyłem mego oficera niemieckiego, trzymanego z obu stron pod ręce. Szedł prosto w moim kierunku, odepchnął żołnierzy — stanął przede mną na baczność, meldując, że wrócił zgodnie ze słowem, przeproszał, że w takich okolicznościach się zjawia. Podziękowałem i oddałem mu swój pistolet. Tak wyglądało moje „wzięcie” do niewoli. Mój Boże — jeszcze trwały rycerskie obyczaje i na tej wojnie.

Ładowano nas jak śledzie, do krytych brezentem samochodów ciężarowych, auta szybko jechały bez świateł bocznymi drogami. Siedziałem oparty plecami o tylną klapę samochodu. Na zakrętach i wykrotach drogi waliła mnie ta deska po plecach, w brzuch mnie kopał jakiś konający. Ranni nie krzyčili, ale wylali. W pewnym momencie nie mogłem i ja krzyzczeć — opadła mi szczeka — nie mogłem ust zamknąć...

Rewizja i rejestracja miały miejsce w Irenie pod Dęblinem. Pierwszy szpital w Radomiu mieścił się w miejskim więzieniu. Potem przeniesiono nas do obszernego budynku gimnazjum na ul. Żeromskiego. Tu już mieliśmy zapewnioną opiekę. Szpitalem kierował dr Wyhinny, pojawiły się młode dziewczyny-pielęgniarki.

Opiekowała się mną ładna panna Lehman, córka miejscowego przemysłowca; do dziś mam ofiarowane przez nią „Sonety” Michała Anioła. Lekko ranni uciekali ze szpitala, ale unieruchomiona noga uniemożliwiała mi wszelkie poruszenia. Rozdawaliśmy odwiedzających nas kartki, prosząc o przekazanie ich rodzinom.

W listopadzie przyjechała do szpitala moja matka, przywożąc mi ciastka — przekładaniec malinowych konfitur z czarnym razowym chlebem. To były ciastka z okupowanej Warszawy. Przywiozła również reklamujące mnie pismo od Zachwatowicza. Nic to nie pomogło.

Na św. Mikołaja odtransportowano nas do pociągu. Długo jechaliśmy na zachód do Rzeszy. Norymberga była w śniegu. Ulokowano nas w letnich barakach drewnianych na Reichsparteigu; baraki te były przygotowane na pomieszczenie letnie Hitlerjugend na uroczystościach partyjnych. W niedużym baraku lokowano około 100 oficerów, leżących na ciasno ustawionych 4-piętrowych pryczach. Trudnym zadaniem było obrócenie się w nocy. Żelazny piec — „koza” nie ogrzewał wnętrza, krany z wodą na polu były całe pokryte sopłami lodu.

Pewnego dnia zamknięto nas w barakach. Wmaszerował w kolumnie tłum dziwnych tu cywilów w kapeluszach. Przybywali nowi jeńcy. Jak nas poinformowano, zgłosili się oni na dworcu na polecenie Wehrmachtu. Przyjechał Jerzy Sołtan i Czesław Szpakowicz — mój bliski kolega z uczelni i z pobytu w Rzymie. Czesio był ubrany jak zawsze bardzo starannie. Filcowy kapelusz, szalowy bobrowy kołnierz, zamszowe pantofle. Po rozlokowaniu nowych jeńców odnalazłem Czesława w sąsiednim baraku. Siedział na stoliku, w wąskiej przerwie na pryczach leżały ponure „gefangeny” w pozach „etruskich sarkofagów”. Szpakowicz obrócony tyłem do okna czytał wiersze Verlaine’a, zabrał do niewoli i „Pieśni Bilitis” Louisa.

Zbliżały się święta w mrozie i zimie. Kalendarz zdarzeń został na pięć lat zatrzymany.

Grupa Ślązaków spod Cieszyna śpiewała kolędy.

Tak oto moją przygodę wojny 1939 zamykała „Kolędziołka”, pierwsza usłyszana piosenka na tej wojnie.

Skończyłem pisać w 1982, w dniach stanu wojennego.

Bohdan Tadeusz URBANOWICZ

Dr Stefan MOZOŁOWSKI, ppłk

PRZED ZGONEM MARSZAŁKA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO*

W związku z interesującymi tekstami dotyczącymi śmierci Józefa Piłsudskiego i późniejszych nastrojów w Polsce (*Życie Literackie* nr 19/1987) przesyłam tekst o ostatniej chorobie Marszałka pióra mego ojca, który był lekarzem Piłsudskiego i na którego rękach Marszałek zmarł (por. pamiętniki Sławoja-Składkowskiego). Tekst, nie znany nawet historykom, był publikowany w numerze 5/1935 *Lekarza Wojskowego*.

Ojciec, płk lek. Stefan Mozołowski, był ordynatorem Oddziału Neurologicznego w Szpitalu Ujazdowskim.

W ramach mobilizacji w 1939 objął funkcję komendanta szpitala w Tarnopolu, gdzie pozostał wraz z chorymi do wkroczenia Armii Radzieckiej, mimo iż miał możliwość wyjazdu do Rumunii z przejeżdżającymi przez Tarnopol przełożonymi z Warszawy, generałem Kołłątajem i pułkownikiem Ruppertem.

Mimo nalegania otoczenia, odmówił też przebrania się w odzież cywilną i zatajenia stopnia wojskowego.

Został wzięty do niewoli z wszystkimi honorami, wywieziony autem wraz z dowództwem radzieckim i pod bronią; cieszył się takim szacunkiem — wobec opinii o nim chorych jako powszechnie kochanym, niezwykle bezinteresowności i prawości lekarzu, że zyskał zwolnienie na słowo honoru dla pożegnania się z siostrą we Lwowie.

Do niewoli wrócił. Niestety, zginął...

H. ZANIEWSKA

O CHOROBIE POPRZEDZAJĄCEJ ZGON PIERWSZEGO MARSZAŁKA POLSKI JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Początku choroby, która stała się przyczyną śmierci Marszałka dokładnie określić się nie da. Dnia 18 maja 1935 po pogrzebie Komendanta w Krakowie, gen. Mond opowiadał mi, że w październiku 1933, po rewii kawaleryjskiej i hołdzie dla króla Jana Sobieskiego, Komendant wsiadając do pociągu skarżył się na ból w prawym boku. Natomiast w czasie konsylium lekarskiego, zwołanego wiosną 1933 z powodu ciężkiej grypy, Komendant po-

* *Życie Literackie* z 31 marca 1987.

dobnych skarg nie zgłaszała i konsylium to, złożone z prof. Januszkiewicza, prof. Orzechowskiego i dr. Stefanowskiego, nie stwierdziło nic, co by mogło nasunąć podejrzenie na chorobę wątroby. Najwcześniejsze zatem ślady, z których można by bodaj w słabym stopniu wnioskować o początku ostatniej, śmiertelnej choroby Komendanta, sięgałyby października 1933.

Zdecydowane objawy chorobowe wystąpiły w październiku i listopadzie 1934, w tym czasie Komendant uskarżał się na bóle w prawym boku i stosowane niejednokrotnie ciepłe okłady uśmierzają te bóle. Komendant czuł się już wtedy osłabiony. Nie był pewny, czy osłabienie to pozwoli mu wziąć udział w rewii dnia 11 listopada. Wydał wtedy dyspozycje, by w razie Jego choroby zastąpił Go generał Rydz-Śmigły. Prócz ogólnego osłabienia i bardzo szybko występującej przy chodzeniu zadyszki, pojawiły się obrzęki stóp i niemiarowość tętna: tętno było twarde, silnie napięte, 60 do 64 uderzeń na minutę. Nadto stwierdzało się rozedmę płuc w stopniu znacznym i objawy ogólnej miażdżycy tętnic. Badanie brzucha, polegające na oglądaniu, opukiwaniu i lekkim obmacywaniu, nic nieprawidłowego nie wykazywało. Tego rodzaju stan stwierdziłem, gdy byłem wezwany do elektryzacji kończyn dolnych. Komendant bowiem stosunkowo łatwo godził się na fizykalne zabiegi lecznicze. Do wykonywania ich byłem wzywany sporadycznie od paru lat. Tym razem, tj. w listopadzie 1934, zastosowałem elektryzację za pomocą tzw. „tonisatora”, a po kilku dniach i lekkie masaże kończyn dolnych. Jak zwykle, tak i tym razem Komendant nie godził się na przyjmowanie jakichkolwiek lekarstw. W ciągu listopada i grudnia tętno wyrównało się, ból w prawej nodze ustąpił, cofnęły się niezbyt duże obrzęki stóp. Jednak po każdym wyjeździe, z którym łączyło się nieco dłuższe chodzenie, obrzęk stóp pojawiał się znowu. Tłumaczyłem to sobie niedomogą mięśnia sercowego na tle ogólnej miażdżycy tętnic. Stan ten nie ulegał poważniejszym zmianom do stycznia 1935 włącznie.

W lutym nastąpiło pogorszenie. Komendant czuł się źle. Pojawiło się powiększenie wątroby. Płk dr Woyczyński, podejrzewając chorobę wątroby, zwracał na to Komendantowi uwagę i parokrotnie proponował naradę konsyliarną. Komendant jednak propozycje te kategorycznie odrzucał, mówiąc, że płk Woyczyński, jako sam chory na wątrobę, u wszystkich doszukuje się tego cierpienia. Choroba i śmierć p. Zofii Kadenacowej, którą Komendant kochał najwięcej z całego rodzeństwa, bardzo niekorzystnie wpłynęły na stan zdrowia Komendanta. Z pogrzebu p. Kadenacowej Komendant wrócił bardzo osłabiony, blady, chodził z dużym wysiłkiem; obrzęki stóp i podudzi były duże. Jednak po kilku dniach nastąpiła poprawa i w trzy dni po powrocie z Wilna z pogrzebu p. Kadenacowej Komendant w rozmowie z kpt. Lepekkiem oświadczył: „Wilno zlikwidowane” — rozumiejąc przez to, że pogorszenie stanu zdrowia, wywołane wyjazdem do Wilna,

ustąpiło. Rzeczywiście obrzęki nóg znowu cofnęły się znacznie. Komendant chodził swobodniej. W tym jednak czasie — o ile mi wiadomo — po raz pierwszy pojawiły się wymioty i to Komendanta zaniepokoiło. Za namową gen. dr. Hupperta i moją Komendant wyraził zgodę na poddanie się badaniu przez prof. Januszkiewicza z Wilna. Prof. Januszkiewicza wezwano telefonicznie do Warszawy, musiano jednak odwołać jego przyjazd, gdyż Komendant w kilka godzin po pierwszej decyzji oświadczył, że prof. Januszkiewicza absolutnie nie przyjmie. Na ogół Komendant niełatwo godził się na poddanie się jakimukolwiek badaniu lekarskiemu, w szczególności zaś odrzucał wielokrotne propozycje badania przez lekarzy cywilnych. Gdy wymioty parę razy powtórzyły się, Komendant zaczął sam sobie stosować dietę, zaprzestał jadać kolacji, potem przestał jadać mięso, przez szereg dni jadał wyłącznie owoce. Wykonane wtedy (5 kwietnia 1935) badanie kału nie wykazało obecności krwi. W tym czasie Komendant zaczął wyraźnie spadać na wadze. Wątroba powiększyła się. Dolny jej brzeg leżał prawie na cztery palce poniżej łuku żebrowego: był jednak zupełnie gładki. Na przedniej powierzchni wątroby żadnych nierówności nie wyczuwałem.

W pierwszej połowie kwietnia wymioty stały się częstsze, występowały nieregularnie co dwa-trzy dni, nogi brzękły coraz bardziej, wyraźnie powiększył się brzuch, w którym zaczynał gromadzić się płyn. W połowie kwietnia stan zdrowia dalej pogarsza się: Komendant chudnie, wymioty są niemal codzienne, a niekiedy i dwa razy w ciągu dnia, ciśnienie krwi, które od roku 1928 stałe przekraczało 200 mm Hg., obniża się do 140 max./105 min. (Boullitte). Tętno jest wprawdzie miarowe, ale przyspiesza się do 80-88 na minutę. Mimo to Komendant parokrotnie wyjeżdża samochodem do Sulejówka i tam spaceruje po ogrodzie twierdząc, że po spacerze czuje się lepiej. Nie zważa na zwróconą mu uwagę, że po powrocie z Sulejówka zawsze powiększa się obrzęk nóg.

Wreszcie ulega Komendant namowom otoczenia i lekarzy i zgadza się na poddanie się badaniu konsyliarnemu, jednakże tylko przez profesora zagranicznego. Jednak z wyborem tego lekarza Komendant mimo wszystko zwleka. W końcu zgadza się na prof. Wenckebacha z Wiednia. Pomimo to wezwanie go Komendant odkłada dopiero na święta Wielkanocne.

Prof. Wenckebach przyjechał 24 kwietnia, nie został jednak przyjęty tego samego dnia. W tym dniu miałem możliwość przedstawienia anamnezy, dotychczasowego przebiegu choroby i stanu obecnego.

Stan obecny przedstawiłem następująco: na pierwszy plan wybijają się objawy ze strony układu naczyniowego: 1) ogólna zdolność do pracy fizycznej — zła; wstawanie z łóżka łączy się z dużym wysiłkiem, po kilku krokach — całkowite wyczerpanie; 2) zastój — duży; obejmuje obie kończyny dolne i brzuch; wąż-

troba sięga pępka, w jamie brzusznej gromadzi się płyn; 3) wymiarów serca nie daje się stwierdzić wskutek znacznej rozedmy płuc; 4) tętno jest miarowe, do 84 w spokoju, do 100 przy wstaniu z łóżka lub przy irytacji; tętno przed chorobą — stale poniżej 60 na minutę; 5) zastawki prawidłowe; 6) zakażenia żadnego nie stwierdzam; 7) naczynia — miażdżycza tętnic, ciśnienie 170 max./100 min., co jednak należy uznać za ciśnienie obniżone, ponieważ od 7 lat przekraczało 200 mm; 8) etiologia — nieustalona. W płucach rozedma w znacznym stopniu i rozlany nieżyt oskrzeli. W moczu poza śladami białka, obfitymi moczanami i czasem kilkoma krwinkami w preparacie — zmian nie było; raz tylko w moczu z dnia 17 kwietnia stwierdzono ponadto w preparacie 2-3 wałeczki szkliste i drobnociężne.

Prof. Wenckebach został przyjęty przez Komendanta dnia 25 kwietnia. Opierając się przede wszystkim na ogólnym wyniszczeniu i objawach zastoinowych, obejmujących dolną część ciała, tj. poniżej klatki piersiowej — postawił rozpoznanie raka wątroby, przypuszczając, że pierwotny rak znajduje się w żołądku, a w wątrobie mamy do czynienia z przerzutami. Wobec takiego rozpoznania leczenie mogło być tylko objawowe.

Stan zdrowia Komendanta pogarszał się z każdym dniem. Prof. Wenckebach, przyjechawszy po raz wtóry 8 maja, nie mógł już robić żadnej nadziei co do dłuższego utrzymania Komendanta przy życiu.

Dnia 5 maja pojawiła się krew w kale, 10 maja w wymiocinach stwierdzono obecność krwi, a 11 maja koło godziny 20-tej wystąpił obfity krwotok żołądka, przy czym zostały wydalone skrzepy krwi, zmieszane z krwią płynną w ilości prawie szlanki.

W ciągu dnia 12 maja tętno, dotychczas nieznacznie przyspieszone, przyspieszało się coraz bardziej, ciśnienie krwi spadało z godziny na godzinę i koło godziny 18-tej stało się widoczne, że krwotok — jak przypuszczaliśmy z żołądka — mimo wszelkich usiłowań zatrzymać się nie da i położy kres życiu Komendanta.

O godzinie 20 minut 45 nastąpiła śmierć.

Przypuszczaliśmy, że krwotok pochodził ze ściany żołądka, zniszczonej przez nowotwór, i że w wątrobie znajdują się przerzuty tegoż nowotworu. Jednak badanie pośmiertne, wykonane przy balsamowaniu, potwierdziło powyższe rozpoznanie tylko częściowo. W wątrobie został stwierdzony rak pierwotny. W żołądku zmian nie znaleziono. W dwunastnicy, poniżej odźwiernika żołądka, okazała się świeża nadżerka zastoinowa. Natomiast w dolnej części przełyku stwierdzono żylaki, tj. żyły rozszerzone i wypełnione krwią wskutek utrudnionego obiegu krwi w zakresie żyły wrotnej. Żylaki te, pękając, powodowały słabsze początkowo krwawienia, a w sobotę 11 maja silny krwotok, a w następstwie śmierci Komendanta. Otrzewna nie miała żadnych zmian. Brak przerzutów nowotworowych na otrzewnej tłumaczy, dlaczego Komendant nie miał bólów otrzewniowych, które z reguły nękają

chorych na raka żołądka — bólów niesłuchanie przykrych dla chorego, a bardzo trudnych do zwalczenia przez lekarza.

Zestawiając wyniki badania pośmiertnego z przebiegiem choroby musi się i w tym przypadku przyznać słuszność intuicji Komendanta. Intuicja kazała Komendantowi odnosić się wstrzeżliwie do badań tzw. dodatkowych i do nieco nawet radykalniejszych zabiegów. Jest bowiem jasne — przynajmniej dla mnie — że wszelkie próby radykalniejszego leczenia mogłyby tylko zaszkodzić, a niektóre badania, jak prześwietlanie rentgenem z wypełnieniem przewodu pokarmowego masą kontrastową, sondowanie żołądka dla zbadania treści pokarmowej — mogły jedynie przyspieszyć zgon.

Dr Stefan MOZOŁOWSKI, ppłk

Józef GARLIŃSKI

SPRAWA JÓZEFA HAMMERA¹

Poszlaki

Obok budowania rezerwowej siatki kontaktów z Pawiakiem zajmowałem się także rozpracowywaniem kilku spraw, które przekazał mi „Oskar”², szef kontrwywiadu KG. Jedną z nich było aresztowanie Stanisława Olechnowicza („Orłowskiego”), kierownika komórki wywiadu „Lombard”, który znalazł się na Pawiaku 27 czerwca 1941 roku. Przechodził bardzo ciężkie badania, trzymano go miesiącami w izolacie na Oddziale I. Mimo trudności nawiązano z nim łączność i za jego zgodą kolumna sanitarna dostarczyła mu wiosną 1942 roku wszy zakazone tyfusem.

1. Jest to jeden z rozdziałów nowej książki, *Niezapomniane lata*, w której autor w dokumentarny sposób przedstawia swą pracę w Komendzie Głównej ZWZ/AK w latach 1942-1943, gdy był kierownikiem wywiadu więziennego i bezpieczeństwa w ramach kontrwywiadu. Książka ukaże się nakładem Odnowy. W dokumentarnym opracowaniu tego rozdziału, który na użytek *Zeszytów Historycznych* został znacznie skrócony, korzystałem przede wszystkim z mego raportu opracowanego w Londynie w listopadzie 1945 roku oraz z drukowanych w kraju opracowań Bernarda Krawca („Oskara”), Cezarego Chlebowskiego i Andrzeja Kunerta oraz z korespondencji ze Stefanem Rysiem („Józefem”), Władysławem Ryszkowskim, Wandą Gawryłową i innymi.

2. Bernard Krawiec.

Niemcy bali się chorób zakaźnych, więc Olechnowicza przeniesiono do więziennego szpitala św. Zofii, znajdującego się tak samo jak Pawiak na terenie getta. Ze szpitala, gdzie dozór był mniejszy, możliwa była ucieczka. Już wydawało się, że cały plan się uda, gdy niespodziewanie więźnia przykuto łańcuchami do łóżka. Zastanowiło nas to, nie rozumieliśmy, skąd Niemcy dowiedzieli się o planie ucieczki. Szukaliśmy z „Józefem”³ logicznego wytłumaczenia tej zagadki.

Bardziej jaskrawo przedstawiała się sprawa „IKO”, komórki, która należała do Oddziału I (personalnego) Komendy Głównej ZWZ/AK i zajmowała się korespondencją z jeńcami wojennymi i robotnikami polskimi w Rzeszy. Wiele kobiet rozsianych po całym kraju prowadziło z nimi legalną korespondencję, ale zawierającą pewne szyfrowane informacje. W ten sposób utrzymywano z nimi kontakt, w ich listach także znajdowały się ważne, kamuflowane wiadomości. Na wiosnę 1942 roku aresztowano w Warszawie kilka kobiet zajmujących się tą korespondencją i osadzono na Pawiaku. Siatka „AS-a”⁴ nawiązała z nimi kontakt, w grypsach przekazywały, kto jeszcze jest zagrożony, w niektórych z nich podawane były adresy tych osób. Stwierdziliśmy, że po każdym takim ostrzeżeniu, zanim zdążyliśmy je wykorzystać, już wymieniona w grypsie osoba znajdowała się w rękach Gestapo. To już mówiło bardzo wiele i nasuwało przypuszczenie, że w siatce „AS-a” znajduje się jakiś niebezpieczny przeciek.

Dla „Józefa” i dla mnie była to sprawa bardzo ważna i należało ją jak najszybciej wyjaśnić. Konieczna była rozmowa z Gorzkowskim, ale należało ją dobrze przygotować. „Józef” był zdania, że pytanie postawione wprost do niczego nie doprowadzi, a raczej całą sprawę skomplikuje. Gdy zastanawiałem się, jak mam postąpić, sam „AS” ułatwił mi zadanie. Na najbliższym, codziennym spotkaniu, następnego dnia, na które przyszedł bardzo podniecony, od razu na wstępie powiedział, że ma do przekazania bardzo ważną wiadomość. Tego samego dnia miał spotkanie z jakąś niezwykle interesującą i wielkiej wagi osobą, którą przeprowadził jego najlepszy kontakt na Pawiaku, st. strażnik Władysław Ryszkowski. Wizyta była zapowiedziana przed kilku dniami i odbyła się w lokalu „AS-a”, którym jest mieszkanie jego zastępczyni. Przyszedł mężczyzna lat ponad 50, dosyć wysoki, szczupły, o rudych włosach i dużych wąsach, jakby ucharakteryzowany na Stalina. Przedstawił się jako szef wywiadu polskich

3. Stefan Ryś, zastępca „Oskara”.

4. Był to pseudonim Kazimierza Gorzkowskiego, który przede mną prowadził wywiad więzienny i od którego przejąłem tę pracę.

komunistów i zaproponował współpracę na odcinku tajnej łączności z więźniami. Prosił także o kontakt z Komendą Główną AK, bo utracił dotychczasową łączność.

Następnego ranka przekazałem te szczegóły „Józefowi”. Mnie one wydały się tylko dziwne, ale on uznał je za wyjątkowo ważne. Prosił o powtórzenie wszystkich drobiazgów dotyczących wyglądu tajemniczego człowieka, chwycił mnie za ramię i powiedział, że to prawie na pewno jest Józef Hammer.

H a m m e r

Nazwisko to nie było mi obce, bo kontrwywiad „Muszkietarów”⁵ był poinformowany, że na terenie Generalnej Guberni działa niemiecki agent, który tak się nazywa, ale niewiele o nim wiedzieliśmy. Teraz „Józef” podał mi szczegóły dotyczące jego osoby. Były dla mnie ważne, skoro przypuszczalnie Hammer pokazał się na moim terenie.

Józef Hammer urodził się w Bursztynie na Śląsku około roku 1890 i był niemieckim agentem w pierwszej wojnie światowej, działając na terenie Polski i Ukrainy. Po wojnie mieszkał w Polsce, w jego otoczeniu nie wiadano o jego wojennej działalności, posiadał dobre kontakty w polskim społeczeństwie. Te kontakty ułatwiły mu podjęcie proniemieckiej i prowokacyjnej działalności w czasie drugiej wojny światowej. W ogólnym chaosie i tendencji do tworzenia improwizowanych podziemnych organizacji stworzył ich kilka, wciągnął do nich różnych ludzi, przeważnie oficerów, i wydał ich w ręce Gestapo. Nikt go nie podejrzewał, zawsze miał odpowiednie alibi. Terenem jego działania było pogranicze, koło linii demarkacyjnej Ribbentrop - Mołotow, po stronie niemieckiej okupacji. Przerzut ludzi przez granicę stwarzał wielkie możliwości. Wywiad ZWZ-tu dosyć szybko rozszyfrował te prowokacyjne działania, ale nikt nie wiązał ich z osobą Hammera.

W roku 1941, gdy liczne podziemne wojskowe organizacje poczęły się masowo łączyć z ZWZ-tem, Hammer porzucił pogranicze i zjawił się w Warszawie. Jego dobre przedwojenne kontakty pozwoliły mu na stworzenie niewielkiego sztabu złożonego częściowo z ludzi jego pokroju, częściowo ideowych i znanych w społeczeństwie. Kamuflaż był doskonały, nowoprzyjmowani

5. Samodzielna podziemna organizacja wywiadowcza podporządkowana ZWZ/AK pod koniec roku 1941. Byłem jej członkiem.

składali przysięgę ZWZ w obecności bernardyna, ks. „Marka”⁶. W połowie roku do ludzi związanych z wywiadem KG ZWZ-tu oraz z Okręgiem i Obszarem Warszawa poczęły dochodzić informacje, że z Londynu przedostał się do kraju jakiś pułkownik, jakoby nazywający się Baczewski, z bardzo ważnym mandatem od szefa Oddziału VI Sztabu Naczelnego Wodza. Oddział ten, zwany także krajowym, utrzymywał tajną łączność z krajem, wysyłał doń emisariuszy i kurierów, więc logicznie mógł także wysłać wyższego oficera ze specjalnym zadaniem. Miało ono dotyczyć kontroli całej wojskowej podziemnej roboty i było, oczywiście, jak najbardziej tajne.

Mistyfikacja została szybko odkryta, bo Komenda Główna ZWZ wyjaśniła, że nikogo z takim mandatem z Londynu nie przysłano, a kontrwywiady KG, Obszaru i Okręgu oraz „Muszkietierów” skoncentrowały się na tej aferze. Poszukiwania doprowadziły do konkluzji, że tym „pułkownikiem” jest Józef Hammer, kilka osób spotkało się z nim, rysopis się zgadzał, udało się ustalić, że istotnie występuje jako „płk Baczewski”. Gdy raz został zdemaskowany, ujawniły się jego wcześniejsze, pograniczne działania, ale trudno go było umiejscowić. Nie wiadano nawet jak aktualnie wygląda, nie mówiąc już o tym gdzie mieszka i jakiego używa nazwiska. Największy wstępny sukces osiągnął „Józef”, który miał doskonałe wyczucie kontrwywiadowczych spraw, miał spore doświadczenie, a sprawie „londyńskiego pułkownika” poświęcił wiele czasu. Z różnych ułamkowych informacji stworzył dosyć dokładny obraz techniki działania niemieckiego agenta. Hammer nie był zwyczajnym pracownikiem Gestapo, korzystał z dużej niezależności i z własnego budżetu, pracował samodzielnie i informacje, które przekazywał okupacyjnym władzom bezpieczeństwa, miały charakter sprzedawanego towaru. Dbał bardzo o tę niezależność, co było także ważne z punktu widzenia jego działalności na terenie warszawskiego podziemia, bo zapewniało mu utrzymanie fikcji polskiej konspiracyjnej organizacji. Ludzie „Józefa” krążyli wokół siatki Hammera i w połowie 1941 roku jeden z nich zameldował, że Hammer dyskretnie poszukuje specjalisty od podrabiania dokumentów. Okazja ta została wykorzystana i funkcję tę objął zaufany człowiek „Józefa”, specjalista legalizator, noszący pseudonim „Wiśniewski”⁷.

Nie przyniosło to spodziewanego rezultatu, bo Hammer był niezwykle ostrożny i nigdy nie pokazywał się w lokalu legalizacji, załatwiając sprawy przez któregoś ze swoich adiutantów. Jed-

6. Nazwisko nie ustalone.

7. Mieczysław Kuśnierz.

nak „Wiśniewski” zdobył kilka fotografii, które mogły przedstawiać Hammera w jego obecnym wcieleniu. Z tymi fotografiami połączone były nazwiska, bo produkowano przecież fałszywe dokumenty, ale i tu nie było pewności, które z nich jest obecnie policyjnym nazwiskiem agenta, bo nikt nie wiedział, którym z dokumentów się obecnie posługuje. Jednak umieszczenie „Wiśniewskiego” w jego legalizacji było wielkim sukcesem „Józefa” i stwarzało realną szansę umiejscowienia jego osoby.

Odejście „AS-a”

Po moim raporcie o spotkaniu „AS-a” z nieznanym mu człowiekiem, który mógł być Hammerem, „Józef” wydał mi polecenie, bym natychmiast wydobył od Gorzkowskiego wszystkie dalsze, najdrobniejsze szczegóły tego spotkania. Dodał ponadto, że prawie na pewno „AS” będzie „spalony”, więc na wszelki wypadek uzyska pisemny rozkaz szefa wywiadu, „Dzięcioła”⁸, nakazujący Gorzkowskiemu natychmiastowe opuszczenie Warszawy. Jego zastępczyni, u której odbyło się spotkanie, będzie musiała zrobić to samo. Jutro otrzymam dla nich pieniądze. „Józef” dodał, że pojawienie się Hammera na terenie więziennym zostało także potwierdzone przez kontrwywiady Obszaru (mjr Alfred Klauzal - „Baron”) i Okręgu (kpt. Bolesław Kozubowski — „Mocarz”), które również miały jakieś więzienne powiązania.

Następnego dnia byłem umówiony z „AS-em”, spotkaliśmy się więc i odbyli trudną dla nas obydwu rozmowę. Istniały już pomiędzy nami napięcia, Gorzkowski uważał, że wszedłem na jego teren i że zamierzam odebrać mu stworzoną przezeń siatkę więziennej łączności, ja byłem przekonany, że on do naszej pracy zupełnie się nie nadaje. Pod moim naciskiem podał mi wiele ważnych szczegółów. Przede wszystkim rysopis jego niedawnego rozmówcy zgadzał się z aktualną fotografią Hammera, którą „Józef” otrzymał od „Wiśniewskiego”. Ponadto zdobyłem dokładne informacje o Ryszkowskim, które przedstawiały go jako człowieka absolutnej uczciwości. Jednocześnie na moje kategoryczne pytanie „AS” musiał przyznać, że Ryszkowskiego nie zaprzysiągł, tak samo jak i osób pracujących w sekcji kobiecej. Nie było wątpliwości, Gorzkowski wyeksponował się, zagrożenie było oczywiste i jego wyjazd z Warszawy wraz z zastępczynią musiał nastąpić. Spotkałem się z nim po 24 godzinach, zapoznał mnie ze swoją

8. Ppłk Marian Drobik. Aresztowany pod koniec 1943 roku, zginął z rąk Gestapo.

współpracownicą, „Marcysią” (nazwiska nie poznałem), która miała mnie skontaktować z kierowniczką sekcji kobiecej, doręczyłem mu rozkaz „Dzięcioła” i pieniądze. Bronił się przed tym wszystkim, pożegnanie było niezwykle trudne, czułem, że uważa nasze postępowanie za brutalne odbieranie mu jego siatki, nie miałem pewności, że rozkaz opuszczenia Warszawy zostanie wykonany.

Nowe zadania

W ciągu kilku dni moja praca bardzo się skomplikowała. Stały przede mną trzy zadania, których pilność uszeregowałem następująco: przejście komórki więziennej „AS-a”, sprawdzenie jej powiązań i znalezienie powodu przeciekania korespondencji; dalsza rozbudowa mojej rezerwowej więziennej siatki; współpraca z „Józefem” w pościgu za Hammerem.

W pierwszej połowie kwietnia „Marcysia” skontaktowała mnie z kierowniczką sekcji kobiecej, która nosiła pseudonim „Wilga”⁹. Była to drobna, niewysoka kobieta lat ponad 40, z gruzlicznymi wypiekami na twarzy, inteligentna, ideowa, pewna swych poglądów i broniąca ich bez względu na okoliczności. Poinformowałem ją, że „AS” otrzymał rozkaz wyjazdu z Warszawy z powodu osobistego zagrożenia i że ja obejmuję jego siatkę łączności z Pawiakiem. Zaistniały nieprzewidziane okoliczności, które wymagają naszej wspólnej czujności, bo drogi łączności z uwięzionymi i związani z nimi ludzie są w niebezpieczeństwie. Muszę znać jej kontakty i wszystkie ich powiązania. Otrzymałem odpowiedź, że dysponuje pięcioma strażniczkami, które tworzą grupę podległą jednej z nich. Na moje dalsze pytanie o nazwisko kierowniczkii tej grupy oraz o jej szarżę, wiek, wygląd i cechy charakteru otrzymałem odpowiedź odmowną. Moje argumenty, które dotyczyły bezpieczeństwa naszej ważnej pracy, nie odniosły żadnego skutku. Widać było, że „Wilga”, niezależnie od przeświadczenia, że musi zachować nazwiska swych strażniczek w tajemnicy, podobnie jak Gorzkowski ocenia całą sprawę. Nie kwestionowała moich służbowych uprawnień, ale podejrzewała, że toczy się walka o kontakty z Pawiakiem i że „AS” padł ich ofiarą.

Stanowisko „Wilgi” przekreśliło możliwość zbadania, jak się przedstawiają sprawy w sekcji kobiecej i czy tam właśnie nie ma

9. Jej nazwisko, inż. chemii Jadwiga Bobińska, poznałem w styczniu 1943 roku, gdy została aresztowana. Była wtedy w innym dziale pracy podziemnej (materiały wybuchowe), przeszła ciężkie śledztwo, rozstrzelano ją dnia 29 maja 1943 roku w ruinach getta.

„przecieku”. Nie miałem dowodów, ale czułem, że coś tam nie jest w porządku. „Józef” podzielał moje przeczucia, więc ustaliliśmy, że trzeba działać bardzo ostrożnie. Nie powinno się dać odczuć, że coś podejrzewamy, niewielka ilość grypsów musi nadal iść tą drogą, ale muszą to być grypsy specjalnie preparowane, z których niczego ważnego nie można się dowiedzieć. Gorzej wyglądała sprawa z korespondencją nadchodzącą z więzienia, bo trudno było przestać jakieś ogólne ostrzeżenie i spodziewać się, że dotrze ono do każdej aresztowanej kobiety, z którą szukaliśmy kontaktu. Natomiast wszystkie ważne grypsy mogły iść tylko moją rezerwową siatką. Była ona już bardzo przeciążona, bo aresztowanie polskich strażników¹⁰ zagroziło łączności z mężczyznami i prawie uniemożliwiło dalszą rozbudowę kontaktów. Wprawdzie nowo pozyskany przeze mnie strażnik ocalał, ale trzeba go było choć na krótko wyłączyć z roboty, tak samo jak i doktora Baczyńskiego¹¹. Musieliśmy szukać dróg dotarcia do oddziału męskiego przez Serbię¹², punktami stycznymi mogły być depozyty, pralnia, paczkarnia i kolumny sanitarne, ale dotyczyło to tylko łączności wewnętrznej. Poza więzienie grypsy mogły się przedostawać tylko przy pomocy strażniczek, względnie dochodzących lekarzy.

Musiałem koniecznie dotrzeć do męskich kontaktów „AS-a”, kilku jego strażników ocalało, ale nie widziałem żadnej pewnej drogi. O Ryszkowskim miałem dobrą opinię, ale on przecież przyprowadził do Gorzkowskiego tajemniczego człowieka. Jeżeli był to Hammer, to jak miałem to tłumaczyć? Czy Ryszkowski był jego człowiekiem, czy pracował także dla niego? Gdy szukałem rozwiązania, niespodziewanie przyszedł mi z pomocą „Józef”. Okazało się, że „Wiśniewski”, który prowadził u Hammera legalizację, to ten sam człowiek, który w roku 1940 skontaktował Ryszkowskiego z Gorzkowskim. Nagle okazało się, że nasz podziemny świat jest mały. Kuśnierz („Wiśniewski”), zaufany człowiek „Józefa”, był jednocześnie bliskim znajomym Gorzkowskiego i kuzynem Ryszkowskiego poprzez jego żonę. Znali się doskonale, mieli do siebie zaufanie i „Wiśniewski” obiecał, że ostrożnie zapyta Ryszkowskiego, czy zechce się spotkać z kimś z Komendy Głównej AK, a gdy uzyska zgodę, doprowadzi do spotkania we własnym mieszkaniu. Mieliśmy na nie pójść z „Józefem”, który poinformował mnie, że jego ludzie śledzą Ryszkowskiego

10. Wczesną wiosną 1942 roku Gestapo aresztowało większość polskich strażników na Pawiaku i zastąpiło ich Ukraińcami z ZSSR i *Volksdeutschen*.

11. Dr Stefan Baczyński był moim kontaktem dochodzącym z miasta na Pawiak.

12. Oddział kobiecej Pawiaka.

od jakiegoś czasu i że odbywa on spotkania z człowiekiem, którego przyprowadził do „AS-a”. To prawie na pewno jest Hammer. Ostatnio spotykają się na Krakowskim Przedmieściu, w barze „Pod dzwonem”. Gdyby udało się przekonać Ryszkowskiego, że współpracuje z niemieckim agentem i przeciągnąć go na naszą stronę, wiele tajemniczych spraw udałoby się wyjaśnić.

Wysunąłem obiekcję, że przecież nie mamy pewności, jak zachowa się Ryszkowski, czy nie doniesie o naszym spotkaniu domniemanemu Hammerowi i nie odda nas w jego ręce. „Józef” rozproszył moje zastrzeżenia uwagą, że czasem trzeba grać *va banque*. Musimy być ubezpieczeni przez naszych ludzi, musi być obserwacja, przyjdziemy znacznie wcześniej, ale podjęte ryzyko może się stokrotnie opłacić. W razie sukcesu ileż niejasności uda się nam rozprosyć. A jeżeli to rzeczywiście jest Hammer, wtedy Ryszkowski, który ma z nim bezpośredni kontakt, będzie go nam mógł „wystawić”. Na moją uwagę, że przecież Hammera można dopaść „Pod dzwonem”, otrzymałem odpowiedź odrzucającą taką możliwość. Pochopne działanie jest niemożliwe. Podziemny Wojskowy Sąd Specjalny wydał już wyrok, ale skąd stu-percentowa pewność, że to Hammer? Tylko Ryszkowski może rozprosyć tę niejasność. Ponadto z obserwacji wynika, że domniemany Hammer jest ubezpieczony przez kilku ludzi, akcja byłaby więc trudna, ale gdyby się nawet udała, cóż dalej? Cała grupa Hammera cofnie się, zginie z naszego pola widzenia i niczego się o niej nie dowiemy. Jest jeszcze jeden ważny czynnik, który zmusza nas do bardzo precyzyjnego działania. Z kilku Oddziałów KG doszły już do nas głosy, że postępujemy brutalnie, że pozbyliśmy się „AS-a”, by zagarnąć jego siatkę, że cała sprawa zagrożenia jest naszym wymysłem i pretekstem. Musimy pamiętać, że Gorzkowski ma szeroko rozgałęzione podziemne kontakty, w propagandzie, w małym sabotażu¹³, w prasie, w „Muszkieterach”. Tam cieszy się uzasadnionym skądinąd zaufaniem, tam ludzie nie wiedzą jak to wszystko u nas wygląda, a o kontrwywiadzie mają często przedwojenne, a nawet jeszcze zaborcze, zupełnie błędne wyobrażenie. Zlikwidować możemy tylko Hammera, musi być niezbity dowód, że to on. To jednak tylko część naszych zadań. Musimy dojść do prawdy, musimy wiedzieć gdzie i jak działa Hammer, kto dla niego pracuje, jakie są jego kontakty na Pawiaku. Tylko przez przeciągnięcie na naszą stronę jego zaufanego człowieka, jakim jest Ryszkowski, możemy to osiągnąć.

13. Polegał on na zrywaniu niemieckich afiszów, rozprowadzaniu propagandowych ulotek, włączaniu się w niemieckie uliczne głośniki itd. Bardzo czynni byli w nim harcerze.

Spotkanie z Ryszkowskim

Był początek maja, gdy pod wieczór znaleźliśmy się w mieszkaniu „Wiśniewskiego” przy ul. Narbutta nr 5. Gospodarz, mały, pochylony, prawie garbaty mężczyzna lat około 50, w okularach o cienkiej oprawie, wprowadził do pokoju Ryszkowskiego i zostawił nas samych. Starszy strażnik miał lat około 30, wyglądał dobrze, robił wrażenie uczciwego człowieka. Rozmowa nasza była bardzo trudna i łatwa zarazem. Trudna, bo obydwie strony były przekonane o swojej racji. My bezapelacyjnie wierzyliśmy w słuszność naszego postępowania, Ryszkowski także musiał wierzyć, że pracuje z ideowym człowiekiem. Tylko niezbite dowody mogły przekonać jedną lub drugą stronę, w naszym pojęciu tylko on mógł być przekonany. Ale czy niespodzianka nie była wykluczona, czy nie byliśmy jednak na fałszywym tropie? Przecież ten tajemniczy osobnik mógł być tylko jakimś zabłąkanym konspiratorem, mógł istotnie reprezentować jakąś polityczną czy wojskową organizację działającą nadal zupełnie samodzielnie. A komuniści? Właśnie niedawno utworzono w podziemiu Polską Partię Robotniczą (PPR)¹⁴ i tajemniczy osobnik mógł „AS-owi” powiedzieć prawdę.

Jednocześnie rozmowa powinna była być łatwa, bo pośredniczył „Wiśniewski”, posiadający bezwzględne zaufanie obydwu stron. Ryszkowski wiedział co reprezentujemy, my wiedzieliśmy z kilku źródeł, nie tylko od pośrednika, że spotykamy uczciwego i ideowego człowieka. Problem zwęzał się w istocie wyłącznie do meritum sprawy, do ustalenia czy tajemniczy osobnik jest istotnie Hammerem, a jeżeli tak, do przekonania Ryszkowskiego czym zajmuje się ten człowiek.

Nigdy jeszcze w życiu nie prowadziłem takiej rozmowy, więc rozpoczął ją i nadał jej ton „Józef”. Po kilku zdawkowych uwagach o niczym zapytał Ryszkowskiego, jaki jest jego stosunek do legalnych polskich władz w Londynie i do podległych im podziemnych władz wojskowych w kraju. Po otrzymaniu odpowiedzi, że je jak najbardziej uznaje, padło drugie pytanie, komu służy, dla kogo pracuje. Gdy Ryszkowski stwierdził, że właśnie dla nich, „Józef” wymierzył cios, który okazał się trafny. Po stwierdzeniu, że Ryszkowski pracuje dla prowokatora i agenta Gestapo, rzucił na stół fotografię Hammera. Ryszkowski spojrział na nią, drgnął i już wiedzieliśmy, że jesteśmy na dobrej drodze, że wygrywamy. Strażnik przyznał, że to jego szef, a pod

14. Utworzono ją w Warszawie 5 stycznia 1942 roku.

naciskiem powiedział, że nazywa się pułkownik Baczewski, a w podziemnej pracy nosi pseudonim „Stryj”.

Podstawowa sprawa została załatwiona, to był Józef Hammer. Teraz w długiej rozmowie przedstawiliśmy Ryszkowskiemu kim naprawdę jest jego szef, czym się zajmuje, komu służy. Przekonanie strażnika nie było łatwe, Hammer zaprzysiął go na rotę przysięgi ZWZ-tu, odebrał przysięgę zakonnik, legenda, którą przedstawił przebiegły agent, że jest wyższym oficerem z Londynu, kontrolującym działanie podziemnej armii, wydawała się bardzo przekonywująca. Tylko takie postawienie sprawy i zaprzysiężenie nakłoniło Ryszkowskiego do okazania pomocy przy kontrolowaniu korespondencji więziennej komórki „AS-a”. Z całą jaskrawością uwidoczniła się lekkomyślność Gorzkowskiego, który zlekceważył przysięgę. Gdyby ją od Ryszkowskiego odebrał, ten zawahałby się jednak przed powtórzeniem jej u Hammera i pewno nie podjąłby się bardzo trudnej moralnie roli kontrolowania swego dotychczasowego przełożonego. W dalszym toku rozmowy dowiedzieliśmy się, jakimi metodami posługiwał się „Stryj”. Na przykładach jego błędów mogliśmy podkopać w Ryszkowskim wiarę w jego szefa. Robił zebrania na kilkanaście osób, przedstawiał się w rozmowach telefonicznych „pułkownik Baczewski”, nie przestrzegał podstawowych zasad konspiracji, bo nie musiał bać się Gestapo.

Bardzo ryzykowny krok „Józefa” udał się, Ryszkowski przyjął nasze argumenty, zrozumiał, że jego dobra wola została w okrutny sposób nadużyta, łamał się w sobie, nie mógł się pogodzić z myślą, że bezwiednie pomagał wrogom, ale ostatecznie zgodził się, że po 24 godzinach da nam odpowiedź, którą drogę wybiera: albo kompletne wycofanie się z wszelkiej konspiracji, albo złożenie przysięgi, dołączenie do nas i praca, która pozwoli mu na odrobienie popełnionego błędu. Jego stan nerwowy był bardzo zły, budził współczucie, „Józef” widział to, chciał go wesprzeć w trudnej chwili, więc rzucił uwagę: — Ma pan dwie drogi, ale zalecamy wybrać drugą, choć będzie ciężka. Cały kraj jest w walce, potrzebujemy odważnych i bezinteresownych ludzi — takich właśnie jak pan”.

Zdobycie zaufania Ryszkowskiego pozwoliło na przedłużenie rozmowy i uzyskanie wielu bezcennych i niezwykle aktualnych informacji. Nasze podejrzania okazały się trafne, przed Ryszkowskim Hammer przekonał jego przyjaciela, st. strażnika Ludwika Ratkiewicza, który go skontaktował ze „Stryjem”, oraz całą sekcję kobiecą i wszystkich ich zaprzysiął. Właśnie na przyjęciu u „Stryja” na kilkanaście osób Ryszkowski spotkał Wandę Gaw-

ryłów¹⁵. Po przysiędze zobowiązani w ten sposób ludzie uznali, że zadania nadrzędne, które spełniał „Stryj”, były ważniejsze od dotychczasowej, organizacyjnej lojalności. Zaczęła się kontrola grypsów, każdy był czytany przez Hammera i tylko z niewielkim opóźnieniem dostarczany gdzie należy. A więc dotarliśmy do podejrzanego przez nas „przecieku”, który wyglądał monstrualnie. Wszystko to zaczęło się na początku roku 1942.

Ryszkowski przedstawił nam także jakich metod używał agent, by przekonać więzienną straż, że działa uczciwie i że naprawdę ma mandat do wykonywania tej kontroli. Obok przysięgi stworzył wiele innych pozorów ideowej roboty. Do uwięzionych osób wysyłał paczki, ich rodzinom wypłacał zapomogi, był w kontakcie z Patronatem Opieki nad Więźniami i od czasu do czasu udzielał mu pomocy finansowej, ci ze straży więziennej, którzy u niego pracowali, otrzymywali czasem nieduże pożyczki. Nas specjalnie interesowała sprawa aresztowania strażników na Pawiaku. Ryszkowski znał ich wszystkich, ich funkcje i powiązania. Gdy przeanalizowaliśmy całą listę, trudno było oprzeć się wrażeniu, że Gestapo pozostawiło na wolności tych, którzy albo już pracowali dla Hammera, albo których spodziewał się zmobilizować. Było to mistrzowskie pociągnięcie.

P o ś c i g

Następnego dnia Ryszkowski stawił się na nowe spotkanie, złożył przysięgę, przyjął symboliczny pseudonim „Babinicz” i postawił swoją osobę do całkowitej naszej dyspozycji. Stały teraz przed nami i przed nim dwa podstawowe zadania, które musieliśmy wykonać szybko, precyzyjnie i w największej tajemnicy. Zadania te łączyły się ze sobą w nierozzerwalny sposób, pierwsze znalazło się w rękach „Józefa”, drugie w moich.

Nie było wątpliwości, że teraz, gdy ustaliliśmy, że tajemniczy pułkownik z Londynu i Hammer to jedna i ta sama osoba i gdy dzięki Ryszkowskiemu mogliśmy go osiągnąć, jego szybka likwidacja była zadaniem najważniejszym. Jednak nawet największa pilność nie przekreślała konieczności zebrania o jego grupie jak największej ilości informacji, bo likwidacja szefa nie oznaczała jej automatycznego końca. Wymagało tego także precyzyjne przy-

15. Podkomisarz straży więziennej, którą Niemcy zatrzymali na jej stanowisku jako komendantkę Serbii. Ona właśnie kierowała sekretną grupą pięciu strażniczek i utrzymywała kontakt z „Wilgą”.

gotowanie akcji. Tym zajął się „Józef”, który już sporo wiedział o Hammerze. Agent był jednak ostrożny, więc Ryszkowski znał go wyłącznie od strony jego pawiaczkich kontaktów. Poznał jego adiutanta, kpt. Kazimierza Maciejewskiego (nazwisko prawdziwe, u Hammera znany jako „Kazio”), znał także dziewczynę, która obsługiwała telefoniczny aparat podsłuchowy w lokalu przy ul. Tamka 52, a poza tym jedynie osoby ze straży więziennej. Tylko one uczestniczyły w zebraniach na kilkanaście osób, ze sztabu Hammera przychodził jedynie on i Maciejewski. „Józef” wiedział więcej, jego kontakty już dawniej poinformowały go o działalności agenta na innych polach, trzeba je było nadal śledzić.

Jednak likwidacja Hammera musiała nastąpić możliwie szybko i w tym zakresie rola Ryszkowskiego mogła się okazać decydująca. Najważniejszym elementem w tej grze była całkowita dyskrecja i zachowanie wszystkich pozorów, że nic się nie zmieniło. Hammer nie mógł odczuć, że został odkryty i zagrożony. Przy takim założeniu Ryszkowski musiał pozostać na Pawiaku, pełnić nadal służbę, nadal spotykać się ze „Stryjem” i pokazywać mu grypsy, jakby nic się nie stało. „Józef” chciał, by tak było, ale nie mógł wydać rozkazu, decyzja zależała od „Babinicza”. Zналиśmy go zaledwie dwa dni, nie byliśmy pewni jak postąpi, ale nasze wątpliwości przekreślił błysk zawziętości w jego oczach, gdy usłyszał naszą propozycję. Czuł się upokorzony przez agenta, który go oszukał, musiał mu oddać uderzenie, rehabilitacja była podstawową motywacją jego decyzji. Podjął się trudnej roli w podwójnej grze i przyjął na siebie ryzyko wystawienia „Stryja” pod lufy pistoletów likwidacyjnej piątki kontrwywiadu, która podlegała „Józefowi”.

Moje zadanie było inne, ale równie pilne i związane z poczynaniami „Józefa”. Przede wszystkim musiałem uniemożliwić dalsze kontrolowanie grypsów, ale należało tak postępować, by Hammer w niczym tego nie odczuł. Dlatego tajna korespondencja musiała krążyć tak jak dotychczas, ale przy pełnej mojej kontroli. Kierowniczką sekcji kobiecej, „Wilga”, musiała odejść, nikogo nie ustawiłem na jej miejscu, grypsy wysłałem przez „Marcysię”, ale przy jej pełnej nieświadomości, że były przeze mnie odpowiednio preparowane. Przez nią przerzuciłem do Gawryłówny ostrzeżenie w takiej formie, jakby w kierownictwie więziennej komórki nie zaszły żadne zmiany. Strażniczki powinny na jakiś czas ograniczyć swoje kontakty z siatką wewnętrzną, bo są obawy, że po aresztowaniu strażników może przyjść kolej na straż żeńską. Ostrzeżenie było uzasadnione, nie mogło budzić żadnych podejrzeń, a tym samym nie powinno było dotrzeć do Hammera. Zmniejszyło ono

ilość grypsów nadchodzących z Serbii, jednocześnie ważną, organizacyjną korespondencję kierowałem tam przez siatkę rezerwową. Ryszkowski nadal prznosił grypsy, które głównie odbierał od kolumny sanitarnej, ale tylko niektóre z nich, niegroźne według jego oceny, pokazywał „Stryjowi”. Nie mógł nagle obniżyć ilości tajnych przesyłek, które otrzymywał agent, więc preparowaliśmy specjalną korespondencję, która miała wszelkie pozory autentycznej, i ta trafiała *via* Ryszkowski do rąk Hammera. Moja rezerwowa siatka była wykorzystywana do granic wytrzymałości, bo fala aresztowań rosła z każdym dniem.

Pewne trudności mieliśmy z Gorzkowskim, bo nie posłuchał rozkazu, został w Warszawie i nadal miał kontakt ze sprawami więziennymi. Przeszkadzał, przez swą naiwność i łatwowierność mógł być niebezpieczny, mógł nam spłoszyć Hammera, więc spowodowaliśmy kategoriyczny rozkaz „Dzięcioła”, który został wydany w maju 1942 roku i odniósł skutek. „AS” wyjechał ze stolicy, przestałem odczuwać jego wpływ na znanych nam wspólnie ludzi, opadła fala wewnętrznych plotek i niepokojów.

Likwidacja

Bardzo częste kontakty z Ryszkowskim ułatwiały „Józefowi” dalszą penetrację grupy Hammera, bo przy każdym spotkaniu dowiadywał się o drobiazgach, które pozwalały na kompletowanie posiadanych wiadomości. W całości swych prac „Stryj” miał zastępcę używającego pseudonimu „płk Dobrzański”. Był tak dobrze zakonspirowany, że ludzie „Józefa” nie mogli go umiejscowić. Według ich danych był to mężczyzna lat ponad 50, średniego wzrostu, dobrej tuszy, o ciemnych włosach, elegancko ubrany, w meloniku. Jego adiutantem był Edward Zajączkowski (nazwisko prawdziwe). W penetracji Pawiaka zastępował Hammera „płk Zawadzki”, także dobrze zakamuflowany i przez zwerbowany personel więzienny prawie nie znany¹⁶.

Początkowo „Józef” uważał, że jednak, mimo trudności, trzeba będzie zlikwidować Hammera „Pod dzwonem” i tam dyskretnie pokazał go dowódcy swej piątki, por. Leszkowi Kowalewskiemu („Leszkowi”) i dwóm jego podwładnym, by mieli pewność, do kogo mają strzelać. Jednak różne drobne przeciwności sprawiły, że kilkakrotnie przygotowane akcje musiały być w ostatniej chwili odwołane. Ostatecznie zapadła decyzja, że likwidacja

16. Nazwiska „Dobrzańskiego” i „Zawadzkiego” nie zostały ustalone.

nastąpi przed domem na Tamce nr 52, gdzie Hammer miał mieszkanie z podsłuchem telefonicznym i gdzie spotykał się z Ryszkowskim. On miał podać dzień i godzinę spotkania i czekać na „Stryja” w mieszkaniu. Całością akcji miał kierować „Józef”, dysponujący swą likwidacyjną piątką oraz kilkoma ludźmi z siatki inwigilacyjnej kontrwywiadu, kierowanej przez kpt. Leonarda Zbyszynskiego („Lalka”). Ja nie byłem tam potrzebny, ale „Józef” zgodził się, bym był niedaleko od miejsca likwidacji, w roli obserwatora.

Ulica Tamka, biegnąca od Wisły na zachód i przecinająca ul. Dobrą, po której szedł tramwaj, kończyła się wylotem na ul. Kopernika, gdzie były schodki do konserwatorium. W dolnej jej części, niedaleko ul. Dobrej, od południa, wpadał do niej Solec, a od północy ulice Topiel i Cicha. Zgodnie z opinią Ryszkowskiego Hammer normalnie przyjeżdżał tramwajem, wysiadał na Dobrej i szedł Tamką w górę, ale mógł akurat tego dnia obejść wszystkie te skrzyżowania, a likwidacja musiała się odbyć przed samym domem spotkania.

Nadszedł dzień 30 czerwca 1942 roku, w którym, o godz. 3-ej po południu miało nastąpić spotkanie Hammera z „Babiniczem”, zakończone śmiercią agenta. Data ta stała się przedmiotem kontrowersji, muszę więc tym się zająć. Bernard Zakrzewski („Oskar”) w swej opublikowanej częściowo relacji podał datę 30 sierpnia. Tę samą datę podał Czesław Chlebowski i powołał się na relację Stefana Rysia („Józefa”). Domańska w swej książce *Pawiak* wymienia dzień 1 sierpnia. Obydwie te daty są błędne i twierdzą tak nie tylko dlatego, że byłem tam świadkiem i że zaraz po wojnie sporządziłem mój raport, oparty dodatkowo na relacjach „Józefa” i Ryszkowskiego z tamtego okresu. I „Oskar” i „Józef” spisali swe relacje wiele lat po wojnie, najwcześniej w roku 1958, gdy po latach wyszli z więzienia Bezpieki. Pobyt tam, po brutalnym śledztwie, musiał odbić się na ich pamięci. Ponadto — i ta argumentacja jest istotna — analiza ówczesnych wydarzeń wskazuje, że od naszej rozmowy z Ryszkowskim, odbytej na początku maja, do likwidacji Hammera nie mogło upłynąć więcej niż kilka tygodni. Prawie cztery miesiące, początek maja, czerwiec, lipiec i sierpień, są zupełnie wykluczone. Hammer był zbyt przebiegły, by przez tak długi okres można było utrzymać sekret, by nie odkrył zastawionej na niego sieci. Również Ryszkowski nie wytrzymałby tak długiego okresu nerwowego napięcia.

Obserwacja musiała być na miejscu znacznie wcześniej, więc „Lalek” zjawił się ze swymi ludźmi już o godz. 2-ej i obsadził ważne punkty. „Józef” nadszedł później, bo o godz. 2.30, kilka-

set metrów dalej, spotkał się z likwidacyjną piątką i w bramie sąsiedniego domu rozdał broń. Było to zgodne z zasadami konspiracji, zwłaszcza w miastach, gdzie ludzie, którzy z tytułu swych zadań musieli czasem używać broni, otrzymywali ją tuż przed akcją i musieli ją zwrócić po wykorzystaniu. Zmniejszało to ryzyko niepotrzebnej straty życia, bo za aresztowanie z bronią groziła kara śmierci, ponadto chroniło także bardzo młodych ludzi od zejścia z drogi, która była wyłącznie walką z okupantem. Zdarzało się, że młodzi żołnierze podziemia, noszący niepotrzebnie broń, pod wpływem emocji lub alkoholu wdawali się w przypadkową strzelaninę, powodując okrutne niemieckie represje. Bywały nawet wypadki zwykłego bandytyzmu.

Ja przyszedłem w poblizze planowanej akcji także około godz. 2.30 i zająłem miejsce obserwacji na Tamce, ale blisko ul. Dobrej, skąd widziałem tamtejszy przystanek tramwajowy. Około godz. 2.40 wysiadł tam Ryszkowski i ruszył w górę Tamki. Kilka minut później, z południa, od Wiaduktu Poniatowskiego, pokazali się dwaj mężczyźni. Jeden z nich, z dużymi, rudymi włosami, pokrywał się z opisem i fotografią Hammera. Rozglądali się uważnie, widać było, że są ostrożni, ale ruszyli w górę Tamki. Byli sami, nie mieli żadnej osłony. Gdy doszli do bramy domu pod numerem 52, od strony schodków przy konserwatorium padł nagle okrzyk „*Hände hoch!*”. Później dowiedziałem się, że przypadkowo znalazł się tam niemiecki żołnierz i że osłona akcji zmusiła go do stanięcia twarzą do muru, z podniesionymi rękami. Okrzyk zdetonował Hammera, starał się minąć swoją bramę, ale padły z niej dwa strzały i po kilku krokach agent upadł na chodnik. Jego towarzysz, jak się później okazało, kpt. Maciejewski, próbował uciekać, ale został ranny i wczołgał się do bramy domu nr 52. Nad leżącym Hammerem pochylił się „Leszek” i wyjął z jego kieszeni portfel z dokumentami. Było to konieczne, bo zidentyfikowanie zabitego lub ciężko rannego człowieka musiało być przeprowadzone z pełną dokładnością. Hammer jednak żył, został przewieziony do jednej z warszawskich klinik i tam po godzinie umarł. W lecznicy pracował lekarz, który był informatorem kontrwywiadu KG, on wystawił akt zgonu i przekazał nam wiadomość, że przy agencie znaleziono ponad milion złotych, dolary i marki niemieckie oraz jakieś kosztowności. Następnego dnia miał płacić swym ludziom miesięczne uposażenia. W portfelu, który natychmiast został przekazany „Józefowi”, znajdowała się legitymacja Gestapo oraz trzy inne dowody osobiste. Jeden z nich był wystawiony na nazwisko Józef Schweitzer.

Maciejewski, ranny w jamę brzuszną, ale niezbyt ciężko, dostał

się do mieszkania i znalazł tam Ryszkowskiego, który dobrze odegrał rolę przerażonego i zatrokanego człowieka. Pozwoliło mu to pozostać nadal w swojej roli w grupie Hammera, która według naszej oceny, mimo jego śmierci, miała nadal działać. Wymagało to dalszego chodzenia do służby na Pawiak. Wiązało się z tym wielkie ryzyko, bo Gestapo mogło połączyć jego osobę z likwidacją „Stryja”, ale Ryszkowski nie wahał się i do służby powrócił. Mieliśmy nadzieję, że po wstępnym szoku i wyleczeniu się Maciejewski albo powróci do pracy, albo wskaże Ryszkowskiemu nowy kontakt.

Byliśmy z „Józefem” w codziennej, bliskiej współpracy i posuwaliśmy się po dwóch liniach, mocno ze sobą powiązanych. On zbierał wszystkie możliwe informacje o grupie zlikwidowanego agenta, by przygotować dalsze uderzenia, ja szukałem jak najszybszych kontaktów z ludźmi, którzy podobnie jak Ryszkowski nie zdawali sobie sprawy, dla kogo pracują. Musiałem to robić wyjątkowo ostrożnie, bo chciałem mieć jak najwięcej wtyczek w pozostałej po Hammerze grupie, wtyczek nadal darzonych tam pełnym zaufaniem. Każda osoba z terenu więziennictwa, zwerbowana przez „Stryja”, która przeszłaby na naszą stronę, mogła oddać wielkie usługi w akcji tropienia „płk. Dobrzańskiego”, „płk. Zawadzkiego” i innych. Ponadto osoby te mogły być wykorzystane w kontaktach z Pawiakiem, bo moja siatka rezerwowa była nadal uboga i niewystarczająca.

Głównie przy pomocy Ryszkowskiego nawiązałem sekretne kontakty i przeciągnąłem na naszą stronę jego przyjaciela z Pawiaka, st. strażnika Ludwika Ratkiewicza, dwie podkomisarki z więzienia przy ul. Daniłowiczowskiej, Irenę Jaszczyńską i Irenę Szelańską oraz najważniejszą z nich, Wandę Gawryłow. Była komendantką Serbii, Niemcy nadal jej ufali, otrzymywała od nich wiele poufnych informacji, a jednocześnie kierowała grupą strażniczek, które poprzez nią zaczęły pracować dla nas. Była co dzień zagrożona, ale instynktownie wyczuwałem, że można jej było powierzać trudne zadania i wierzyć, że je wykona.

Zupełnie nieoczekiwaną trudnością okazała się atmosfera nie-wiary, podejrzeń i plotek, jaka zapanowała w niewielkim kręgu osób, którym znana była afera Hammera. Jedni twierdzili, że zaszła fatalna pomyłka, że zlikwidowano porządnego człowieka. Ci wywodzili się z grupy osób, których agent wciągnął do współpracy i którym trudno było pogodzić się z faktem, że pracowali dla prowokatora. Inni, powracając do sprawy odejścia Gorkowskiego z komórki więziennej, uważali, że chodzi o rozgrywkę w kontrywiadzie, byli i tacy, którzy twierdzili, że zastrzelony został

ktoś przypadkowy, a Hammer żyje i nadal działa. Dlatego dowody osobiste, znalezione przy zastrzelonym agencie, były takie ważne. Ta atmosfera zatruwała nam życie i utrudniała pracę.

Dalsze wyroki

Po likwidacji Hammera, przez cały lipiec i sierpień, „Józef” *gros* swego czasu poświęcił na bardzo ostrożne śledzenie ruchów jego następców. Dzięki „wtyczkom”, których ilość wzrosła („Wiśniewski”, Ryszkowski, Ratkiewicz, Wirszyłowa, Gawryłow, Jaszczynska, Szelałowska), praca stała się łatwiejsza i nowa sieć zaczęła się coraz bardziej zacieśniać wokół prowokatorów. „Józef” wiedział, że Maciejewski definitywnie oderwał się od Warszawy, więc przestał się nim interesować i największą uwagę skierował na „płk. Zawadzkiego” i Zajączkowskiego, którzy próbowali odbudować siatkę więzienną i nawiązali zerwane kontakty. Nasi informatorzy donosili nam o tym, wiedzieliśmy o agentach coraz więcej. „Płk Dobrzański” także bardzo interesował „Józefa”, ale tak był zakonspirowany, że nie można było natrafić na jego ślad.

Ryszkowski nadal był tam uważany za swojego człowieka, „Zawadzki” i Zajączkowski utrzymywali z nim kontakt i we wrześniu wskazali mu swój nowy adres przy ul. Marszałkowskiej nr 9, na jednym z górnych pięter. Kilka dni później mieli się tam z nim spotkać.

Informacja o tym spotkaniu, wraz z dokładną datą i godziną, trafiła zaraz do rąk „Józefa” i nowa akcja likwidacyjna została szybko przygotowana. Zupełnie wyjątkowo odstąpiono od zasady ścisłego podziału zadań i „Leszek” za zgodą „Józefa” przyjął do swej piątki Ryszkowskiego. Obiecano dać mu broń, koniecznie chciał własną ręką zgładzić następcę znieawidzonego „Stryja”.

Dwóch żołnierzy ubezpieczało klatkę schodową, trzech, wśród nich Ryszkowski, udało się na górę, zadzwoniło w umówiony sposób, a gdy otwarły się drzwi, wtargnęło do środka i oddało kilka strzałów do znajdujących się tam dwóch mężczyzn. Zabrali im dokumenty i szybko się wycofali.

„Zawadzki” został zabity, natomiast Zajączkowski, ciężko ranny, żył jeszcze kilkanaście godzin i zmarł w lecznicy, gdzie widział się z żoną. Ludzie z siatki inwigilacyjnej „Lolka” obserwowali dom na Marszałkowskiej, widzieli dokąd przewieziono Zajączkowskiego i tam się z nią spotkali. Była oszołomiona i przerażona, nie miała pojęcia o charakterze pracy swego męża, on przed śmiercią wyznał jej, że dobrze wiedział dla kogo pracuje

i spodziewał się śmierci z wyroku AK. Meldunek z tej rozmowy znalazł się w moich rękach.

Po tej akcji Ryszkowski, zgodnie z wcześniejszym ustaleniem, nie powrócił już na Pawiak, ale z fałszywymi papierami schronił w Warszawie, w przygotowanym wcześniej mieszkaniu. Miałem dlań dalsze zadania: z ukrycia, przy zmianie zewnętrznego wyglądu, prawie nie wychodząc ze swej kryjówki, oddawał nam dalsze, ważne usługi. Gestapo poszukiwało go, ale dotrwał do powstania warszawskiego.

Józef GARLIŃSKI

RECENZJE

Krystyna KERSTEN

„TRYLOGIA” STEFANA KORBOŃSKIEGO*

Podjmując analizę trytomowego cyklu Stefana Korbońskiego *W imieniu Rzeczypospolitej*, *W imieniu Kremła* oraz *W imieniu Polski Walczącej* w ramach tematu „książki nieobecne”, zastanawiałam się, w jakich kategoriach potraktować nieobecność owych ponad tysiąca stron druku, oczywiście nieobecność bardzo względną. Innymi słowy — czego brak tych książek na polskim rynku księgarskim pozbawił rzesze czytelników, do jakiego stopnia ów brak wpłynął na zubożenie wiedzy o przeszłości, przeżyć emocjonalnych, myślenia historycznego i politycznego. Na twórczość Korbońskiego można patrzeć z wielu punktów widzenia: jako na dzieła literackie, piśmiennictwo reprezentujące pewien nurt ideowy, zapis w postaci wspomnień obrazu wojennej i powojennej rzeczywistości, a więc rodzaj prozy dokumentacyjnej, i wreszcie jako na wyraz kultury politycznej, w której kręgu znajduje się autor i jego twórczość. Ten właśnie aspekt interesuje mnie tu najbardziej.

Zacząć wypada od kilku słów o samym Stefanie Korbońskim.

Należał do rocznika 1901, a więc w chwili wybuchu drugiej wojny światowej był to człowiek trzydziestoosmioletni. Działał w Stronnictwie Ludowym: przed wojną pełnił funkcję prezesa Zarządu Wojewódzkiego w Białymstoku. Mieszkał jednak stale

* Referat wygłoszony na seminarium Polskiej Akademii Nauk, spisany z taśmy magnetofonowej bez wiedzy autorki. Przedrukujemy go z podziemnego *Almanachu humanistycznego* nr 4/1986.

w Warszawie, a z wsią, rolnictwem i chłopami niewiele go wiązało. Wychowany w zamożnej rodzinie — wspomnienia z dzieciństwa to służąca, krochmalone białe kołnierzyki, aksamitne ubranka — do ruchu ludowego trafił najpewniej przez brata ciotecznego, starszego odeń o kilka lat Zygmunta Gralińskiego, z którym był blisko związany. Graliński, wybitny prawnik, wykładowca Wolnej Wszechnicy Polskiej, od 1928 roku zasiadał w Sejmie jako poseł Stronnictwa Ludowego Wyzwolenie, radykalnego odłamu ruchu ludowego. Młody Korboński ukończył również studia prawnicze na Uniwersytecie w Poznaniu, po czym podjął praktykę adwokacką. Był jednym z wielu adwokatów o dużych ambicjach politycznych, którzy — nastawieni opozycyjnie wobec rządów sanacyjnych — znajdowali pole działania właśnie w ruchu ludowym, cierpiącym na niedostatek inteligencji. Innym przykładem takiego polityka może być Zygmunt Nagórski, autor wspomnień *Wojna w Londynie*.

Po przygodach września 1939 roku — wojna zagnała go aż pod Kowel — Korboński wrócił do Warszawy, by od pierwszej chwili znaleźć się w powstającej konspiracji. Jako jeden z nielicznych działaczy Stronnictwa Ludowego średniego szczebla, przebywających w tym czasie w Warszawie, współdziałał z Maciejem Ratajem, uczestniczył w tworzeniu podwalin Państwa Podziemnego. Był obecny na pierwszym posiedzeniu Politycznego Komitetu Porozumiewawczego, współpracował z generałem Michałem Karaszewiczem-Tokarzewskim, pierwszym komendantem Służby Zwycięstwu Polski, oraz z jego następcą na stanowisku komendanta Związku Walki Zbrojnej, w który przekształciła się SZP — Stefanem Roweckim-Grotem, wówczas jeszcze pułkownikiem. W kwietniu 1941 roku Korboński objął w ZWZ Kierownictwo Walki Cywilnej. W 1945 roku, po aresztowaniu w końcu marca 16 przywódców Polski Podziemnej, przez kilka miesięcy, do swego aresztowania w dniu 29 czerwca, sprawował funkcję p.o. Delegata Rządu.

Temu to okresowi poświęcona jest pierwsza, bez wątpienia najlepsza książka Korbońskiego *W imieniu Rzeczypospolitej*. Opublikowana w 1954 roku w Bibliotece „Kultury”, została przetłumaczona na angielski i pod tytułem *The Fighting Warsaw* wydana dwa lata później przez Allena w Londynie. Drugie polskie wydanie ukazało się w 1982 roku w kraju (Krąg).

Po aresztowaniu, przesłuchaniach i rozmowach (rozmówcami byli Różański, Romkowski, Radkiewicz), Korboński — choć nie podpisał, jak mu to proponowano oświadczenia wzywającego do zaprzestania działalności podziemnej, analogicznego do nieco późniejszej odezwy Jana Mazurkiewicza-Radośława do żołnierzy AK — wyszedł po miesiącu na wolność. Nie należy się temu dziwić. Uwolnienie Korbońskiego, działacza Stronnictwa Ludowego, było związane z ogólną sytuacją w kraju. Właśnie Stanisław Mikołajczyk jako wicepremier nowoutworzonego Tymczasowego Rzą-

du Jedności Narodowej powrócił do Polski. Korbońskiego do-
wieziono z więzienia na rozmowę z Mikołajczykiem.

Na wolności Stefan Korboński podjął działalność polityczną, która stanowi kanwę drugiej pozycji cyklu: *W imieniu Kremła* (też Biblioteka „Kultury”, też tłumaczenie angielskie *Warsaw in Chains*, 1959). Tytuł angielski bardziej przystaje do treści tej książki, która winna się raczej nazywać *Przeciw Kremłowi*. Korboński wziął udział w powstawaniu Polskiego Stronnictwa Ludowego, wchodził do Rady Naczelnej Stronnictwa, zajmował się zagadnieniami prawnymi, między innymi to on opracował statut przedstawiony na Kongresie w styczniu 1946 roku. Od 5 stycznia 1946 roku stał na czele stołecznej organizacji PSL. Był to ciągle działacz oscylujący między klasą wyższą i średnią. W wyborach 1947 roku został posłem na Sejm. W tym samym roku jesienią, uprzedzony, jak twierdzi, o rychłym aresztowaniu, uciekł wraz z żoną z Polski, by niebawem wyładować w Stanach Zjednoczonych. Tam nie szczędził trudu, by walczyć dalej o — cytuję — „wyzwolenie ujarzmionych narodów”, działając w Zgromadzeniu Europejskich Narodów Ujarzmionych (ACEN), które skupiało emigracyjnych polityków Polski, Albanii, Bułgarii, Czechosłowacji, Rumunii, Węgier. Działał też w organizacjach polskiej emigracji politycznej w Stanach Zjednoczonych, manifestacyjnie nie przyjmując amerykańskiego obywatelstwa. Czuł się działaczem polskim, nie polonijnym. Jego żona była spikerką „Głosu Ameryki”. Odbiciem tej epoki życia Korbońskiego jest trzecia, najobszerniejsza, a zarazem najśabsza książka *W imieniu Polski Walczącej* (1963), (angielskie wydanie *Warsaw in Eile*, 1966).

Pora na pytanie o charakter owych trzech książek, nierównych poziomem i wartościami poznawczymi, reprezentujących natomiast ten sam rodzaj pisarstwa, ten sam typ mentalności i kultury politycznej. Trudno je jednoznacznie zakwalifikować do jakiegoś gatunku piśmiennictwa. Ani to dzienniki, choć *W imieniu Kremła* udaje dziennik, notując informacje i komentarz pod datami dziennymi; ani wspomnienia, ani publicystyka, pisarstwo polityczne czy eseistyka. Częste sięganie do formy zbeletryzowanej, fikcyjne dialogi przeplatają się z ubranymi w kostium dziennika reportażami z podróży. Reportaże zajmują szczególnie wiele miejsca w ostatniej książce, gdyż działając „w imieniu Polski Walczącej” Korboński podróżuje po różnych kontynentach jako wysłannik ACEN. Korespondencje drukowane w zachodniej prasie posłużą jako kanwa opisu rewolty poznańskiej w 1956 roku. Oto próbka — zamieszczona w jednym z pism fotografia rozentuzjasmowanej dziewczyny natchnie Korbońskiego do napisania: „Na teren Targów Międzynarodowych przybyła procesja, niosąca biało-czerwoną flagę, umaczaną we krwi poległych. Na czele jej młoda dziewczyna, z wyrazem twarzy, którego nikt nie zapomni, kto go raz widział. Tak musiały wyglądać furie bojowe, unoszące się nad głowami walczących wojsk”. Obok Poznania znajdziemy

w książce opis polskiego Października, Ślubów Jasnogórskich, wizyty Nixona w Warszawie. Na dobro Korbońskiego można zapisać, że oddalony od Polski, skazany na wyrwykowe i tendencyjne informacje, uniknął istotnych przeinaczeń. Nie można natomiast uczyć się z tej książki historii, choćby z racji jej literackości, której efektem jest między innymi zanik proporcji. Wiedza Korbońskiego jest też ogromnie uboga, nawet w porównaniu z tym, co może dziś wiedzieć mieszkaniec Polski, interesujący się choć trochę najnowszą historią.

I oto doszliśmy do problemu: jaką wartość poznawczą przedstawiają książki Stefana Korbońskiego. Także i tu trudno o jednoznaczne stwierdzenie. Obraz narodzin podziemnego państwa, znany zresztą z innych źródeł, stanowi dosyć wierne odbicie dziejących się zdarzeń, wieerne w przedstawionych fragmentach, jest to bowiem obraz mniej niż niepełny. Najwięcej do powiedzenia ma Korboński kiedy relacjonuje, jak organizował i prowadził cywilną łączność radiową kraju z Londynem. Była to jego pasja i duma. W wydaniu krajowym, z dwustu stron prawie jedną trzecią — 65 — zajmują sprawy radia; na pozostałych 135 stronach mieści się tak obszerna problematyka jak narodziny Państwa Podziemnego, wszystkie aspekty działania Kierownictwa Walki Cywilnej, Powstanie Warszawskie, sytuacja po Powstaniu i wreszcie działalność samego Korbońskiego jako Delegata Rządu. Korboński zresztą przyznaje, że „radio” pasjonowało go bardziej niż inne dziedziny pracy konspiracyjnej. „Prowadziłem jak gdyby podwójne życie. Z jednej strony obracałem się w górze konspiracyjnej jako szef KWC, z drugiej strony codziennie dawałem nura w doły konspiracji, bezpośrednio kierując łącznością radiową i stykając się z właścicielami mieszkań, telegrafistami i obserwatorami. Muszę stwierdzić, iż KWC dawało mi większą satysfakcję, ale z całą pewnością więcej wrażeń dostarczała robota radiowa”. Wypadnie do tego tematu powrócić dalej, analizując książki Korbońskiego pod kątem reprezentowanej przez nie kultury politycznej.

W krótkim omówieniu nie sposób dokonać pełniejszej konfrontacji: „trylogia Korbońskiego — historia”. Najogólniej można stwierdzić, że niewiele jest w tych książkach ewidentnych błędów czy przeinaczeń. Natomiast dobór informacji jest nader dowolny. Nawet nie tendencyjny, po prostu przypadkowy. Nominalnie klucz ma stanowić osoba autora, jego obecność w danym czasie w określonym miejscu, ale jest to klucz tak różnie stosowany, że trudno go traktować poważnie. W istocie, przez pośrednictwo gazet, radia, a później także telewizji, Korboński czuje się obecny w każdym zakątku Polski i świata. Pisze więc i o poznańskim Czerwcu 1956 roku, i o Warszawie w gorących dniach Października 1956 roku, nawet o Chruszczowie, czekającym w samolocie na pozwolenie lądowania na Okęciu. Ten ostatni obrazek jest wielce malowniczy, niestety bardziej wiarygodne relacje go

nie potwierdzają. Chruszczow istotnie wysiadł z samolotu w najwyższym stopniu poirytowany, co między innymi znalazło wyraz w tym, że w pierwszej kolejności przywitał się z personelem ambasady sowieckiej, a nie z oczekującym go I sekretarzem KC PZPR, Edwardem Ochabem, ale przytaczana przez Korbońskiego wersja o przetrzymaniu samolotu wymagałaby potwierdzenia.

Przypadkowość doboru ilustruje zestaw tematów z jednego miesiąca, z których każdy tworzy osobny obrazek — dla przykładu wybrałam maj 1946 roku. Mamy więc pochód 1-majowy, w którym kroczą smutni, ponurzy ludzie; ani słowa o tym, że toczyła się wówczas ostra walka polityczna, że obok smutnych i ponurych szli także zwolennicy komunistycznej władzy, że nieśli szturmówki, transparenty, kukły wyszydające Mikołajczyka itp. Dalej Korboński opisuje czerwonarmistów będących z wizytą w czyimś domu na Wielkanoc, co stanowi dlań punkt wyjścia do rozważań o ludzkiej rosyjskiej. A następnie jakiś przytyk Drobnerowi, „tajna rozmowa” z szefem misji UNRRA (zakrapiana obficie alkoholem), pogrzeb Mieczysława Niedziałkowskiego, proces organizacji Ruchu Oporu AK, rozbieranie ruin w Warszawie, manifestacja 3 maja w Krakowie, cele śmierci w siedzibie Gestapo w tymże Krakowie, wizyta z Józefem Niecką w sprawie Batalionów Chłopskich u ministra Spychalskiego, wizyta w MBP w sprawie aresztowanych ludowców i informacje na temat tajemniczej osoby generała Malinina (Sierowa). Pełne materii pomieszanie, bo nie jest to nawet wybór pomyślany tak, by poprzez migawki przekazać obraz codziennej rzeczywistości Polski i Polaków w maju roku 1946. Nie mówiąc już o sposobie narracji, który tę rzeczywistość maksymalnie spłaszcza.

Są naturalnie i błędy — drobniejsze i bardziej poważne. Są twierdzenia tendencyjne, są też opisy wręcz fantastyczne, jak ów opis „tajnego” rządu, który zbiera się u Gomułki. Podobne informacje znajdują się w książce Mikołajczyka, wydanej wcześniej, być może z niej zaczerpnął je Korboński i jako sensację zamieścił w swym *W imieniu Kremła*. Zależność polskich komunistów od ZSSR to fakt, którego nikt rozsądny nie może podważać, natomiast opowieści o „tajnym rządzie”, sterowanym przez Sierowa mieszczą się nie tyle w historii, co w literaturze *à la* Szpanow. W latach pięćdziesiątych wyszła w Polsce taka książka, tłumaczona z rosyjskiego, w której Hitler i Churchill, nie mówiąc o pomniejszych postaciach, knuli spiski przeciw pokojowi, tłumili ruchy wyzwolenicze etc. Styl tej książki przychodzi na myśl, kiedy czyta się owe wymysły Mikołajczyka czy Korbońskiego na temat kapturowych „rządów”.

Jak już wspomniałam, forma dziennika jest w *W imieniu Kremła* pełną mistyfikacją. Sam Korboński nigdzie zresztą nie pisze, że źródłem jego książki jest autentyczny dziennik, czy kalendarze, bądźienne zapiski, które udało mu się wywieźć z kraju. Dlatego, gdy pod datą 29 lipca 1945 roku znajdujemy

zapis, że konduktor w tramwaju wziął od Korbońskiego pieniądze, nie dając mu biletu, z komentarzem: „trudno o lepszy dowód, że ludność obecny stan uważa za przedłużenie okupacyjnego”, możemy założyć, że taki wypadek zdarzył się rzeczywiście któregoś dnia po wyjściu Korbońskiego na wolność, ale mógł to być dowolny dzień w sierpniu czy wrześniu.... O komentarzu — później.

System konstrukcji tekstu w oparciu o datyienne ma najpewniej swe źródło w materiale, z jakiego korzystał autor. Wszystko bowiem wskazuje na to, że *W imieniu Kremla* było pisane przy pomocy *Gazety Ludowej* — organu PSL. Dlatego na przykład wiadomość o aresztowaniu płk. Jana Rzepeckiego, Delegata Sił Zbrojnych, a następnie prezesa WiN, zostanie podana wówczas, gdy Radkiewicz poinformuje o tym fakcie podczas sesji KRN (28 kwietnia 1946), więc kilka miesięcy później. Jest absolutnie wykluczone, by Korboński w listopadzie 1945 roku nie wiedział, że nastąpiła wielka wsypa, w której wyniku prawie cały I Zarząd WiN znalazł się w ręku UB. I nie względy polityczne (ukrywanie kontaktów PSL z podziemiem) tu decydowały; Korboński pisze o swych rozmowach z ludźmi z konspiracji, poza tym posiadanie informacji o aresztowaniu nie dowodziło związków z podziemiem, zwłaszcza, że Korboński Rzepeckiego znał osobiście.

Przykładem nonszalancji w operowaniu datami jest fragment opisu jazdy przez Dolny Śląsk w 1946 roku. Korbońscy spędzali tam urlop. Oto pod datą 27 kwietnia — podkreślam, kwietnia — można przeczytać: „Opuszczone pola poroście wysoką, nigdy nie widzianą przeze mnie trawą, i ostami wzrostu człowieka. Ziemia wyzwolona spod ludzkiego jarzma wraca do dawnej dzikiej postaci. To już nie były Dzikie Pola, a prawdziwy step, taki, jaki musiał być przed paruset laty”. Dalej jest opowieść kierowcy, który widział dwie kobiety idące w zaprzęgu i ciągnące pług. We fragmencie tym przejawia się jednak nie tylko nonszalancja wobec kalendarza (trawa wysokości człowieka w kwietniu), ale także wypaczająca rzeczywistość tendencja. Prawda, że liczba odłogów wiosną 1946 roku była wciąż bardzo duża, prawda też, że zdarzały się wypadki, iż ludzie ciągnęli pługi (częściej zaprzęgano krowy), a przecież w sumie jest to obraz fałszywy, powstały przez zgeneralizowanie jednego z wielu składających się na całość fragmentów. Półprawda może być całym fałszem, obojętnie kto ją głosi, Korboński czy Putrament. Nawiązując do tytułu, myślę, że byłoby bardzo niedobrze, gdyby z książek Korbońskiego, nawet z tej pierwszej, najwartościowszej, uczono się historii tak, jak w pokoleniu naszych dziadków, a może i nie tylko dziadków, uczono się jej z *Trylogii* Henryka Sienkiewicza. Szczęściem pióro nie tej rangi.

Koncentrowałam się dotąd na faktach, wydarzeniach. Ale poznanie historii nie ogranicza się do ustalenia faktów. Historycy,

nawet wówczas, gdy dysponują obfitością dokumentów, sięgają do pamiętników, relacji i wspomnień. Kryje się w tym ogromne niebezpieczeństwo. Dwadzieścia lat temu pisaliśmy z Tomaszem Szarotą: „pełne przejęcie spojrzenia współczesnych jest równoznaczne z mniejszym lub większym wypaczeniem obrazu epoki (...) niewłaściwie, mało krytycznie wykorzystany pamiętnik prowadzi bowiem do wypaczenia prawdy, a nie do jej poznania”. W konkluzji stwierdziliśmy: „Gdyby ktoś zamierzał zahamować proces poznania historycznego, mógłby palić archiwa i pisać pamiętniki — a jak wiemy w historii, działo się i jedno i drugie”. Wygłaszając taki sąd mieliśmy na uwadze przede wszystkim *Wspomnienia ludowego starosty. W stołecznym Lublinie* itp., ale istota sprawy pozostaje niezmienną. Na marginesie można dorzucić, że jeszcze większe niebezpieczeństwo kreowania historii przez pryzmat współczesności i tendencji, przyświecających badaczowi, kryje proces zbierania relacji. Przykładem manipulowania relacjami są rozmowy J. Ciechanowskiego z J. Bokszczańinem i J. Rzepeckim, opublikowane w *Zeszytach Historycznych*.

W książkach Korbońskiego, by do nich wrócić, szczególnie w dwóch pierwszych, wiele miejsca zajmuje atmosfera, koloryt, oczywiście ograniczony do środowiska, w którym się autor obracał. W okresie wojny będzie to konspiracja, po wojnie opozycyjna „Warszawka”. Widzimy knajpy i kawiarnie, wysokie buty, modnie ubrane kobiety; komuś w knajpie wypada z kieszeni rewolwer; płynie wódeczka i bimberek. W Zakopanem większość lokali podupadła; panu Karasińskiemu jeszcze powodzi się nieźle, ale „panie, czy to człowieka cieszy, niech pan spojrzysz na salę, a zobaczy pan dla kogo się teraz gra. Hołota na hołocie siedzi i hołotą pogania”. Dowiadujemy się, że u „Jędrusia” były wprowadzone kwiczoły na zakąskę, ale sama knajpa opuszczona, wygląda na stołówkę. I tak dalej. Utkana z materii dobranej przez Korbońskiego, a może odbita przez pryzmat świadomości tego człowieka, rzeczywistość jest płaska. Daremnie doszukiwać się w niej problemów dnia powszedniego, ówczesnych dylematów, narodowego dramatu, ludzkich tragedii. Dodać tu można, że Zofia Korbońska założyła w tym czasie w Warszawie restaurację, o której ludzie ówczesnego podziemia mówią zgoła niepocholebnie, sam Korboński też nie cieszył się estymą w środowisku powojennej konspiracji, i to nie tylko dlatego, że przeszedł do legalnej działalności. Czytając *W imieniu Kremla* można, jak sądzę, pojąć te animozje.

Problem mentalności, znajdującej wyraz w książkach Korbońskiego, to już pogranicze kolejnego zagadnienia: ideologii i kultury politycznej, jaką wyraża owa „trylogia”. Celowo sięgam do terminu „trylogia”, albowiem duch Sienkiewicza jest wszechobecny na kartach książek Korbońskiego, szczególnie pierwszej — *W imieniu Rzeczypospolitej*. Czytając tę książkę, której scenarię jest okupacyjna Warszawa, trudno się oprzeć porównaniom

z *Ogniem i mieczem*. Bo Korboński nie przemilcza grozy, pisze o psach zagryzających ludzi i ludziach, zachowujących się jak psy, ale o jego narracji można powiedzieć to samo, co o narracji Sienkiewicza napisał Aleksander Świętochowski: krew leje się jak wino z dzbanków. A na pierwszym planie jest wielka przystość i krzepienie serc.

Stefan Korboński to człowiek inteligentny, myślący, ale we wszystkich trzech książkach razem wziętych znajdziemy może kilka stron, na których padają istotne pytania dotyczące polityki polskiej. A przecież to polityk, nie tylko organizator łączności radiowej z Londynem. Na marginesie procesu Lavala Korboński napisze: „A nas jaka nagroda spotkała za to, że Polska Quislinga nie wydała? Gruzy Warszawy, cmentarz pod Monte Cassino i dowcip, że na pokazie skoczków w Anglii Polacy skoczyli bez spadochronu, by zaimponować obcym. (...) Gdybyśmy np. w naszej polityce częściej używali spadochronów, może wszystko wyglądałoby nieco inaczej. Ale muszę przerwać — kończy — bo złośliwy chochlik podszeptuje: a może ty sam też skakałeś bez spadochronu?”. Cała trylogia Korbońskiego jest właśnie apoteozą skakania bez spadochronu. Wątpliwości, refleksje, polityczny rachunek nie mogą się przebić przez pokłady głęboko zakodowanej w mentalności autora postawy „wpierw walczyć, potem myśleć”.

Nie tylko zresztą autora. Książki Korbońskiego wyrastają ze zbiorowej mentalności narodu, który raz po raz znajdując się w sytuacji bez wyjścia, stojąc wobec tragicznej *devile alternative*, kiedy nie było rozwiązania nie pociągającego katastrofy, rezygnował, może nawet musiał rezygnować, z logiki, z racjonalnego myślenia, by bronić wartości podstawowych dla swego istnienia jako narodu. Znamienna jest recenzja Lechoń z *W imieniu Rzeczypospolitej*, która ukazała się w *Wiadomościach* 20 maja 1956 roku, tuż przed tragiczną śmiercią poety. Lechoń, oddzielony Atlantykiem od walczącej Warszawy i z oddali przeżywający tragedię Powstania, jest porwany opowieścią Korbońskiego o powszechnym bohaterstwie konspiracyjnych chłopców i dziewczyn, robotników i adwokatów, lekarzy i profesorów uniwersytetu. Wie zarazem, że nie wolno kwitować patriotyczną egzaltacją ogromu strat, jakie Polska, a szczególnie Warszawa, poniosły wskutek tej powszechności konspiracyjnego działania. Nie przesądza otwartego sporu, czy wszystkie poniesione przez nasz kraj ofiary były niezbędne, zwłaszcza czy „nie było rzeczą przywódców ruchu podziemnego rozważyć lepiej możliwość udania się Powstania Warszawskiego i szans gwarantowanej zdawałoby się honorem naszych sprzymierzeńców ich pomocy”. Dla Korbońskiego ten problem zdaje się nie istnieć. Poczucie odpowiedzialności przestają mu imponderabilia. Analizując przyczyny wybuchu walk w Warszawie, a raczej ukazując konieczność Powstania, mówi o godności i dumie narodowej pomijając argumenty racjonalne, uzasadniające decyzję podjętą przez dowództwo AK i polityczne

kierownictwo Państwa Podziemnego. A takie argumenty były: radiostacja Kościuszkó wzywała do Powstania, zza Wisły docho-
dził odgłos sowieckiej artylerii, Niemcy cofali się, zamach na
Hitlera mógł spowodować pełne załamanie Niemiec, a Stalin
i propaganda sowiecka głosiły, że w Polsce nie ma żadnego ruchu
oporu poza komunistami, reszta to tylko bandy mordujące ko-
munistów. Cała konspiracja była przez cztery lata nastawiana
na powstanie w decydującym momencie — wszystko zdawało
się wskazywać, że taki moment właśnie nadszedł. Unikając walki,
AK narażała się na to, że zostanie przez komunistów oskarżona
o zdradę, współdziałanie z Niemcami, itp., co słusznie podnosił
generał Okulicki w liście, który w listopadzie 1944 roku zabrał
ze sobą „kurier z Warszawy” — Jan Nowak-Jeziorański. Od ta-
kich oskarżeń nie uchroniły zresztą Armii Krajowej nawet owe
tragiczne dwa miesiące bohaterskiej walki, której zza Wisły przy-
glądali się Sowietci. Borowi-Komorowskiemu zarzucano na przy-
kład w jednym z pism wychodzących w Lublinie, że dwukrotnie
zdradził naród polski: kiedy podjął walkę w Warszawie i kiedy
odał Warszawę Niemcom. To nie o honor i dumę narodową
szło, a w każdym razie nie tylko o honor i dumę. Niezależnie
od skutków Powstania (wielka liczba ofiar, zniszczenie miasta,
którego być może udałoby się uniknąć, rozbitcie najsilniejszego
ośrodka konspiracji, nastroje pokłeskowe, spadek oporności spo-
łeczeństwa wobec tworzącej się władzy komunistycznej) zanie-
chanie tej walki pociągnęłoby za sobą następstwa jeszcze bardziej
tragiczne. Nawet wówczas, a już na pewno, kiedy rozpatrujemy
Powstanie Warszawskie w kategoriach długiego trwania.

Myśli politycznej nie znajdziemy w żadnej z książek Korboń-
skiego. Nie ma jej także w *W imieniu Kremla*. Daremnie czytel-
nik będzie usiłował wyrobić sobie pogląd na taką podstawową
kwestię jak cel, ku któremu zmierzał Mikołajczyk, założenia jego
polityki, czy szerzej, polityki PSL. Bez odpowiedzi pozostaną
pytania: czemu miała służyć walka, jaką podjęło PSL? Jakiego
wyniku tej walki oczekiwano? Na jakich sprzymierzeńców liczo-
no? Zamiast tych problemów mamy obrazki, w których groza
miesza się z groteską. A pisze to — powtórzyć wypada — nie
dziennikarz, a polityk, który w tym czasie w hierarchii PSL zaj-
mował miejsce dosyć wysokie. Korboński ucieka od myślenia
politycznego w emocje, czy to będzie patos patriotyczny, czy po-
garda i nienawiść do komunistów, do Rosjan, a nawet do ludzi
z tzw. dołów społecznych. Bardziej zresztą pogarda niż niena-
wiść, bo sam Korboński nie jest człowiekiem nienawiści. Oto co
pisze o ludziach rosyjskim: „Dziwny to rodzaj człowieka. Z jednej
strony zdolny do tak dzikich wybryków, że zmusza do pytania,
czy to ludzie, czy zwierzęta. Dla nich zabić bez powodu człowieka
to tak jak dla innych zapalić papierosa. Trzeba jednak przyznać,
że jak ich zabijają, np. w bójkach pijackich, to nie robią z tego
ceregieli i o żadnych zbiorowych represjach à la hitlerowskie

nie ma mowy. Zginął, koniec i basta (...) dobre serca, dobrodusznii, nawet dziecinni. Mnie przede wszystkim ich żal, szczególnie gdy są zażenowani i onieśmieleni, np. nigdy nie widzianym przedmiotem lub nożem i widelcem przy stole”.

Korboński — działacz ludowy — pełen jest wzdąry dla tego wszystkiego, co się zawiera w pojęciu awans społeczny. Dyskusje, czy w latach 1944-1945 w Polsce dokonana się rewolucja, pozostaną, w moim przekonaniu, całkowicie jałowe, jeżeli nie uzgodnimy języka, jakim się posługujemy, i znaczenia podstawowych pojęć. Gdy przez rewolucję rozumieć zmianę układu wielkich grup społecznych, wypadnie stwierdzić, że występowały w tym czasie zdeformowane elementy rewolucji. Otóż stosunek Korbońskiego do ludzi „z awansu” jest mniej więcej taki, jak dygnitarzy obecnego komunistycznego *establishment*’u do Wałęsy czy Bujaka. Wystarczy przypomnieć wywiad Rakowskiego w *Spieglu* (czy *Sternie*?), lub jego wystąpienie w Stoczni Gdańskiej. Lekceważenie i pogarda. Korboński będzie opisywał, jak to „pan premier (Osóbka Morawski — K.K.) się bawi”, jak jeździ na nartach. „On jest powodem — stwierdzi — dla którego lansuję powiedzenie, że nadeszła era pisarzy gminnych i nauczycieli ludowych”. Moczar to „gołębiarz, koniokrad i roznosiciel węgla z Bałtu w jednej osobie”. Cokolwiek o Osóbce Morawskim i Moczarze można powiedzieć złego, trudno przyszyłoby podpisać się pod zdaniem: „Tysiące takich, gotowych zamordować ojca i matkę dla utrzymania tego, co zdobyli, tworzy te wierne kohorty pretorianów, na których opiera się nowy system”. Gdyby całe PSL tak widziało ówczesną rzeczywistość, musiałoby przegrać, nawet gdyby wojska sowieckie opuściły Polskę, a Stalin przestał się interesować sprawami polskimi. Korboński nie dostrzega, że niezależnie od „rewolucji” narzuconej przez komunistów, w Polsce narastał głęboki nurt przemian społecznych, że nastąpiło owo „przesunięcie światopoglądów w lewo”, o którym pisał Bór-Komorowski w depeszy do Londynu wiosną 1944 roku.

Niedostatek myślenia w kategoriach polityki odczuwa się szczególnie w ostatniej książce, *W imieniu Polski Walczącej*. Pisząc o swojej walce „o wolną i niepodległą” Korboński miał obowiązek odpowiedzieć na podstawowe pytanie: jaki był w tym czasie stosunek rządów, zwłaszcza rządu amerykańskiego, do sprawy polskiej. Nie ten deklarowany ustami senatorów i prezydentów, lecz realizowany przez odpowiednie agendy rządowe. Nie wspomina — być może nie wie — o serii rozmów przeprowadzonych przez Departament Stanu z polskimi przywódcami politycznymi, Stanisławem Bieleckim, Stanisławem Mikołajczykiem, Janem Wszelakim wiosną 1949 roku w związku z utworzeniem Komitetu Wolnej Europy, chociaż o samym Komitecie pisze dosyć obszernie. Ani razu w książce tej nie staje problem wagi karty polskiej w polityce amerykańskiej. A przecież trudno wyobrazić sobie, by sam Korboński nad tym się nie zastanawiał. Amerykań-

ska taktyka była zresztą dosyć przejrzysta. Dał jej wyraz zastępca dyrektora Biura Spraw Europejskich w Departamencie Stanu, w rozmowie z Janem Wszelakim mówiąc: „Cel ostateczny USA to wyzwolenie Polski i przywrócenie jej niepodległości. Ale nikt nie wie, ile czasu zajmie realizacja tego celu. Tymczasem Amerykanie pragną, by wszelkimi środkami skłonić Polaków do zachowania nadziei na ewentualne uwolnienie spod obcej dominacji, byłoby bowiem niepożądane, by popadli w rozpacz bądź apatię” (30 marca 1949).

Nieskłonny do politycznego myślenia, jest też Korboński pozbawiony poczucia odpowiedzialności za naród, który przecież stanowi przedmiot jego działania jako polityka. By jeszcze raz odwołać się do tekstu, tym razem *W imieniu Kremła*. Wracając samochodem z pogrzebu Witosa, Korboński, Bryja i Wójcik spotykają oddział „leśnych”. Boją się prowokacji, przyspieszają, później dowiadują się, że owi leśni chcieli jedzenia. A oto komentarz Korbońskiego: „tragedia rozgrywająca się na ziemiach polskich, której na imię agonia podziemia. Po niezliczonych polskich lasach błakają się niedobitki zbrojnych oddziałów z orłami na czapkach, z ryngrafami na piersiach, niepokodzone z przegraną, walczące z zaciętymi zębami o głódzie i chłodzie, już tylko dla honoru, dla protestu, bez nadziei na zwycięstwo, same i opuszczone. Ni to zakon rycerski, ni to banda wydziedziczonych, zmuszona głodem do wystawania po drogach”. Dyskutują jak ich ratować. „Sprawa oglądana z każdej strony miała w kraju jedno tylko rozwiązanie — ujawnienie, czyli w języku urzędowym amnestia, poza tym nic. Westchnąłem głęboko i powtórzyłem raz jeszcze — Bóg z nimi”. To pisał człowiek, który kilka miesięcy przed owym spotkaniem był Delegatem Rządu, członek władz opozycyjnego PSL. WiN przynajmniej próbował szukania innej drogi niż amnestia z jednej strony, a kontynuowanie zbrojnej konspiracji z drugiej. Chciał umożliwić ludziom „z lasu” powrót do normalnego życia, do pracy lub nauki, przerzucając ich w inne rejony kraju, dostarczając nowych dokumentów itp. A Korboński: „Bóg z nimi”. Nieważne przy tym, że taka była rzeczywistość jego reakcja owej jesieni 1945 roku. Opisana scena ilustruje właściwą Korbońskiemu-politykowi postawę niefrasobliwości. Przypomina się w tym miejscu wiersz Miłosza do polityka:

*Kto ty jesteś człowieku — zbrodniarz czy bohater
Ty, którego do czynu wychowała noc
Oto dziecka i starca w rękę dzierzysz los
[...]
Czy obrócisz w popioły miasto czy ojczyznę
Stój, zadrzyj w sercu swoim, nie umywaj rąk!
Nie oddawaj wyroku niespełnionym dziejom
Twoja jest waga i twój jest miecz,
Ty ponad ludzką troską, gniewem i nadzieją
Ocalasz albo gubisz pospolitą rzecz.*

Długo można by ciągnąć rejestr krytycznych zastrzeżeń wobec książek Korbońskiego, które zaliczyłabym do gatunku prozy z pozorów dokumentalnej, w rzeczywistości zaś mitotwórczej. A mit to niedobry, choć zakorzeniony w polskiej kulturze politycznej. Przez to zresztą tym bardziej może być niebezpieczny, gdyż utrwała istniejące stereotypy myślenia, podsyca postawy irracjonalne. Mit niedobry także i z innego powodu. Przynależność Korbońskiego do ruchu ludowego, jego opozycyjność w okresie rządów przedwrześniowych, działalność w PSL kazałyby widzieć w nim człowieka lewicy. Prawda, że znaki: lewica, prawica całkowicie się w ostatnim czterdziestolecu pomieszały, komuniści realizują program prawicy, narodowcy opowiadają się za niektórymi hasłami lewicy, tym niemniej istnieje nadal określony zbiór wartości, które cechują postawę lewicową. Bezpośrednio po wojnie sytuacja pod tym względem była zresztą znacznie bardziej jednoznaczna. Korboński w swych książkach nie jest ani człowiekiem lewicy ani prawicy, jest przede wszystkim *bon vivant*, który przeżył wspaniałą okupacyjną przygodę w konspiracji, dzień po dniu narażając życie, a potem prowadzi wygodną egzystencję, podróżuje, jest przyjmowany przez możnych tego świata, służąc sprwadzonej do hasła idei: uwolnienia Polski spod jarzma rodzimych i obcych komunistów.

Może my — Polacy jesteśmy skazani na życie w kręgu mitów, a logika zbyt często zawodzi w sytuacjach, w jakich się znajdujemy. Myślę jednak, że po pierwsze winny być zachowane pewne proporcje między racjonalnymi i irracjonalnymi pierwiastkami, po drugie zaś — są mity płaskie i mity głębokie. Przetrwaniu kulturowej tożsamości służą zarówno jedno, jak i drugie, natomiast przewaga mitów sprymitywizowanych grozi sprymitywizowaniem owej narodowej kultury, którą pragniemy uchronić.

Krystyna KERSTEN

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

WOKÓŁ WIELKIEJ EMIGRACJI

Wiedza o ludziach i sprawach Wielkiej Emigracji poszerzyła się ostatnio dzięki kilku opracowaniom opartym na niewyzyskanych dotąd archiwaliach. Intencją moją jest zasygnalizowanie

trzech takich „nowości” ukrytych w niskonakładowych wydawnictwach specjalnych.

1. *Cmentarzyk Wielkiej Emigracji*. W Dwudziestoleciu, gdy w Bibliotece Narodowej w Warszawie katalogowałam rękopisy pod okiem dr. Adama Lewaka, ilekroć wyłaniała się potrzeba danych biograficznych dotyczących ludzi Wielkiej Emigracji, słyszałam westchnienie: „Cóż, można by to ustalić na poczekaniu w *Cmentarzyku* Bartkowskiego w Bibliotece Polskiej w Paryżu”. W zimie 1940 roku poznałam już ten tajemniczy przewodnik: były to dwa grube tomy i spora kartoteka w całości wypełniona krótkimi biogramami opartymi o nekrologi, świadectwa zgonu, informacje rodzin lub przyjaciół zmarłego. W latach 1950-tych śp. Szymon Konarski, doceniający znaczenie *Spisu Polaków zmarłych w Emigracji od roku 1831* (zwanego pieszczotliwie *Cmentarzykiem*) podjął — w porozumieniu z Towarzystwem Historyczno-Literackim — inicjatywę wydania materiałów, nad którymi pracował już od dawna śp. Lucjan Krawiec (zm. 9 sierpnia 1986 w Saint-Cloud). Jego dziełem jest wykonanie prac związanych z pierwszym etapem przygotowania maszynopisu do druku, tj. przepisania całości i ułożenia w porządku alfabetycznym. Gdy zawiodły starania o fundusze na wydanie książkowe, Konarski zdecydował się na włączenie *Cmentarzyka* do *Materiałów do biografii, genealogii i heraldyki polskiej*¹, ukazujących się od roku 1963 z jego inicjatywy i pod jego redakcją. Gdy go zabrakło (zm. 12 czerwca 1981 w Orleanie) prace przejął przezornie prezeń stworzony Komitet Redakcyjny, którego przewodniczącym jest Krzysztof Górski z Genewy. Przy pomocy redaktora naukowego w osobie dr. Adama Heymowskiego ze Sztokholmu i kilku blisko z nim współpracujących osób, a w szczególności mgr. Józefa Wieczorka, wykonano prace związane z drugim etapem przygotowań: uzupełnienie biogramów związłymi komentarzami i notami bibliograficznymi, których wykaz na 10 stronach petitu poprzedza tekst *Cmentarzyka*.

1. *Materiały do biografii, genealogii i heraldyki polskiej*. Tom VII/VIII. (Komitet redakcyjny: Krzysztof Górski, przewodniczący, Adam Heymowski, redaktor naukowy, członkowie: Maria Danilewicz Zielińska, Andrzej Grabia-Jałbrzykowski i Jan Żółtowski. W toku druku zmarli: Szymon Konarski i Kazimierz Zdziechowski. Rzym 1985, str. 593, 16 ilustr. (13 portr. i 3 facs.). Tom zawiera: wspomnienie pośmiertne o Szymonie Konarskim i bibliografię jego prac, *Kazimierz Zdziechowski in memoriam*, *Spis Polaków zmarłych w Emigracji* Jana Bartkowskiego i serię piątą *Genealogii niektórych polskich rodzin utytułowanych* w opracowaniu śp. Edwarda Borowskiego (zm. 30 maja 1987 w Paryżu).

Autor, Jan Bartkowski (1811-1892), rodem z Prusinowa pod Działdowem, ewangelik, węglarz (potem mason), wziął udział w powstaniu listopadowym, przerywając studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim. Jako emigrant po krótkich pobytach we Francji, Szwajcarii i Szkocji, osiedlił się w Londonderry w północnej Irlandii, gdzie pracował jako nauczyciel niemieckiego i francuskiego. W roku 1848 usiłował przedostać się do Wielkiego Księstwa Poznańskiego, a gdy próby zawiodły, zawrócił i do końca życia mieszkał we Francji, zarabiając na życie nauczaniem — tym razem języka angielskiego — w Dijon, Montpellier, Metz a wreszcie Nancy. Na starość zamieszkał w Paryżu i pracowicie gromadził materiały do dzieła swego życia, *Spisu Polaków zmarłych w Emigracji*, w którym widział „skromny pomnik wzniesiony na pamiątkę zmarłych braci”. Udało mu się zgromadzić ok. 3.000 biogramów, co jest osiągnięciem bardzo poważnym, bo liczbę emigrantów z pierwszej polistopadowej fali ocenia się na ok. 8.000. Na podkreślenie zasługuje fakt, że rejestrował „szarych” emigrantów spoza kręgu elity i organizacji politycznych, eks-żołnierzy, umierających w paryskich szpitalach czy na głębokiej prowincji. Wielu z nich to protoplaści Francuzów o polskich rodowodach, którzy obecnie zwracają się do instytucji polskich z zapytaniami o przodków. Biogramom Bartkowskiego towarzyszą zwieszę, często naiwne pochwały i informacje o żonach i potomstwie.

Z *Cmentarzyka* czerpać można pełnymi garściami dane o miejscu pochodzenia i randze wojskowej poszczególnych emigrantów. Przeważają urodzeni „na Litwie”, Żmudzi, na Podolu, Wołyniu, Ukrainie, sporo jest Mazurów i Podlasiaków i tylko z rzadka trafiają się Poznaniacy czy Kaliszanie. A właśnie z Kalisza wywodził się symbol emigranta, bohater wiersza Słowackiego „Po grzeb kapitana Meyznera”. Sam Słowacki jest natomiast w *Cmentarzyku* nieobecny i tylko snuć można przypuszczenia, czy oznacza to nieświadome czy intencjonalne przeoczenie — może po prostu fizyka z biogramem Poety znalazła się nielegalnie w posiadaniu jakiegoś miłośnika jego twórczości? Jest Mickiewicz, żona jego i dwaj młodo zmarli synowie: 22-letni zmarły w Berlinie Aleksander i ulubieniec ojca, Jaś, zmarły w 1885 w domu obłąkanych... Jest Zygmunt Krasiński, zbyty zwieszłym „hrabia, poeta”, jest Norwid „poeta i artysta” i Chopin skromnie określony jako „ślawny fortepianista i genialny kompozytor naszych pieśni ludowych”. Są z trudem zdobyte informacje o Polakach zmarłych w Ameryce, Australii, Anglii, a wśród tych ostatnich Jan Tadeusz Gajewski, bohater znanego wiersza Norwida „przez pęknięcie kotła śmiertelnie oparzony” w Manchesterze w 1858 roku. Inny Gajewski,

Stanisław, „lekarz na statku przewozowym z Marsylii na Wschód”, umarł na morzu w pobliżu Tunisu. Franciszkanin, braciszek Szmurło, z emigracji styczniowej, „zmarł z zimna niosąc ratunek podróżnym wśród śniegów w 1886 w Kreuzberg w kantonie Aargau”. To typowe przykłady biogramów.

Idąc za radą przyjaciela, dr. Wiktora Szokalskiego (1811-1891), gdy tylko przyczyna śmierci była znana, Bartkowski odnotowywał, że taki a taki zmarł z „choroby piersiowej” albo „pod ciężarem pracy” albo „na skutek gangreny”. Przy wielu nazwiskach figuruje informacja, że np. „dozorca robotników przy kanale Renu do Marny zmarł w domu obłąkanych” albo „odebrał sobie życie wystrzałem z pistoletu” albo „skoczeniem do studni”. Podoficer Tomasz Ociepski był „gilotynowany 2 stycznia 1843 w Rodez (Aveyron) za zabójstwo popełnione na Kikiewicz”, u którego „uczył się szewiectwa”.

Socjolog znajdzie w *Cmentarzyku* obfitość informacji o miejscach urodzenia i zgonów, wieku zmarłych, wykształceniu, uprawianych na emigracji zawodach, rozrzucie po świecie, deklasacji i, z rzadka, awansie społecznym. Z kart *Cmentarzyka* wyłania się swoisty obraz egzystencji „braci emigranckiej” w Paryżu, na głębokiej francuskiej prowincji i pod nieoczekiwanymi adresami.

Druk *Cmentarzyka*, który wypełnił 480 stron *Materiałów* trwał ponad trzy lata. Dzięki subwencjom Fundacji z Brzezia Lancokorońskich, Andrzeja Ciechanowieckiego i bezimiennych ofiarodawców zdołano dobrać do końca, ograniczając nakład do 350 egzemplarzy (słownie: trzystu pięćdziesięciu egzemplarzy), co służy na odnotowanie w kronikach życia kulturalnego emigracji.

2. *Cmentarz polski w Montmorency*² nosi oficjalnie nazwę Cimetièrre des Champeaux. Nazwa polska tłumaczy się tym, że znajduje się na nim obecnie ok. 250 grobów polskich z lat 1841-1987 — i nadal przybywają nowe. Poświęcona mu monografia przynosi nie tylko opis zachowanych do dziś nagrobków, ale i sumiennie opracowaną historię polskich związków z Montmorency przed pierwszym polskim pogrzebem (Niemcewicz 1841) oraz obfitujące w wiele ciekawych epizodów dzieje cmentarza. Nie bez zdziwienia dowiadujemy się, że słynny nekropol emigracji nie

2. *Cmentarz polski w Montmorency*. Opracowali: Jerzy Skowronek oraz Alicja Bochenek, Marek Cichowski i Krzysztof Filipow. Warszawa 1986 Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 303, 40 ilustr., pod opaską plan cmentarza z 1946 roku.

wywodzi się, jak można by przypuszczać, z reakcji na „żebracze doły”, do których wrzucano „biedne trumny ze szpitala”, co tak oburzyło Słowackiego, że dał temu wyraz w wierszu „Pogrzeb kapitana Meyznera”. Z badań Jerzego Skowronka i jego współpracowników wynika, że początki „cmentarza polskiego” były wręcz sielankowe i więcej miały wspólnego z kultem J. J. Rousseau niż troską o mogiły emigrantów. W czerwcu 1834 roku, miesiącu upamiętnionym ukazaniem się *Pana Tadeusza*, Niemcewicz, spacerując po Montmorency, natknął się na cmentarzu na „prosty napis” zapisany „węglem na ścianie: *C'est ici qu'il faut venir un jour*”, co skłoniło go — a za jego namową także i generała Karola Kniaziewiczza — do wyboru wiejskiego wówczas cmentarzyka na miejsce wiecznego spoczynku. Nie bez znaczenia był fakt, że w pobliskiej „pustelni” mieszkał ongiś na łonie natury J. J. Rousseau, co miało zapewne wpływ na decyzję starszych panów nie lubiących zgiełku Paryża i chętnie uciekających do „cichego miasteczka” położonego „na stoku leśnego pagórka, wśród wiśniowych sadów, nad szeroko rozłożonym pasem łąk zielonych, schodzących do ukrytej w cieniu wierzb i topoli odnogi jeziora Enghien”.

Po dwu uroczystych pogrzebach znakomitości emigracyjnych, którymi byli Niemcewicz (zm. 21 maja 1841) i Kniaziewicz (zm. 9 maja 1842), zrodziła się inicjatywa uczczenia ich wspólnym okazałym nagrobkiem. Umieszczono go jednak nie na cmentarzu, ale w kościele św. Marcina, gdzie dwukrotnie przesuwano z miejsca na miejsce i gdzie tylko od roku 1850 do czasu przebudowy kolegiaty w końcu XIX wieku spoczywały pod nim trumny ze zwłokami Polaków.

W latach 1842-1856, tj. do pogrzebu Mickiewicza, odnotowano zaledwie siedem grobów polskich, w tym trzy groby rodzinne: Giedroyciów, Czartoryskich i Mickiewiczów. Już wtedy rozpoczęły się wędrówki trumien. Zwłoki pochowanych pierwotnie w Montmorency książąt Czartoryskich, księżny Marii Wirtemberskiej i Cecylii Beydale przewieziono w roku 1865 do Sieniawy; w roku 1890 odbył się wspaniały pogrzeb Mickiewicza na Wawelu.

W historii cmentarza występuje wyraźnie raptowny wzrost ilości nowych grobów w latach 1870-1890-tych, gdy mnożyły się nekrologi powstańców listopadowych. Rosło też znaczenie polskiego nekropolu: w roku 1868 w pierwotnym grobie księżny Wirtemberskiej spoczęły zwłoki Władysława Zamoyskiego, a w roku 1879 przeniesiono z cmentarza genewskiego szczątki „Anioła Emigracji” — Klaudyny Potockiej. Nadal utrzymywał się aż

po koniec XIX wieku elitarny charakter cmentarza — grzebano na nim znanych i zamożnych lub otoczonych opieką (np. „domowników” Hotelu Lambert); zabrakło miejsca dla Norwida, pochowanego w roku 1883 na cmentarzu w Ivry. Trumnę jego przeniesiono w roku 1888 do „narodowego” grobu zbiorowego w Montmorency (str. 42). Z monografii (str. 188) wynika, że nie zadbano o przedłużenie tzw. „koncesji” ważnej na 15 lat i w roku 1904, po powtórnej ekshumacji, przeniesiono szczątki do jednego z grobów zbiorowych opłacanych przez Hotel Lambert. „Grobu tego nie udało się zidentyfikować, toteż wszystkie cmentarne uroczystości norwidowskie odbywają się w Montmorency przy symbolicznym już tylko dzisiaj grobie z 1888 roku, na którym postawiono w roku 1952 nagrobek z medalionem dłuta Kazimierza Węglewskiego, zastąpiony w roku 1972 przez bardziej monumentalny, granitowy. Z historią Biblioteki Polskiej w Paryżu wiążą się groby Karola Sienkiewicza i Eustachego Januszkiewicza.

Po wymarciu czołowych przedstawicieli Wielkiej Emigracji cmentarz nie tylko nie stracił charakteru reprezentacyjnego miejsca wiecznego spoczynku polskiej emigracji, ale go jeszcze wzmocnił, otoczony opieką organizacji polskich we Francji. Spoczęli tu liczni artyści i pisarze: Aleksander Wat, Władysław Pobóg-Malinowski, gen. Janusz Gąsiorowski, gen. Kazimierz Sosnkowski, Józef Wyrwa, Władysław Pańczak i wielu innych; we wspólnym grobowcu spoczywają prochy pracowników Biblioteki Polskiej w Paryżu: Ireny Gałęzowskiej, Wandy Borkowskiej, Emilii Fiszer i Czesława Chowańca; w grobie rodziny Pułaskich spoczął dyrektor Biblioteki Franciszek Pułaski i prochy córki jego, Jadwigi, pracowniczki Biblioteki, zmarłej w 1983 w Nowym Jorku. W bliskim sąsiedztwie spoczywa związany z Biblioteką ks. Augustyn Jakubisiak i gen. Józef Jaklicz, w czasie drugiej wojny szef polskiej organizacji wojskowej w podziemiu francuskim i organizator ewakuacji wojskowych i ich rodzin przez Pireneje i Hiszpanię do Portugalii i dalej do Anglii.

Pieczę nad cmentarzem sprawuje Towarzystwo Opieki nad Polskimi Zabytkami i Grobami Historycznymi, współpracujące z Towarzystwem Historyczno-Literackim i Biblioteką Polską; staraniem tych instytucji organizowane są coroczne pielgrzymki i nabożeństwa w maju w sąsiedztwie dat zgonów Niemcewicz i Kniaziewicz.

W przeciwieństwie do części historycznej rozdział traktujący o czterdziestoleciu 1946-1986 opracowany jest, mimo wyraźnych starań autorów, raczej szkicowo, z unikaniem tematów kontrowersyjnych. I tak zrobiono wiele.

3. Reakcje opinii publicznej we Francji na powstanie listopadowe i sprawę polską w ogólności w latach 1830-1846 są przedmiotem ponad dwustustronicowej rozprawy dr. Marka Liam Browna z Christ's College w Cambridge. Angielski tytuł rozprawy brzmi *The Polish question and public opinion in France 1830-1846*³; autor był uczniem prof. L. R. Lewittera, Polaka, doskonałego znawcy epoki; praca oparta jest na zbiorach Biblioteki Polskiej w Paryżu i poszukiwaniach w archiwach miejscowości, w których znajdowały się *dépôts*, gromadzące uchodźców niechętnie widzianych w Paryżu. Najczulszym termometrem opinii publicznej była prasa, wyraźnie dzieląca się na paryską (*Le Constitutionnel*, *Le Courrier Français*, *Le Globe*, *L'Avenir*, *Le Journal des Débats* etc.) i prowincjonalną. Stanowisko wobec powstania ilustruje wymownie *Le Constitutionnel* z 7 maja 1831, przynoszący taką oto charakterystykę Rosjan: „*Les vieux Tartares de Samarcande sont aujourd'hui à Moscou, organisés plus savamment et pliés à la technique européenne. Ils peuvent avoir demain un khan de caractère à dire, comme Timour*”. W setkach artykułów wzywano do pomocy dla „*notre belle sœur — La France du nord*” i przypominano braterstwo broni, żywe jeszcze w pamięci ogółu. Wysiłki propagandowe Chodźki i grona Francuzów z Lafayetteem na czele sprawiły, że opinia publiczna nastawiona była w stosunku do Polski co najmniej tak przyjaźnie jak w roku 1824 do Greków. Nie ulega wątpliwości, że wyzyskano pewne doświadczenia organizacyjne i na wzór komitetu grackiego (1824-1826) stworzono centralny Komitet polski z oddziałami w co najmniej 37 miastach prowincjonalnych. Idąc ich tropami dr Brown prowadził poszukiwania archiwalne i wertował lokalne pisma, co przyniosło nadspodziewanie bogaty plon, bo nikt jeszcze przed nim, włączając Gadona, Lewaka, Straszewską, Kalembe, Gocla nie miał możliwości przeprowadzenia tak szeroko zakrojonej kwerendy. Obok imponujących rezultatów finansowych, będących wynikiem zbiórek naprzód na pomoc dla powstania, a następnie dla przebywających na ziemi francuskiej uchodźców (wojskowych i cywilnych), badania Browna przyniosły rewelacje o propolskiej postawie takich pism jak np. *Le Propagateur du Pas-de-Calais*, *Le Pilote de Calvados*, *L'Auxiliaire Breton* czy *Le Journal de la Meuse*. W czasie powstania wysłano rezultaty zbio-

3. Mark Liam Brown: *The Polish question and public opinion in France 1830-1846*. Romae 1986, str. 77-295. (odb. z *Antemurale*, XXIV, ed. Institutum Historicum Polonicum Romae, sumptibus Fundationis Lanckoroński, Friburgi Helvetiae; editionem curaverunt: Maria Danilewicz Zielińska Andreas Folkierski et Carolina Lanckorońska.

rek wprost do Polski za pośrednictwem bankiera z Luksemburga. Sumy były na owe czasy niebagatelne, a znaczenie ich podnosi fakt, iż — jak wykazał Brown — pochodziły nie tylko z wpływów z bazarów, widowisk, loterii, ale, jak wykazują listy ogłoszane w pismach patronujących akcji, z datków dwu- czy trzyfrankowych od „*anciens militaires*”, studentów, rzemieślników. Tak na przykład zbiórka wśród drwali i handlarzy drewnem do opalania kominków z okolicy Bastylli przyniosła 16,70 frs., a zbiórka w Café Maillard (Faubourg St. Antoine) — 120 frs. O ile akcja propagandowa inspirowana przez emigrantów (książki, broszury, ulotki, pisma, akademie itp.) jest stosunkowo dobrze znana z istniejących już polskich opracowań, o tyle pro- i antypolskie nastawienie ogółu Francuzów znane było tylko wycinkowo, co sprawia, że rozprawa dr. Browna jest nie tylko podsumowaniem, ale i wyjściem na nowe tereny. Pisana jest przy tym żywo, z wyrażną dbałością o jasne przedstawienie czytelnikowi angielskiemu zawiloci sytuacji politycznej Polski i Europy i ulokowanie jej w ówczesnym położeniu Francji i wahaniach nastawienia do uchodźców.

Autor przywiązuje dużą wagę do dokumentów życia społecznego takich jak piosenki polityczne układane przez „poetów narodowych” (w tym Delavigne’a, Bérangera — obaj byli czynnymi członkami Komitetu Polskiego), widowisk w teatrach i popularnych *goguettes* i *boulevard théâtres*. Kierując się jego wskazówkami można by zestawić antologię niezmiernie wymownych tekstów.

Rozprawa dr. M. L. Browna opublikowana została w tomie XXIV *Antemurale* w roku 1980 i nie doczekała się dotąd ani recenzji polskich, ani wydania w przekładzie, na co w pełni zasługuje. Podzieliła los kilkunastu rozpraw dyplomowych z uniwersytetów angielskich, amerykańskich i francuskich — świadczących o zainteresowaniu tematyką polską ze strony obcych uczelni i o właściwej emigracji skłonności do biadań nad brakiem naukowych opracowań historycznych przy równoczesnym przechodzeniu w milczeniu obok zasługujących na pochwałę osiągnięć.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Feijó (Portugalia), 21 września 1987

PERSONALIA KONSPIRACJI WARSZAWSKIEJ

Ostatnio ukazał się w kraju pierwszy tom danych biograficznych konspiratorów stołecznych, zarówno wojskowych, jak i cywilnych¹. W sumie ma być sześć tomów, w których będzie zastosowany tzw. system holenderski, czyli w każdym tomie będą ukazywały się biogramy osób, których nazwiska zaczynają się na litery od A do Z, w miarę kompletowania danych przez autora. Jak można wnioskować z pierwszego tomu, opracowania te mają jednakowo traktować wszystkie ugrupowania podziemne, a więc środowiska AK, PAL, NSZ, AL itd. Niektórzy autorzy, szczególnie ci, którzy brali udział w konspiracji, używają pseudonimów na pierwszym miejscu, co niezmiernie utrudnia sytuację. Na szczęście autor tego słownika posługuje się w pierwszym rzędzie nazwiskami, a pseudonimy traktuje jako informację drugiego rzędu.

Pierwszy tom stwarza wrażenie, iż jest to praca solidna i godna pochwały, ale jednak pewne usterki są nieuniknione. Oto te, które zdołałem zauważyć.

Autor stwierdza, że ppłk Wacław Berka był „Wacławem” w Oddziale II Komendy Głównej AK, natomiast „Wacławem II” w Oddziale II NSZ był ktoś inny (str. 38). Może i ma rację, ale w takim razie należałoby podać nazwisko „Wacława II”, tak żeby w jednym z dalszych tomów czytelnik mógł zapoznać się z jego życiorysem, który chyba ukaze się w przyszłości.

Zdarza się dość często w tym słowniku, iż wypadki drażliwe nie są dostatecznie naświetlone. Na przykład podano, iż generał LWP Stanisław Grodzki „zmarł 2 grudnia 1946 roku w Warszawie”, a przecie miał on wówczas zaledwie 51 lat. Więc jaki był powód śmierci? Wiadomo, że na ten temat krążą różne pogłoski. Dlatego trzeba było podać przynajmniej, iż przyczyny śmierci są niewyjaśnione.

Podobnie przedstawia się sprawa, o ile chodzi o Henryka Józewskiego. Podano, iż został on „ostrzeżony o przygotowywanym nań zamachu” (str. 92), ale kto ten zamach przygotowywał (AK, AL, Ukraińcy?), nie wiadomo.

Pisząc o Bolesławie Piaseckim (str. 125) autor pominął całkowicie okres jego współpracy z sanacją w latach 30-tych, a w szczególności z OZON-em i płk. Kocem. Nieco informacji na ten temat można znaleźć np. w moich *Narodowych Siłach Zbrojnych* (str. 24)²

W życiorysie Rzepeckiego (str. 139) brakuje wzmianki o wydaniu przez niego kasy pozostałej po AK w ręce UB, co niewątpliwie było ważnym wydarzeniem.

Autor pisze, że generał Albin Skroczyński był uczestnikiem powstania warszawskiego. Rzeczywiście był on na terenie Warszawy objętym przez powstanie, ale o ile mnie wiadomo, żadnych funkcji nie spełniał. Dlaczego? Trzeba by wyjaśnić. Podobno dlatego, że był jednym z niewielu wyższych oficerów krytycznie nastawionych do decyzji powstańczych.

1. Andrzej Krzysztof Kunert, *Słownik biograficzny konspiracji warszawskiej 1939-1944*, Inst. Wyd. Pax, Warszawa 1987, str. 197.

2. Można je w dalszym ciągu nabyć u autora (64 Twyford Ave., London W3 9QB). Cena wraz z przesyłką £ 5.50.

W życiorysie majora Wardejna-Zagórskiego brakuje wzmianki o wysiłkach antysanacyjnych środowisk londyńskich w celu usunięcia go z wydziału propagandy ZWZ (str. 158).

Miejmy nadzieję, że w następnych tomach wiele z tych usterek zostanie uzupełnionych i błędy drukarskie (jak np. to, iż rtm. Klausal służył w latach 30-tych w 33 Pułku Ułanów — str. 97), choć nie tak liczne, zostaną skorygowane.

W ogromnej większości życiorysów mężczyzn, publikowanych przy różnych okazjach, wpływ żon i kochanek na ich działanie jest całkowicie pomijany. Życiorysy zawarte w tym tomie nie odbiegają od tej zasady, zaledwie kilka żon zostało wspomnianych, jak np. żona Stanisława Łaniewskiego (str. 113) lub dwie żony Rothenburg-Rościszewskiego (str. 133). Natomiast kobiety zostały całkowicie pominięte w życiorysie generała Roweckiego, a przecie wiadomo, iż odgrywały w nim ważną rolę. Były chyba jednym z niewielu problemów, z którymi miał stałe kłopoty, co przyczyniło się pośrednio do jego aresztowania. Ciekawe, czy autor napisze o roli Wandy Pełczyńskiej, kiedy będzie omawiał jej męża generała Tadeusza Pełczyńskiego w jednym z następnych tomów.

Niekiedy, ale bardzo rzadko, autor nawiązuje do innych osób, z którymi *dramatis persona* jest spokrewniona, jak np. Zbigniew Sujkowski i jego matka (str. 150). Byłoby pożądane, gdyby znani krewni osób omawianych byli wymieniani nieco częściej.

Wreszcie na zakończenie należy wyrazić ubolewanie, że zamierzony słownik obejmuje jedynie Warszawę. Wydaje się, że stosunkowo niewielkim dodatkowym wysiłkiem udałoby się pokryć całość konspiracji wojennej, gdyż ogromna większość kierownictwa konspiracji koncentrowała się w stolicy.

Z. S. SIEMASZKO

4 września 1987

Z. S. SIEMASZKO

LISTY OFICERÓW WOJSKA POLSKIEGO

Należy z góry ocenić pozytywnie wysiłki dr. Kryski-Karskiego dążące do utrwalenia danych o Polskim Wojsku. Obok szeregu jego innych opracowań, w latach 1982-1987 ukazywały się „Materiały do historii Wojska Polskiego” wydawane przez autora osobiście. W sumie wyszło 20 zeszytów oraz ostatni nienumerowany zeszyt zawierający poprawki, indeks nazwisk i skorowidz oddziałów¹.

1. Zeszyty te można nabyć u autora: Dr T. Kryski-Karski, c/o Polish Institute, 20 Princes Gate, London SW7 1PT. Ceny poszczególnych zeszytów wahają się pomiędzy £ 1.50 i £ 2.40 (plus porto), natomiast ostatni, nienumerowany zeszyt (240 stron) kosztuje £ 4.00 (plus porto).

Zeszyty te poświęcone są dwóm następującym sprawom:

- Lista oficerów poległych, straconych i zmarłych od 1 września 1939 do 8 maja 1945;
- Obsady personalne Wojska Polskiego w dniu 1 września 1939.

Lista obsad oficerów wrześniowych zawiera około 23 tysiące nazwisk (*vide* zeszyty 2 do 20 włącznie oraz poprawki w zeszycie nienumerowanym). Natomiast lista strat, na której znajdują się głównie ci, którzy we Wrześniu byli już oficerami, zawiera nieco ponad 13 tysięcy pozycji (*vide* zeszyty 1 do 16 włącznie oraz poprawki w zeszycie 20 i nienumerowanym). Wynika stąd, iż w przybliżeniu przeżyło wojnę zaledwie około 10 tysięcy przedwojennych oficerów, czyli tylko około 30 %.

Na liście poległych i zmarłych, ci którzy zginęli w akcji lub na skutek akcji — Wrzesień, Włochy, lotnictwo w Wielkiej Brytanii, marynarka wojenna, Brygada Spadochronowa, Pierwsza Dywizja Pancerna — stanowią niewielki procent i trzeba przyglądać się dokładnie, żeby ich zauważyć, gdyż dominują zamordowani w Sowietach jeńcy z Kozielska (około 5 tys.) i ze Starobiel-ska (około 4 tys.)². Może sytuacja wyglądałaby inaczej, gdyby lista ta obejmowała również oficerów poległych w Powstaniu Warszawskim, których wyraźnie brakuje. Chociaż autor nie wypowiada się na ten temat, odnosi się wrażenie, że spośród poległych oficerów AK zdołał zamieścić jedynie „cichociemnych” zrzuconych z Zachodu. Prawdopodobnie nie istnieją źródła, które pozwoliłyby na odtworzenie pełnej listy strat oficerskich AK.

W swych dociekaniach Kryśka-Karski oparł się w pierwszym rzędzie na Archiwum Polskich Sił Zbrojnych znajdujących się w Instytucie im. gen. Sikorskiego w Londynie, które zawiera między innymi relacje poszczególnych oficerów z kampanii wrześniowej. Jednocześnie korzystał z *Roczników Oficerskich* znajdujących się w tym Instytucie i z „Wykazu poległych i zmarłych żołnierzy” wydanego przez tenże Instytut w 1952, jak również z następujących publikacji:

- L. Głowacki i A. Sikorski, *Kampania wrześniowa na Lubelszczyźnie*, Lublin 1966;
- L. Głowacki, *Obrona Warszawy i Modlina 1939*, Warszawa 1975;
- A. Moszyński, *Lista katyńska*, Londyn 1974;
- J. Boguski, *Artyleria konna w kampanii wrześniowej*, Londyn 1976;
- Z. Godyń, *Straty kawalerzystów i pancernych z rąk sowieckich*, Londyn 1976.

2. Trzeci obóz, Ostaszów, w którym było około 6 i pół tysięcy jeńców, nie wchodzi tu w rachubę, gdyż omawiane listy dotyczą jedynie oficerów, natomiast w Ostaszówce przebywali prawie wyłącznie podoficerowie, przede wszystkim policjanci.

Natomiast nie korzystał autor z innych publikacji, a w szczególności z licznych wspomnień wojennych wydanych na Zachodzie i w kraju. Tego rodzaju podejście nie wywarło wielkiego wpływu na listę poległych (z wyjątkiem oficerów AK, o czym już była mowa), natomiast wydaje się, że spowodowało szereg niedociągnięć na listach obsad oficerskich. Na przykład spośród trzech najwyższych stopniem oficerów będących 1 września 1939 w czynnej służbie (Rydz-Śmigły, Sosnkowski i Sikorski) tylko Rydz-Śmigły jest wymieniony w spisie obsad, natomiast Sikorskiego i Sosnkowskiego nie ma. A przecie byli oni w wojsku, pobierali gaże i chociaż nie mieli przydzielonych dowództw (w dniu 1 września), to jednak pozostawali w dyspozycji Ministerstwa Spraw Wojskowych czy też Naczelnego Dowództwa, więc mieli konkretny przydział i powinni byli znaleźć się na liście.

Nie ma również na liście gen. Mariana Kukiela, który później był dowódcą I Korpusu w Szkocji, a potem ministrem Spraw Wojskowych. Nie ma też ppłka dypl. Zygmunta Berlinga, późniejszego generała z nominacji Stalina i twórcy Ludowego Wojska Polskiego, ani też płka dypl. Izzydora Modelskiego, późniejszego generała z nominacji Sikorskiego, który wprowadzał wielkie zamieszanie w Paryżu, poszukując winnych klęski wrześniowej. Ale to jest zrozumiałe, gdyż wszyscy trzej byli w 1939 roku w stanie spoczynku i nie zostali zmobilizowani. Natomiast powinien być znaleźć się na liście obsad oficerskich powołany do czynnej służby w sierpniu 1939 (według pracy samego Kryski-Karskiego „Generałowie Polski Niepodległej”, str. 164) gen. Jerzy Wołkowicki. A tymczasem nie ma go w indeksie (w nienumerowanym zeszycie), ani też w obsadzie armii „Prusy” (w 18 zeszycie), gdzie był dowódcą etapów.

Brakuje również na liście obsad personalnych kilku oficerów, którzy później odegrali poważną rolę. Na przykład nie ma organizatora i dowódcy okręgu nowogrodzkiego AK, ani jako Janusza Prawdzica-Szlaskiego, ani też jako Jana Szulca, jak go niekiedy w pracach krajowych nazywają. Może był wówczas oficerem (kapitanem) rezerwy i nie został przed 1 września powołany do służby czynnej? Ale brakuje również oficera służby stałej mjra dypl. Antoniego Olechnowicza, który odegrał poważną rolę w wileńskiej AK. O ile mi wiadomo, we Wrześniu był on w sztabie rezerwowej 33 Dyw. Piechoty. Nie ma też oficera służby stałej, który później był w Narodowych Siłach Zbrojnych i wyprowadził z kraju na Zachód Brygadę Świętokrzyską. Przed wojną służył w 29 Dyw. Piechoty w Grodnie, a we Wrześniu był przydzielony jako jeden z trzech oficerów (kapitan) do zleceń specjalnych przy dowódcy Armii „Prusy” (*vide* jego wspomnienia „Byłem dowódcą Brygady Świętokrzyskiej”, str. 44). Nie występuje on ani jako Antoni Dąbrowski, ani jako Szacki, czy też jako Skarbek (nazwiska, pod którymi był niekiedy znany w podziemiu). W 18 zeszycie (str. 32) figuruje tylko jeden oficer do zleceń (przy dowód-

cy Armii „Prusy”, generale Dąb-Biernackim), kpt. Antoni Pietraszun, chyba jednak nie jest to późniejszy dowódca Brygady Świętokrzyskiej.

Nie można też doszukać się na liście obsad personalnych innych oficerów służby stałej. Na przykład nie ma ppłka Romana Boryckiego, zastępcy dowódcy 26 Pułku Ułanów, który pozostał we Wrześniu w ośrodku zapasowym w Baranowiczach (później przez parę lat był polskim komendantem w Teheranie). Brakuje również ppor. Stanisława Szabuni, późniejszego dowódcy partyzanckiego w Nowogródczyźnie, który we Wrześniu został przeniesiony ze swego 41 Pułku Piechoty do rezerwowej 33 Dyw. Piechoty. Nie ma też ppor. Zenona Kodzia, który nie odszedł na front i pozostał w ośrodku zapasowym swego 85 Pułku Piechoty w Nowej Wilejce.

Nie ma też w ogólnym spisie obsad (zeszyt nienumerowany) kmdra por. pilota Edwarda Szystowskiego, który zginął 1 września 1939, chociaż figuruje on na liście poległych (zeszyt 13), jak również na liście obsady dowództwa Floty Wojennej (zeszyt 19), ale z błędnym imieniem Edmund. Na liście obsad nie występuje również szereg oficerów, którzy są na liście strat. Na przykład nie ma tam ppłka służby stałej Jana Chodźki-Zajki, który był komendantem Lwowa. Nie ma również por. służby stałej z Wilna Ryszarda Pietraszkiewicza, ani też podporuczników rezerwy, a moich kuzynów Stanisława Bobiatyńskiego i Franciszka Wojnicza, którzy (o ile mnie pamięć nie myli) zostali zmobilizowani przed wrześniem 1939, więc powinni byli znaleźć się na liście obsad. Wszyscy czterej powyżsi oficerowie zginęli w Sowietach.

Jednak najgorzej w omawianych zeszytach wypadły Wojska Łączności. Pułk Radio, który stacjonował na Pradze, nawet nie jest wymieniony na liście oddziałów. Nie ma również oficerów służby stałej takich jak kpt. Kazimierz Zieliński, późniejszy dowódca Kompanii Radiowywiadu w Wielkiej Brytanii, kpt. Leon Góralski, początkowy organizator korespondencji radiowej z krajem, czy też por. Sabin Popkiewicz, na którego barkach leżała od 1943 roku odpowiedzialność za przekazywanie wojskowych wiadomości pomiędzy Londynem, Krajem, Włochami, Środkowym Wschodem i innymi polskimi ośrodkami wojskowymi w Europie i Azji. Nie ma również w tych zeszytach zastępcy Popkiewicza w tym okresie, por. Stanisława Kisiela, oficera rezerwy, który jednak chyba był zmobilizowany przed 1 września i powinien być znaleźć się w tych spisach³.

Wydaje się, że wielu braków i niedociągnięć można by uniknąć, a przynajmniej ograniczyć, gdyby została w pełni wykorzysta-

3. Zapytywałem dr. Kryskę-Karskiego o przyczyny tego rodzaju sytuacji. Odpowiedział, że w Instytucie im. gen. Sikorskiego nie znalazł więcej danych dotyczących Wojsk Łączności i przypuszcza, że zostały one zabrane przez łącznościowców w celu pisania ich własnej historii.

tana wojenna literatura pamiętnikarska. Jest ona jednak tak rozległa, że przekraczało to chyba możliwości jednego człowieka, dra Kryski-Karskiego, który w przedmowie określa te „Materiały” jako „szkieletowe” i uważa, że nie są one „ani kompletne, ani bezbłędne”.

Na zakończenie należy zwrócić uwagę na to, że dane zgromadzone przez autora dotyczą wojennych losów poważnej części polskiej inteligencji, gdyż obejmują kilkadziesiąt tysięcy jej męskich przedstawicieli (minimum wykształcenia pełna matura) w postaci zarówno oficerów służby stałej, jak i oficerów rezerwy pełniących w życiu cywilnym różne inteligentkie zawody.

Z. S. SIEMASZKO

20 sierpnia 1987

Piotr WANDYCZ

NOWE KSIĄŻKI

Pomimo trudności związanych z brakiem papieru, cenzurą i opóźnieniami w procesie wydawniczym w Kraju, a kosztami wydawniczymi i ograniczonym rynkiem na Zachodzie, ilość interesujących prac z najnowszej historii Polski jest wcale pokaźna. Gdy niedawno temu Instytut Piłsudskiego w Nowym Jorku ogłosił konkurs z trzema nagrodami za najlepsze dzieła historyczne wydane w latach 1985-1986, jury otrzymało do przeczytania kilkadziesiąt prac; wiele z nich było na bardzo wysokim poziomie. Zaczniemy więc ten przegląd od przyjrzenia się niektórym z nich. Opracowanie Andrzeja Chojnowskiego, *Piłsudczycy u władzy. Dzieje BBWR* (Ossolineum 1986) jest niewątpliwie interesujące a w dużym stopniu pionierskie. Autor, który dał się poznać książką *Koncepcje polityki narodowościowej rządów polskich w latach 1921-1939*, wydanej dziesięć lat temu, starał się o maksymalny obiektywizm i zrównoważoną prezentację. Można krytykować różne aspekty tej książki, między innymi to, iż zbyt mało miejsca poświęcił on organizacji terenowej BBWR, ale wkład tej pracy do dziejów Polski międzywojennej jest niewątpliwy. Interesująca, choć może bardziej kontrowersyjna jest praca Szymona Rudnickiego, *Obóz Narodowo Radykalny. Geneza i działalność* (Czytelnik, 1975). Autor jej wykorzystał bardzo pokaźną bazę źródłową).

Pionierska jest praca Karola Liszewskiego (pseudonim) pt.

Wojna polsko-sowiecka 1939 (Londyn 1986), dotycząca inwazji sowieckiej we wrześniu 1939 roku i oparta głównie o relacje świadków. Walki na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej — na przykład w Grodnie walczone przez dwa dni — są bądź to nieznanne bądź to umyślnie przemilczane. Nie wchodząc w analizę naukowych walorów czy wad tej pracy, zrobiła ona pewien wyłom, który należałoby rozszerzyć w ramach akcji usuwania „białych plam”.

Wybitny historyk dyplomacji a również specjalista od spraw litewskich, Piotr Łossowski ogłosił ostatnio dwie ważne książki: *Zerwane pęta. Usunięcie okupantów z ziem polskich w listopadzie 1918 roku* (PiW, 1986) i *Po tej i tamtej stronie Niemna. Stosunki polsko-litewskie 1893-1939* (Warszawa 1985). O ile pierwsza z tych prac rekonstruuje w szczegółowy sposób proces wyswabiania się ziem zaboru rosyjskiego i austriackiego, podkreślając iż nie był to proces ani tak łatwy ani automatyczny, jak mogłoby się to wydawać, o tyle druga stanowi bardzo potrzebną ogólną syntezę stosunków polsko-litewskich na przestrzeni pół wieku. Z kolei uczeń Łossowskiego Bronisław Makowski zaprezentował w bardzo dokładny, prawie że drobiazgowy, sposób losy mniejszości litewskiej w Drugiej Rzeczypospolitej, w pracy pt. *Litwini w Polsce 1920-1939* (PWN, 1986). Skoro już mowa o Litwinach, choć nie w czasach najnowszych, chciałbym zasygnalizować ukazanie się wielce interesującego dzieła pod redakcją Jerzego Kłoczowskiego, *Chryścianizacja Litwy* (Znak, 1987).

Nakładem tegoż Znak ukazał się niewielki tomik pióra Jacka Czajowskiego i Jacka M. Majchrowskiego, *Sylwetki polityków Drugiej Rzeczypospolitej* (Kraków 1987). Wśród polityków uwzględniono tutaj Adama Skwarczyńskiego, Walerego Sławka, Wojciecha Korfantego, Macieja Rataja, Mieczysława Thugutta, Romana Rybarskiego, Stanisława Dubois, Stanisława Grabskiego, Alfreda Fiderkiewicza, Eugeniusza Kwiatkowskiego i Karola Popiela. Niektórzy z nich doczekali się obszerniejszych opracowań biograficznych w formie książek czy dłuższych artykułów; niektórzy są prezentowani czytelnikowi po raz pierwszy. Jeden z współautorów, Majchrowski, jest znany z szeregu publikacji. Do ostatnio wydanych należą: *Szkice z historii polskiej prawicy politycznej lat II Rzeczypospolitej* (Kraków 1986) i *Silni, zwarci, gotowi. Myśl polityczna Obozu Zjednoczenia Narodowego* (PWN, 1985). Skoro jesteśmy przy międzywojennym dwudziestolecu, warto wspomnieć o jeszcze jednej publikacji Znak, wydanej w tym roku a dotyczącej tematyki religijnej. Jest to rzecz Jacka Moskwy, *Antoni Marylski i Łaski* — ważna pozycja.

Z dziedziny historii dyplomatycznej i wojskowej kilka książek zasługuje na wzmianki. Wydaje mi się, że w którymś z poprzednich numerów *Zeszytów* wspominałem o dobrze i solidnie opracowanej monografii M. Baumgarta, *Wielka Brytania a odbudowa Polski 1918-1923* (Szczecin 1985). Tutaj chciałbym dorzucić wyda-

ną w zeszłym roku książkę Waldemara Michowicza z Uniwersytetu Łódzkiego, *Genewska konfederacja rozbrojeniowa 1932-1937 a dyplomacja polska* (1986) oraz pracę habilitacyjną Henryka Korczyka, *Przyjęcie Niemiec i Polski do Rady Ligi Narodów w 1926 roku* (Ossolineum, 1986). Bardziej polemiczna i pisana wyraźnie à thèse jest nieduża książka wydana w tym roku w Anglii: Anita Prażmowska, *Britain, Poland and the Eastern Front, 1939* (Cambridge University Press, 1987). Główną tezę autorki, raczej już niekwestionowaną przez zawodowych historyków, choć może zaskakującą dla wielu czytelników jest, iż gwarancja dana Polsce w 1939 roku nie była ani zerwaniem z poprzednią polityką brytyjską ani rzetelną próbą stworzenia frontu wschodniego w sensie militarnym. Była raczej posunięciem politycznym, mającym ułatwić grę dyplomatyczną. Chociaż niektóre sformułowania Prażmowskiej budzą obiekcje a niektóre drobne poślizgnięcia zdają się wskazywać na to, że nie porusza się ona z pełną swobodą w dziejach najnowszych — poza tym książka ma poważne luki w bibliografii — pracę należy ocenić pozytywnie. Dla czytelnika anglosaskiego powinna ona być pewną rewelacją; szkoda tylko, że Cambridge University Press daje tak wysokie ceny swym publikacjom.

Dla okresu pierwszej wojny światowej i roku 1920 użyteczne i ważne, choć w różnym sensie są książki znanego historyka krakowskiego Mariana Zgórnika i debiutującego jako historyk księdzka Zdzisława Musialika. Specjalista od historii wojskowej, Zgórnika dał nam cenny zbiór szkiców i studiów pt. *1914-1918* (Wydawnictwo Literackie, 1987) obejmujący m.in. tematy jak „plany wojenne państw zaborczych”, „działania wojenne na ziemiach polskich 1914-1915”, „rola emigracji w walce o niepodległość Polski” czy „polskie formacje wojskowe na froncie rumuńskim”. Tom ks. Musialika, *General Weygand and the Battle of the Vistula*, ostatnio wydany przez Instytut J. Piłsudskiego (Londyn 1987) wywodzi się z pracy doktorskiej obronionej w USA. Już najwyższy czas, aby legendę Weyganda „zbawcy” Polski w 1920 roku złożyć do grobu i książka ks. Musialika jest temu poświęcona.

Kilka książek dotyczących tematyki współczesnej a stojących na pograniczu historii, politologii i socjologii należy uwzględnić nawet w tym krótkim przeglądzie. Wśród nich cenną pozycją jest David S. Mason, *Public Opinion and Political Change in Poland 1908-1982* (Cambridge University Press, 1985). Recenzja tej książki ukazała się w ostatnim numerze *Polish Review* (1987). Mason zużytkował doskonale wyniki badań opinii społecznej, przeprowadzanych w Kraju w okresie „Solidarności” dla zareprezentowania nam obrazu kultury politycznej w Polsce. Rzecz pisana ze znanstwem tematu i wycuciem specyfiki polskiej. Charakter esejów i rozważań na tematy aktualne ma książka Krzysztofa Pomiana, *Wymiary polskiego konfliktu 1980-1981* (Londyn 1985). Jest to zbiór przetłumaczony z francuskiego i zawierający sporo

ciekawych uwag i sformułowań robionych „na gorąco”. Różny w podejściu, ujęciach i perspektywie choć też przeznaczony dla czytelnika niepolskiego jego tom Adama Bromkego, *The Meaning and Uses of Polish History* (Boulder, 1987). Praca składa się z dwóch części: w pierwszej figuruje długi esej autora, w drugiej (załączniki) tłumaczenia wyjątków z pism czy publicystyki Dmowskiego, Stommy, Jana Szczepańskiego, Kardynała Wyszyńskiego, Janusza Zabłockiego, Andrzeja Walickiego, Aleksandra Gelli, Aleksandra Halla i Jana Pawła II dotyczących takich zagadnień jak idealizm-realizm, nowoczesny nacjonalizm i rola katolicyzmu w Polsce. Jak wszystkie prace Bromkego, rzecz jest kontrowersyjna.

Na szczególną uwagę zasługuje opracowanie Stephen A. Garretta, *From Potsdam to Poland: American Policy Toward Eastern Europe* (Praeger, 1986), obejmujące okres 1945-1981. Autor podchodzi do zagadnienia polityki amerykańskiej wobec Europy środkowo-wschodniej koncentrując się na trzech aspektach, a mianowicie rola i możliwości grup etnicznych w USA wpływania na linię polityczną USA; skuteczność nacisków gospodarczych (kij i marchewka) a wreszcie kwestia zasad i siły (*power and principle*) w odniesieniu do tejsz polityki. Pierwsza część zwłaszcza powinna stanowić obowiązkową lekturę dla działaczy Polonii amerykańskiej (której *nota bene* autor poświęca sporo miejsca) choć nie jest to lektura ku pokrzepieniu serc. Garrett wskazuje na bardzo ograniczone możliwości wpływania na Departament Stanu, Biały Dom czy opinię publiczną amerykańską w sprawach, które albo nie pokrywają się całkowicie z interesami USA, albo są traktowane jedynie w wymiarach propagandowych. Sporo tu przekonujących przykładów ilustrujących tezy autora, zwłaszcza odnośnie manipulowania „etników” przez czynniki polityczne amerykańskie. W części traktującej o gospodarczych środkach nacisku autor rozróżnia między polityką represji *per se* (rzadko stosowaną), polityką *quid pro quo* a wreszcie metodą uzyskiwania jakby ubocznych korzyści (*spillover strategy*).

W części trzeciej, poświęconej idealizmowi i realizmowi ze szczególnym uwzględnieniem praw człowieka, autor przeprowadza interesujące rozróżnienia między amerykańskimi „opcjami strategicznymi” a mianowicie: *disengagement* (wycofanie się zupełne), *liberation* (wyzwolenie, które jest utopią), „destabilizacja” i w końcu „normalizacja” którą autor osobiście preferuje. Przez normalizację rozumie on ułożenie normalnych stosunków międzynarodowych, których celem nie jest wyeliminowanie sowieckich wpływów z naszego regionu, ale stopniowe ograniczanie ich. Autor uważa finlandyzację za rozwiązanie optymalne, do którego należy zdążyć powoli. Garrett twierdzi, że nie wolno odpisywać Europy środkowowschodniej na straty, ale też nie można osiągnąć zbyt wiele z zamierzonych celów. Podkreślając istnienie stałej frustracji, wynikającej z rozbieżności pomiędzy celami a możliwościami, Garrett kończy swoje wywody nutą umiarkowanego optymizmu.

Jakkolwiek z niektórymi sformułowaniami Garretta nie można się zgodzić — autor, najwidoczniej nie znający ani języków ani chyba zbyt dobrze historii Europy środkowowschodniej, upraszcza pewne sprawy i popełnia drobne pomyłki — to *summa summarum* jest to książka interesująca, warta uważnego przeczytania i zastanowienia. Zwłaszcza pierwsza część, jak to już zauważyłem, jest dobrą lekturą dla naiwnych entuzjastów, którzy zbyt często biorą słowa za czyny.

Najnowsza historia zajmuje dużo miejsca w zbiorze artykułów i esejów Tadeusza Łepkowskiego, *Rozważania o losach polskich* (Londyn 1987). Najdłuższa z rozpraw w tym tomiku ukazała się trzy lata temu w *Zeszytach Historycznych* nr 68 pt. „Myśli o historii Polski i Polaków”. Całość pobudza do myślenia i polemik, z tym, że niżej podpisany na ogół podziela poglądy Łepkowskiego wyrażone w tej publikacji. Dałem temu wyraz w dość obszernej recenzji, która ukazała się w 35-tym numerze *Pulsu*.

Z dwóch syntetycznych opracowań historii Polski, jakie wyszły ostatnio w języku angielskim, Jerzego Topolskiego *An Outline of History of Poland* (Interpress, Warszawa 1986) ma charakter podręcznikowy i jest tłumaczeniem z polskiego a nie adaptacją na użytek anglosaski. *The Polish Way* (London 1987) Adama Zamoyskiego to dzieło popularyzatorskie, wspaniale, wręcz luksusowo wydane, adresowane do czytelnika brytyjskiego. Topolski, wybitny znawca dziejów gospodarczych (szczególnie wiek XV-XVIII) oraz metodologii historii, dał nam dobrą syntezę Polski przedrozbiorowej. Mniej przypadła mi do gustu część obejmująca epokę porozbiorową z Drugą Rzeczpospolitą włącznie. Jeśli zaś chodzi o okres po 1945 roku to można jedynie powiedzieć, że szkoda iż książka ukazała się zanim powiewy gorbaczowskiej *glasnosti* dotarły do Poznania — szkoda dla czytelnika i dla dobrego imienia autora, bądź co bądź poważnego uczonego. Do syntezy Zamoyskiego, którą jak na razie zdołałem tylko przerzucić powrócę w przyszłym przeglądzie w *Zeszytach*.

Na zakończenie — a już poprzednio sygnalizowałem czasami czytelnikom *Zeszytów* ciekawsze artykuły w periodykach naukowych — chciałbym zwrócić uwagę na ostatnie dwa numery ukazującego się w Warszawie kwartalnika *Dzieje Najnowsze*. W nr. 3-4 (1986) interesujące są artykuły Edwarda Czapiewskiego, „Konserwatyści o stosunkach polsko-niemieckich w latach 1918-1925” i Krzysztofa Kawalca, „Narodowa Demokracja wobec nacjonalizmu niemieckiego 1918-1939”; w numerze 1 tego roku ciekawie czyta się artykuł Magdaleny Hulas, „Victor Cazalet, polityczny oficer łącznikowy między W. Churchillem a W. Sikorskim” oraz materiały opracowane przez E. Duraczyńskiego dotyczące układu Sikorski - Majski.

Piotr WANDYCZ

LISTY DO REDAKCJI

Montreal, 5 września 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

W 81-szym numerze *Zeszytów Historycznych* pan Tadeusz Wyrwa umieszcza w swoim opracowaniu raport generała Sosnkowskiego o ewakuacji wojska z Francji w 1940 roku, podając, że znajduje się on w zbiorach Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu. Nie informuje czytelnika, że opuścił początek oraz uwagi Generała do tego raportu i nie uważa również za stosowne przypomnieć o okolicznościach, w jakich to archiwum, wbrew woli generała Sosnkowskiego, znalazło się w kraju.

Pełny tekst tego raportu został opublikowany dwadzieścia lat temu w „Przyczynkach historycznych do okresu 1939-1945” (Londyn 1967) Witolda Babińskiego. Powtórne wydrukowanie tego raportu musi budzić podejrzenie, że zostało to uczynione, by zaopatrzyć ten raport w komentarz, który dosyć wyraźnie sugeruje, że generał Sosnkowski obciąża Francuzów za fatalne skutki i utrudnianie ewakuacji, a nie widzi własnej domniemanej winy czy współwiny z innymi rodakami.

Jak Pan o tym dobrze wie, prawda historyczna jest zupełnie inna. Generał Sosnkowski odegrał podobną rolę we Francji, jak i w kampanii wrześniowej, ratując w beznadziejnej sytuacji to, co było jeszcze do uratowania. Odpowiedzialność za tę ewakuację, jak to wykazało przesilenie rządowe w lipcu 1940 roku, ponosi generał Sikorski i ci jego ministrowie, którzy domagali się m.in. postawienia pod sąd za defetyzm oficerów, którzy alarmowali o nadchodzącej katastrofie. Wszystko to zostało dawno udokumentowane.

Co gorsza, pominięto w tym opracowaniu milczeniem obszerny komentarz generała Sosnkowskiego do tego raportu, który jest właściwym i pełnym przedstawieniem tych wydarzeń. Komentarz zaczyna się następującym ustępem:

„Sprawozdanie było pisane dla Sikorskiego, jako premiera; z powodów łatwych do odgadnięcia pewne momenty zostały przeze mnie albo przemilczane, albo złagodzone w ujęciu.

Przybyłem do Libourne dnia 16 czerwca rano. W parę godzin po moim przybyciu kilku starszych oficerów ze sztabu Nacz. Wodza, między innymi

pułkownik Klimecki, podpułkownik Wasilewski oraz, o ile pamiętam, pułkownik Krubski, zwrócili się do mnie w następującej sprawie.

W sztabie Naczelnego Wodza nikt nie wie gdzie przebywa generał Sikorski i kiedy wraca; łączność z nim została utracona. Sztab nie otrzymał żadnych instrukcji, podczas gdy sytuacja ogólna i postępy Niemców z każdą godziną coraz gwałtowniej wołają o decyzje i rozkazy”.

Generał Sosnkowski podaje następnie instrukcje, jakie wydał i po zobrazowaniu „jak wyglądała rzeczywistość w zestawieniu z eufemicznym fragmentem mego sprawozdania urzędowego” — Generał stwierdza m.in. w części końcowej:

„Wspominając owe dni pamiętne i smutne, rychło powziąłem przeświadczenie, że:

1) przylot Retingera oznaczał rozpoczęcie politycznego wyścigu do Londynu ze strony naczelnych władz polskich, a opisane powyżej okoliczności odlotu generała Sikorskiego zdają się dowodzić, iż tym właśnie przede wszystkim były zaprzątnięte jego myśli i jego uwaga”.

Autor opracowania usuwa niektóre zdania, przy czym w pewnym miejscu tekst ulega zupełnemu zniekształceniu, powodując absurdalne stwierdzenie.

Zdanie brzmiące w oryginale raportu: „Oddziały skupione w La Rochelle wymusiły sobie wejście do portu pomimo oporu admirała francuskiego i załadowały się o godz. 10-tej na statki angielskie w liczbie 5.000 ludzi”.

Wrywanie poszczególnych dokumentów z kontekstu całości pewnych wydarzeń czy problemów nie służy zazwyczaj rzetelnym badaniom historycznym. Dziwić więc musi, że *Zeszyty Historyczne*, w których wiele cennych dokumentów znalazło miejsce i wiele problemów potraktowano bezstronnie, w stosunku do Kazimierza Sosnkowskiego nie stosują podstawowego *fair play*. Umieszczanie nieściśłości i wadliwych naswietleń o działaniach generała Sosnkowskiego i odmawianie następnie źródłowych sprostowań, jak to miało wielokrotnie miejsce, przeczy obiektywizmowi historycznemu głoszonemu przez Pana wydawnictwa.

Żywimy ciągle obawy, że dokumentacja Generała i jego rękopisy mogą być niewłaściwie wykorzystane w kraju. Tymczasem historycy emigracyjni badają w Ossolineum te materiały, ignorując istnienie dużej części archiwum Kazimierza Sosnkowskiego na Zachodzie i jego już opublikowanej dokumentacji i używają tych świadectw właśnie w sposób niewłaściwy na łamach polskich wydawnictw historycznych w wolnym świecie.

W ostatecznym rozrachunku historia da sobie zapewne z tym radę i nie wszystko „zasypie i zawieje”.

Łączę wyrazy poważania

Stanisław BABIŃSKI



St. Rémy, 1 października 1987.

Drogi Panie Redaktorze!

Trzeba mieć bujną, ale niezbyt zdrową wyobraźnię, żeby dojść do wniosków, do jakich doszedł w swoim liście p. Stanisław Babiński. Oto fakty: znajomy historyk pisał mi z Polski, że w archiwum generała Sosnkowskiego we Wrocławiu znajduje się raport Generała o ewakuacji z Francji w 1940 roku. Listem z dnia 20 stycznia br. zwróciłem się do Zakładu Narodowego im. Ossolińskich z prośbą o przysłanie mi fotokopii tego raportu. Dyrekcja Biblioteki Ossolineum przysłała mi, z przykładną

starannością, mikrofilm zawierający: 1. Notatkę w sprawie ewakuacji z Francji, napisaną ręcznie w Londynie 21 listopada 1941, przypuszczalnie przez majora Fudakowskiego (nazwisko jest wymazane); 2. Raport generała Sosnkowskiego z 5 lipca 1940; 3. Sprawozdanie z działalności w czasie ewakuacji lotnictwa z Francji podpułkownika dyplomowanego Iżyckiego, z datą 22 lipca 1940; 4. Sprawozdanie z czynności na stanowisku dowódcy Okręgu Wojskowego na południu od Loary generała Jacyny Jatelnickiego, bez daty.

Po otrzymaniu mikrofilmu sprawdziłem, czy raport, o który chodzi został opublikowany w „Materiałach historycznych” generała Sosnkowskiego (zebranych przez J. Mateckiego i wydanych w Londynie w 1966) i nie widząc go tam, byłem przekonany, iż nie był dotychczas ogłoszony. Nie zwróciłem niestety uwagi, że znajduje się w załącznikach książki Witolda Babińskiego „Przyczynki historyczne do okresu 1939-1945”. Podejrzanie p. S. Babińskiego, że raport został ponownie wydrukowany celem zaopatrzenia go w komentarz nie ma najmniejszego uzasadnienia.

Proponując Panu Redaktorowi opracowanie raportu generała Sosnkowskiego trzymałem się ściśle tematu, który wyraźnie był określony w tytule: „Generał Sosnkowski o postawie Francuzów wobec ewakuacji wojska polskiego do Anglii w czerwcu 1940 roku”. Nie pominąłem niczego, co dotyczyło postawy Francuzów. Streściłem natomiast w kilku zdaniach pierwszą stronę raportu i opuściłem kilka ustępów nie związanych bezpośrednio z tematem. P. Babiński ubolewa jednak, że usunąłem „niektóre zdania, przy czym w pewnym miejscu tekst ulega zupełnemu zniekształceniu, powodując absurdalne twierdzenie” i cytuje następnie zdanie z mojego opracowania: „Oddziały skupione w La Rochelle wymusiły sobie wejście do portu pomimo oporu oddziału angielskiego w liczbie 5.000 ludzi”. Otóż zdanie to jest wzięte dosłownie z raportu i nie odpowiada wersji, którą przytacza p. Babiński w swoim liście. Ewakuowały się również oddziały angielskie, więc może chodziło i o Anglików a jeżeli mylnie zanotował generał Sosnkowski, to nie moja w tym wina. Jedyne błąd, który poprawiłem dotyczył miejscowości Mérygnac, która w raporcie i w załączniku książki Witolda Babińskiego brzmi Marignac.

P. Stanisław Babiński miesza raport generała Sosnkowskiego z 5 lipca 1940 roku z komentarzem do tego raportu, bez daty, pisany zapewne po wojnie. Z treścią komentarza zapoznałem się dopiero teraz w książce W. Babińskiego, który podaje źródło: „Z archiwum generała Sosnkowskiego”. W zbiorach Biblioteki Ossolińskich komentarza tego przypuszczalnie nie ma, gdyż byłbym go otrzymał razem z dokumentacją o ewakuacji. Jest więc zagadką, gdzie ten komentarz się znajduje i jednocześnie można się zastanowić, dlaczego nie został włączony, podobnie zresztą jak i sam raport, do opublikowanych „Materiałów historycznych” generała Sosnkowskiego?

W raporcie generała Sosnkowskiego nie było jednego słowa o błędach popełnionych przez Polaków, na które należało wówczas, w 1940 roku, zwrócić szczególną uwagę, żeby nie powtórzyły się w przyszłości. Generał Sosnkowski zajął wtedy krytyczne stanowisko jedynie w stosunku do Francuzów i właśnie w imię prawdy historycznej należało przypomnieć również, w krótkim choćby komentarzu — a więc bez wchodzenia w szczegóły kto ponosi główną odpowiedzialność — o winie Polaków za spóźnioną i chaotyczną ewakuację. Dawniej już, przy innej okazji, wspominałem na łamach *Zeszytów Historycznych* (nr 68, str. 227), że gdy rząd polski opuszczał Angers i udawał się do Libourne, „generał Sikorski znajdował się w strefie frontowej i stracił kontakt z rządem, wierząc dłużej niż należało w zwycięstwo

Franeji. Kumulacja przez Sikorskiego stanowisk naczelnego wodza i premiera okazała się zgubna". Pisząc komentarz do raportu generała Sosnkowskiego na myśl mi nawet nie przyszło, że ktoś może zakwestionować tak oczywistą prawdę, jaką zawierał poruszony w nim problem ewakuacji. W psychice polskiej zakorzeniony jest bezkrytyczny kult wodza, który w różnych okresach naszych dziejów wyrządził wiele szkód i który niestety przetrwał w pewnych ośrodkach na emigracji.

W pierwszym paragrafie swojego listu p. S. Babiński ubolewa, że nie uważałem „za stosowne przypomnieć o okolicznościach w jakich archiwum, wbrew woli generała Sosnkowskiego, znalazło się w kraju”, a w przedostatnim zdaniu tego listu pisze, iż „żywimy ciągle obawy, że dokumentacja Generała i jego rękopisy mogą być niewłaściwie wykorzystane w kraju”. Wiadomo, że archiwum zostało przekazane przez p. Jadwigę Sosnkowską, żonę Generała, co już niekoniecznie trzeba było przypominać, a tym bardziej komentować. Odnosnie żywnionych obecnie obaw, to należałoby się zastanowić, dlaczego generał Sosnkowski nie przekazał swojego archiwum jakiejś instytucji polskiej na Zachodzie (np. Instytutowi im. Generała Sikorskiego w Londynie), lub też dlaczego nie zrobili tego ci, którzy obecnie żywią spóźnione obawy?

Łączę najlepsze pozdrowienia

Tadeusz W Y R W A



Warszawa, 14 września 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

Na przełomie 1986/1987 roku przez prasę krajową (*Przegląd Tygodniowy* i *Express Wieczorny — Kulisy*) przewaliła się kolejna (po prasowych bojach z Machejkiem przed dwoma laty) polemika związana ze sprawami akowskimi. Jednym z głównych tematów była działalność w czasie okupacji p. Józefa Świdy. W polemice tej byłem pierwszym (i jednym z niewielu) obrońców Świdy wtedy gdy stawiano mu zarzuty bzdurne, wysane z palca. Oczywiście nie mogłem (i nie chciałem) bronić go odnośnie zarzutu głównego, zakończonego rozprawą przed sądem wojennym w dniu 12 marca 1944 roku w Szlachtowszczyźnie. Dlatego niepomniernie zdziwił mnie fakt podjęcia przez p. Świdę sporu akurat ze mną.

W numerze 80/1987 *Zeszytów Historycznych* na stronach 235-236 opublikowany został list p. Józefa Świdy z dnia 9 marca 1987, w którym to liście autor imputuje mi, jakoby nie zostało przeze mnie docenione jego „... postępowanie (...) podyktowane słuszną teorią o dwu wrogach” wtedy gdy pełnił funkcję dowódcy Zgrupowań Nadniemeńskich Batalionów Partyzanckich w okresie lipiec 1943 - marzec 1944.

Pan Świda dopatruje się przyczyny tego w fakcie, iż „... (Chlebowski) ... jako młody pisarz nie rozumie...” itd.

Spieszę więc donieść, że taki młody już nie jestem, mam lat 60, z czego 25 strawiłem na dociekaniiu spraw akowskich na Wschodzie, przede wszystkim zaś na Nowogródzczyźnie. Poza tym podobną do mojej ocenę swego stanowiska zajętego nad Niemnem znajdzie p. Świda w depeшы Naczelnego Wodza, generała broni Kazimierza Sosnkowskiego, skierowanej do Komendanta Głównego Armii Krajowej w dniu 17 stycznia 1944 roku:

„... Samowolne osłabianie w obliczu choćby najbardziej tragicznych okoliczności linii nieugiętej postawy wobec Niemców jest szkodliwe dla spra-

wy i stanowi marnowanie dorobku moralno-politycznego Armii Krajowej. Tragedia batalionu stołpeckiego nie usprawiedliwia późniejszego postępowania meldowanego przez Nowogródek. Broń na Niemcach należy zdobywać, nie zaś przyjmować od nich w darze. Oczekuję raportu, kto ponosi winę i jakie zastosowano sankcje...”.

Jeśli zaś chodzi o zarzucane mi niezrozumienie słuszności stosowanej przez p. Świdę „teorii dwóch wrogów”, pragnę zapewnić, że nigdy nikomu nie poczytywałem za błąd bicia się — w obronie polskiej sprawy — z wszelkimi wrogami, bez względu na to ilu by ich było, obojętnie czy to spod znaku swastyki, gwiazdy, tryzuba czy innych symboli.

Sęk w tym, że p. Józef Świda pisze w numerze 80/1987 *Zeszytów Historycznych* o „słuszności stosowanej przez niego teorii dwóch wrogów”, podczas gdy z jego własnego oświadczenia opublikowanego dwa lata wcześniej, bo w numerze 73/1975 *Zeszytów Historycznych* wynika, że tę słuszną teorię zamienił — zawieszając walkę z Niemcami — na mniej słuszną praktykę bicia tylko jednego wroga. A to było nie tylko złamaniem generalnej linii AK, obowiązującej wszystkich jej żołnierzy (a co dopiero dowódców!), ale w początkach 1944 roku równało się politycznemu samobójstwu nie tylko — ośobiście — dla rtm. „Lecha”, ale przede wszystkim dla sprawy Podziemnego Państwa Polskiego.

I właśnie o tej decyzji rtm. Józefa Świdy „Lecha” (podjętej bez noża na gardle, jak to było np. w wypadku por. „Góry”), a nie o jego teorii dwóch wrogów (jak mi to imputuje p. Świda w liście do *Zeszytów Historycznych*) napisałem dosłownie i z pełnym przekonaniem, że „...był to najbardziej beznadziejny i najgłupszy podstęp wojenny jaki znam...”.

Z wyrazami szacunku

Dr Cezary CHLEBOWSKI



Waszyngton, 2 lipca 1987.

Szanowny Panie Redaktorze!

Władysław Minkiewicz w swych „Wspomnieniach 1939-1945”, ogłoszonych w *Zeszytach Historycznych* nr 80/1987, zarzuca Jerzemu Michalewskiemu, że w swoich „Relacjach” (*Zeszyty Historyczne* nr 26), mnie zaś, że w moim „Polskim Państwie Podziemnym — przewodnik po podziemiu z lat 1939-1945” (Instytut Literacki, Biblioteka „Kultury”, Tom 253, 1975) — popełniliśmy błąd, podając, że byłem ostatnim Delegatem Rządu na Kraj, podczas gdy był nim po moim aresztowaniu Jerzy Braun, zatwierdzony przez rząd RP w Londynie.

Minkiewicz mija się z prawdą. Moja nominacja na p.o. Delegata podpisana przez premiera Arciszewskiego i ministra spraw wewnętrznych Berezowskiego dokonała się w drodze wymiany depeusz z 8 i 11 kwietnia 1945, ogłoszonych w Tomie V „Armia Krajowa w Dokumentach 1939-1945”, str. 365 i 367. Taka decyzja w sprawie Brauna ani nie została przez rząd powzięta, ani w konsekwencji przesłana. Rola Brauna w tym czasie spowodowała się do przewodniczenia Radzie Jedności Narodowej w drodze rotacji.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku

Stefan KORBOŃSKI



Drogi Panie Redaktorze,

Chciałbym prosić Pana o umieszczenie w *Zeszytach Historycznych* kilku moich uwag, drobnych sprostowań i uzupełnień, odnoszących się do bardzo interesujących „Wspomnień 1939-1954 (dok.)” Władysława Minkiewicza w *Zeszytach* 81-szym.

Opinie p. W. Minkiewicza o naszym środowisku żołnierzy 2-go Korpusu we Włoszech wydają mi się w niektórych fragmentach jego „Wspomnień” niesprawiedliwe.

Na stronie 95 pisze on, że oficerowie 2-go Korpusu „nie przejawiali zbytnej troski o losy kraju. Interesowali się natomiast żywo czarną giełdą i zazwyczaj rozpoczynali dzień od przeglądania gazety *Il Globo*, która podawała kursy walut na czarnym rynku”.

Po wojnie zostałem przeniesiony rozkazem generała Władysława Andersa z oddziału liniowego do sztabu, do pracy w II Oddziale Sztabu, którego m.p. mieściło się w Porto San Giorgio. Zostałem mianowany kierownikiem tzw. „Referatu K”. Zadaniem moim i dwójga moich współpracowników było badanie teorii i praktyki komunizmu, głównie pod kątem związku tych problemów z tym, co się działo wówczas w kraju. Z pogadankami na te tematy objeżdżałem oddziały nasze stacjonujące we Włoszech. Wszędzie spotykałem się z ogromnym zainteresowaniem sprawami kraju zarówno wśród oficerów jak i szeregowych. Napisałem broszurę pt. „Terror w Polsce”, której wydaniem zajął się wspomniany przez p. Minkiewicza kpt. Tejchman.

Gazety *Il Globo* nigdy nie widziałem, nie wiedziałem nawet, że istnieje.

II Oddział interesował się bardzo intensywnie wszystkim, co się w kraju dzieje, będąc z krajem w kontakcie poprzez wysyłanych od nas i meldujących się u nas emisariuszy, przechodzących w obie strony, z dużym ryzykiem, różne granice.

Również z myślą o kraju i jego przyszłości 2-gi Korpus prowadził akcję oświatową, finansując liczne szkoły i instytucje oświatowe, na co m.in. służyły fundusze zarobione na handlu tak zwanymi „kasztanami”. Życie kulturalne, druk wszelkiego rodzaju wydawnictw, przede wszystkim zbieranie dokumentów na tematy naszych przeżyć w Rosji, a to przecież też związane było ze sprawami kraju, w każdym razie naszego narodu w ogóle. Całą dokumentację w sprawie mordu katyńskiego, czym głównie zajmował się dr Zdzisław Stahl, zbieraliśmy bardzo pieczołowicie. Bardzo mało p. Minkiewicz o tym pisze. Podkreśla natomiast wyjątkowo ostro nasze błędy, głównie jeden z nich: wiarę w wybuch trzeciej wojny światowej. No cóż, ta wiara była naszą nadzieją na wolność Polski.

Jako jeden z poważnych błędów wyławia p. Minkiewicz taki fakt: „... jakieś pismo 2-go Korpusu zamieściło zdjęcie przedstawiające kilku ludzi wiszących na szubienicach, a pod zdjęciem podpis, że są to żołnierze AK zamordowani przez bezpiekę”... Okazało się, że było to naiwnym fałszerstwem, zdemaskowanym przez ambasadę reżymową. To był fakt. Ale pismo, które fałszerstwa tego się dopuściło, nie było „pismem 2-go Korpusu”, ale prywatną inicjatywą Zdzisława Baua pn. *Oblicze Tygodnia*. Bau został surowo zgromiony za ten wybryk, nawiasem mówiąc przez płk. Bąkiewiczą na skutek mojej interwencji.

Serdeczne pozdrowienia łączę

Janusz KOWALEWSKI



Montreal, 2 września 1987.

Szanowny Panie Redaktorze!

Bardzo sobie cenię *Zeszyty Historyczne*, pismo gromadzące materiały do historii. Szczególnie do historii Polski okresu drugiej wojny światowej. A już najbardziej cenię prace ludzi, którzy sami tę historię tworzyli. W mojej bibliotece mam wszystkie numery *Zeszytów Historycznych*, poczynając od pierwszego.

Zdarza się nieraz, że opinia uczestnika zdarzeń nie jest zgodna z prawdą historyczną, gdyż, będąc zaangażowany po jednej stronie, nie może się zdobyć na obiektywną ocenę postawy drugiej strony.

Ostatnio, w numerze osiemdziesiątym *Zeszytów*, Władysław Minkiewicz wypowiada swoją opinię na temat zamordowania szefa wydziału informacji w BiP (AK) inż. Jerzego Makowieckiego i jego bliskiego współpracownika, docenta Ludwika Widerszala. Wspomina również o wydaniu przez „nieznanych sprawców” w ręce Gestapo prof. Marcelego Handelsmana i Haliny Krahelskiej.

Autor stwierdza, że morderstwo Widerszala i Makowieckiego zostało dokonane „wprawdzie przez 'wynajmowaną' bandę Andrzeja Sudeczki, ale najprawdopodobniej na polecenie NSZ...”.

Jak już kiedyś pisałem w liście do *Zeszytów Historycznych*, ks. Salamucha zapytał napotkanego generała Rozwadowskiego, dlaczego AK puszcza pogłoskę, że morderstwo zostało dokonane przez NSZ, skoro wiadomo, że zostało ono dokonane przez Sudeczkę na polecenie agenta wywiadu AK Władysława Jamonta. Odpowiedź była, że tak jest wygodniej dla AK. Wygodniej, bo w tym czasie prowadzone były rozmowy z AL, a chciano się pozbyć ludzi, którzy byli zapewne bliscy komunie.

Cała prawda o tej sprawie została m.in. dokładnie ujawniona w procesie Władysława Jamonta, którego zresztą sypał jego dawny wódz a najgorszy łajdak w życiu politycznym Polski, Bolesław Piasecki. Nie tu nie pomoże to, co piszą w tej sprawie ludzie tacy jak p. Stefan Korboński, który był marionetką w ręku ludzi o wyraźnych planach na po wojnie.

O tym jakoby NSZ wydały wyrok śmierci na Knolla dowiaduję się po raz pierwszy. Może był on na liście skazanych na śmierć, opublikowanej potajemnie przez te same czynniki związane z AK, które zamordowały Widerszala i Makowieckiego. I ogłosiły, że to zrobił NSZ.

Ciekawe w tym wszystkim jest to, że p. W. Minkiewicz opisując jak NSZ i ich Brygada Świętokrzyska przerzuciły go swoją, jedyną w tym czasie, konspiracyjną drogą, z Polski do 2-go Korpusu generała Andersa, nie poczuwa się do wdzięczności i dalej szkaluje NSZ. A NSZ przerzuciły na zachód moc ludzi, zagrożonych w Polsce, nie biorąc pod uwagę ich takiego czy innego stosunku do NSZ i Brygady.

Wydaje mi się, że Redakcja *Zeszytów Historycznych*, drukując wspomnienia zawierające tak oczywiste fałszywe zarzuty, jak te które stawia p. Minkiewicz, winna zaopatrzyć je w odnośnik wyjaśniający błąd autora.

Liczę, że list ten zostanie wydrukowany w *Zeszytach Historycznych* i pozwoli czytelnikom uniknąć zaznajamiania się z naszą przeszłością ozdobioną podobnymi, fałszywymi informacjami.

Łączę wyrazy szacunku i pozostaję z poważaniem

W. M. MARCINKOWSKI



Londyn, 7 sierpnia 1987.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze!

Do tekstu mojego artykułu pt. „Dzieciństwo Edwarda Śmigłego-Rydza” wkradły się dwa zniekształcenia w podawaniu nazwisk. Szefem Wojskowego Biura Historycznego był płk dypl. Bronisław Rakowski nie Ragowski (str. 195). Wójt m. Leśniki nazywał się J. Jędrzejowski którego podano poprawnie za pierwszym razem, po czym mylnie figuruje jako J. Jędrzejowicz (str. 196).

Będę wdzięczny za zamieszczenie tego sprostowania.

Łączę wyrazy poważania

Andrzej SUCHCITZ

Dr Jerzy BUKOWSKI hm, przewodniczący
za Zarząd Komitetu

APEL DO ŻOŁNIERZY LEGIONÓW POLSKICH JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Czcigodni Panowie!

Minęły 73 lata od wyruszenia I Kompanii Kadrowej Strzelców Józefa Piłsudskiego na zbrojny szlak Niepodległości. Lata wojen, tułaczek, pracy dla Ojczyzny przerzedziły znacznie szeregi Legionistów, spośród których żyje Was w Polsce jeszcze niewielka garstka. Kilkunastu żołnierzy legionowych brygad mamy zaszczyt skupiać w naszym Komitecie Opieki nad Kopcem Józefa Piłsudskiego, działającym od 1980 roku w ramach Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa. Większość z nich gromadziła się dawniej we własnym gronie, stanowiącym kontynuację Krakowskiego Okręgu Związku Legionistów Polskich. Po śmierci seniora środowiska, profesora Tadeusza Strojnego w czerwcu bieżącego roku, rozpadły się te więzy. Pragnęlibyśmy bardzo, aby właśnie nasz Komitet — z tytułu swej nazwy i stawianych sobie regulaminowych celów: odnowa Kopeca i kultywowanie patriotycznych i niepodległościowych, szczególnie legionowych tradycji — stał się miejscem, w którym sędziwi weterani trzech wojen będą mogli przekazywać swe wspomnienia i swój, często jeszcze dziś żywy, zapal młodym pokoleniom Polaków. Podjęliśmy już pierwsze kroki w tym kierunku i mamy szereg zgłoszeń, co napawa nas wielką radością i każe wypełnić moralny obowiązek wobec historii narodu, jakim jest tworzenie jedności wszystkich generacji Polaków, walczących o wolność i niepodległość w XX wieku.

Zwracamy się tedy do wszystkich Panów Legionistów w całej Polsce, a także poza nią, o włączenie się w działania naszego Komitetu. Chcielibyśmy, abyście Panowie po wielu — często przykrych — doświadczeniach znaleźli w naszym gronie należny sobie szacunek i okazję do przekazania młodszemu o kilka pokoleń — ale wiernym tym samym, co Wy i Wasz Komendant, wartościom — Polakom tego, co uważacie za najcenniejsze, czemu poświęciliście swą młodość, swoje życie. „Aby czas nie zatarł i niepamięć...”.

*Za Zarząd Komitetu
przewodniczący dr Jerzy BUKOWSKI hm*

(Przegląd Katolicki z 30 sierpnia 1987)

SPIS TREŚCI

A.P.: 25 lat Zeszytów Historycznych	3
Stanisław Sosabowski: <i>Józef Rybicki</i>	16
Józef Rybicki: <i>Rok 1945</i>	19
Jerzy Łojek: <i>Historia nie jest obrazem czarno-białym</i>	41
Tadeusz Wyrwa: <i>Kościół i państwo w pierwszym dziesięcioleciu PRL (na podstawie raportów dyplomatów francuskich)</i>	59
Z. S. Siemaszko: <i>Jeńcy wojenni (ZSSR 1939-1941)</i>	86
Marek Kazimierz Kamiński: <i>Polsko-czechosłowackie stosunki polityczne przed konferencją trzech mocarstw w Poczdamie (maj-czerwiec 1945 roku) (dok.)</i>	106

WSPOMNIENIA

Gen. Józef Jaklicz: <i>Z zeszytów gen. Józefa Jaklicza</i>	123
Bohdan Tadeusz Urbanowicz: <i>Ze wspomnień dowódcy 10 Pułku Ułanów Litewskich</i>	153
Dr Stefan Mozołowski: <i>Przed zgonem Marszałka Józefa Piłsudskiego</i>	175
Józef Garliński: <i>Sprawa Józefa Hammera</i>	179

RECENZJE

Krystyna Kersten: „Trylogia” Stefana Korbońskiego	197
Maria Danilewicz Zielińska: <i>Wokół Wielkiej Emigracji</i> ..	208
Z. S. Siemaszko: <i>Personalalia konspiracji warszawskiej</i>	216
Z. S. Siemaszko: <i>Listy oficerów Wojska Polskiego</i>	217
Piotr Wandycz: <i>Nowe książki</i>	221

LISTY DO REDAKCJI

Stanisław Babiński: <i>Uwagi do opracowania raportu gen. Sosnkowskiego przez T. Wyrwę (Zeszyty Historyczne nr 81)</i>	226
Tadeusz Wyrwa: <i>Odpowiedź na zarzuty St. Babińskiego</i>	227
Cezary Chlebowski: <i>Odpowiedź na list Józefa Świdy (Zeszyty Historyczne nr 80) dot. jego postępowania jako dowódcy Zgrupowań Nadniemeńskich Batalionów Partyzanckich w okresie lipiec 1943 - marzec 1944</i>	229
Stefan Korboński: <i>Sprostowanie do „Wspomnień 1939-1945” Wł. Minkiewicza (Zeszyty Historyczne nr 80)</i>	230
Janusz Kowalewski: <i>Uwagi do „Wspomnień 1939-1945” Wł. Minkiewicza (Zeszyty Historyczne nr 80)</i>	231
W. M. Marcinkowski: <i>Uwagi do „Wspomnień 1939-1945” Wł. Minkiewicza (Zeszyty Historyczne nr 80)</i>	232
A. Suchcitz: <i>Sprostowanie do artykułu „Dzieciństwo Edwarda Śmigłego-Rydza” (Zeszyty Historyczne nr 81)</i>	233
Jerzy Bukowski: <i>Apel do żołnierzy Legionów Polskich Józefa Piłsudskiego</i>	233

KATALOG KSIĄŻEK « BIBLIOTEKI KULTURY »

Grudzień 1987

	Stron	F.
Beauvois Daniel: <i>Polacy na Ukrainie 1831-1863</i> (Szlachta polska na Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie)	296	120,00
Bieńkowska, D. I.: <i>Pieśń suchego języka</i> (Poezje)	64	9,00
Bobkowski, A.: <i>Coco de Oro</i> . Szkice i opowiadania	272	20,00
Bocheński, J. M.: <i>Sto zabobonów</i>	128	55,00
Brandys, K.: <i>Miesiące 1985-1987</i>	192	80,00
Bronski, M.: <i>Teksty i preteksty</i> (Eseje literackie)	272	75,00
Bugajski, Ryszard: <i>Przestuchanie</i> (Scenariusz filmowy)	112	45,00
Busza, A.: <i>Znaki wodne</i> (Poezje)	64	7,00
Czapska, M.: <i>Czas odmieniony</i>	160	35,00
Czapski, J.: <i>Tumult i widma</i>	352	85,00
Czaykowski, B.: <i>Pont-no-point</i> (Poezje)	96	10,00
Czaykowski, B. i Sulik, B.: <i>Polacy w Wielkiej Brytanii</i> ..	581	30,00
Czerniawski, A.: <i>Wiek złoty</i> (Poezje)	64	25,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia. Kultura (1958-1973), Zeszyty Historyczne (1962-1973), Działalność wydawnicza (1959-1973)</i>	432	75,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia. Kultura (1973-1980), Zeszyty Historyczne (1973-1980), Działalność Wydawnicza (1973-1980)</i>	310	85,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Wspomnienia o Bibliotece Narodowej w Warszawie</i>	76	15,00
Dobek, Cz.: <i>Drugi rzut i inne opowiadania</i>	288	17,00
Giężyński, W.: <i>Budowanie Niepodległej</i>	336	100,00
G ł o s („Dokumenty” Nr 47)	272	75,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. I, <i>Ferdydurke</i>	296	55,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. VI, <i>Dziennik (1953-1956)</i>	304	75,00

	Stron	F.
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VII, <i>Dziennik</i> (1957-1961)	256	70,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VIII, <i>Dziennik</i> (1961-1966)	224	60,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. II, <i>Trans-Atlantyk</i> ..	130	40,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. XI, <i>Wspomnienia polskie</i> . — <i>Wędrówki po Argentynie</i>	256	65,00
Grynberg, H.: <i>Życie codzienne i artystyczne</i>	180	50,00
Guzy, P.: <i>Krótki żywot bohatera pozytywnego</i>	160	40,00
Haupt, Z.: <i>Pierścień z papieru</i>	245	13,50
Heller, M.: <i>Polska w oczach Moskwy</i>	208	75,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Dziennik pisany nocą</i> (1980-1983) ..	346	95,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Inny świat</i>	256	65,00
Hertz, Al.: <i>Refleksje amerykańskie</i>	260	16,50
Hłasko, M.: <i>Piękni dwudziestoletni</i> (wydanie III)	210	75,00
Iwaniuk, W.: <i>Ciemny czas</i> (Poezje)	80	8,00
Iwańska, A.: <i>Świat przetłumaczony</i>	240	15,00
<i>Jak z tego wyjść?</i> (Seria „Dokumenty”)	80	25,00
Jeleński, K. A.: <i>Zbiegi okoliczności</i>	424	120,00
Kaczmarek, J.: <i>Wiersze i piosenki</i>	140	45,00
Karpiński, W.: <i>Amerykańskie cienie</i>	192	65,00
Kisielewski, St.: <i>Podróż w czasie</i>	136	40,00
Koestler, A.: <i>Ciemność w południe</i>	208	70,00
Korybutowicz, Z.: <i>Grudzień 1970</i>	160	55,00
Kot, St.: <i>Jerzy Niemirycz, inicjator Ugody Hadziackiej</i>	80	7,00
Kowalik, J.: „Kultura” 1947-1957. Bibliografia Kultury	392	15,00
Kowalska, J.: <i>Pogranicze</i>	280	80,00
Kraśniewska, W.: <i>Po wyzwoleniu...</i> (1944-1956)	272	95,00
Krynicky, R.: <i>Nasze życie rośnie</i> (Wiersze). (Seria „Bez Cenzury”)	104	25,00
Kuśmierek, J.: <i>Stan Polski</i>	80	30,00
Lipski, J. J.: <i>Szkice o poezji</i>	200	95,00
Lipski, L.: <i>Piotruś</i>	80	7,00
Łobodowski, J.: <i>Dwie książki</i>	108	45,00
Madej, B.: <i>Maść na szczury</i> (Seria „Bez Cenzury”)	208	30,00
Madej, B.: <i>Piękne kalalie albo dojrzewanie miłości</i>	168	24,00
Mickiewicz, A.: <i>Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego</i> ..	104	25,00
Mieroszewski, J.: <i>Materiały do refleksji i zadumy</i>	256	40,00
Michnik, A.: <i>Z dziejów honoru w Polsce</i> . Wypisy więzienne	286	95,00
Miłosz, Cz.: <i>Dolina Issy</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 5)	196	70,00
Miłosz, Cz.: <i>Kroniki</i>	80	45,00
Miłosz, Cz.: <i>Nieobjęta ziemia</i>	148	55,00
Miłosz, Cz.: <i>Ogród nauk</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 10)	256	65,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> , t. I („Dzieła Zbiorowe”, t. 1)	292	75,00

	Stron	F.
Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> , t. II („Dzieła Zbiorowe”, t. 2)	240	70,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> , t. III („Dzieła Zbiorowe”, t. 11) . . .	112	30,00
Miłosz, Cz.: <i>Prywatne obowiązki</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 7) ..	256	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Rodzinna Europa</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 6)	248	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Widzenia nad zatoką San Francisco</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 9)	174	40,00
Miłosz, Cz.: <i>Zaczynając od moich ulic</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 12)	364	120,00
Miłosz, Cz.: <i>Zdobycie władzy</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 4)	160	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Ziemia Ulro</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 8)	224	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Zniewolony umysł</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 3) ..	240	60,00
Mostwin, D.: <i>Ja za wodą, ty za wodą...</i>	304	30,00
Mrożek, Sł.: <i>Alfa</i> (Sztuka sceniczna)	84	40,00
Mur, J.: <i>Dziennik internowanego</i>	200	85,00
Newerly, I.: <i>Zostało z uczy bogów</i>	324	120,00
Nowakowski, M.: <i>Dwa dni z Aniołem</i>	154	55,00
Nowakowski, M.: <i>„Grisza, ja тебе скажу...”</i>	176	70,00
Nowakowski, T.: <i>Happy-End</i>	208	18,50
Odojewski, Wł.: <i>Zabezpieczanie śladów</i>	128	45,00
Orłóś, K.: <i>Historia „Cudownej meliny”</i>	160	70,00
Orłóś, K.: <i>Trzecie kłamstwo</i>	240	65,00
Pankowski, M.: <i>Smagła swoboda</i>	55	5,00
Pietrkiewicz, J.: <i>Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne</i>	200	13,50
Pomian, G.: <i>Polska Solidarności</i>	464	120,00
<i>Powszechna Deklaracja Praw Człowieka w językach: polskim, białoruskim, czeskim, litewskim, rosyjskim, słowackim i ukraińskim (Seria „Dokumenty”)</i>	64	10,00
<i>Prawa człowieka i obywatela w PRL (13.12.1981 - 31.12.1982). Raport Komisji Helsińskiej w Polsce na Konferencję w Madrycie (Seria „Dokumenty” Nr 49)</i>	224	75,00
<i>Przeciw niewolnictwu (Seria „Dokumenty”)</i>	64	10,00
<i>Raport o stanie narodu i PRL (Seria „Dokumenty”)</i>	224	65,00
Reale, E.: <i>Raporty. Polska 1945-1946 (Seria „Dokumenty”)</i>	288	18,50
Rekulski, A. T.: <i>Czy drugi Katyń?</i>	46	20,00
Romanowiczowa, Z.: <i>Na Wyspie</i>	168	65,00
Romanowiczowa, Z.: <i>Skrytki</i>	200	55,00
<i>Rozmowy niekontrolowane...</i>	246	75,00
Rymkiewicz, J. M.: <i>Żmut</i>	288	110,00
Scherer, O.: <i>W czas morowy</i>	208	13,50
Siewierski, H.: <i>Spotkanie narodów</i>	144	55,00
Solski, W.: <i>Moje wspomnienia</i>	384	55,00
Staliński, T.: <i>Śledztwo</i>	224	25,00

